

H A N N A
GREŃ

MIASTO GŁUPCÓW

TRUDNO DOTRZEĆ DO PRAWDY,
GDY WSZYSZY WOKÓŁ MILCZĄ JAK ZAKŁĘCI



MIASTO GŁUPCÓW

H A N N A
GRÉŃ

MIASTO GŁUPCÓW

Copyright © Hanna Greń, 2021

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Redaktorzy prowadzący: Adrian Tomczyk, Agata Ługowska

Marketing i promocja: Anna Rychlicka-Karbowska

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Pawłowska, Agata Tondera

Projekt typograficzny i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Pola i Daniel Rusiłowiczowie

Fotografie na okładce:

© Bernard Boutchez / Unsplash

© Pakhnyushchy, Anselm Baumgart, Aleshyn_Andrei / Shutterstock

© Envato Elements

Fotografia autorki na skrzydełku: Mateusz Sosna / Ogniskova.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66736-89-4

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Prolog

Kiedyś, gdzieś

Boli! Mamo, tak strasznie boli... Zimno mi...

Dziewczynka usiłuje się poruszyć, lecz ciało nie reaguje na bodźce. Chce krzyczeć, nieposłuszne jej woli usta nie wydają żadnego dźwięku. Jest jak sparaliżowana i tylko łzy nieprzerwanie wypływają spod sklejonych krwią powiek i żłobią jaśniejsze koleiny na brudnych policzkach.

Mijają sekundy, potem minuty. Dziewczynka wreszcie pokonuje słabość. Otwiera oczy, lecz zaraz zamyka je ponownie, odgradzając się od otaczającej ją ciemności. Wargi drgają leciutko. Poruszają się mozolnie, z wysiłkiem, składają się w niewypowiedziane słowa.

Czy to noc? Gdzie ja jestem? Kim jestem?

Ale obok nie ma nikogo, kto mógłby odpowiedzieć na te pytania, i dziecko znowu odpływa w niebyt.

Mijają kolejne minuty, potem godziny. Ból i zimno, atakujące nieprzerwanie drobne, szczupłe ciało, przywracają dziewczynkę do przytomności. Tym razem powieki uchylają się łatwiej, a z ust wrywa się cichy jęk.

– Boli... – szepce dziecko spękanyimi wargami. – Pić... Mamo...

Nie pamiętam, jak mama wygląda, uświadamia sobie w panice. Nie pamiętam nawet jej imienia. Swojego też nie. Co mi się stało?

Usiłuje się poruszyć, lecz ciało nadal jej nie słucha i dopiero po kilkunastu próbach lewa ręka nieznacznie się unosi. Dziewczynka

zagryza wargi tak mocno, że czuje w ustach smak krwi, lecz ten ból jest niczym w porównaniu z tym drugim, zaczynającym się w okolicach pasa i obejmującym dolną połowę ciała.

Na czole perli się pot, choć dziewczynka trzęsie się z zimna. Ręka, coraz bardziej posłuszna jej woli, zatacza szerokie kręgi i wreszcie natrafia na chropowatą, wilgotną ścianę. Palce zbierają chciwie tę wilgoć i niosą ją do ust, by choć odrobinę zaspokoić jej pragnienie. Lecz wysiłek sprawia, że dziecko słabnie coraz bardziej i po chwili zasypia z dłonią przyciśniętą do szorstkiego muru.

Kolejne przebudzenie. Ból jakby zelżał. Właściwie całkiem odszedł, zastąpiony odrętwieniem. Dziewczynka chce wykorzystać ten czas spokoju i zmienić pozycję na wygodniejszą, próbuje więc przekręcić się na bok. *Nie cierpię leżenia na plecach*, myśli i w tej samej chwili przeszywa ją potworny ból. Krzyczy, w jej mniemaniu donośnie, choć tak naprawdę głos jest niewiele silniejszy od szeptu. Potem myśl się urywa i nastaje zbawcza ciemność.

Budzi ją przenikliwe zimno. Zęby szczękają głośno, ciałem wstrząsają niedające się opanować drgawki. *Przecież jest lato*, dziwi się dziewczynka, ale nawet tego nie jest pewna. Jak mogłaby być, skoro nie pamięta nawet własnego imienia?

Jest dużo słabsza niż poprzednio i jeszcze bardziej spragniona. Gdy wyciąga dłoń w stronę wilgotnej ściany, ręka zdaje się ważyć kilka kilogramów. Opada bezwładnie wzdłuż ciała i dotyka wilgotnego, lepkiego podłoża. Dziewczynka ma zamiar znowu ją unieść, gdy nagle przychodzi jej do głowy, że warto by sprawdzić, co powoduje ten potworny ból. Najpierw jednak musi trochę odpocząć.

Wsusza pomalutku dłoń pod plecy, dotyka całkiem mokrej koszulki i przez moment cieszy się, że zaraz zwilży wargi życiodajnym płynem. Wtem palce natrafiają na twarde, okrągły pręt łączący ciało z podłożem i dziecko cofa rękę. Nie próbuje oblizywać palców. Już wie, że ta wilgoć to jej krew. Już wie, że nigdy nie wydobędzie się z ciemnego piekła, które stanie się jej grobem.

Rozdział 1

Cień Białej Matyldy

5–9 czerwca 2019, Jasień

– Zobacz, jak tu pięknie!

Magda Witecka aż podskoczyła z radości, a stare, spróchniałe deski tarasu zatrzeszczały ostrzegawczo.

– Uważaj! – zawołał mąż. – Mogłabyś się cieszyć trochę mniej spontanicznie? Ta konstrukcja może się w każdej chwili załamać.

– Oj tam, przecież aż tak nie przytyłam.

Roześmiała się beztrosko, lecz po kolejnym skrzypnięciu na wszelki wypadek cofnęła się i stanęła w progu, by spoglądać na ogród z bezpiecznego miejsca.

Krzysztof Witecki stanął za nią i czułym gestem wzburzył blond loki spływające jej na ramiona.

– Masz rację, jest pięknie – przyznał z westchnieniem. – Ale koszty remontu też będą piękne, a o robocie wolę nawet nie myśleć.

Kobieta posmutniała. Tak bardzo się cieszyła, że wreszcie przestaną tułać się po wynajętych pokojach, ale chciała, żeby to była ich wspólna radość. Tymczasem mąż od początku nie był zachwycony pomysłem kupienia starego domu w Jasieniu. Całe życie mieszkał w bloku i nie tęsknił do tej nieograniczonej swobody, którą daje posiadanie domu z ogrodem. Ona zaś, wychowana na wsi, dusiła się w kolejnych betonowych klatkach, zawsze ciasnych, zawsze albo zbyt chłodnych, albo zbyt nagranych, z sąsiadami

wydzierającymi się w środku nocy i śmiejącymi na klatce schodowej.

Po wielu namowach Krzysztof wreszcie dał się przekonać, ale upierał się, by ten ich wymarzony dom znajdował się w Bielsku-Białej, gdzie się urodził, wychował i gdzie miał pracę. Magda wolałaby co prawda mieszkać poza miastem, ale wiedziała, kiedy należy ustąpić. Nie chciała stawiać na swoim za wszelką cenę, pogodziła się więc z tym połowicznym zwycięstwem, a mąż z zapalem zabrał się do szukania odpowiedniego domu.

Życie wkrótce zweryfikowało jego pomysł, okazało się bowiem, że nawet najgorsze rudery znajdują się poza ich finansowymi możliwościami. Wówczas Witecki rozszerzył poszukiwania o okoliczne wioski, przekonując sam siebie, że lepiej jest mieszkać w Kozach, Wilkowicach czy Jaworzu niż w zasnutym smogiem mieście. Tu jednak także spotkała go przykra niespodzianka.

Domy nadające się natychmiast do zamieszkania były zbyt drogie, natomiast te do remontu miały zasadnicze wady. Jedne znajdowały się w takim stanie, że koszt doprowadzenia ich do stanu umożliwiającego zamieszkanie niewiele różnił się od kosztu budowy nowego budynku. Inne miały nieuregulowany status własności, jeszcze inne znajdowały się w takim miejscu, że w razie dużych opadów Krzysztof miałby do wyboru albo najmować odśnieżarkę, albo samemu odśnieżać ze dwieście metrów prywatnej drogi.

Witecki zaliczał się do mężczyzn niezmiennających raz powziętego postanowienia, toteż szukał dalej, systematycznie rozszerzał przy tym rejon poszukiwań, który teraz sięgał Żywca, Skoczowa, Kobiernic i Tychów. Pewnego dnia kolega mimochodem rzucił, że zna kogoś szukającego kupca na dom w Jasieniu. Budynek był zaniedbany, gdyż właścicielka od lat wynajmowała go robotnikom leśnym, wymagał więc solidnego remontu.

Gdy Krzysztof poznał cenę, tak się zapalił do kupna, że słuchał piąte przez dziesiąte i pewnie dlatego jego uwadze umknęły słowa o robotnikach leśnych, na które powinien był zwrócić uwagę.

Niebacznie opowiedział o wszystkim żonie, a potem obserwował z radością, jak na jej przygaszonej ostatnio twarzy wykwita uśmiech szczęścia.

Do niedawna nie planowali powiększenia rodziny, toteż ciąża była prawdziwą niespodzianką. Po otrząśnięciu się z szoku stwierdzili, że właściwie niepotrzebnie tak długo zwlekali. Byli po ślubie już siedem lat, więc najwyższy czas, by w ich życiu pojawiło się dziecko. W miarę upływu czasu entuzjazm Magdy coraz bardziej gasł, zastępowany troską. Nie wyobrażała sobie wychowywania dziecka w pokoiku tak małym, że nie było w nim miejsca nawet na wózek, a co dopiero na łóżeczko. Dlatego na wieść o możliwości kupna domu w przystępnej dla nich cenie niemal oszalała ze szczęścia.

Postanowili w najbliższy weekend wybrać się na oględziny budynku i dopiero wtedy Krzysztof uprzytomnił sobie, że nie zapytał, w jakim rejonie leży ów Jasień. Nazwa kojarzyła mu się z pobliską Jasienicą, założył więc całkiem bezpodstawnie, że miejscowości te ze sobą sąsiadują.

– Tylko ci robotnicy leśni – mówił do żony w trakcie oczekiwania na uruchomienie się laptopa. – Coś mi się to nie podoba. A może jednak? Przecież nawet w Bielsku jest nadleśnictwo...

Po uruchomieniu Google Maps aż jęknął z zawodu. Jasień znajdował się w powiecie żywieckim, ale od Żywca dzieliło go blisko czterdzieści kilometrów. Czyli od Bielska-Białej niecałe sześćdziesiąt. Nie była to odległość nie do przebycia, ale perspektywa pokonywania codziennie tej trasy nie jawiła się zbyt zachęcająco. Nie miał jednak sumienia gasić radości żony, toteż przystał na plan sobotniej wyprawy do Jasienia w nadziei, że dom okaże się ruderą niezdatną do remontu. Wskazywała na to cena, zaskakująco niska nawet jak na miejscowość będącą, sądząc po lokalizacji, zapadłą wsią, ze wszystkich stron otoczoną górami.

– Tam chyba nawet wróble zawracają.

Powtórzył to kilka razy, licząc, że wybije Magdzie z głowy pomysł zamieszkania na takim odludziu, ona jednak była nieugięta.

– Niechby tam nawet ludzie dalej mieszkali w jaskiniach, a po lasach buszowały stada wygłodniałych wilków, ja chcę obejrzeć ten dom. Obiecałeś, że w sobotę tam pojedziemy. Pomyśl o cenie. Za taką kwotę nie kupisz w Bielsku nawet kawalerki.

Witecki zawsze krytykował ludzi niedotrzymujących przyrzeczeń, nie widział więc innego wyjścia, jak zgodzić się na wyjazd do Jasienia. I oto stali w przestronnym, słonecznym pokoju i spoglądali na pokryte młodymi listkami drzewa, otoczone krzewami, których nazw nie umiałby wymienić. W tej zielonej gęstwinie gdzieniegdzie przykuwały wzrok plamy czerwieni i żółci. Rozpoznał w kwiatach tulipany i ucieszył się, że jednak nie jest kompletnym laikiem w dziedzinie ogrodnictwa.

– Tak właśnie musiał wyglądać tajemniczy ogród, kiedy nastąpiła wiosna, a Mary Lennox[1] zrobiła klomby i posiała nasiona kwiatów przyniesione przez Dicka – powiedziała Magda, ścisząc głos, jakby sama znajdowała się u sekretnego wejścia do zamkniętego na wieki ogrodu.

Krzysztof nie bardzo pojmował, o czym żona mówi, ale na wszelki wypadek skinął głową. Jego również zachwyciła posesja. Dom co prawda był mocno zaniedbany i wymagał sporych nakładów, ale miał niezaprzeczalny urok, prócz tego doskonale odpowiadał ich potrzebom. Na piętrze znajdowały się trzy nieduże pokoje i łazienka, na parterze zaś druga łazienka, kuchnia, dość duża spiżarka, z której planował zrobić swój gabinet, i tylko jeden – za to naprawdę duży – pokój.

– Zobacz, Magda – odezwał się, gdy w głowie zarysował mu się pomysł na przeróbkę. – Na tej krótszej ścianie też jest okno. Gdyby w tym miejscu postawić ściankę działową, miałabyś idealny pokój do pracy.

Witecka porzuciła kontemplowanie ogrodu i stanęła obok męża.

– Myślisz?

Krytycznym okiem obejrzała pomieszczenie. Miał rację. Pokój był dostatecznie widny, a zaproponowane zmiany nie zaburzyłyby estetyki. Tylko te koszty!

Krzysztof chyba pomyślał podobnie, co sugerowały skupiony wyraz twarzy i zmarszczone brwi.

– Nie mówię, że od razu, bo na to chyba nas nie stać. Na razie po prostu postawimy tam biurko i regał. To i tak lepsze rozwiązanie, niż gdybyś miała co chwilę zbiegać z piętra, żeby zamieszać zupę czy skręcić palnik pod makaronem. A w przyszłości odgradzimy twój kącik ścianką z przesuwными drzwiami.

– Kochany jesteś.

Wspięła się na palce i pocałowała męża w usta, a potem przebiegła po spróchniałych deskach, by zapoznać się bliżej z ogrodem, bez obawy, że niepotrzebnie go pokocha. Słowa Krzysztofa świadczyły bowiem o tym, że zaakceptował pomysł kupienia tego domu.

10 października 2019, Jasień

Właścicielka sklepu odpowiedziała na powitanie Witeckiego szerokim uśmiechem.

– Dzień dobry, panie Krzysztofie. Jak remont?

Mężczyzna skrzywił się lekko.

– Jak krew z nosa. Szkoda mówić, pani Halino. Wlecze się i wlecze, i końca nie widać.

– Ja tam sobie nie krzywduję – stwierdziła z wesołym błyskiem w oku. – Jest pan moim najlepszym klientem. Życzyłabym sobie więcej takich.

– Nie wątpię – odparł nieco kwaśno.

Chwilami odnosił wrażenie, że jest jedynym klientem sklepu, w którym oprócz typowo rolniczych akcesoriów można było nabyć materiały budowlane, wszelakie narzędzia, a także opał. Tylko raz

spotkał tam jakiegoś mężczyznę, ładującego na półciężarówkę worki cementu, choć Magda twierdziła, że sklep cieszy się dużym powodzeniem i że nieraz musiała stać w kolejce do kasy. On jednak widywał tam tylko właścicielkę, usadowioną w bujanym fotelu i czytającą książkę. Jak zaobserwował, cały czas tę samą.

Nic dziwnego, że cieszyła się z jego odwiedzin, zostawił tu wszak już kilkadziesiąt tysięcy złotych, stan ich konta zaś kurczył się w zastraszającym tempie.

– Właśnie przed chwilą dostarczono rośliny, co to pani Magda zamówiła. Odbierze pan?

Wskazała ręką pod zadaszenie, gdzie stało dziesięć dużych doniczek i kilka mniejszych. Jedne i drugie zasiedlone zostały przez jakieś zielone badyle, których nadal nie umiał poprawnie nazwać. Zielsko to zielsko, mawiał do żony. Choć musiał przyznać, że Magda miała rękę do roślin, a także jakiś specjalny zmysł, pozwalający jej z jeszcze niedawno zapuszczonego ogrodu stworzyć niemal idylliczny zakątek.

– Oczywiście, że odbiorę. Nie chcę, żeby dźwigała te donice. W tym stanie nie powinna podnosić ciężarów.

– Pani Magda jest przy nadziei? – W oczach Matusznej rozbłysła odwieczna kobieca ciekawość, każąca ekscytować się wiadomością o bliskim macierzyństwie, choćby miało ono nastąpić w dość odległej przyszłości i dotyczyło całkiem obcej kobiety. – Moje gratulacje.

Krzysztof tak się cieszył ze spodziewanego powiększenia rodziny, że teraz przysiadł na kubelku z farbą i wbrew swoim zwyczajom odpowiedział obszernie, zamiast jak zwykle skwitować próby wciągnięcia go w pogawędkę jakąś zdawkową uwagą:

– Dziękuję. Oboje jesteśmy szczęśliwi, bo wie pani, jak to jest. Przedtem nie mieliśmy warunków. Wynajęte mieszkanie w bloku to nie jest miejsce, gdzie człowiek chciałby wychowywać dziecko. Co innego tutaj.

– A pewnie – przyświadczyła, splatając ręce na kształtnym biuście. – Powietrze tu czyste, można kupić mleko od krowy i jarzyny

bez chemii, a w razie kłopotów sąsiedzi zawsze dopomogą.

Pokiwał głową i popatrzył na Matuszną z wdzięcznością.

– No właśnie. Magda opowiadała, jak życzliwie przyjęły ją panie do swojego grona. Bałem się, że zanudzi się tutaj podczas mojej nieobecności, a okazało się, że nawet nie zdążyła zatęsknić, tak była zajęta. Ale Bogiem a prawdą nie mam pojęcia, co ją tak zaabsorbowało, bo słuchu to ona nie ma za grosz.

Kobieta szczytała kod kreskowy z puszeki hammerite'a i machnęła ręką, bagatelizując zasługi członkiń miejscowego chóru.

– Żał nam jej było, bo całymi dniami sama w domu, ani do kogo gęby otworzyć. No to zmówiliśmy się, że przyjdziemy do niej z ciastem i wprosimy się na kawę. I od słowa do słowa okazało się, że pani Magda projektuje strony internetowe. Od dawna marzyliśmy o czymś takim, ale nie było nas stać, a ona powiedziała, że możemy dokonać barteru...

Zająknęła się, niepewna, czy dobrze wymówiła obce słowo.

– Barteru? – zdziwił się Krzysztof. – Czego zażądała w zamian? Chyba nie ciasta?

Na samą myśl o regularnych dostawach wypieków ślinka napłynęła mu do ust, lecz Matuszna zaraz sprowadziła go na ziemię.

– Prace ogrodowe. Trzeba było wykarczować kilka uschniętych krzewów, poprzycinać drzewka i przygotować grządki pod warzywa. Pan to wiadomo, albo w pracy, albo w delegacji, albo na budowie, a to nie robota dla kobiety. Wysłałyśmy naszych mężów, żeby zrobili, co każe, i po kłopotcie.

A to oszustka, pomyślał z rozbawieniem o małżonce, która słowem nie wspomniała o pomocy z zewnątrz i z miną niewiniątka przyjmowała jego pochwały. Naraz przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Krzysztof z zastanowieniem popatrzył na kobietę i przegarnął dłonią gęstą ciemnobrązową czuprynę.

– Pani Halino, może ze mną też dokonacie takiej wymiany?

Wzrok Matusznej natychmiast stał się przenikliwy i Witecki wręcz namacalnie wyczuł chłodną kalkulację. *Prawdziwa z niej kobieta*

interesu, pomyślał z mimowolnym szacunkiem.

– Co pan chce dostać i co chce dać w zamian?

– Jestem specjalistą inwestycyjnym dużej spółki handlowej. – Zauważył, że skrzywiła się z niechęcią, więc szybko uniósł dłoń, powstrzymując ją od wypowiedzenia krytycznej opinii. – Niech mi pani pozwoli wytłumaczyć. Inwestowanie kojarzy się pani z giełdą i akcjami, prawda? I chce mi pani powiedzieć, że nie macie czego inwestować. Ale mnie nie o to chodzi. Wiem, że nie macie pieniędzy, zresztą my też ich nie mamy. Ja jednak miałem na myśli inwestycję innego rodzaju. Zamiast oddawać produkty i płody rolne do skupu i dostawać w zamian nędzne grosze, na waszym miejscu założyłbym sklep internetowy.

Matuszna zainteresowała się tematem, poświęcił więc ponad pół godziny na przedstawienie swojej wizji. Zadawała pytania, na które cierpliwie odpowiadał, dopóki nie zerknął na zegarek. Zaaferowany tematem, nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu, a w domu ekipa remontowa czekała na dostarczenie materiałów. Czym prędzej zakończył przemowę i zabrał się do załadunku.

– Niech pan zostawi – powstrzymała go i przywołała męża. – Wrzuć to na pakę i zawieź do Witeckich – zarządziła. – A ja w tym czasie pogadam jeszcze z panem Krzysztofem o interesach. – Wyszła zza lady i wskazała rośliny stojące pod zadaszeniem. – Panie Krzysiu, pomogę panu władować donice do auta, a pan opowie mi trochę o tym sklepie, dobrze? Zaczyna mi się ten pomysł podobać.

Witecki nie oponował. Odpowiedział na szereg kolejnych pytań, podsunął kilka rozwiązań oraz podkreślił, jak ważna w tego typu przedsięwzięciach jest szeroko zakrojona akcja reklamowa. Na jej uwagę, że reklama to chyba dopiero wtedy, gdy sklep zacznie działać, zamachał rękami w gwałtownym proteście.

– To stanowczo za późno. Żeby reklama przyniosła efekty, należy wdrożyć ją jak najprędzej. Powinna ciągle walić po oczach, by w natłoku innych propozycji ludzie o niej nie zapomnieli. Musi kusić,

kusić i jeszcze raz kusić. Potencjalni klienci powinni czekać na otwarcie sklepu z taką niecierpliwością, jak się czeka na pierwszą randkę.

– Powie nam pan, jak to wszystko zrobić?

– Jeżeli nasza umowa dojdzie do skutku, to sam wykonam większość zadań. To znaczy z pomocą Magdy, bo to ona przygotowuje dla was witrynę – odparł z uśmiechem.

Przeczuwał, że już ma ją w garści, a jeśli rzeczywiście tak było, spadnie mu z barków problem dręczący go od wielu dni.

Kobieta odwzajemniła uśmiech, zaraz jednak spojrzała z zaciekawieniem i podejrzliwością jednocześnie.

– Nie powiedział pan jeszcze, czego oczekujecie w zamian.

– Nie musi pani tak na mnie patrzeć, nie każę wam nikogo zabić. Napadu na bank też nie planuję. Chodzi mi o zakres prac podobny do tego, który zleciła moja żona.

Matuszna znów mu się przyjrzała, tym razem z zaskoczeniem.

– Przecież tam już nie ma nic do roboty. Chce pan coś zmienić? Bo wszystko zrobiliśmy tak, jak pani Magda sobie życzyła.

Wyczuł w jej głosie wyrzut i rozżalenie i pospieszył ją uspokoić.

– Ależ skąd, pani Halino. Niczego nie chcemy zmieniać ani poprawiać. Odwaliliście naprawdę kawał dobrej roboty. Mnie chodzi o ten drugi ogród.

Donica wypadła z rąk kobiety i z hukiem walnęła o bruk, a na ich buty posypały się drobinki ziemi. Schyliła się, szybko podniosła roślinę i zaklęła na widok połamanych liści.

– Jasny szlag. Te moje dziurawe łapy. Zaraz przyniosę panu inną azalię.

Rzeczywiście po kilku minutach wróciła z jeszcze dorodniejszą. Witecki odebrał od niej donicę i umieścił w samochodzie.

– To jak będzie? Umowa stoi?

– Wie pan, nie bardzo rozumiem. Jaki drugi ogród? Przecież tam nie ma...

– Oczywiście, że jest – przerwał jej, lekko zdumiony słowami kobiety, która wedle jego wiedzy spędziła w Jasieniu całe życie. – Znajduje się na tyłach, odgradzony od pierwszego ogrodu starą siatką. Jest potwornie zaniedbany, przez co szpeci krajobraz. Gdy wychodzimy na taras, od razu rzucają się w oko wielkie kupy gałęzi, sterty starych desek i góra gruzu. To wszystko wygląda tak, jakby tam leżało od zarania dziejów. Musimy coś z tym zrobić, a ja jak zwykle nie mam czasu.

Spojrzał pytająco na Matusznię, lecz ta ku jego rozczarowaniu pokręciła głową.

– Już wiem, o który ogród panu chodzi. To ten od Białej Matyldy. Nie wierzę, że znalazłby się chętny, żeby tam wejść. Poza tym on przecież nie należy do was.

Krzysztof zamierzał odpowiedzieć, gdy poczuł wibrowanie komórki. Zobaczył, że dzwoni Magda, i znów przypomniał sobie o czekających robotnikach. Nie mógł dłużej zwlekać z powrotem, choć słowa pani Haliny zaintrygowały go i chętnie zostałyby, żeby wyjaśnić tę sprawę. Otworzył drzwi samochodu.

– Muszę jechać, ale porozmawiamy jeszcze o tym, bo coś się tu nie zgadza. Jeszcze raz sprawdzę, ale jestem pewien, że kupiliśmy także ten drugi ogród. Do widzenia.

Po powrocie do domu najpierw zajął się rozładunkiem i ugłaskiwaniem mocno rozsierdzonych pracowników, potem spędził ponad godzinę na dyskusji z kierownikiem budowy i dopiero pod wieczór mógł zdać żonie relację z rozmowy z Matusznią.

– Jesteś pewny, że to ona się myli?

– Całkowicie. Zobacz sama. – Sięgnął po mapkę geodezyjną i porównał ją z wyciągiem z ksiąg wieczystych oraz aktem notarialnym zakupu nieruchomości wraz z gruntem. – Z dokumentów wynika, że to również jest działka budowlana, tylko niewielka, niespełna trzyarowa. Dziwne.

W zamyśleniu błędził wzrokiem po ścianach pokoju, który mimo wcześniejszych uzgodnień jednak został już przedzielony ścianką.

Szef robotników budowlanych przekonał ich argumentami, że koszt takiej modernizacji będzie niewielki, bo robotnicy i tak są na miejscu, ponadto można będzie do niej wykorzystać pozostałości materiałów.

– Co jest dziwne? – ponagliła go Magda.

– Mam wrażenie, że widziałem w ogrodzie resztki fundamentów, a to by znaczyło, że kiedyś był tam dom. Dlatego się dziwię, bo z tego, co słyszałem, pod budowę domu wymagane jest minimum trzy i pół ara.

Popatrzył na nią pytająco, jakby oczekiwał, że rozwieje jego wątpliwości, lecz nie wykazała najmniejszego zrozumienia.

– Naprawdę nie masz większych problemów? Przecież nie wiesz, jakie kiedyś obowiązywały normy. Zresztą równie dobrze ktoś mógł zbudować ten dom bez zezwolenia. Dawniej nie bardzo zwracano na to uwagę.

– Masz rację – przyznał po namyśle. – W dodatku granica między działkami mogła wówczas przebiegać zupełnie gdzie indziej. W sumie to nieważne. Bardziej mnie interesuje, kim była Biała Matylda. Brzmi jak z opowieści o duchach.

– Jesteś ciekawski jak baba – odpowiedziała Magda, po czym roześmiała się z jego obrażonej miny. – Jeżeli tak cię to męczy, zapytaj kogoś z budowlańców. Tylko się pośpiesz, bo podobno za trzy dni skończą.

Krzysztof oburzył się na przyrównanie go do baby, co nie przeszkodziło mu pognać na piętro, gdzie ostatni z robotników, pan Tomek, właśnie się przebierał po skończonej pracy. Witecki wpadł zadyszany do łazienki i nie zważając na konsternację wpólnagiego mężczyzny, zaczął zadawać pytania. Koniec końców rozsiedli się po turecku na podłodze i popijając zimne piwo, prowadzili wielce zajmującą pogawędkę. To znaczy mówił głównie budowlaniec, Witecki natomiast ograniczał się do okrzyków zdumienia i niedowierzania.

– Ale jaja! – zawołał do żony, gdy wreszcie pożegnał się z rozmówcą. – To się po prostu w pale nie mieści, że ludzie mogą

wierzyć w takie brednie.

– Może by tak jaśniej?

Nie potrafiła powstrzymać się od zgryźliwości. Chciała popracować w spokoju, szczęśliwa, że wreszcie w domu nastąpiła cisza, a tymczasem własny mąż beztrąsko krzyżował jej plany.

On zaś w ogóle nie zwrócił uwagi na jej ton, podekscytowany informacjami, których zadowolony z uzyskanego wrażenia budowlaniec mu nie szczędził. Witecki nigdy nie wierzył w nadprzyrodzone zjawiska, a jednak słowa pana Tomka wywołały w nim dreszczyk emocji. Pomyślał, że byłoby nieźle mieć swojego prywatnego ducha.

– Wyobraź sobie, że tam doszło do zbrodni – wypalił z satysfakcją, a gdy nie zareagowała, niezrażony jej milczeniem, powtórzył: – Wyobraź sobie, że tam doszło do zbrodni. Właśnie w tym ogrodzie.

Przyniósł sobie krzesło z salonu i usiadł na wprost biurka Magdy. Zdawał sobie sprawę z tego, że jej przeszkadza, lecz niespecjalnie się tym przejął. Pracowała przecież w domu, więc w każdej chwili mogła wrócić do przerwanej zajęcia.

Kobieta z rezygnacją zapisała zmiany w pliku i wyszła z programu. Już dawno zaprzestała tłumaczenia, że oderwanie się od pracy często powoduje konieczność zaczynania od początku. Krzysztof pod tym względem był niereformowalny i żadne argumenty nie były w stanie go przekonać, że praca w domu nie powinna polegać na siadaniu do komputera z doskoku pomiędzy gotowaniem obiadu a sprzątaniami czy zabawianiem męża rozmową. Krzysztof wiedział lepiej, i już.

– Jak zwykle będziesz mnie męczył tak długo, aż w końcu cię wysłucham – wytknęła, lecz on tylko się uśmiechnął z roztargnieniem. Widać było, że myślami przebywa gdzieś indziej, prawdopodobnie przy tym, co koniecznie chciał jej opowiedzieć. – W takim razie równie dobrze możemy pójść do kuchni i zjeść

kolację. Te wszystkie sensacje chyba zaostrzyły mi apetyt, bo jestem głodna jak diabli.

W kuchni Krzysztof zabrał się do krojenia chleba i jednocześnie powtarzał usłyszaną niedawno opowieść:

– Niespełna trzydzieści lat temu w tamtym domu mieszkali Kazimierz i Matylda Mizerowie. Mieli dwie córki, Genowefę i dużo młodszą od niej Krystynę. Wtedy jeszcze te dwie działki stanowiły całość. Podobno planowali, że po ślubie Genia wybuduje się obok nich i wraz z mężem przejmie gospodarkę, a Krysi chcieli dać niedużą działkę pod samym lasem.

– Widzę jakąś dysproporcję w tym podziale – zauważyła Magda dość obojętnie. Większą uwagę niż słowom męża poświęcała krojonemu pomidorowi.

Krzysztof chciał machnięciem ręki powstrzymać ją od wtrącania uwag, w porę jednak zauważył, że trzyma w ręce nóż. Na wszelki wypadek go odłożył, a po namyśle zrezygnował z pouczania. Niepotrzebnie opóźniłby moment, kiedy zasiądą do kolacji, a właśnie doszedł go zapach szynki i mężczyzna poczuł, że również chętnie coś by przekąsił.

– Ponoć bardziej kochali starszą córkę, bo była uległa i pracowita, a młodszą nieraz im odpyskowała i ciągle wymigiwała się od roboty. Ale życie nie potoczyło się po ich myśli. Na festynie Genia wpadła w oko chłopakowi z sąsiedniej wsi. Potem tłumaczył się, że był pijany i nie wiedział, co robi, niemniej faktem jest, że ją zgwałcił, a ona zaszła w ciążę.

Magda z wrażenia omal nie wypuściła z rąk talerza z kanapkami.

– O matko! – zawołała ze zgrozą, a Krzysztof po tym okrzyku zorientował się, że opowieść mimo wszystko ją wciągnęła. – I co? Poszedł siedzieć? A może ojciec tej Geni go zabił?

– Wyobraź sobie, że ani jedno, ani drugie. W efekcie długiej narady ojcowie postanowili, że młodzi muszą wziąć ślub.

– Chyba żartujesz?!

Zdegustowana mina męża świadczyła jednak o tym, że mówił całkiem poważnie, i Magda doszła do wniosku, że finał wcale nie jest taki zaskakujący. Nawet obecnie wielu nie potępia gwałcicieli w przekonaniu, że winna gwałtu zawsze jest kobieta. A co dopiero trzydzieści lat temu, w dodatku na zapadłej wsi?

– Niestety tak właśnie to wyglądało – kontynuował Witecki. – Ale Mizera wcale nie był zachwycony takim obrotem sprawy, bo zięć, chociaż młody, zdążył już zasłynąć w okolicy jako pijak i awanturnik. Kazimierz nie pragnął mieć takiego sąsiedztwa, dlatego zmienił zdanie co do podziału majątku i Genia dostała jedynie działkę pod lasem. Jej mąż rzeczywiście okazał się łajdakiem. Pił, kradł i wymigiwał się od pracy, a gdy Genia poroniła, zaczął ją bić przy każdej okazji, aż miarka się przebrała. Facet wylądował w pierdlu, a ona postanowiła sprzedać działkę i stojącą na niej nędzną chałupę, by pokryć jego długi. Podobno zdążyła w ostatniej chwili przed komornikiem, inaczej wszystko poszłoby pod młotek, a wtedy mogłoby nie wystarczyć na spłatę zadłużenia.

Magda usiadła przy stole i pokręciła głową.

– Jakim cudem w tamtych czasach facet mógł narobić takich długów? W dodatku na tym zadupiu?

– Może za bardzo uogólniłem. Pan Tomek mówił, że w większości były to grzywny i odszkodowania za zniszczone mienie. Gość wpadał w szał, kiedy sobie popił, a wtedy rozwaliał wszystko, co stało mu na drodze. Zniszczył wiatę przystankową, uszkodził samochód i takie tam... Nieważne. W każdym razie wylądował w kiciu, a Genia wróciła do rodziców. Po kilku miesiącach stary Mizera umarł i zostały we dwie z matką.

– A co z siostrą? – spytała Magda niecierpliwie.

Zaintrygowana wzmianką o zbrodni, nie mogła doczekać się końca opowiadania. Ale Krzysztof oświadczył zdecydowanie, że nie doda niczego więcej, dopóki nie zje kolacji, gdyż przez to mielenie ozorem niepomiernie się zmęczył i całkiem opadł z sił.

Zaprotestowała gwałtownie, lecz gdy przypomniał jej własne słowa o byciu ciekawskim jak baba, musiała uznać swoją porażkę.

– O siostrze wiem tyle, że razem z mężem wybudowała ten dom i ponoć niezbyt dogadywała się z resztą rodziny – podjął po przełknięciu ostatniego kęsa. – Ale ona w tej historii jest nieważna. Bo widzisz, mąż Geni został zwolniony przedterminowo i pewnego dnia przyszedł do teściów, a po drodze zabrał z drewni siekierę.

– Zabił ją? – spytała Magda jednym tchem. – Własną żonę?

– Naprawdę myślisz, że żony są ustawowo wyłączone z puli obiektów przeznaczonych do likwidacji? – rzucił kpiąco, a gdy spiorunowała go wzrokiem, zmierzwił jej włosy i pogładził ją po policzku. – Nie, żony nie zabił. Ale teściową owszem. Wszyscy do dziś są zdania, że się pomylił, bo Genia była bardzo podobna do matki z wyglądu i figury, a cios padł od tyłu. Zapewne zaszedł do ogrodu, zobaczył kobietę pochyloną nad grządką i uznał, że to żona, więc walnął ją siekierą w głowę.

– A jak on to tłumaczył?

– Nijak. Powiesił się, a martwi raczej nie są skorzy do tłumaczenia czegokolwiek.

Oburzona Magda dała mu kuksańca pod żebro.

– Jak możesz żartować z takiej tragedii?

Zaskoczony atakiem Krzysztof syknął i przezornie odsunął się poza zasięg rąk połowicy. Nie rozumiał, o co te pretensje.

– Mam go żałować? Może jeszcze zanieść kwiaty na grób? Dziewczyno, przecież to był morderca, poza tym to się stało w dziewięćdziesiątym roku!

– No to co? – prychnęła. – Tragedia to tragedia. A co z Genią?

– Wkrótce potem dom spłonął w niewyjaśnionych okolicznościach, a Genia spakowała dobytek, wyjechała i nigdy już nie pokazała się w wiosce. A po jakimś czasie ludzie zaczęli widywać ubraną na biało Matyldę, chodzącą po ogrodzie. – Uśmiechnął się na widok miny Magdy. – Przysięgali na Biblię, że ją widzieli. Podobno dziesięć lat temu porwała jakąś dziewczynkę,

która nigdy się nie odnalazła. Dlatego dzieciom nie wolno zbliżać się do tego ogrodu. Kobietom w ciąży także nie. Nawet pan Tomek, chociaż młody, powiedział, że to przeklęte miejsce i powinniśmy zostawić je w spokoju.

Magda nic już nie powiedziała, ale jej pełna rozbawienia mina świadczyła dobitnie, że kobieta nie ma najlepszego zdania o ludziach wierzących w podobne opowieści. W przeciwieństwie do nich była racjonalna aż do bólu, a historie o duchach czy zjawach nawet już w dzieciństwie traktowała z przymrużeniem oka. Doświadczenie nauczyło ją jednak, że lepiej nie wdawać się w polemiki. Wiara to coś niepolegającego dyskusji, dopóki więc ktoś nie próbował przekonywać jej na siłę do swoich racji, zachowywała swoje zdanie dla siebie.

Krzysztof miał zamiar jeszcze trochę popracować. Magda również zasiadła do komputera, lecz gdy zbliżała się północ, zamknęła pliki i wyłączyła laptop. Czuła się zbyt zmęczona, by kontynuować pracę. W drodze ku schodom zajrzała do gabinetu męża.

– Idę spać. Dobranoc.

[1] Mary Lennox – bohaterka książki „Tajemniczy ogród” autorstwa Frances Hodgson Burnett.

Rozdział 2

Nocny gość

11 października 2019, Jasień

Mimo ogromnego zmęczenia Magda nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, przykrywała i odkrywała, czym zirytowała Krzysztofa, który jakiś czas temu ułożył się przy jej boku i natychmiast zachrapał.

– Rany boskie, kobieto! Musisz się tak wiercić? Podobno byłaś śpiąca – wymamrotał i ponownie zamknął oczy.

Reprimenda wcale nie pomogła jej się wyciszyć. Kilka razy wstała, a to, by zejść na dół po coś do picia, a to do łazienki, aż wreszcie położyła się w pokoju gościnnym, żeby nieustannym dreptaniem nie obudzić męża. Ale i tutaj sen nie chciał nadejść, znowu więc wstawiała i podchodziła do okna, by popatrzeć na „zły” ogród, i wyobrażała sobie kobietę w bieli płynącą tuż nad ziemią pomiędzy krzakami agrestu i porzeczek.

Kiedy wreszcie zapadła w sen, śniła, że ubrana na biało Matylda z siekierą w głowie biega za nią, chcąc zapędzić ją w stronę starej furtki. „Wejdz i zobacz, jak tam pięknie. Fundamenty zarosły pokrzywami, drzewa zdziczały, a niekoszona trawa gnije. Czujesz ten zapach? Ja też tak pachnę. Dołączysz do mnie? Podzielę się z tobą moimi perfumami, a ty dasz mi swoje dziecko!” – zawołała, wyrwała siekierę z głowy i zamierzyła się na młodą kobietę.

Magda usiadła gwałtownie na łóżku z ustami rozwartymi do krzyku i dysząc ciężko, usiłowała pozbyć się sennych omamów.

Bluzkę od piżamy miała całkiem moką od potu. Pomyślała, że chyba jeszcze nigdy nie cieszyła się tak bardzo z konieczności wstania z łóżka. Jak dobrze, że to tylko głupi sen!

Mimo to pierwsze kroki skierowała do okna, by spojrzeć na ogród, chcąc przekonać się ostatecznie, że żadnej Matyldy tam nie ma.

– Dołączysz do mnie? – usłyszała za sobą czyjś szept.
Wrzasnęła i zemdląła.

*

– Nigdy więcej się za mną nie skradaj! – pouczała podenerwowanego Krzysztofa, gdy już wróciła do przytomności i zdołała go przekonać, że nie umiera i nawet nie jest poważnie chora, więc wzywanie pogotowia jest całkowicie zbędne. – Śniła mi się Biała Matylda. Przestraszyłam się, bo użyłaś dokładnie takich słów jak ona w moim śnie. O mało przez ciebie nie posikałam się ze strachu.

Usłyszał w głosie Magdy wyrzut i sam nie wiedział, czy ma się rozzłościć, czy roześmiać.

– Skąd miałem wiedzieć, co mówiła jakaś baba z twojego snu? Ja tylko spytałem, czy wypijesz ze mną kawę.

Witecka zagryzła wargi. Jeszcze chyba nigdy tak się nie wygłupiła. Na szczęście tylko przed mężem, a on na pewno nie rozpowszechni tej kompromitującej informacji, choć gotowa była się założyć, że nieraz będzie z niej pokpiwał.

– Tak sobie pomyślałam – postanowiła zmienić temat – że warto by się dowiedzieć, dlaczego tamta działka przeszła na własność Krystyny. W ogóle chętnie dowiedziałabym się czegoś więcej o poprzedniej właścicielce tego domu. Bądź co bądź, to ona go wybudowała. Zapytaj o to pana Tomka, kiedy przyjedzie ekipa.

Po namyśle Krzysztof przyznał, że to doskonały pomysł. Młody budowlaniec nie tylko sporo wiedział na temat przeszłości Jasienia, ale do tego jeszcze był gadułą. Na pewno chętnie podzieli się wszelkimi ciekawostkami, które Witeccy również powinni poznać, skoro stali się mieszkańcami tego miasteczka.

Kiedyś, gdzieś

– Dokończ śniadanie. Nie wolno marnować jedzenia.

– Już nie mogę.

– Nie wstajesz od stołu, dopóki nie zjesz! Trzeba było nie gotować dwóch jajek.

Głos kobiety brzmi ostro, nieprzyjemnie niczym zgrzytanie metalu o szkło. Chłopiec kuli się ze strachu, ale mimo to usiłuje się bronić.

– Nie wiedziałem, że nie dam rady.

– Od teraz będziesz wiedział. Jedz i nie dyskutuj. – Kobieta zaciska wargi w wąską kreskę, lecz zaraz nie wytrzymuje i wybucha zadawnionymi pretensjami do męża, tym razem przenosząc je na dziecko: – Jesteś taki sam jak twój ojciec! Tyle razy mu mówiłam, żeby wreszcie skosił trawę w tamtym ogrodzie. Ale gdzie tam! Jakbym gadała do ściany! Najlepiej wymówić się brakiem czasu i nic nie robić. Jemu dobrze, całymi dniami jest w pracy i nie musi wachać tego smrodu. Po ostatnich ulewach tak jedzie zgnilizną, że nie da się wytrzymać, ale on to ma w dupie! – Podnosi głos do krzyku i spogląda z nienawiścią na syna. – A ty jesteś całkiem jak on, też nigdy mnie nie słuchasz. No, jedz, bo ci to wepchnę do gardła!

Chłopiec wie, że nie wygra. Nie wtedy, kiedy matka znowu ma „swoje dni”, jak ojciec nazywa okresy niekontrolowanej złości, pojawiające się od...

Czym prędzej sięga po łyżeczkę i dławiąc się, połyka lepką masę, byle tylko odsunąć od siebie myśli o tragedii, która zmieniła

kochających się przedtem rodziców w dwoje obcych, nienawidzących się ludzi, a ich dom w pole nieustającej walki.

Matka stoi oparta o kuchenną szafkę i obserwuje jego zmagania z uśmieszkiem złośliwej satysfakcji.

– Trzeba było nie gotować dwóch jajek – powtarza wszechwiedzącym tonem, którego chłopiec nie znosi równie serdecznie, co jej zwyczaju wałkowania tematu w nieskończoność i ciągłego wypominania wszelkich przewin.

– Dobrze, mamó, już nie będę. – Chłopiec odpowiada szybko pod naciskiem jej bezlitosnego spojrzenia. Nie może się jednak powstrzymać, by nie dodać cicho: – Na drugi raz ugotuję półtora.

Niespodziewane uderzenie w twarz niemal zrzuca go z krzesła. Chłopiec ucieka w kąt między ścianą i lodówką, osłania głowę rękami i dopiero ten obronny gest przywołuje matkę do rzeczywistości. Kobieta wolno opuszcza wzniesioną do kolejnego uderzenia dłoń, oczy wypełniają się łzami.

– Przepraszam, synku – mówi miękko, tak jak kiedyś, a na twarzy chłopca pojawia się nieśmiały uśmiech. Niespodziewanie jej głos znowu nabiera ostrej, nieprzyjemnej barwy. – Ale to twoja wina. Jesteś niegrzeczny i nieusłuchany. Ciągłe mi pyskujesz, uczysz się coraz gorzej, a ja muszę wysłuchiwać uwag od nauczycieli.

– Mamó...

– Zamknij się! – Kobieta siada ciężko przy stole i kryje twarz w dłoniach, spod powiek wypływają łzy i toczą się wolno po policzkach. Naraz otwiera oczy i wbija w chłopca pełen wrogości wzrok. – Zamknij się! – powtarza. – Najlepiej raz na zawsze. Boże, za co mnie ukarałeś? Dlaczego to musiała być ona? Czemu nie on?!

Wykrzywiona nienawiścią twarz kieruje się w stronę kąta za lodówką, wskazujący palec mierzy prosto w syna. W pierwszej chwili chłopiec kuli się w sobie jeszcze bardziej, lecz zaraz prostuje swą wątłą postać. Ostatnie słowa matki przekonują go, że nie powinien oczekiwać od niej niczego prócz krzyków, bicia i wyzwisk. Na nim może się wyżywać bez przeszkód, brać odwet za swój ból i rozpacz.

Jeśli więc chłopiec chce przetrwać, musi nauczyć się bronić.

18 października 2019, Strzygom

Dzwonek zabrzmiał po raz trzeci i wreszcie zdołał wybudzić Dionizę Remańską ze snu. Na wpół przytomna młoda kobieta przetarła oczy, by odzyskać ostrość widzenia, i spojrzała na świecące w ciemności wskazówki budzika. *Dwudziesta trzecia czterdzieści pięć*, skonstatowała z irytacją, jednocześnie jednak poczuła zaciekawienie. Mieszkała w Strzygomiu zaledwie pół roku, ale na tyle poznała już lokalne zwyczaje, by wiedzieć, że składanie wizyt o tej porze w myśl panujących tu zasad stanowiło zachowanie nie do przyjęcia. Zatem musiało stać się coś złego.

Zanim wstała i narzuciła szlafrok, dzwonek rozszalał się na dobre, stwarzając zagrożenie, że trwale uszkodzi jej słuch, dlatego w drodze do drzwi złożyła sobie uroczystą przysięgę, iż zaraz po weekendzie wymieni go na cichszy, choćby w tym celu przyszło jej jechać nie tylko do Żywca, ale nawet do samej stolicy.

– Kto tam? – spytała, spoglądając jednocześnie przez wizjer.

Noc była całkiem ciemna, nie dostrzegła więc nic prócz niewyraźnej jaśniejszej plamy w miejscu, gdzie powinna znajdować się twarz. Nie podejrzewała, by w takiej spokojnej wsi jak Strzygom ktoś mógł zaatakować ją w jej własnym domu, ale ostrożności nigdy dość. Zbyt ufną już wielu kosztowała wysoką cenę, a ona miała istotny powód do podejrzeń. Nocny gość, kimkolwiek by był, powinien stać przed zamkniętą furtką, a nie dzwonić do drzwi wejściowych.

– To ja – usłyszała cichy męski głos. Wydał jej się znajomy, ale nie potrafiła dopasować go do żadnej twarzy.

– Co za ja? Nazwisko proszę – warknęła, zirytowana wykrętną odpowiedzią.

– Nie wygłupiaj się, Diona. To ja, Ratio.

Ratio! No tak, to przecież był jego głos. Jak mogła go nie rozpoznać, zwłaszcza że przecież sama poprosiła, żeby przyjechał?

Czym prędzej sięgnęła do gałki u drzwi i już po chwili zatonęła w mocnym uścisku. Wreszcie wyplątała się z jego ramion, postąpiła kilka kroków w tył, by objąć gościa wzrokiem, i aż się zachłysnęła ze zdumienia. Pamiętała go jako chudego, pryszczatego wyrostka, a teraz stał przed nią wysoki, przystojny mężczyzna o ciemnych włosach zebranych w kucyk i o spoglądających kpiąco ciemnych oczach.

– Jak wypadłem? – spytał z krzywym uśmiechem.

Zmieszana Diona nie wiedziała, co odpowiedzieć, i w końcu postawiła na prawdę.

– Sorki, Ratio. Nie powinnam się tak wgapiać, ale nie mogłam uwierzyć, że to naprawdę ty. Cholernie się zmieniłeś.

Wzruszył ramionami.

– W pewnym okresie życia rok to bardzo dużo. Ostatni raz widzieliśmy się, gdy odbierałem świadectwo maturalne.

Dioniza pokręciła głową, lecz prawie natychmiast uświadomiła sobie, że chłopak ma rację. Zaaferowana radykalnymi zmianami w swoim życiu w którymś momencie zapomniała o nim, nie zauważyła, że przestał przychodzić i dzwonić.

– Ratio, przepraszam! – Chwyciła go za rękę. – Tak mi głupio. Nie chciałam cię zlekceważyć, tylko jakoś samo tak wyszło.

Nie wyglądał na urażonego, w jego wzroku widziała sympatię i ciepło.

– Przestań, nie masz za co przepraszać. Przecież nie mogłaś matkować mi w nieskończoność, miałaś swoje życie. – Chciała zaproponować, lecz nie dopuścił jej do głosu. – Wystarczy tego, co zrobiłaś dla mnie wcześniej. Gdyby nie ty... Wtedy wydawało mi się, że poradzę sobie sam, ale prawda wygląda tak, że byłem tylko dzieciakiem i bez twojej pomocy nie miałbym szans. Pierońsko głupim dzieciakiem – dodał po chwili.

Oburzona niesłuszną jej zdaniem samokrytyką Diona energicznie zaprotestowała.

– Pogubionym tak. Ale nie głupim. Gdyby tak było, zostałbyś tam, gdzie byłeś. Tak w ogóle to jeszcze raz gratuluję. Jestem z ciebie dumna.

Ku jej zaskoczeniu zarumienił się, zaraz też zmienił temat.

– Za to ty w ogóle się nie zmieniałaś. Jesteś tak samo ładna jak jakieś pięć lat temu, tylko strój masz jakby trochę inny.

Popatrzyła na jadowicie żółtą piżamę ze wzorkiem w zielone króliczki i wybuchnęła śmiechem na wspomnienie komendanta komisariatu w Jodłowcu, który także dostąpił zaszczytu oglądania jej w tym niecodziennym stroju.

– Zaskoczyłaś mnie. Nie spodziewałam się, że zjawisz się w nocy. Przecież o tej porze autobusy już nie jeżdżą. Jak się tu dostałaś?

– Kumpel mnie podrzucił. Jechał z dziewczyną na Słowację, więc się załapałem. Tylko że za Żywcem karoca się zje... zepsuła i trochę to trwało, zanim doprowadziliśmy ją do użytku. Ale i tak się opłaciło, bo wiesz, z kasą trochę nie teges.

– Ratio! – Diona aż się zapowietrzyła. – Czemu nie powiedziałaś, że nie masz na bilet? Zrobiłabym ci przelew...

– Nie. Już dosyć dla mnie zrobiłaś. Dalej mam u ciebie dług.

Głos mu stwardniał, a zacięta mina nie zachęcała do dyskusji. Spoglądał tak groźnie, że większość rozmówców natychmiast zmieniłaby temat, ale Dionizy to nie dotyczyło. Zamiast się wystraszyć, roześmiała się serdecznie.

– Myślisz, że jak masz na sobie bojówki i glany i zrobisz minę wściekłego tygrysa, to się ciebie wystraszę? Zapomniałaś, że znam cię lepiej niż laska, z którą aktualnie sypiasz?

Na to nie znalazł kontrargumentu, ale zdania nie zmienił.

– Nie jestem żebrakiem. I nie mam zamiaru zaciągać nowego długu, dopóki nie spłacę starego.

Już miała odpowiedzieć ostro, gdy nagle uprzytomniła sobie, że nadal stoją w przedpokoju. Czym prędzej pociągnęła go do kuchni, gdzie włączyła czajnik i wyjęła chleb z pojemnika. Była pewna, że duma każe mu zaprotestować, ale widać głód okazał się silniejszy, gdyż Ratio bez sprzeciwu usiadł przy stole, a po chwili z apetytem pałaszował pierwszą kromkę. Po czwartej odetchnął głęboko i sięgnął po piątą, lecz znacznie zwolnił tempo.

– Nie zjem więcej – zaprotestował, gdy znowu sięgnęła po bochenek. – Lepiej powiedz, co to za robota. Dla ciebie czy dla kogoś?

Milczała jakiś czas, nim odpowiedziała:

– Dla kogoś, choć jestem w to zaangażowana. Myślałam, że dam radę sama, ale przeszacowałam swoje umiejętności. Chciałabym, żeby film był zrobiony porządnie, a na to jestem za cienka.

Ratio także nie spieszył się z odpowiedzią. Upił kilka łyków herbaty i zapalił papierosa, udając przy tym, że nie zauważa dezaprobaty gospodyni.

– Powiedz mi coś więcej – rzekł w końcu. – O czym będzie ten film?

Ale Diona nie zaspokoila jego ciekawości. Już wcześniej zauważyła zmęczenie chłopaka, toteż gdy tylko dopalił, zarządziła tonem wykluczającym wszelkie protesty:

– Pogadamy o tym jutro. Teraz pora do łóżka. Rusz się, młody, bo jeszcze trochę, a zaśniesz na siedząco.

Podniósł się bez sprzeciwu, co świadczyło, że dobrze oceniła jego kondycję. Na piętrze wskazała mu pokój i łazienkę i ostrzegła, że jeżeli obudzi ją przed dziewiątą, może nie doczekać południa. Ratio roześmiał się i niespodziewanie mocno ją przytulił.

– Dzięki, Diona. Za wszystko. I bardzo przepraszam.

– Za co? Przecież nic nie zrobiłeś.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem i prychnęła na widok skruszonej miny. Tak musiał wyglądać mały Tadzio przyłapany przez Anię Shirley na wyjadaniu palcami konfitur wprost ze słoika[2].

– Zepsułem ci furtkę – wyznał ze skruchą. – Pomyślałem, że sprawdzę, czy nie zapomniałem, jak to się robi.

– No i? – spytała surowo. A przynajmniej taką miała nadzieję, gdyż pokorny głos Ratia wywoływał w niej nieprzepartą ochotę do śmiechu.

– Kiepski jest ten zamek – stwierdził z niesmakiem. – A raczej był. Otworzyłem go w mig, ale coś się zjecha... zepsuło i teraz nie da się go zamknąć.

Doceniła, że starał się nie używać przy niej wulgaryzmów. Widocznie i w tej dziedzinie wbijane mu do głowy nauki nie poszły w las. Wiedziała, że powinna wygłosić jakąś przemowę na temat poszanowania cudzej własności, ale prawie natychmiast doszła do wniosku, że jest to całkowicie zbędne. Ratio nie był już tamtym zbuntowanym, wściekłym na cały świat piętnastolatkiem sprzed sześciu lat i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że postąpił niewłaściwie.

– Idź spać, Ratio – powtórzyła. – Jutro pogadamy. Jak już naprawisz zamek.

19 października 2019, Strzygom

Sobotni poranek był tak ciepły i słoneczny, że aż nie przystawał do końcówki października, kojarzącej się raczej z jesienną szarugą. Marcin Lipski doszedł do wniosku, że piękna pogoda w wolny dzień to prawdziwy dar od losu, grzechem zatem byłoby go nie wykorzystać. Przy śniadaniu obmyślił plan, po czym przystąpił do jego realizacji.

Dwadzieścia minut po ósmej zaparkował przed domem Diony i podszedł do furtki. Już miał zamiar sięgnąć do dzwonka, gdy zauważył, że jest otwarta. Nie poświęcił temu większej uwagi, tylko wszedł na teren posesji i już po chwili dzwonił do drzwi. Nie musiał długo czekać. Po kilku minutach zamek szczyknął, a w progu stanął

młody mężczyzna. Marcin tak się zdumiał, że nie zdołał wykrztusić nawet słowa i tylko spoglądał na nieznanego, którego jedynym ubraniem była koszulka z krótkimi rękawami i zamotany wokół bioder ręcznik.

– Pan w jakiej sprawie?

Pytanie wreszcie odblokowało Marcina. Postąpił krok naprzód, lekceważąc fakt, że nieznanomy w wyraźny sposób zagradzał mu przejście.

– Przyszedłem do Diony. A ty co tu robisz?

Młody człowiek zignorował niezbyt uprzejme pytanie, zatrzymując się na pierwszej części wypowiedzi.

– Do Diony? Musi pan przyjść później. Diona jeszcze śpi i ani myślę ją budzić z powodu jakiejś pierdoły.

Już sam fakt, że jeśli nie liczyć ręczniczka i koszulki wyglądającej na górę od piżamy, młodzieniec był kompletnie nagi, wystarczył, by podnieść Lipskiemu ciśnienie. A gdy Marcin dodał do tego nonszalancką minę i pewność siebie bijące z postaci chłopaka, ogarnęła go wściekłość.

– Zejdź mi z drogi!

Odepchnął nieznanego i ruszył w stronę schodów. Musiał koniecznie to zobaczyć, przekonać się, że dziewczyna, którą w myślach uważał za swoją, spędziła noc z tym... z tym chłystkiem. Jego złość jeszcze się wzmogła, gdy uświadomił sobie, że wysoki, dobrze zbudowany i bardzo przystojny młody człowiek absolutnie nie kwalifikuje się do tego miana. Na pewno podobał się kobietom.

– Ej, koleś, odjechało ci? – usłyszał Lipski tuż za sobą. – Jakim prawem ryjesz się do cudzego domu?

Nie zamierzał się zatrzymywać, ale w tej samej chwili chłopak chwycił go za rękę i pociągnął z powrotem. Marcin odwrócił się płynnym ruchem, a przytrzymująca go dłoń zawisła w próżni. Dzięki temu mógł zobaczyć wytatuowane na lewym przedramieniu litery składające się na doskonale znany wszystkim policjantom skrót,

nieudolnie przykryty innym tatuażem, przedstawiającym dosyć koślawy motocykl.

– ACAB[3], co? Znaczy się, prawilny z ciebie chłopak?

Wykrzywił wargi w nieprzyjemnym uśmiechu, co na tamtym nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Odpowiedział podobnie wrednym grymasem.

– Chuj cię obchodzi moja grawerka. Śmigaj stąd, bo ci styram szamot.

Te słowa wystarczyły, by Lipski pozbył się wszelkich złudzeń co do chłopaka. Do Diony zresztą też. Nigdy by nie przypuszczał, że Remańska ma znajomości wśród takiego elementu, w dodatku jeśli sądzić po negliżu młodzieńca, była to zażyłość bardzo bliska.

Doszedł do wniosku, że najlepiej by zrobił, gdyby teraz wyszedł. Mógł też zatrzymać tego bezczelnego gnojka pod pretekstem włamania do domu Diony. Ale buzująca w nim wściekłość pilnie potrzebowała ujścia, toteż wybrał trzecie wyjście, wprawdzie nie najrozsądniejsze, za to gwarantujące bezzwłoczne rozładowanie emocji oraz satysfakcję, że rywal dostanie, na co zasłużył.

Nie zastanawiał się dłużej, tylko bez ostrzeżenia wyprowadził prawy prosty. Przeciwnik nie dał się zaskoczyć. Zrobił błyskawiczny unik i pięść policjanta tylko musnęła mu ucho, a on natychmiast skontrował. Trafiony w podbródek Lipski poleciał na ścianę, odbił się od niej i zatoczył, lecz zamiast walczyć o utrzymanie równowagi, z rozpędu przeszedł do zwarcia. Impet zbił tamtego z nóg i razem upadli u stóp Diony.

*

Remańską obudziły podniesione głosy. W jednym rozpoznała nocnego gościa, drugi należał do starszego aspiranta Lipskiego. W pierwszej chwili chciała je zignorować i spać dalej, ale coraz bardziej przybierały na sile, wstała więc niechętnie, przeczuwając, że

będzie musiała wystąpić w roli mediatora. Nie znała podłoża konfliktu i w zasadzie było jej doskonale obojętne, o co się kłóca. Ważne było, że robili to w jej domu, a tego stanowczo sobie nie życzyła, zwłaszcza bladym świtem. To, że większość ludzi nie nazwałaby wpeł do dziewiątej bladym świtem, niespecjalnie ją obchodziło. Dla niej ten świt był blady, i już.

Znajdowała się w połowie schodów, kiedy jej uszu dobiegły odgłosy niedające pomylić się z niczym innym. Przyspieszyła kroku, chcąc powstrzymać bójkę, i właśnie schodziła z ostatniego stopnia, gdy dwa skłębione ciała upadły u jej stóp.

– Marcin! Ratio!

Nie zareagowali, więc nie zastanawiając się wiele, chwyciła pełną garścią pierwszą z brzegu czuprynę. Trafiło na Ratia, który zawył z bólu. Nawet na niego nie spojrzała, tylko sięgnęła po drugą. Tym razem nie poszło tak łatwo, Marcin bowiem był krótko ostrzyżony. Wiedziała doskonale, że najbardziej bolesne jest pociągnięcie za jeden kosmyk, zmieniła więc chwyt, łapiąc kilka zaledwie włosów, i niemal w tej samej chwili Lipski wydał z siebie jeszcze głośniejszy wrzask. Usiłowali się wyrwać, co jeszcze pogarszało sprawę. Mogli oczywiście odpowiedzieć atakiem, co pozwoliłoby im uwolnić się od tortury, ale żaden nie zdobył się na to, by ją uderzyć czy odepchnąć.

– Uspokójcie się albo wyrwę wam te pieprzone kudły! – ryknęła wściekle.

Jak na komendę przestali się szamotać, krzyki także ucichły. Wtedy ich puściła, lecz stała czujna, gotowa zaatakować ponownie, gdyby znów się na siebie rzucili. Na szczęście stali spokojnie i tylko popatrywali na przeciwnika spode łba.

– Porąbało was? Czemu się tłukliście?

Odpowiedziało jej milczenie. Diona westchnęła, bezradna wobec męskiej solidarności, która w przypadkach takich jak obecny zawsze wydawała jej się szczytem idiotyzmu. Wzruszyła ramionami i poszła do kuchni, by wreszcie napić się kawy. Właśnie włączała ekspres, gdy dobiegły ją słowa Marcina:

– Kontynuujemy na zewnątrz czy masz dość?

Natychmiast wysunęła głowę przez drzwi.

– Nie życzę sobie, żebyście demolowali mi ogród. Jak chcecie dalej robić z siebie debili, to idźcie na drogę. Ale może najpierw niech Ratio przynajmniej majtki włoży.

To ostudziło ich na dobre. Dopiero teraz zauważyli, że w ferworze walki ręcznik zsunął się z bioder chłopaka, który stał teraz nagi od pasa w dół.

– O kurwa! – jęknął i zasłonił dłońmi przyrodzenie, choć Remańska nie mogła go widzieć. – Ja... ona... mnie...

Jak szalony rzucił się ku schodom i pognał na górę. Akurat w tej chwili Diona wyszła z kuchni i zobaczyła tylko nagie pośladki, znikające za rogiem.

– Wstydlivy się znalazł! – warknął Lipski. – Gnojek pieprzony. Jak on się nazywa?

Posłała mu wyjątkowo nieprzychylnie spojrzenie.

– Trzeba go było zapytać, zamiast się z nim bić. O co wam poszło?

Tak jak przypuszczała, zbył jej pytanie milczeniem. Otarł wierzchem dłoni krew z rozbitej wargi i popatrzył równie wrogo.

– Mógłbym go zawinąć na dołek. Naruszenie nietykalności...

– A przedstawiłeś się z nazwiska i stopnia? Poprosiłeś o dokumenty?

Mówiła spokojnie, choć i ją zaczął ogarniać gniew. Nie sądziła, by Ratio mógł stawić opór policjantowi, w dodatku w tak bezsensownej sprawie jak próba wylegitymowania. Mina Lipskiego i wzrok błędzący gdzieś obok niej wystarczyły za odpowiedź. Naraz jednym skokiem znalazł się tuż obok i złapał ją za rękę.

– Dionka, co z tobą? Wpuściłaś tego gangusa do swojego domu? Co tak patrzysz? Nie widziałaś, jaką ma dziarę?

Później doszła do wniosku, że jej odpowiedź nie była spowodowana umyślowym zaćmieniem. Po prostu tak przywykła do

tatażu Ratia, że w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Dlatego usłyszawszy pytanie Marcina, popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Jaką dziarę? O czym ty w ogóle mówisz?

Policjant wydawał się nie mniej zdumiony.

– Nie widziałaś tatuażu na ręce? No tak, pewnie wolałaś patrzeć na coś innego. Albo i nie, bo wtedy nie przejąłby się tym, że jest goły. Robicie to tylko po ciemku? A zresztą co mnie to obchodzi? – Gniew nagle minął, pozostał tylko niesmak. Policjant odwrócił się, by odejść, i dokończył już przy drzwiach: – Powiesz mi, jak się nazywa?

– Ustal sobie – warknęła, gdyż właśnie dotarło do niej, co sugerują jego słowa. – A teraz się wynoś.

Marcin nie powiedział już nic więcej. Szarpnął za klamkę i wypadł na zewnątrz. Diona stała przez jakiś czas i spoglądała za nim, dopóki nie przesłonił go krzak wajgellii. Później z westchnieniem zamknęła szeroko otwarte drzwi i wróciła do kuchni.

– Może kawa pomoże mi to zrozumieć – mruknęła, pogłaskała łaszącego się jej do stóp kota, wsparła łokcie o blat i wsłuchiwała się w cichy szmer ekspresu. Tak zastał ją Ratio i na widok jej przygnębienia poczuł się winny tamtemu incydentowi.

– Nie wiedziałem, że to twój facet. Mogłaś mnie uprzedzić, że przyjdzie. Głupio wyszło... Ale nie rozumiem, czemu nie próbowałaś mu wytłumaczyć...?

– Przestań! – przerwała mu. – Mądry się znalazł. Ty też mogłaś mu wytłumaczyć, że nie jesteś żadnym prawidłniakiem. Czemu tego nie zrobiłaś?

Łypnął gniewnie i zacisnął dłonie w pięści, lecz zaraz skrzywił się i rozluźnił palce. Zobaczyła otarcia na knykciach i stłumiła uśmiech. Chłopak odetchnął głęboko, dokładnie tak, jak kiedyś, gdy uczyła go panowania nad szalejącą w nim wściekłością.

– Oceniał mnie na podstawie tatuażu. – Niespodziewanie się uśmiechnął. – Nie chciałem odbierać mu satysfakcji.

– Tak? To powinieneś się domyślić, czemu nie wyprowadziłam go z błędu. Wiesz co? Zamiast gadać, zjedzmy lepiej śniadanie

i jedźmy do Świercznicy. Czeka na nas robota.

[2] Tadeusz Keith – jeden z bohaterów powieści „Ania z Avonlea” autorstwa Lucy Maud Montgomery.

[3] Akronim od słów All Cops Are Bastards (ang. wszyscy gliniarze to skurwysyny).

Rozdział 3

Sprawa dla detektywa

27 października 2019, Jasień

Witeccy spoglądali na siebie w ponurym milczeniu. Minęły już ponad dwa tygodnie, a oni nadal nie wiedzieli, co robić. Z czymś takim jeszcze nigdy się nie spotkali.

Gdy nazajutrz po rozmowie Krzysztofa z panem Tomkiem ekipa nie pojawiła się na stanowisku pracy, jeszcze nie podejrzewali niczego złego. Pewnie szef zabalował, uznała Magda i poradziła mężowi, by po prostu do niego zadzwonił. Ale mężczyzna przestał odbierać telefony i dla Witeckich stało się jasne, że z nieznanых przyczyn zerwał współpracę.

– Całe szczęście, że jestem z nim rozliczony – powiedział wtedy Krzysztof i wybrał się do miasta na poszukiwanie innych robotników.
– Nie przejmuj się, załatwię to w mig. Na pewno znajdę ludzi chcących sobie dorobić.

Optymizm mężczyzny okazał się nieuzasadniony, gdyż nowego zespołu nie udało mu się zebrać. Nikt z miasteczka nie wyraził ochoty nie tylko na zatrudnienie, ale też na pogawędkę, a kiedy Krzysztof pojechał do Haliny Matusznej po radę, kobieta zamknęła mu sklep przed nosem. Z podobnym przyjęciem spotkała się Magda w sklepie spożywczym. Tam wprawdzie nikt przed nią drzwi nie zamknął, za to ekspedientka ignorowała ją, traktując jak powietrze, i w końcu głęboko upokorzona młoda kobieta wyszła z pustą siatką. Do znajdującego się tuż obok sklepu odzieżowego już nie weszła,

choć wcześniej zamierzała tam zajrzeć i sprawdzić, czy nie znalazłaby się dla niej jakaś tunika zdolna pomieścić coraz bardziej wystający brzuch. Straciła ochotę na zakupy.

Sprowadzona z Żywca ekipa budowlana dokończyła remont, ale dom jakoś przestał Witeckich cieszyć. Trudno zachować pogodę ducha, gdy człowiek na każdym kroku spotyka się ze społecznym ostracyzmem. Nawet w kościele wszyscy odsuwali się od Witeckich niczym od trędowatych, a na festynie jako jedyni nie zostali obsłużeni, gdy chcieli kupić piwo i kaszankę z grilla.

Magda i Krzysztof próbowali dowiedzieć się, dlaczego lokalna społeczność z dnia na dzień zaczęła traktować ich jak wrogów numer jeden, lecz zaczepieni odchodzili bez słowa wyjaśnienia. Witeccy w nieskończoność analizowali swoje postępowanie, usiłując w nim znaleźć przyczynę wrogości, lecz nie doszukali się niczego mogącego wywołać takie reperkusje. Czuli się całkiem bezradni. Nie znali stawianych im zarzutów, więc nie mogli na nie odpowiedzieć. Zgłoszenie sprawy na policji także nie wchodziło w grę, gdyż nikt z mieszkańców Jasienia nie posunął się do złamania prawa.

Witeccy nie umieli żyć w tej kompletnej izolacji. Mieli serdecznie dość jeżdżenia do sąsiedniej miejscowości nawet po podstawowe zakupy, milczenia zapadającego natychmiast, gdy tylko znaleźli się w pobliżu rozmawiających, i przede wszystkim ludzi patrzących na nich jak na powietrze.

Magda poddała się pierwsza. Nie najlepiej znosiła ciężę, a na myśl, że mogłoby coś jej się stać pod nieobecność Krzysztofa, ogarniało ją przerażenie, podejrzewała bowiem, że nikt z mieszkańców nie przejąłby się jej samopoczuciem, nawet gdyby zemdląca na ulicy i upadła im wprost pod nogi.

– Wyjedźmy stąd. Nie wytrzymam tego dłużej.

Mąż spojrzał na jej wymizerowane policzki i w milczeniu skinął głową.

Zaraz po śniadaniu zabrali się do pakowania. W dwa dni przewieźli do Bielska-Białej najpotrzebniejsze rzeczy i zamknęli na

głucho świeżo wyremontowany dom. Nie wystawili go jednak na sprzedaż. Rozżalony i wściekły Krzysztof stwierdził, że nie odpuści, dopóki nie pozna powodów, dla których nagle stali się w Jasieniu elementem niepożądanym. Zadzwoił do znajomego policjanta i przedstawił mu sprawę, a gdy usłyszał, że zgodnie z jego przewidywaniami policja nie ma podstaw do interwencji, poprosił o namiary na godnego zaufania prywatnego detektywa.

30 października 2019, Strzygom

Dni mijały spokojnie i Dioniza była nawet zdziwiona, że Marcin wytrzymał aż tak długo i nie wysłał ojca na rozeznanie. Dlatego nie poczuła żadnego zaskoczenia, gdy blisko dwa tygodnie po tamtym incydencie ujrzała przy furtce nadkomisarza Ogińskiego. Domyślała się, po co przyjechał, lecz nie zamierzała niczego mu ułatwiać. Skoro podjął się roli szpiega, niech się trochę pomęczy.

Otworzyła bramę i zaparkowała subaru na podjeździe, po czym dała policjantowi znak, żeby wszedł. Skwapliwie skorzystał z zaproszenia.

– Dobry wieczór. Późno pani wraca.

– Dobry wieczór. Zapraszam na kawę. – Zaprowadziła gościa do salonu i gestem zachęciła do zajęcia miejsca w przepastnym fotelu. – To jedyny mankament tej pracy – dorzuciła i wyszła do kuchni, by włączyć ekspres.

Czekając na uruchomienie się urządzenia, spojrzała tęsknie na kuchenkę, gdzie na palniku stał wielki garnek. Zbliżyła się już dziesiętnasta, a Remańska od rana nic nie jadła. Wolałaby więc zupę zamiast kawy, ale względy gościnności przeważyły. Nie mogła przecież napoić Ogińskiego grzybową.

Zanim jednak ekspres się rozgrzał, w przedpokoju rozległ się szcęk otwieranych drzwi, a zaraz potem głos Ratia:

– Już jestem. Podgrzewasz zupę? Tylko umyję ręce i zrobię lane kluski.

Po kilku minutach młody człowiek stanął w drzwiach kuchni i ze zdziwieniem popatrzył na mrugające czerwonym światelkiem urządzenie. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wiedział oczywiście, że Diona uwielbia kawę, ale był pewien, że nie aż tak, by przedłożyć ją nad posiłek.

– Mamy gościa – wyjaśniła. – Dlatego robię kawę. Chcesz?

Nie doczekała się odpowiedzi, chłopak bowiem już zmierzał do salonu, gdzie spodziewał się zastać tamtego policjanta, tym razem nastawionego pokojowo i pełnego skruchy. Zamierzał trochę go podręczyć. Tymczasem nie zobaczył tam nikogo. Zdezorientowany, rozejrzał się i dostrzegł uchylone drzwi na taras. Ruszył w tamtym kierunku, gotowy do słownego ataku. Nie po to po południu rozpalili w kominku, żeby teraz ten kretyn wypuszczał ciepło.

– Ej, facet, zamknij te wrota! – warknął, wystawiając głowę na zewnątrz.

Reszta słów uwięzła mu w gardle, gdy zobaczył całkiem obcego mężczyznę pochylonego nad kociakiem Dionizy. Nieco starszy od Lipskiego, miał dużo ciemniejsze włosy i niemal czarne oczy, o czym Ratio przekonał się, gdy gość uniósł głowę i posłał mu zaciekawione spojrzenie. Obcy nie zapytał jednak o nic, tylko wykonał pojednawczy gest.

– Przepraszam. Nie pomyślałem, żeby przymknąć drzwi. Ten maluch miauczał i myślałem, że chce wyjść, ale wyszło na to, że kot zrobił mnie w konia. Tak w ogóle, to jestem Szymon.

Wskazał Uszka tulącego mu się do nóg i wyciągnął rękę do powitania, więc chłopak nie miał innego wyjścia, jak ją uścisnąć. Zlekceważenie gestu byłoby obrazą, a ten mężczyzna na to nie zasłużył. Wydawał się całkiem sympatyczny.

Ratio przedstawił się pseudonimem, którym koledzy obdarzyli go jeszcze w czasach podstawówki. Zżył się z nim do tego stopnia, że

chwilami zapominał, jak naprawdę ma na imię. Zresztą był zdania, że takiego imienia nie warto pamiętać.

Szymon ani nie wyraził zdziwienia, ani nie skomentował oryginalnego przydomku. Skinął tylko głową i wszedł do pokoju, a kociak za nim. Ratio starannie zamknął drzwi i wskazał mu fotel, sam zaś przysunął sobie puf.

– Dawno się znacie z Dioną?

Nie powinien interesować się cudzymi sprawami, ale był ciekawy, czy to znowu nie jakiś zazdrosny wielbiciel, gotowy rzucić mu się do gardła. Uznał, że lepiej mieć kiepskie maniery niż podbite oko. Ale gość nie wykazywał wrogich zamiarów. Uśmiechnął się półgębkiem i odparł spokojnie:

– Nie bardzo. Poznaliśmy się w lipcu. A ty długo ją znasz? Wydajesz się tu zadomowiony.

– Zaprosiła mnie, to się zadomowiłem. – Ratio popatrzył wyzywająco, a gdy nie zrobiło to na tamym spodziewanego wrażenia, dopowiedział: – W czerwcu minęło sześć lat od czasu, kiedy... – Urwał, gdy zorientował się, że jeszcze trochę, a wykazałby się nadmierną szczerością. – Kiedy się poznaliśmy – dokończył zgodnie z prawdą, choć nieco inaczej, niż pierwotnie zamierzał.

– Aha – mruknął Szymon i zamilkł.

Ratio doszedł do wniosku, że podoba mu się ten mężczyzna. Nie próbował zaprzyjaźniać się na siłę i, co ważniejsze, milczał, gdy nie miał nic do powiedzenia.

– Chyba pomogę Dionce z tą kawą, bo coś za długo ją robi. – Wstał i ruszył ku drzwiom. – Naprawdę nie chcesz zupy?

– Nikt mi nie zaproponował – odparł gość z wyraźnym żalem. – A szkoda, bo głodny jestem jak cholera.

Chłopak nie odpowiedział. Poszedł do kuchni i bez słowa włączył palnik pod garnkiem z zupą, po czym zabrał się do robienia lanego ciasta. Diona obserwowała go spod oka, czekając na jakieś wyjaśnienie, lecz gdy nie nastąpiło, zapytała z lekką irytacją:

– Musisz teraz? Zaraz zaczniesz pachnieć żarciem i chyba skręcę się z głodu, a nie będę przecież jeść, kiedy on jest w domu. Nie mogłeś poczekać, aż sobie pójdzie?

– On sobie nie pójdzie, bo chętnie też by zjadł – usłyszała głos Ogińskiego i zagryzła wargi, żeby nie zakląć. – Tyle się mówi o korumpowaniu gliniarzy, a tu nawet obiecanej kawy pożałowali. A człowiek od rana o suchym pysku...

Głośne burczenie w brzuchu potwierdziło jego słowa i Diona z nieznanymi przyczyn poczuła, że musi się wytłumaczyć.

– Ekspres się znarowił i nie chce wypuścić wody – bąknęła. – Naprawdę zaryzykuje pan posiłek? Nie boi się pan, że Ratio dosypie jakiejś trucizny do garnka?

– Zaryzykuję. Pani, zdaje się, też będzie jeść tę zupę.

Opasany różowym fartuchem w niebieskie kwiatki chłopak obserwował ich z rozbawieniem. Postawił rondel z jakąś potrawą na drugim palniku, zamieszał wielką łyżką i zwrócił się do gościa.

– Siadaj, Szymon. Ty też, Diona. Zabawni jesteście.

Nadkomisarz posłusznie zajął wskazane mu miejsce i spojrzał na niego z nieskrywaną ciekawością.

– Czemu zabawni?

– Mówiłeś, że znacie się od lipca. Cztery miesiące to dosyć, by wyrobić sobie zdanie o drugim człowieku i albo go polubić, albo nie. A wy się lubicie.

Dioniza aż się zakrztusiła, chcąc jednocześnie zaprotestować i roześmiać się sarkastycznie. Ona miałaby lubić tego nadętego, bezczelnego typu, który osądził ją, nie dawszy szans na obronę?

– Ratio! Chyba cię pogięło! – wrzasnęła. – Nie znoszę...

Urwała, gdy uświadomiła sobie, że jej młody przyjaciel ma rację. Rzeczywiście polubiła Ogińskiego, który tak naprawdę nie był ani nadęty, ani bezczelny. I przeprosił, czym zyskał wiele w jej oczach.

– Czego pani nie znosi? – spytał z kpiącym uśmiechem. – A może kogo?

– Nie znoszę domorosłych psychoanalityków.

Gładko wybrnęła z krępującej sytuacji, ale uznała, że to zbyt mało. Chcąc do reszty odwrócić uwagę mężczyzn, zaczęła rozkładać talerze i sztuce. Te ostatnie poprawiała kilka razy z taką uwagą, jakby od ich równego ułożenia zależały przyszłe losy świata.

Nadkomisarz nie spuszczał z niej wzroku, a gdy zrozumiał, że niczego więcej nie usłyszy, mruknął pod nosem coś, co zabrzmiało jak „strachajło”, i nim zdążyła się oburzyć, zwrócił się do chłopaka:

– No, Ratio, dokończ, skoro już zacząłeś. Powiedzmy, że faktycznie się lubimy. Ale to nadal nie tłumaczy twojego stwierdzenia, że jesteśmy zabawni.

– To proste – odparł zapytany, stawiając na stole garnek z zupą.
– Kiedy ludzie się lubią, mówią do siebie po imieniu, a wy jesteście oficjalni jak na raucie u ambasadora.

Stwierdzenie jednakowo ich zaskoczyło, ale Ratio nie dał im czasu na zastanowienie. Podciągnął opadające rękawy swetra i zabrał się do nalewania zupy. Był leworęczny, toteż przy każdym ruchu eksponował tatuaż, na którym spod motocykla nadal wyzierały litery ACAB. W pierwszej chwili Diona miała zamiar odwrócić uwagę nadkomisarza, gdy naraz zrozumiała. To był test. Ratio przecież musiał słyszeć uwagę o korumpowaniu gliniarzy, dodał więc dwa do dwóch i postanowił sprawdzić reakcję Ogińskiego.

Po namyśle zdecydowała pozwolić mu samemu staczać własne walki. Nie był już dzieciakiem, którego kiedyś chroniła wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Skoro rzucił wyzwanie policjantowi, niech rozegra to do końca. Tylko po co? Przeanalizowała jego zachowanie od momentu, w którym komendant pojawił się w kuchni, i wtedy pojęła, w czym rzecz. Ratio nie mówił slangiem, nie prowokował nadkomisarza i, co najważniejsze, zdradził mu swój pseudonim. Wniosek z tego, że go polubił, a ostentacyjne demonstrowanie tatuażu było ostatnim sprawdzianem.

Stłumiła westchnienie ulgi i sięgnęła po łyżkę. W tej samej chwili usłyszała głos Ogińskiego:

– Ratio? Możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie?

Wstrzymała oddech. Chłopak wolno odłożył chochlę do garnka i zwrócił w stronę policjanta kompletnie obojętną twarz.

– Słucham?

– Co, do cholery, dodałeś do tej zupy, że jest taka dobra?

Tym razem nie zdołała opanować emocji i na jej twarz wypłynął szeroki uśmiech, skierowany w stronę Ogińskiego.

– Nie wiem, gdzie ten smarkacz nauczył się tak dobrze gotować, ale od czasu, gdy się do mnie sprowadził, przestałam się stołować u Mirabelki. – Zjadła kilka łyżek zupy i znów się odezwała. – Ratio ma rację. Myślę, że najwyższy czas, żebyśmy zaczęli zwracać się do siebie po imieniu. Co pan na to, komendancie?

Skrzywił się lekko. Już myślała, że to ze względu na propozycję, gdy odpowiedział z powagą.

– Komendantem jestem w komisariacie, a tutaj występuję jako zwykły człowiek. Dla znajomych Szymon, i byłbym wdzięczny, gdybyś raz na zawsze przestała mnie tytułować. Mam nadzieję, że nie będziesz mi pamiętać tamtej afery?

Wspomniała jego oskarżycielskie słowa, ale nie poczuła ani gniewu, ani żalu. Nigdy nie miała skłonności do rozpamiętywania w nieskończoność doznanych krzywd, a wybaczenie przychodziło jej dość łatwo. Wiedziała doskonale, że często brano jej tendencję do szukania usprawiedliwień dla cudzych przewin za naiwność, ale nie umiała inaczej. Sama też nieraz popełniała błędy, jakże więc mogłaby potępiać cudze?

Zamrugła powiekami, symulując zdziwienie.

– Jakiej afery? Niczego takiego sobie nie przypominam. – A gdy podziękował jej wzrokiem, spytała już poważnie: – Jeśli już zaspokoiliś pierwszy głód, to może mi powiesz, po co tak naprawdę tu przyszedłeś? Bo chyba nie po to, by spojrzeć w moje piękne piwne oczy?

Ogiński zignorował wszystkie pytania Diony i w milczeniu z zapalem zajadał zupę. Ratio przyglądał mu się z nieskrywanym podziwem.

– Masz jaja, to ci trzeba przyznać – stwierdził po chwili. – Kiedy ona tak patrzy na mnie, mam ochotę jak najprędzej uciec na drugi koniec Polski, a ty się obżerasz jak gdyby nigdy nic.

Nadkomisarz przełknął ostatnią łyżkę, obtarł usta i zerknął z ukosa na Dionizę.

– Nie bardzo wiem, co mógłbym jej odpowiedzieć. Jeśli przytaknę, nazwie mnie kłamcą, a jeśli zaprzeczę, gotowa się obrazić. Jak się nie obrócić, dupa zawsze z tyłu. – Zauważył ich zdziwienie i uśmiechnął się szelmowsko. – Diona wcale nie ma pięknych piwnych oczu. Są piękne, to prawda, ale bursztynowe.

Ratio prychnął.

– Uważaj, żebyś się nie zakochał, bo z nią żaden facet nie wytrzyma.

– Znajdźcie sobie jakiś inny obiekt, dobra? – Diona próbowała skierować rozmowę na interesujące ją tory. – Młody, dawaj drugie danie, a ty, szanowny nadkomisarzu, powiedz, po co przyszedłeś, zamiast chrzanić o oczach.

Ogiński wydawał się zakłopotany. Odchrząknął, zdmuchnął niewidoczny pyłek z rękawa koszuli, znów odchrząknął... Nigdy nie podejrzewała, że kiedyś zobaczy go tak niepewnego siebie, i nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Słuchaj, jest taka sprawa... Trochę mi niezręcznie...

A więc jednak pierwszy domysł okazał się słuszny! Remańska poczuła żal. Nie sądziła, że Szymon da się zmanipulować, ale widać męska solidarność okazała się silniejsza od logiki i zdrowego rozsądku.

– Daruj sobie tę przemowę – rzuciła zimno. – Jeżeli Marcin wysłał mediatora, zamiast przyjść osobiście, to jest tylko żalną imitacją męczyzny.

Na stole pojawiła się wielka misa wypełniona po brzegi łazankami, ale Ogiński nie poświęcił jej żadnej uwagi. Całą skupił na kobiecie łypiącej gniewnie bursztynowymi oczami. Westchnął ciężko i poprawił się na krześle, by nie musieć spoglądać na nią z boku.

– Nie mam zamiaru mieszać się do waszego konfliktu. Nie wiem nawet, o co dokładnie wam poszło, tak jak nie wiedziałem, że jesteście parą.

– Nie jesteśmy parą – sarknęła, zła na siebie, że znowu przez brak powściągliwości wyszła na idiotkę.

– Nie są – potwierdził Ratio z dziwnym błyskiem w oku. – To znaczy on by chciał, żeby byli, ale ona nie bardzo.

Nie zamierzała pozwolić, żeby Ogiński powziął błędne wyobrażenie o jej relacjach z Lipskim, postanowiła więc odstąpić od swoich zasad i uchylić nieco furtkę prowadzącą do jej prywatności.

– Lubię Marcina. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi, ale teraz to już nie wiem. Najpierw bez powodu potraktował Ratia jak przestępcę i sprowokował do bójki, a potem miał uwagi na temat mojej moralności.

W jej głosie zabrzmiało rozżalenie. Ratio nieznacznie mrugnął do Ogińskiego i odezwał się scenicznym szeptem:

– Daliśmy sobie po razie, a ona robi z tego wielkie halo. Facet był zazdrosny, więc puściły mu nerwy. Rozumiem go nawet. Ale jeżeli jeszcze raz się mnie czepi, to mu naprawdę jebnę. A teraz może zjedzmy te łazanki, bo jeszcze trochę, a całkiem wystygną.

– On też by chętnie coś wtrząchnął. – Ogiński wskazał Uszka, wpatzonego w nich szeroko rozwartymi ślepkami. – O ile rozumiem po kociemu, to właśnie powiedział, że bardzo lubi łazanki.

Wziął kota na ręce i podsunął mu pod pyszczek płatek makaronu. Uszek wziął jedzenie z gracją i bez łapczywości, jak coś należnego mu z mocy prawa.

Diona obserwowała ich ukradkiem i stwierdziła, że podoba jej się to, co widzi. Zaraz potem szybko odwróciła wzrok i zajęła się posiłkiem.

Kiedyś, gdzieś

Szczęk otwieranych drzwi, potem kroki. Kobieta nie reaguje, nie patrzy w tamtą stronę. Nie interesuje jej, czy mąż jest pijany, co ostatnio zdarzało mu się codziennie, czy może dziś wyjątkowo zachował trzeźwość. Jeśli tak, to niepotrzebnie się wysilał. Że rocznica ślubu? Do diabła ze świętem, oni już od dawna nie mają czego świętować. Od tamtego dnia sprzed pół roku. I to jest jego wina. Jego i tego małego potwora w ludzkim ciele.

– Chyba wiem, co się wydarzyło.

To jego głos, przejęty, podekscytowany. Mężczyzna wchodzi do pokoju, chwyta ją za rękę, nie zważając na to, że wzdrygnęła się pod tym dotykiem.

– Dobrze wiem, co się wydarzyło. To jego wina!

Kobieta nie wymawia słów. Ona je wyszczekuje sylaba po sylabie, by podkreślić ich wagę.

– Przestań! Daj mu wreszcie spokój. To jeszcze dziecko.

– Dziecko? To potwór, bestia, morderca! To przez niego...

Mężczyzna wypada do przedpokoju, pędzi na drugi koniec domu. Gdy wraca, widzi na twarzy żony pełen zadowolenia uśmiech. Wtedy coś w nim pęka.

– Ty nienormalna suko! – Uderza ją na odlew w twarz. – Znowu go zbiłaś, skatowałaś do nieprzytomności.

Ona ściera wierzchem dłoni krew z rozbitej wargi, rozmazując ją przy tym po policzku, przez co jej oblicze wygląda jak maska złośliwego clowna.

– Należało mu się – mówi niewyraźnie, ale ton głosu nie pozostawia żadnych wątpliwości. Kobieta nie żałuje swojego czynu.

Mężczyznę przeraża błysk mściwości w jej oczach. Siada ciężko na krześle i głośno wzdycha.

– Jeżeli uważasz, że jest winny, dlaczego nie powiesz tego policji?

Odpowiedź żony napawa go jeszcze większym strachem.

– Bo wtedy zamknęliby go w poprawczaku i żyłby tam sobie jak pączek w maśle. A on powinien cierpieć. Rozumiesz?! Ma cierpieć

tak długo, dopóki ja będę żyła. A nawet dłużej. Kiedy umrę, i tak będę tu powracać, żeby już nigdy nie zaznał spokoju.

– Na Boga!

– Boga w to nie mieszaj! Nie było go, kiedy ten potwór zabrał moje dziecko, to teraz też nie jest mi potrzebny!

Opadają mu ręce. Czuje się całkiem bezradny. Nikt i nic nie jest w stanie przekonać żony, że tkwi w błędzie, i on doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

– Wychodzę – oznajmia i kieruje się do przedpokoju.

Żona natychmiast podbiega i zastawia mu drogę.

– Gdzie znowu leziesz? Kto się zajmie zwierzętami? W polu też sama mam robić?

Mężczyzna odwraca się i wbija w nią na wpół zdumione, na wpół przerażone spojrzenie.

– Kobieto, co z tobą? Przecież sprzedaliśmy to cholerne pole, a ze zwierząt mamy tylko kury. Chyba ci całkiem odbiło.

Zdaje sobie sprawę z tego, że powinien zmusić żonę do odwiedzenia lekarza. Niepokoją go jej niekontrolowane wybuchy agresji i coraz częstsze zapominanie o oczywistych sprawach, znamionujące poważne zaburzenia. Ale nie może się tym zająć teraz, kiedy wreszcie znalazł kogoś, kto może wiedzieć coś o Natalii.

Odpycha żonę i zmierza do wyjścia, lecz w ostatniej chwili zmienia kierunek i wchodzi do pokoju syna. Chłopiec śpi. Dobiegające z przedpokoju światło wydobywa z mroku posiniaczoną buzię i rozmazaną krew wokół napuchniętych warg. Mężczyzna pochyla się i delikatnie odgarnia mu z czoła wilgotny od potu kosmyk czarnych włosów.

– Śpij spokojnie, synku – szepcze. – Ona już cię nie uderzy, obiecuję. Teraz muszę wyjść. Mam spotkać się z człowiekiem, który być może wie, co stało się z Natalią. Odnajdziemy ją i znowu będzie jak dawniej.

Wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Wtedy chłopiec otwiera oczy i tłumi poduszką wzbierający w gardle szloch, potem zaciska zęby.

Rodzice nie wiedzą, że słyszał ich kłótnię. Szedł po coś do picia, gdy jego uszu dosięgły wyrzekania matki, zatrzymał się więc przed drzwiami, bojąc się wejść do kuchni. Dzięki temu wie, że nic już nie będzie tak jak dawniej.

Rozdział 4

Wiedźmini i potwory

30 października 2019, Strzygom

Po posiłku mężczyźni zajęli się reanimacją ekspresu. Na widok pełnych skupienia min Diona uznała, że najlepiej zrobi, jeśli ewakuuje się ze strefy działań, bo przewidywała, że będą powielać zachowanie jej byłego męża. Kamil Kicek z taką samą co oni powagą podchodził do wszelkiego rodzaju napraw, po czym, kiwając głową z mądrą miną, zaczynał wydawać polecenia, z których najczęstszymi były: „podaj mi”, „przynieś” czy „przytrzymaj”. Co ciekawe, gdy ona coś robiła, jakoś nie kwapił się do pomocy, nie szczędził natomiast tak zwanych dobrych rad, najczęściej całkowicie chybionych.

Duet Ratio-Szymon okazał się nad wyraz skuteczny, dlatego po niespełna półgodzinie w domu zapachniało kawą, i wkrótce potem obaj panowie pojawili się w pokoju z filiżankami napełnionymi aromatycznym płynem. Nadkomisarz podał gospodyni jedno z naczyń, usiadł naprzeciwko i postawił swoją filiżankę na stoliku.

– Diona, trochę mi głupio, bo przecież groziłem ci odebraniem licencji. Ale obiecałem, że zapytam, więc nie mam wyjścia – zagaił po chwili milczenia. – Sprawa jest taka, że moi znajomi mają kłopoty i zwrócili się z tym do mnie. Tylko że to nie jest coś, co podlegałoby policyjnemu dochodzeniu, poza tym miejscowość nie znajduje się w naszym rejonie. Dlatego spytali mnie o godnego zaufania

detektywa, a ja podałem im namiar na ciebie. Zgodziłem się najpierw z tobą pogadać i dać im znać, czy się zgodzisz.

Dotychczas Dioniza ani słowem nie wspomniała, że podjęła pracę jako detektyw, więc wieść o tym była dla Ratia kompletną nowością. W pierwszej chwili poczuł się urażony, że zataiła przed nim tak istotną informację, zaraz jednak się zreflektował. Przede wszystkim nie bardzo mieli czas, żeby poruszać sprawy osobiste. Przez większą część dnia Diona przebywała w pracy, a po powrocie zajmowali się projektem będącym powodem jego przyjazdu do Strzygomia. Prócz tego historia ich znajomości nie obfitowała w przypadki, by to Remańska opowiadała o sobie; nawet o jej rozwodzie dowiedział się dopiero po kilku miesiącach, gdy doszło do niego, że zmieniła nazwisko. To raczej na nim skupiali się podczas – nieraz burzliwych – rozmów.

Pomyślał, że podjęła słuszną decyzję. Miała w sobie coś takiego, że ludzie chętnie się przed nią otwierali, czego on sam był najlepszym przykładem. A przecież praca detektywa to nic innego jak ciągłe zadawanie pytań i wyciąganie wniosków z odpowiedzi.

Nieświadoma jego rozważań Dioniza zapaliła papierosa i zapatrzyła się w okno, choć o tej porze nie mogła dojrzeć tam nic prócz ciemności. Zdawać by się mogło, że nie słyszała słów Ogińskiego, tak dalece pozostała obojętna. Naraz jednak skierowała na niego czujny wzrok.

– Co to za sprawa? Muszę wiedzieć coś więcej.

Policjant znowu sprawiał wrażenie zmieszanego.

– W sumie nie bardzo wiem, o co może tam chodzić. Jeszcze nigdy nie spotkałem się z taką sytuacją.

– A konkretnie? Zacznij może od moich potencjalnych klientów. Dobrze ich znasz? Co to za ludzie?

– Magda i Krzysztof Witeccy. On ma chyba trzydzieści pięć lat, ona jest ze cztery lata młodsza. Oboje pracują, spodziewają się pierwszego dziecka. Przez pewien czas byliśmy sąsiadami, ale nie jest to jakaś zażyła znajomość.

W trakcie jego wypowiedzi Diona wskazała ikonę dyktafonu w telefonie, domyślił się więc, że chce nagrywać ich rozmowę. Nie miał nic przeciwko temu, nie zdradzał wszak żadnych służbowych tajemnic. Opowiedział więc po kolei przebieg zdarzeń, począwszy od kupna przez Witeckich domu do remontu. Zakończył informacją o ich pośpiesznym wyjeździe, uznając, że nie ma powodów powtarzać bredni o przeklętym ogrodzie i snującym się po nim duchu.

Oczekiwał, że Diona natychmiast zasypie go pytaniami, lecz ku jego zdumieniu to nie ona odezwała się pierwsza. Przysłuchujący się opowiadaniu Ratio siedział bez ruchu, z łokciami opartymi o stół, wpatrzony w kolorowe mazaje tworzące wesoły wzór na obrusie. Teraz również nie drgnął i nie uniósł głowy, ale się odezwał, a w jego głosie brzmiało umiarkowane zaciekawienie:

– Wspomniałeś, że jednego dnia ten Witecki umawiał się z kimś na porządkowanie ogrodu, a następnego nikt nie chciał z nimi rozmawiać. Dobrze zrozumiałem?

– Tak właśnie było – potwierdził Ogiński. – Dlatego Witeccy byli tacy zdziwieni, bo w międzyczasie nie zdarzyło się nic, co mogłoby wkurzyć mieszkańców wioski. Krzysiek mówił, że nawet nie wychodzili z domu, bo zajęli się sprzątnięciem. Remont co prawda nie był jeszcze zakończony, ale chcieli choć trochę ogarnąć dom.

– Może lokalsów obraża wykonywanie prac ogrodowych?

Diona zadała to pytanie w żartach, lecz Szymon potraktował je poważnie.

– Gdyby tak było, obraziliby się już za pierwszym razem. – Zauważył zdziwienie rozmówców i dodał: – Kobiety pomogły Magdzie w urządzeniu ogrodu w zamian za wykonanie jakiejś strony internetowej i sprawiały wrażenie bardzo zadowolonych z transakcji. Nie rozumiem, dlaczego miałyby ich wkurzyć uprzątnięcie drugiego? Przecież to bez sensu.

– Jakiego drugiego? – zainteresowała się Dioniza. – Nie rozumiem. Witeccy chcieli coś zrobić w cudzym ogrodzie? No to się nie dziwię, że ludzie się wkurzyli.

Ogiński wzruszył ramionami.

– Nie chciałem o tym mówić, bo ta część jest dla mnie jakaś mętna, a nie miałem czasu dokładnie ich wypytać. Uznałem, że najlepiej będzie, jak sami ci opowiedzą. Wiem tylko tyle, że wraz z domem i działką kupili też jakiś zrujnowany ogród przylegający do ich ogrodu i że podobno właścicielka lokalnego sklepu budowlano-rolniczego była tym faktem mocno zbulwersowana. Później facet z ekipy budowlanej powiedział Krzyškowi, że z tamtym ogrodem jest związana jakaś krwawa historia i duch płci żeńskiej, nazywany Białą Matyldą.

Dioniza wyglądała na ubawioną.

– W takim razie nie mam wyjścia, muszę przyjrzeć się tej sprawie. Od pewnego czasu nadprzyrodzone zjawiska i stwory nie z tego świata to moja specjalność – zwróciła się do Ratia, który nie mógł o tym wiedzieć i spoglądał z dziwnie zagubioną miną to na nią, to na Szymona. – Mieszkam w wiosce oddanej strzygom, w Świercznicy stałam przed skałą spełniającą życzenia, a w Osinach widziałam człowieka tak pożądanego przez osy, że z trudem dało się go rozpoznać. Potem ci opo...

– Jak się nazywa ta miejscowość? – Ratio przerwał jej w pół słowa i niecierpliwie wpatrzył się w policjanta. – Ta od ogrodu z Białą Matyldą?

– Jasień.

– O kurwa!

Zaskoczona nietypowym zachowaniem chłopaka Dioniza zakrztusiła się ostatnim łykiem kawy. Wiedziała doskonale, że Ratio potrafi zdrowo bluznać, wszak miała okazję poznać go także od najgorszej strony.

– Co się stało? Wiesz coś o tym Jasieniu? – spytała, odzyskawszy wreszcie zdolność mowy.

– Nie o to chodzi – odburknął. – Chciałem wstać, ale noga tak mi ścierpła, że się normalnie podwinęła.

Pomachał w powietrzu znarowioną kończyną, zanim uznał, że zmiana pozycji z siedzącej na stojącą nie grozi upadkiem na kuchenne płytki. Przytrzymując się mebli, ruszył w stronę drzwi.

– Po co pytałeś o nazwę tego miasta? – zawołała za nim.

– Tak tylko, z ciekawości, bo uważam, że to dziwne. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, a tam ludzie dalej wierzą w takie bujdy? Idę spać, bo jutro mam kupę roboty. Dobranoc.

Popatrzyła na wiszący na ścianie zegar i zdziwiła się, gdyż wskazywał dopiero niespełna dwudziestą drugą, a Ratio preferował nocny tryb życia. Twierdził, że wówczas łatwiej mu się skupić nad nauką czy pracą. Skąd więc ta nagła chęć wypoczynku?

– Może jest chory?

Zaniepokojona, wypowiedziała tę myśl głośno i dopiero odpowiedź nadkomisarza przypomniała jej o obecności gościa.

– Chyba jest już za duży na to, żebyś mu matkowała. – Zaraz jednak zaprzeczył sam sobie: – Nie możesz go zapytać, czy wszystko w porządku? Zauważyłem, że jest ci bardzo bliski.

W głosie policjanta zabrzmiały nuty zaciekawienia, jednak Diona nawet ich nie wychwyciła. Zastanawiała się przez kilka chwil nad poruszoną przez niego kwestią i wreszcie doszła do wniosku, że chyba faktycznie przesadza z troską o dorosłego już od dłuższego czasu chłopaka.

– Masz rację – mruknęła. – On ma dwadzieścia jeden lat. W tym wieku raczej umie się powiedzieć, że boli.

Ogiński odmruknął coś, co uznała za akceptację jej opinii, i zaczął wolno podnosić się z krzesła.

– Zasiedziałem się, a ty pewnie też chciałybyś się już położyć.

– O tej porze? Teraz to ja dopiero się rozkręcam. Właśnie miałam sobie zrobić jeszcze jedną kawę. Chcesz?

Ogiński się zawahał. Wiedział, że nie powinien nadużywać jej gościnności, ale perspektywa spędzenia kolejnego samotnego wieczoru w wynajętym pokoju wydała mu się niezbyt zachęcająca, choć dotychczas samotność wcale mu nie przeszkadzała. Być może

winna tej zmianie była przyjazna, ciepła atmosfera panująca w domu Dionizy, gdzie od pierwszej chwili poczuł się jak u siebie. Dlatego odpowiedział twierdząco, nie odczuwając przy tym wyrzutów sumienia. Wiedział od Darka Lipskiego, że Remańska jest osobą konkretną, niemającą oporów przed wygłaszaniem swojego zdania nawet wtedy, gdy mogło się to spotkać z niezadowoleniem. Jeśli proponowała mu kawę, znaczyło to, że naprawdę życzy sobie jego towarzystwa, nie zaś, że tak wypada.

Wspomnienie o Darku skierowało jego myśli na Ratia i jego zadziwiającą mobilność. Polubił tego chłopaka, a intuicja podpowiadała mu, że nie popełnia omyłki, oceniając go pozytywnie. Prócz tego jeżdżenie w kółko od wioski do wioski jeszcze nie świadczy o planowaniu przestępczych działań i jak na razie nie jest zabronione.

Najlepiej będzie powiedzieć Dionie prawdę.

– Tak sobie myślę, że Marcin chyba rzeczywiście cierpi na ostry przypadek zazdrości. Wyobraź sobie, że poprosił ojca, żeby ten sprawdził, co Ratio tutaj robi i czy aby coś ci z jego strony nie grozi.

– Noż kurde! Czy on do reszty zgłupiał? – Zdenerwowała się tak bardzo, że musiała użyć całej siły woli, by się opanować i nie walnąć kubkiem o podłogę. – A Darek co? Naprawdę dał się w to wmanewrować?

Szymon uznał za stosowne stanąć w obronie podwładnego.

– Wiesz, jak to jest z rodziną – odparł pojednawczo. – W końcu to jego syn... Ale nie żeby specjalnie śledził chłopaka. Po prostu poprosił kumpli, żeby zwrócili na niego uwagę, gdyby przypadkiem gdzieś go zobaczyli. Stąd wiem, że młody często jeździ do Świercznicy, był też widywany w Osinach i na peryferiach Jodłowca.

Diona zjeżyła się i spojrzała niezbyt przyjaźnie.

– A ty pewnie doszedłeś do wniosku, że szykuje się do obrobienia cudzego domu. Bo jak ma dziary na ręce, to od razu złodziej i bandyta? No tak, zapomniałam, jak łatwo ci przychodzi ferowanie wyroków!

Ogiński przyjął jej wybuch ze spokojem. Nie odwrócił wzroku, na twarzy nie pojawił się grymas świadczący o poczuciu winy. Mężczyzna po prostu siedział i popijał gorącą kawę. Płyn parzył mu wargi, ale policjant musiał dać sobie czas na obmyślenie strategii, przeczuwał bowiem, że jedno nieopatrzne słowo może cofnąć jego relacje z Dionizą do punktu wyjścia, a tego bardzo by nie chciał.

– Teraz to ty się pospieszyłaś z wydaniem wyroku – zauważył w końcu.

Wstał i zabrał się do rozpinania guzików koszuli, czym tak zaskoczył Dionę, że na moment odebrało jej mowę.

– Co ty robisz?! – wykrzyknęła, gdy oswobodził rękę z rękawa. – Zwariowałaś czy dorabiasz jako striptizer?

Zamiast odpowiedzieć, ustawił się do niej bokiem, prezentując obnażone ramię, na którym pysznił się dość duży tatuaż. Automatycznie skupiła na nim wzrok, a wtedy spostrzegła coś, co z pewnością nie stanowiło części składowej sylwetki białowłosego mężczyzny z dwoma mieczami na plecach. Przebijające spod tatuażu litery układały się w napis doskonale znany wszystkim polskim policjantom. CHWDP.

Diona przyglądała się ramieniu z niezbyt elegancko rozdziawionymi ustami, Ogiński z kolei przyglądał się jej z nieco ironicznym uśmiechem. Po kilku minutach wzajemnej obserwacji doszedł do wniosku, że dość już się napatrzyła, i wsunął rękę w koszulę, po czym zaczął zapinać guziki. Dopiero ta zwyczajna czynność odblokowała Remańską. Kobieta zmrużyła oczy i popatrzyła na niego z zastanowieniem.

– Czy to wiedźmin Geralt?

Unik był tak czytelny i tak głupio naiwny, że mężczyzna parsknął śmiechem. Diona nie była głupia i z pewnością nie naiwna, musiała więc mieć jakiś cel, gdy zadawała to idiotyczne pytanie.

– Ma dwa miecze, więc to musi być on – odparł, powstrzymując się od wzruszenia ramionami. Wyczuwał, że wizerunek wiedźmina w ogóle jej nie obchodzi.

– Jeden na ludzi, drugi na potwory – rzuciła, nadal patrząc mu prosto w oczy.

– Czasami różnica jest prawie niezauważalna. A czasami wcale jej nie ma.

Skinęła głową.

– Bywa i tak, że można obejść się bez miecza, żeby zabić potwora rosnącego we własnej duszy. Jeśli jest się dostatecznie silnym...

– Taa – mruknął przeciągle. Już wiedział, co chciała mu powiedzieć. – Dobrze też jest mieć kogoś, kto cię nauczy, jak pokonać tego wewnętrznego potwora, i kto będzie cię wspierał w chwilach zwątpienia. Na przykład jakiegoś policjanta, dla którego liczy się coś więcej niż wyniki. Młoda policjantka też się nadaje, prawda?

Ponownie przytaknęła ruchem głowy i zamrugła powiekami, chcąc zwalczyć przyływ wzruszenia. Przed oczami stanęła jej twarz chudego wyrostka o wyzywającym uśmiechu i błysku nienawiści w oczach. Ona jednak spostrzegła coś więcej. Pod maską uśmiechu czaił się strach, za nienawiścią krył się ból odrzucenia.

Dioniza znów zamrugła i obraz zniknął. Wolno wypuściła powietrze z płuc i poruszyła temat nurtujący ją od chwili, gdy zobaczyła tatuaż Szymona.

– Jak udało ci się dostać do policji z tym napisem? Wiem, że są komisje, które odwalają wszystkich z dziarami, a co dopiero z CHWDP.

Łobuzerski błysk w oczach nadkomisarza kazał domyślać się jakiegoś podstępu. Nie zawiodła się.

– Moja ówczesna dziewczyna była wtedy na etapie testowania różnych kosmetyków. Cierpiała na ostry przypadek trądziku i bardzo się tego wstydziła. Oprócz regularnych wizyt u kosmetyczki starała się pomóc sobie makijażem, dlatego kupowała wszelakie mazidła mające zamaskować mankamenty urody.

– Zrobiła ci make-up na ramieniu? – Dioniza nie mogła uwierzyć w słowa Ogińskiego, lecz on potwierdził jej domysł.

– Kupiła na Allegro jakiś podkład. Jej matka się wściekła, bo specyfik był cholernie drogi, ale okazało się, że jest wyjątkowo skuteczny i w dodatku wodoodporny. Pokrył tatuaż tak dokładnie, że nie było widać nawet śladu po napisie, tylko że kolorem nieco odbiegał od skóry. Wtedy Sylwia wymyśliła, żebym sobie nakleił tatuaż tymczasowy, a w razie pytań udawał, że zapomniałem zmyć. I wyobraź sobie, że komisja to kupiła.

Miała jeszcze ochotę zapytać, co spowodowało, że kiedyś kazał sobie wytatuować te sprawiające kłopot litery, ale ugryzła się w język. Nie wszystko naraz.

– Zajmę się tą sprawą – powiedziała takim tonem, jakby wypowiedziane przed chwilą słowa dotyczyły Witeckich. – Gdzie oni teraz mieszkają?

– W Bielsku-Białej. Zaraz do nich zadzwonię. – Ogiński popatrzył na zegarek i skrzywił się lekko. – Z tym dzwonieniem to chyba jutro. Dzisiaj już trochę na to za późno. Kiedy mogliby przyjechać?

Zastanawiała się chwilę, jak najlepiej rozwiązać kwestię spotkania. Od poniedziałku zaczynała urlop, czym zresztą rozbawiła swojego pracodawcę do łez. „Czy ty myślisz, że pracujesz w korpo?” – spytał ją, gdy poprosiła o urlop od czwartego listopada. „Ja też nie lubię ciepłego piwa i spoconych kobiet – nawiązał do popularnego dowcipu – ale dobrowolnie brać wolne w takim terminie?” Nie chciała zdradzać swoich planów, więc odpowiedziała jakimś banałem o zmęczeniu i potrzebie naładowania akumulatorów. Lubiła i szanowała Patryka Gartowskiego, właściciela strzelnicy, w której pracowała jako instruktor strzelectwa, lecz znajomość nie była na tyle bliska, by miała mu opowiadać o podinspektorze Gredtkem i ich planach nakręcenia filmu o przebiegu jego służby. O tym wiedziały tylko trzy osoby – Robert Gredtke, ona i Ratio.

– Może nie będą musieli tu przyjeżdżać. W piątek jest Wszystkich Świętych, planuję wybrać się do Bielska na groby i do rodziców.

Mogłabym w sobotę lub w niedzielę podejść do Witeckich i załatwić formalności.

Szymon ucieszył się z jej propozycji. Z jego słów wynikało, że Magda Witecka jest w ciąży, którą nie najlepiej znosi. Wystąpiły jakieś komplikacje i lekarz zalecił jej jak najwięcej leżeć, tym samym proponowane przez Remańską rozwiązanie z pewnością zostanie przyjęte z wdzięcznością.

– Chyba cię ozłocą. To ich pierwsze dziecko, więc są trochę przewrażliwieni.

– Wolałabym nie być ozłocona, bo ludzie gotowi wziąć mnie za C-3PO – stwierdziła Diona z poważną miną.

Gorączkowo szukał w pamięci, co oznacza wymieniona przez nią nazwa, i nagle oczy mu rozbłysły.

– Czy to ten złoty robot z „Gwiezdných Wojen”? – zapytał, by się upewnić, a gdy przytaknęła, przekrzywił lekko głowę i zmierzył ją uważnym wzrokiem. – Nie ma takiej opcji – zaproponował z taką samą powagą. – W ogóle nie jesteś do niego podobna. No, może trochę z twarzy...

– Chamska odzywka!

Uchylił się zręcznie przed lecącą w jego stronę zapalniczką i wstał.

– Późno już, a rano muszę być w komendzie powiatowej. Zadzwoń jutro i dam ci znać, co zdecydowali. Dzięki za kawę i za obiad. Na twoim miejscu nie wypuszczałbym Ratia z kuchni. W życiu nie jadłem takich dobrych łazanek.

– Ja też nie. Chyba...

Przerwał jej dochodzący z piętra przeraźliwy krzyk.

Kiedyś, gdzieś

Mężczyzna skrada się pod osłoną ciemności. Powietrze jest ciężkie od wilgoci, ołowiane chmury od rana niezmiennie

przesłaniające światło słoneczne nie rozproszyły się pod wpływem silnego wiatru i nadal obejmują niebo, co znacznie utrudnia poruszanie się po wyboistym poboczu. Co rusz potyka się lub wpada do dziury wypełnionej deszczówką i wówczas z jego ust padają pod adresem władz miejskich niewybredne epitety. Wprawdzie podczas kampanii wyborczej kandydat na stanowisko burmistrza przyrzekał solennie, że w pierwszej kolejności postarają się o wybudowanie chodników, ale jak to zwykle bywa, z chwilą, gdy już zasiadł na stołku, natychmiast zapomniał o obietnicach wyborczych.

Nocny wędrowiec znów wchodzi prosto w kałużę roztopionego śniegu, a lodowate bryzgi moczą mu nogi, sięgając aż do pośladków. Przystaje i ze złością grozi pięścią księżycowi, który akurat tej nocy ustąpił pola chmurom. Potem cicho wywodzi kolejną litanię, lecz tym razem adresatem nie jest burmistrz, lecz kobieta, która zgodziła się na rozmowę wyłącznie pod warunkiem, że ta odbędzie się w nocy i z dala od zabudowań. Nie pozwoliła nawet zabrać latarki, co zdaniem mężczyzny zakrawało już na paranoję. Na litość boską, nikt go przecież nie będzie śledzić! Baba obejrzała chyba zbyt wiele szpiegowskich filmów, przez co coś jej się przestawiło w głowie.

Mimo niepocholebnej opinii o przyszłej interlokutorce dostosował się do wszystkich jej wymagań w obawie, że w przeciwnym razie kobieta przestraszy się i odejdzie, nic nie mówiąc. A on potrzebował tej wiedzy jak powietrza. Nie mógł dalej tak żyć. Niepewność zabijała go powoli, drążąc niczym rak. Tłumił ją wódką, ale alkohol dawał tylko chwilową ulgę. Później przychodziło wytrzeźwienie, a wówczas nie mógł już udawać, że nie widzi znękanej twarzy żony i rozpaczy w oczach syna.

Dopiero niedawno odkrył, że żona właśnie syna obwinia o nieszczęście. Próbował przemówić jej do rozsądku, lecz równie dobrze mógłby przemawiać do stołu czy krzesła. Żadna siła nie była w stanie przekonać oszalałej z bólu kobiety, że nie powinna obarczać jedenastolatka odpowiedzialnością za siostrę. Sam przecież był jeszcze dzieckiem. Biegał z kolegami i dziewięcioletnia

siostra stanowiła dla niego istną kulę u nogi, nic więc dziwnego, że zostawili ją na podwórku, a sami uciekli nad potok.

Chłopiec nie mógł przewidzieć, że pozostawiona bez opieki dziewczynka zaginie bez śladu. Górskie miasteczko to nie metropolia, tu nawet mniejsze dzieci bawią się same, gdy rodzice zajęci są pracą w polu lub obrządkiem. Ale do żony nie trafiały żadne argumenty. Potrzebowała winnego, na którym mogłaby wyładować swój ból, i znalazła kozła ofiarnego w postaci syna. Mężczyzna wiedział, że jedynie odnalezienie człowieka odpowiedzialnego za zniknięcie Natalii może przywrócić rodzinie spokój, dlatego zgodził się na to nocne spotkanie. Dawno już stracił nadzieję, że jeszcze kiedyś zobaczy córkę żywą, ale nawet najgorsza prawda jest lepsza od szarpiącej duszę niepewności.

Nocny wędrowiec mija ostatnie zabudowania i skręca w stronę starej szopy, niegdyś służącej jednemu z dalszych sąsiadów za podręczne składowisko zbieranych w okolicy rupieci, których strzegł niczym najcenniejszego skarbu. Kiedy sąsiad zmarł, jego rodzina zlikwidowała ten śmietnik i od tamtej pory szopa stała pusta.

Kobieta tę właśnie szopę wyznaczyła na miejsce spotkania, mężczyzna popycha więc stare, spróchniałe drzwi i wchodzi do środka. Ciemność jest tu jakby gęstsza, bardziej intensywna i początkowo mężczyzna nic nie widzi. Dopiero po chwili wyodrębnia z niej kilka jaśniejszych punktów. To ludzkie sylwetki.

– Co wy tu robicie? – dziwi się. Przecież nie on nalegał na dyskrecję. – Co pani znowu wymyśliła? Jest tu pani?

Odpowiada mu cisza, zakłócona jedynie lekkim szmerem przesuwających się ludzi. Otaczają go ze wszystkich stron i mimo mroku wie, że nie spuszczają z niego oczu. Niemal namacalnie czuje na sobie ich wzrok i przychodzi mu na myśl, że jest w tej scenie coś nienormalnego, coś wywołującego gęsią skórę.

– O co wam chodzi? Pani...

Słowa przechodzą w niewyraźny bełkot, gdy na głowę mężczyzny spada potężne uderzenie. Po nim kolejne, jeszcze

silniejsze. Następnym już nie czuje.

Rozdział 5

W przewidywaniu tragedii

30–31 października 2019, Strzygom

W nagłym krzyku wybrzmiało takie cierpienie, że Ogiński zamarł w połowie kroku i poczuł ciarki przelatujące mu po plecach, a Remańska zerwała się na równe nogi. Wrzask ustał i nastąpiła kompletna cisza, zakłócana tylko ich oddechami, lecz po chwili się powtórzył, jeszcze głośniejszy, dłuższy i bardziej udręczony.

– Co to było?

Ręka mężczyzny automatycznie sięgnęła po broń, ale Dioniza pokręciła głową i wskazała palcem sufit.

– To Ratio. Muszę go obudzić.

Pobiegła na piętro, a Szymon podążył za nią, zastanawiając się, jakie demony ścigają tego sympatycznego chłopaka, że nie odpuszczają nawet w nocy. Wpadli do niedużego pokoju i pierwsze, co policjantowi rzuciło się w oczy, to mała lampka stojąca na nocnym stoliku. Płonęła nikłym światełkiem, które pewnie miało odpędzić zło czające się w ciemnościach. Jeśli tak było w istocie, jeden rzut oka na miotającego się na łóżku Ratia wystarczył, by stwierdzić, że nie wywiązało się ze swojego zadania zbyt dobrze.

Chłopak już nie krzyczał. Leżał na wznak z wyciągniętymi przed siebie rękami, poruszając nimi gwałtownie, jakby starał się odepchnąć coś lub kogoś. Naraz usiadł i otworzył oczy, a Ogiński aż się wzdygnął na widok bijącego z nich czystego przerażenia.

– Nie. Nie – wymamrotał Ratio. – To nie było tak. Nie!

Diona w dwóch susach znalazła się obok niego. Usiadła na brzegu łóżka i dotknęła delikatnie ręki chłopaka.

– Ratio. Ratio, obudź się!

Lecz on jej nie słyszał, całkowicie pogrążony w świecie koszmaru. Znowu zamachał rękami, o milimetry mijając twarz Dionizy, a gdy rozwarł usta do następnego krzyku, Ogiński wreszcie odzyskał zdolność działania.

– Dość tego. Odsuń się!

Remańska nie usłuchała od razu, więc niezbyt delikatnie zwlókł ją z łóżka i wymierzył chłopakowi mocny policzek. Potem jeszcze jeden. Poskutkowało. Ratio zamrugął i spojrzał przytomnie.

– Co się stało? Co tu robicie?

– Miałeś zły sen. Krzyczałeś, rzucałeś się i trzeba było cię obudzić – wyjaśniła Diona i zerknęła na niego, ciekawa reakcji. Ale Ratio tylko skinął lekko głową i odpowiedział wyjątkowo zwięźle:

– Aha. – Spojrzał na Szymona z wyrzutem. – Musiałeś mnie strzelić z liścia? Nie dało się tego budzenia przeprowadzić jakoś subtelniej?

– Może by się i dało, ale wtedy nie miałbym żadnej radochy.

Uśmiechnęli się do siebie w całkowicie obcym Dionie porozumieniu, co od razu wyprowadziło ją z równowagi.

– Przestańcie się szczerzyć jak debile. Ratio, te ściany nie są dźwiękoszczelne, a ja śpię tuż obok. Już kilka razy słyszałam, że krzyczysz i mówisz przez sen, tylko przedtem nie było to tak głośne.

– Urwała na widok jego miny i dokończyła niezbyt pewnie: – Może chcesz o tym porozmawiać? Czasem to pomaga...

– Nie.

Nie dodał nic więcej. Żadnego tłumaczenia czy uzasadnienia odmowy, tylko to krótkie „nie” i mina niezachęcająca do dyskusji. Dioniza skinęła lekko głową i zawróciła do drzwi. Nie zamierzała na siłę wchodzić w jego życie. Jeśli Ratio zechce się otworzyć, sam do niej przyjdzie.

– W takim razie dobranoc.

Odmruknął coś niewyraźnie i zakopał się w pościeli, dając do zrozumienia, że ma zamiar spać. Lampki jednak nie zgasił, co nie umknęło uwadze policjanta. Ogiński napomknął o tym, gdy schodzili na parter, lecz Diona nie podjęła tematu, a on nie chciał zbyt nachalnie dopytywać. Zresztą miał dość innych problemów, by zaprzętać myśli nieistotną w gruncie rzeczy sprawą, i zanim dotarł do domu, całkiem o niej zapomniał.

Przypomniał ją sobie, a właściwie została mu ona przypomniana, już następnego ranka, gdy jak zwykle do pokoju wszedł Darek Lipski. Starszy aspirant mocą niepisanej umowy miał bezterminowe pozwolenia na korzystanie z ekspresu stojącego w gabinecie komendanta. Nie nadużywał tego prawa, ale jak sam kiedyś przyznał, dla dobrej porannej kawy gotów byłby zabić.

– Ten młody znowu wczoraj jechał do Świercznicy – odezwał się po napełnieniu zasobnika. – Chłopak Diony – dodał zupełnie niepotrzebnie. Ostatnio tylko o nim mówił.

– Przecież nie ma zakazu jeżdżenia po Polsce – zauważył Ogiński. – Jeszcze nie ma – dodał z grymasem niesmaku.

Lipski mruknął coś i zapatrzył się na ciemną ciecz ciurkającą do kubka. Po napełnieniu naczynia chwycił je za uszko i podniósł, lecz nie ruszył się z miejsca, tylko przekręcił lekko głowę, by móc spojrzeć na komendanta.

– Zakazu nie ma, ale nie wydaje ci się to podejrzane? Co on tam ma za interes? I w ogóle kto to jest? Za młody dla Diony, ale kto ich tam wie?

Popatrzył z nadzieją na Szymona, lecz ten udał, że tego nie dostrzega. Co prawda podczas wizyty w domu Remańskiej zyskał pewność, że tych dwojga łączą czysto koleżeńskie więzy, ale nie zamierzał informować o tym Lipskiego. Uważał, że Marcin powinien sam wyjaśnić sobie z Dioną wszelkie nieporozumienia, zamiast mieszać do tego ojca i wysyłać go na przeszpiegi. Udał więc bardzo zajętego.

Dariusz zrozumiał niemy przekaz i wyszedł, a wtedy nadkomisarz sięgnął po komórkę, gdyż nagle przyszło mu do głowy, że nie zaszkodzi dowiedzieć się czegoś więcej o młodym gościu Remańskiej. Nie dlatego, że podejrzewał go o jakieś nieczne czyny. Ratio zainteresował go jako człowiek i Ogiński nagle pojął, że bardzo chce poznać jego przeszłość.

1–2 listopada 2019, Bielsko-Biała

Matka i ojczym powitali Dionę tak entuzjastycznie, jakby nie widzieli jej od co najmniej kilku lat, a nie od zaledwie czterech tygodni.

– Są takie chwile, kiedy żałuję, że Piotr zapisał ci to mieszkanie – odezwała się Marta Imielska, a gdy mąż popatrzył na nią z wyrzutem, tylko prychnęła: – No co? Wtedy nie miałyby pieniędzy na kupno domu w Strzygomiu i nie wyprowadziłaby się tak daleko. Nie powiesz mi, że nie wolałbyś, żeby nasz Szczurek mieszkał gdzieś bliżej!

Szczurek było pieszczotliwym przezwiskiem nadanym przed laty Dionizie przez ojczyma. Grzegorz Imielski stwierdził, że drobna, szczuplutka dziewczynka o szarobrązowych włosach, spoglądająca nieufnie i przemykająca koło niego jak cień przypomina mu szczurka, niepewnego, czy może zaufać człowiekowi. Wkrótce potem zaufała mu całkowicie, włosy z biegiem lat ściemniały i uzyskały barwę gorzkiej czekolady, a i figura dziewczyny nabrała kobiecych kształtów. Nie widać było już więc powodów, dla których otrzymała to przezwisko, lecz ojczym i matka jakby o tym nie pamiętali. Diona podejrzewała, że dla nich zawsze pozostanie małym, wymagającym opieki Szczurkiem.

– Chyba trochę przesadzasz – mruknęła, ale okrasiała wypowiedź porozumiewawczym uśmiechem. – Myślałby kto, że jestem

dziesięciolatką, która pierwszy raz w życiu pojechała sama na kolonie.

– Czasem zachowujesz się tak, jakbyś miała mniej – skontrowała Imielska z przekornym błyskiem w oku. – Pewnie chcecie pogadać o tych waszych niesamowicie ważnych sprawach? Co ta policja ma w sobie, że nie możecie o niej zapomnieć, chociaż każdy normalny człowiek byłby wściekły za to, że został tak potraktowany?

– Bo praca w policji naprawdę jest fajna.

Diona puściła oko do ojczyma, a on uśmiechnął się do niej porozumiewawczo i dopowiedział:

– Tylko niektórzy ludzie to kurwy.

Marta skrzywiła się; nie znosiła wulgaryzmów. Mąż przytulił ją, po czym pchnął leciutko w stronę drzwi. Wyszła bez sprzeciwu, pozwalając im pograć się w świecie, do którego ona nie miała dostępu.

Imielski chciał coś powiedzieć, lecz pasierbica go uprzedziła, pytając o sprawę, nad którą ostatnio pracował, zrelacjonował więc z detalami, jak śledził męża podejrzanego o zdradę, przez co musiał kilkakrotnie odwiedzić kluby go-go, o czym natychmiast ktoś „życzliwy” doniósł sąsiadom, a sąsiadka żonie.

– Co mama na to? – spytała rozweselona Dioniza.

– Mama jak mama, przecież wiesz, że nie ma zwyczaju przejmować się bredniami. Tylko że ta durna baba przyszła wtedy, kiedy był u nas dziadek.

Ponura mina Imielskiego zastanowiła pasierbicę, która doskonale знаła podejście dziadka do życia. Nie był człowiekiem, który zgorszyłby się nawet wówczas, gdyby jego jedyna wnuczka w takim klubie występowała.

– Nie rozumiem – przyznała w końcu bezradnie. – Chcesz powiedzieć, że dziadek był zgorszony?

– Gorzej – odparł ojczym. – Zażyczył sobie, żebym go tam zaprowadził.

Roześmiała się serdecznie.

– Cały dziadek! Czemu mnie to nie dziwi? Aż dziw, że nie chce tam iść z babcią.

– Właśnie że chce. – Imielski także się roześmiał. – Czy w tej rodzinie jest ktoś normalny? Ale może to i lepiej. Normalni są nudni. A co u ciebie?

Diona przerzuciła nogi przez poręcz fotela i wspomniała o zleceniu, które miała zamiar przyjąć. Ojczym natychmiast zarzucił ją pytaniami, domagając się szczegółów, lecz tylko pokręciła głową.

– „Wolniej, wolniej, wstrzymaj konia” – zanuciła fragment piosenki. – Na razie wiem tylko to, co ci przekazałam. Wybieram się do Witeckich w niedzielę, więc na dokładne sprawozdanie musisz trochę poczekać.

Choć nie wspomniała o tym Imielskiemu, planowała trochę przycisnąć zleceniodawców. Nie wierzyła, że bojkot wziął się z niczego. To było zbyt irracjonalne, by mogło być prawdziwe. Za zachowaniem mieszkańców wioski musiało stać coś innego i podejrzewała, że Witeccy doskonale wiedzą co.

Na groby poszli późnym popołudniem, by uniknąć porannego tłoku. W drodze powrotnej odwiedzili dziadków, wieczór zaś spędzili w domu. Wówczas niebacznie napomknęła o wizycie Ratia i jego niefortunnym spotkaniu z Marcinem. Rodziców rozbawiło to do łez, wkrótce jednak zauważyli, że Dionie wcale nie jest wesoło, i tak długo ją maglowali, że w końcu wyznała powody swojego rozżalenia.

– Ejże, panienko! – zawołała Marta. – Czy to czasem nie jest tak, że sama nie wiesz, czego chcesz? Cały czas powtarzasz, że Lipski to tylko kolega i nic więcej was nie łączy, ale gdy przestał cię odwiedzać, zachowujesz się jak zdradzona kochanka.

– Mamo!

Diona zastanawiała się gorączkowo, jakich słów powinna użyć, by wyprowadzić matkę z błędu, lecz nim ułożyła sobie w myślach odpowiedź, wyręczył ją ojczym.

– Marto, ty chyba nic nie zrozumiałaś. Ona wcale nie ma żalu o to, że się obraził i przestał przychodzić.

Spojrzała na niego z wdzięcznością, Imielska natomiast z zaciekawieniem.

– Nie? W takim razie o co?

– A tyle się gędzi o kobiecej intuicji – westchnął. – Dionka uważała Marcina za przyjaciela, tymczasem jemu wystarczył widok chłopaka w negliżu, by uznał ją za kogoś niewiele lepszego od prostytutki. Nie żebym źle myślał o prostytutkach – dodał po króciutkiej przerwie.

– Tatek jak zwykle w punkt – pochwaliła Remańska. – Marcin niby nie powiedział tego wprost, ale wyraz twarzy i ta pogarda w głosie... Ratia też ocenił wyłącznie na podstawie tatuażu. Myślałam, że jest inny, a to zwyczajny dupek.

Ku jej zdziwieniu tym razem to Imielski stanął w obronie Lipskiego, w dodatku nic nie wskazywało na to, by kierował się męską solidarnością.

– Zachował się jak idiota, to fakt, ale nie powinnaś oceniać go tak surowo. Jest zakochany, a dla faceta chorego na miłość wszystko sprowadza się do prostego albo-albo. Tylko czern i biel, rozumiesz? Wy, kobiety, rozważacie w nieskończoność różne opcje, snujecie domysły i analizujecie każde słowo. Krótko mówiąc, rozbijacie gównem na atomy. A my jesteśmy prości w obsłudze i raczej nie miewamy takich dylematów. To dlatego hasło „kto nie z nami, ten przeciw nam” najczęściej trafia do przekonania mężczyznom.

– Wiedziałam, że prędzej czy później zejdziesz na politykę – stwierdziła Marta ze zboląłą miną, której jednak przeczyły błyski wesołości w oczach.

Dioniza skwapliwie podchwyciła temat; by uniknąć kłopotliwych uwag, dołączyła się do prześmiewek z ojczyzna, rzeczywiście mocno zaangażowanego w politykę. Później opowiedziała o filmie kręconym wspólnie z Ratiem. Nie mogła nachwalić się chłopaka, wykazującego niesamowitą wiedzę w różnych dziedzinach, ubolewała też, że nie podjął dalszej nauki. Pozezowała przy tym na Imielskiego, który

swego czasu był niepokieszony, gdy oświadczyła, że nie pójdzie na żadne studia.

– Mądry chłopak. Ma rację – oświadczył. – I ty też miałaś. Nie każdy musi być magistrem czy inżynierem. Wykształcenie jest ważne, ale nie najważniejsze. Potrzebowałem czasu, żeby to zrozumieć.

Ojczym całkowicie ją zaskoczył. Nie tylko tym, że zmienił zdanie, ale przede wszystkim dlatego, że pochwalił Ratia, co do którego zawsze wykazywał niezbyt pozytywne nastawienie i często prorokował, że prędzej czy później chłopak wyląduje w poprawczaku. Diona powstrzymała się od wypowiedzenia czegoś w rodzaju „a nie mówiłam” i tylko lekko skinęła głową na znak, że przyjęła to do wiadomości.

– Ciekawe, jak mi pójdzie z tą nową sprawą – znów zmieniła temat. – To znaczy, umowy jeszcze nie mam, ale poznałam już problem. Jestem umówiona z tymi ludźmi na rozmowę i jeśli się dogadamy, będzie moja.

Starła się mówić obojętnie, lecz nie zdołała zwięść ojczyma. Znał ją zbyt dobrze i od razu rozpoznał podekscytowanie.

– Nie odgrywaj mi tu pokerzysty. – Pogroził jej palcem. – Przecież widzę, że aż się palisz do tego zadania.

– Nie wiedziałam, że jestem aż tak czytelna. Ale faktycznie bardzo chciałabym dorwać tę sprawę, bo z czymś takim jeszcze nie miałam do czynienia.

Zwięźle opowiedziała Imielskiemu to, czego dowiedziała się od Szymona. Mężczyzna słuchał uważnie, a gdy umilkła, zadał kilka pytań, z których tylko na niektóre umiała odpowiedzieć. Uzyskane z drugiej ręki informacje nie były zbyt obfite.

– Zaciekawiłaś mnie – przyznał ojczym. – Szkoda, że nie mogę tam z tobą pojechać. Też wziąłem nową sprawę, tylko że nie zapowiada się nawet w połowie tak interesująco. – Zauważył uniesione brwi pasierbicy i wyjaśnił z lekko kpiącym grymasem: – Zwykle sprawdzenie kolegów małolata. Mamusia i tatuś są tak zajęci

zarabianiem pieniędzy, że na nadzór rodzicielski nie starcza im już czasu, więc dla spokoju sumienia wynajęli mnie, żebym ocenił, czy znajomi dzieciaka nie sprowadzą go na złą drogę.

– Szkoda. – Nie ukrywała rozczarowania. – Miałam nadzieję, że się włączysz. Tam chyba trzeba będzie popracować koncepcyjnie, a w tym jesteś dużo lepszy ode mnie.

– Bo ty jesteś typowa operacyjna. – Udał, że nie widzi wzniesionych ku niebu oczu żony, co robiła zawsze, gdy zaczynał wcielać się ponownie w rolę policjanta. – I bardzo dobrze, bo ta część pracy też jest ważna. Kto wie, czy nie ważniejsza? Gdyby nie dane zebrane przez operacyjnych, dochodzeniowiec mógłby sobie co najwyżej z kart powróżyc.

– A gdyby nie dochodzeniowcy, operacyjni mogliby sobie tymi informacjami co najwyżej tyłek podetrzeć. – Diona uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Może umówmy się, że jedni i drudzy są tak samo ważni?

Imielski odwzajemnił uśmiech i skinął głową na znak zgody, ale zauważyła, że myślami błądzi gdzie indziej. Widać było, że czymś się martwi.

– Nie podoba mi się, że pojedziesz sama. – Gestem powstrzymał sprzeciw Dionizy. – Wiem, że jesteś dobra w tym, co robisz, ale w tym Jasieniu będziesz zdana sama na siebie. Może wybierzecie się tam razem?

– Razem z kim? – Diona wbiła w niego pytające spojrzenie.

– Miałem na myśli Marcina. Może mógłby wziąć kilka dni urlopu? Skrzywiła się lekko.

– Nie. Marcin odpada.

Nie dodała nic więcej, lecz niechęć dosłyszana w jej głosie kazała Grzegorzowi porzucić pomysł bez dalszych pytań lub bodaj komentarza. Zamiast tego zaczął się gorączkowo zastanawiać, czy mógłby jakoś poprzestawiać swój grafik i zyskać w ten sposób czas na odwiedzanie tego Jasienia przynajmniej co drugi dzień. Jak jednak miałby wytłumaczyć pasierbicy tę nagłą nadopiekuńczość?

Gdyby wyznał prawdę, z pewnością by go wyśmiała. Sam też przyznawał, że zachowuje się irracjonalnie, mimo to nie mógł pozbyć się przeświadczenia, że Dionizę spotka tam coś złego. *Wieszczek Kassander*, ocenił ironicznie swoje przeczucia i już miał zamiar zrezygnować z zapewnienia Dionie wsparcia, gdy przyszło mu do głowy całkiem inne rozwiązanie. Dużo lepsze.

– Przecież mamy w naszym zespole jeszcze jednego dochodzeniowca – zauważył, z niepokojem obserwując pasierbicę. Miał nadzieję, że tym razem się nie sprzeciwi. – Oboje zapomnieliśmy o trzecim współniku.

– Roberta Gredtkego? – zdziwiła się. – Myślałam, że go potrzebujesz. Tak przynajmniej mówił, kiedy z nim ostatnio rozmawiałam.

– No tak – mruknął, starając się ukryć zmieszanie. Był pewien, że zajęta filmem Diona nie miała czasu na rozmawianie z Gredtkem o pracy, a tu taka niespodzianka! – Pewnie, że potrzebuję, ale ty chyba potrzebujesz go bardziej.

Wydawało mu się, że gładko wywinął się z niezręcznej sytuacji, lecz odpowiedź pasierbicy natychmiast sprowadziła go na ziemię.

– Tatek, przestań kombinować i powiedz wprost, o co ci chodzi. Przecież widzę, że nie chcesz, żebym pojechała do Jasienia.

Zapalił papierosa. Wcale nie czuł nikotynowego głodu, ale dzięki tej czynności zyskiwał kilka minut na zastanowienie. Nie chciał urazić dziewczyny nieopatrznym słowem, z którego później musiałby się tłumaczyć nie tylko przed nią, ale także przed żoną. Żadnej z nich nawet przy sporej dozie uporu nie dałoby się zaliczyć do wojujących feministek, mimo to znały swoją wartość i nikomu nie pozwoliłyby się deprecjonować.

Zresztą jego pejoratywny stosunek do tego śledztwa wcale nie brał się stąd, że nie wierzył w zdolności Dionizy. *Wszystko przez to cholerne przeczucie, że stanie jej się coś złego*, pomyślał, wściekły na siebie, że rozegrał to tak niezręcznie. Teraz ona pewnie się uprze i przestanie zważać na logikę czy zdrowy rozsądek.

– Nie o to chodzi, że masz nie jechać, tylko... Wolałbym, żebyś nie jechała tam sama. Przypomnij sobie, co przytrafiło się tej policjantce z Jodłowca, kiedy chciała sama ująć mordercę.

Gorszego argumentu nie mógł użyć. Twarz Diony przybrała kamienny wyraz i tylko piwne oczy rozjarzyły się złotem, kierując w jego stronę złowieszcze błyski.

– Nie rozumiem, dlaczego zawiązałeś ze mną spółkę. Nie dość, że idiotka, to jeszcze nieudacznica. Widocznie lubisz problemy. Ale ja wolę spokój, dlatego idę spać.

Wstała i nie patrząc na niego, skierowała się w stronę drzwi. Powstrzymał ją, chwytając za rękę.

– Nie wygłupiaj się, Diona. Siadaj, porozmawiamy.

– Nie mamy o czym. Dobranoc.

Zdecydowanie uwolniła dłoń z jego uścisku i wyszła. Imielski długo spoglądał za nią, nim wreszcie się odezwał:

– Chyba nie wyszło najlepiej. Spieprzyłem to.

Przysłuchująca się im w milczeniu Marta też spojrzała na drzwi, za którymi zniknęła córka, potem przeniosła wzrok na męża.

– Spieprzyłeś – przyznała spokojnie. – Grzegorz, ona nie jest już dzieckiem. Nie możesz oczekiwać, że cię posłucha tylko dlatego, że ty tak chcesz. Naprawdę nie miałeś innego argumentu? Musiałeś przyrównywać ją do tej Jeminy?

– Dlatego przyznałem, że to spieprzyłem. – Westchnął z rezygnacją. – Ale co miałem jej powiedzieć? Że się o nią boję, bo mam dziwne przeczucie, że czyha tam jakieś niebezpieczeństwo? Przecież by mnie wyśmiała.

– Może tak, a może nie. Tego nie wiesz. A tak zyskałeś tyle, że się obraziła, i jak ją znam, teraz już nic nie powstrzyma jej od wzięcia tej sprawy.

Imielski skinął głową z roztargnieniem, zajęty szukaniem wyjścia awaryjnego. Marta coś jeszcze mówiła, lecz przestał zwracać na nią uwagę. Zauważyła to, wzruszyła więc tylko ramionami i także wyszła, pozostawiając go pogrążonego w niewesołych myślach.

Dwie godziny później przyszło olśnienie. Pomysł był tak prosty, że mężczyzna dziwił się, że od razu na niego nie wpadł. Diona wykluczyła asystę Marcina i Roberta. Ale był jeszcze ktoś, kto mógł zadbać o jej bezpieczeństwo. Na pewno nie odmówi. Przecież jest jej coś winien.

*

Z trudem powstrzymała się, by z całej siły nie trzasnąć drzwiami. W ostatniej chwili przytrzymała je i zamknęła z przesadną delikatnością, nie chcąc narażać się na zarzut, że zachowuje się jak rozpuszczony bachor. Wystarczy, że ojczym uważa, iż jest tak samo głupia jak Inka Dorycka.

Wzięła długą kąpiel, która miała ją zrelaksować, lecz nawet w części nie spełniła swojego zadania. Diona była zbyt podminowana, by delektować się aromatem cytrusa i zielonej herbaty i beztrąsko pławić się w pianie niczym Afrodyta.

Po wyjściu z łazienki spakowała swoje rzeczy, zdecydowana wyjechać z Bielska-Białej zaraz po rozmowie z Witeckimi. Dopinała akurat zamek torby, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Zastygła z ręką na uchwycie suwaka, lecz się nie odezwała. Ponownie usłyszała pukanie i głos matki wołającej jej imię:

– Diona! Diona, śpisz?

W milczeniu wstała z kucek, podeszła do łóżka i odchyliła kołdrę. Nie miała zamiaru rozmawiać z matką. Tym razem nawet domowa mediatorka nic nie wskóra. Ojczym przegiął. A może to ona odwykła od jego opiekuńczości i dlatego tak ją to irytuje?

Usiłowała przeanalizować najpierw swoje, potem jego zachowanie, lecz myśli zaczęły się plątać i wołania Imielskiego już nie dosłyszała. Zapadła w sen.

Nazajutrz wstała dość późno i gdy weszła do kuchni, zastała tam tylko kartkę pozostawioną przez Martę na stole.

– „Nie złość się na tatka, on wcale tak nie myślał. Wyjaśni ci wszystko, kiedy wróci do domu” – przeczytała głośno i włączyła ekspres. Doszła do wniosku, że bez kawy nie jest w stanie pojąć sensu wiadomości.

Zapaliła papierosa i popijając małymi łykami gorący płyn, zastanawiała się, gdzie podzieli się rodzice. Mama pewnie ma dyżur. Ale tatek? Naraz uprzytomniła sobie, że jest sobota, zatem ojczym z pewnością pojechał na rynek po jarzyny. Pod tym względem był kompletnie niereformowalny lub, posługując się określeniem Marty, uparty jak osioł. Święcie wierzył, że sprzedawane tam jarzyny są prawdziwie ekologiczne, uprawiane na naturalnych nawozach, bez śladu chemii, i nic nie było w stanie go przekonać, że jest to zwyczajnie niemożliwe.

Innym razem chętnie znów by z nim o tym podyskutowała, dziś jednak nie miała nastroju do przekomarzań. W ogóle nie chciała go widzieć, toteż czym prędzej ubrała się i wyszła z domu. Do spotkania z Witeckimi miała jeszcze blisko dwie godziny, pojechała więc do centrum, by pospacerować po ulicach i zobaczyć, czy miasto bardzo się zmieniło.

Wielkiej różnicy nie dostrzegła, ale też nie była w centrum zaledwie pół roku. Zauważyła jednak, że zmienili się ludzie. Obserwowała zasępienie lub zacięte w złości twarze, słuchała rozmów, w których dominowała zazdrość i pogarda, i zatęskniła za Strzygomiem, gdzie mieszkańcy żyli może biedniej, ale za to mieli w sobie dużo więcej życzliwości i zrozumienia dla innych.

Ucieszyła się, gdy zegar na kościelnej wieży przesunął wskazówki na za piętnaście dwunastą. Pora na odwiedzin u Witeckich, a niedługo potem wróci do domu. I nie miała tu na myśli domu rodziców, lecz swój własny, w Strzygomiu.

Rozdział 6

Pierwsze spotkanie w Jasieniu

3 listopada 2019, Bielsko-Biała

Sobotnia rozmowa z detektywką przyniosła Magdalenie Witeckiej ulgę. Dioniza Remańska wydała jej się osobą twardo stąpającą po ziemi, a przy tym zdecydowaną i energiczną. Wysłuchiwała uważnie relacji o ich pobycie w Jasieniu i w przeciwieństwie do kolegi Krzysztofa przyjęła opowieść o Białej Matyldzie z takim spokojem, jakby na co dzień spotykała się z nadprzyrodzonymi zjawiskami.

Kwota, jakiej zażądała, nie była zbyt wygórowana, toteż po krótkiej naradzie Witeccy podpisali umowę, w myśl której Remańska miała od poniedziałku zacząć śledztwo, i po raz pierwszy od wielu dni spojrzeli jaśniej w przyszłość. Może jeszcze nie wszystko stracone i obejdzie się bez sprzedaży wymarzonego domu, w którego remont władowali wszystkie swoje oszczędności?

Na wspomnienie energicznej, emanującej optymizmem Dionizy Magda uśmiechnęła się, pełna nadziei. Delikatnie pogładziła brzuch. Tak bardzo pragnęła, by ich dziecko nie musiało wychowywać się w zasnutym smogiem mieście, i teraz znów zaczęła wierzyć, że marzenie może się spełnić.

Usiadła przy stole, otworzyła laptop, by zająć się nowym projektem, i z żalem wspomniała gabinet stworzony specjalnie dla niej w jasińskim domu. Westchnęła, założyła za ucho niesforny kosmyk i najpierw kliknęła ikonę Facebooka, by sprawdzić, czy ktoś nie napisał do niej na stronie firmowej. Często się zdarzało, że

potencjalni klienci nawiązywali kontakt właśnie w ten sposób. Po chwili ze zdumieniem wpatrywała się w treść wiadomości otrzymanej od osoby posługującej się nickiem Emiel Regis.

„Jeżeli chcecie się dowiedzieć, czemu nie chcą was w Jasieniu, przyjdźcie jutro o godz. 17:30 do Karczmy Zbójnickiej w Rycerze Górnej. Chcę za to 1000 złotych. Jak dostanę szmal, będzie info, inaczej nie będę z wami gadać”.

Magda długo wpatrywała się w ekran, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Wreszcie pokonała dziwną niemoc umysłu i zadzwoniła do męża, a w oczekiwaniu na połączenie weszła na profil tajemniczego Emiela Regisa. Nie miał zdjęcia profilowego ani znajomych, na osi czasu także widniała tylko informacja, że konto zostało założone trzeciego listopada.

– Czyli dzisiaj, więc to pewnie fejkowe konto – stwierdziła po opisaniu mężowi zaskakującej sytuacji.

– Pewnie tak, ale to jeszcze nie znaczy, że reszta też jest oszustwem – odparł po krótkim namyśle.

Kompletnie ją zaskoczył, gdyż była pewna, że natychmiast odrzuci propozycję Emiela Regisa.

– Masz zamiar mu zapłacić?!

Znowu zastanowił się, nim odpowiedział:

– Ja nie. I ty też nie. Ale ta detektywka... Ona mogłaby tam podjechać i rozeznąć się w sprawie. Może wydobędzie z tego Regisa prawdę bez płacenia albo chociaż coś starguje? Nie mamy kasy na rozdawanie i ani myślę płacić jakiemuś wsiowemu cwaniaczkowi. Zadzwon do niej... albo nie. Ty na pewno wdałabyś się w typowo babską gadkę, zamiast od razu przejść do konkretów. Sam zadzwonię i wytłumaczę, o co mi chodzi.

I słusznie, przytaknęła w myślach. Jakoś nie potrafiła pojąć, o co właściwie mu chodzi. W końcu chciał zapłacić czy nie?

Westchnęła. Krzysztof bardzo się zmienił przez ostatnie trzy tygodnie i niestety nie była to zmiana na lepsze. Stał się apodyktyczny i gburowaty, przy tym coraz częściej traktował ją jak

idiotkę, która nie zna się na niczym i którą trzeba prowadzić za rękę. Na razie zносиła to w milczeniu, ale wiedziała, że długo nie wytrzyma w roli pokornego cielęcica. Miała nadzieję, że jego zachowanie jest jedynie reakcją na kłopoty, z którymi nie umiał sobie poradzić.

– „Wypijmy, zanim zacznie się wojna” – odpowiedziała sobie tytułem powieści Dennisa Lehane’a i poszła do kuchni po zapomniany kubek z niedopitą kawą.

– Jaka wojna? O czym ty mówisz? – zdenerwował się. – Te ciążowe hormony chyba ci padły na mózg!

Nie pierwszy raz wyczuła, że nie jest zadowolony z tej ciąży, chociaż początkowo z dziecka cieszyli się wspólnie. Zachowywał się tak, jakby zmienił zdanie i to ją obarczał winą za to, że nie mogą już się wycofać.

Magda poczuła nagły chłód i skuliła ramiona. Coś jej mówiło, że będzie tylko gorzej. Wolno odsunęła telefon od ucha i zerwała połączenie.

Kiedyś, gdzieś

Ciało jest potwornie ciężkie. Za życia mężczyzna, choć wysoki i dobrze zbudowany, nie zdawał się tyle ważyć, jednak teraz, całkowicie bezwładny, przelewa im się przez ręce i zanim udaje się go donieść do samochodu, wszyscy trzej dyszą ciężko, a na czołach mimo nocnego chłodu perli się pot.

– Ja pierdolę! – Ten, którego milcząco uznali za szefa, stęka głośno i z grymasem bólu prostuje zgarbione plecy. – Ile on waży? Tona? Mało mi krzyż nie strzelił.

– Mówiłem, żeby go przeciągnąć – narzeka drugi, niezadowolony, że zlekceważono jego sugestię.

– A ja ci mówiłem, czemu musimy go przenieść. On musi zniknąć, tak jak ci wszyscy, którzy wyskoczyli do kiosku po zapałki – tłumaczy szef ze zniecierpliwieniem. Złości go, że musi kolejny raz

powtarzać coś, co powinno być oczywiste dla średnio rozgarniętego człowieka. – Nie możemy zostawić żadnych śladów. Dotarło?

Drugi z mężczyzn kiwa głową i bąka pod nosem krótkie „tak”, lecz zaraz przeczy temu twierdzeniu:

– Przecież deszcz wszystko zmyje.

Szefowi puszczają nerwy, dopada go i chwyta za koszulę na piersiach.

– Gdzie masz ten deszcz, kretynie? No?!

– Ma padać – upiera się tamten. – Zapowiadali, że będą opady...

– Kurwa, nie wytrzymam! Jaką masz gwarancję, że się nie pomylili? Ludzie zobaczą krew i ślady wleczenia, a wtedy nasz plan pójdzie się pierdolić. Teraz kumasz czy mam ci to wydrukować?

Nim wąpiący zdobył się na odpowiedź, do kłócących się mężczyzn podchodzi trzeci. Jest wściekły.

– Macie zamiar stać tu do rana? – syczy przez zaciśnięte zęby. – Idealne miejsce i czas na kłótnię – dodaje ze zjadliwym sarkazmem. – Kobiety czekają – przypomina już spokojnie. – Ładujmy go do środka.

Włożenie zwłok do poloneza jest jeszcze trudniejsze niż przeniesienie ich z szopy na drogę. Są chwile, gdy odnoszą wrażenie, że denatowi po śmierci przybyło rąk i nóg, gdyż mimo starań ciągle któraś wystaje. Po zakończeniu tej operacji nie tylko ich odzież i dłonie, ale także karoseria samochodu ubabrana jest krwią. Tego nie przewidzieli. Trzeci z mężczyzn, zapalony miłośnik filmów kryminalnych, zapewniał ich, że po śmierci krew przestanie płynąć, dlatego nie pomyśleli o zabraniu jakiejś derki. Teraz mają okazję się przekonać, że kryminału nie powinno się traktować jako filmu instruktażowego.

Dwaj mężczyźni szybko wsiadają do auta, przy czym znów okazuje się, że ich wyobrażenia o przewożeniu zwłok mocno rozmijają się z realiami. Na tylnym siedzeniu leży trup, więc dla trzeciego pasażera zabrakło już miejsca.

– Trzeba było włożyć go do bagażnika – znów narzeka trzeci, zły na siebie, że dał się wyprzedzić.

Stęka, próbując przesunąć bezwładne, ciężkie nogi denata, żeby wywalczyć dla siebie bodaj odrobinę kanapy. Jego zmagania irytują szefa, który właśnie sprawdził, że mają dziesięciminutowe opóźnienie w stosunku do planu.

– To idź i go przełóż – warczy i rusza w chwili, gdy tamten przemyka szeroko otwarte drzwi.

Po dwóch zaledwie minutach dojeżdżają na miejsce. Tak jak się spodziewali, pobocza z jednej i drugiej strony wypełnione są samochodami. W domu kultury trwa w najlepsze zabawa karnawałowa, a głośna muzyka zagłusza wszelkie inne odgłosy.

Wyciągają trupa z samochodu. Udaje im się zrobić to całkiem sprawnie i szef już chce powiedzieć, że następnym razem dojdą do mistrzostwa, na szczęście w porę gryzie się w język. Tamci z pewnością nie doceniliby żartu.

Drugi i trzeci zarzucają sobie ramiona denata na szyję i zataczając się lekko, wloką go między sobą wzdłuż płotu oddzielającego posesję od stromego brzegu okalającego potok. Szef idzie za nimi w pewnej odległości i również od czasu do czasu się zatacza, żeby ewentualny obserwator wziął go za pijanego pragnącego skorzystać z ustronnego miejsca. Po pewnym czasie przyspiesza kroku i już po kilku minutach zrównuje się z tamtymi. Dyszą ciężko, wyczerpani niesieniem martwego ciała po nierównym i stromym podłożu.

– Możecie go już ciągnąć – komenderuje. – Tu nikt żadnych śladów nie zobaczy.

Ma rację. Zbliżają się do miejsca, gdzie kończy się posesja, a zaczyna łąka należąca do Wojtka Dąbrówki, który wypasa tam krowy. Zwierzęta co jakiś czas idą tędy w dół zbiega do potoku, gdzie naturalnie powstałe płośko służy im za wodopój. Grunt jest tu zryty racicami, pełen wyboi i krowich placków. Szef przekonuje się o tym, gdy podjeżdża na jednym z nich. Ze złością wyciera but

o trawę i znów przyspiesza. Wyprzedza towarzyszy i odchyła siatkę tuż przy narożnym słupku ogrodzenia, wślizguje się do środka, po czym przytrzymuje ją, ułatwiając tamtym przejście. Gdy wszyscy znajdują się już wewnątrz, oddycha z ulgą. Najgorsze mają za sobą.

– Odpocznijmy chwilę – proponuje i pierwszy siada na trawie.

Tamci skwapliwie idą w jego ślady, a beztrוסko porzucony trup pada tuż obok. Nie robi to na nich żadnego wrażenia. Już przywykli. Drugi poczęstował ich papierosami, palą więc w milczeniu, wsłuchani w odgłosy zabawy. Naraz w melodię dudniącej w głośnikach piosenki wcina się ryk syreny strażackiej. To dla nich znak, że kobiety dobrze wykonały swoje zadanie. Z tego miejsca nie mogą zobaczyć łuny, ale i bez tego dobrze wiedzą, że płonie szopa obok ostatniego przystanku, a pozostawione przez nich ślady właśnie idą z dymem.

– Kończcie kurzyć i do roboty – zarządza szef.

– Fajnie to wymyśliłeś – chwali go drugi. – A z twojej baby jest niezła aktorka, wlaź jak mysz do paści. Tylko że ja dalej nie wiem, czemu musieliśmy go...

Nie kończy zdania, jakby nienazwanie rzeczy po imieniu odejmowało jej część grozy. Szef nie ma takich oporów.

– Trzeba było go zabić. Dopóki łąził i zadawał pytania dorosłym, faktycznie nikomu nie zagrażał, ale ostatnio zaczął zaczepiać dzieci. Dałbyś głowę, że twoje się nie wygadają? Bo ja nie. A ty? – zwrócił się do milczącego jak zwykle trzeciego.

– W życiu – burczy zapytany. – Na pewno prędzej czy później dzieciaki powiedziałyby coś, co by mu dało do myślenia. Nie mieliśmy wyjścia. Ale ja nie rozumiem czegoś innego. Po co my go tam niesiemy?

– Jak to po co? – Szef nie kryje irytacji. – A co, chciałeś go sobie postawić na trawniku przed domem? Krasnala miał udawać?

– Nie wkurwiał mnie – ostrzega trzeci. – Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Po ki chuj go tam targamy, przecież i tak planujemy

przenieść go w inne miejsce i zakopać. Nie można było za jednym razem?

– Tak? A skąd wiesz, jak teraz wygląda? Opowiedzieć mu o rozkładzie?

Trąca drugiego w ramię, a gdy ten kiwa głową, rozpoczyna wykład, wymieniając szereg czynników wpływających na tempo rozkładu zwłok.

– Nie mam pojęcia, co tam zastaniemy – kończy przemowę. – Ale jak chcesz, to za chwilę możesz sprawdzić.

– Pojechało cię? – oburza się trzeci, zaraz jednak pyta z ciekawością: – Skąd ty to wszystko wiesz?

Pierwszy nadyma się dumnie.

– Muszę wiedzieć. W końcu jestem specjalistą od martwych ciał.

Mrużąc oczy, zanosí się bezgłośnym śmiechem, przez co nie widzi odrazy na twarzach towarzyszy. Potem zauważa, że tamci już wstali, więc także się podnosi i podchodzi do zwłok. Drugi przystaje i czeka na trzeciego, który nadal wałkuje temat pochówku.

– Nie lepiej byłoby ich gdzieś wywieźć i zakopać? Albo wrzucić do wody?

– Chłopie, czy ci Bóg rozum odebrał? Chcesz jeździć po okolicy z dwoma trupami w aucie? A to jezioro to skąd tu weźmiesz? Najbliższe jest w Tresnej. A może pojedziemy z nimi na Słowację? – nakręcał się coraz bardziej. – Zbiornik Nová Bystrica jest trochę bliżej, tylko że mały. Ale Jezioro Orawskie też nie jest daleko, możemy sobie zrobić wycieczkę. Zabierzemy żony, dzieci...

– Dobra, przestań już. Poczekamy. Tylko jak długo?

Obaj zwrócili się w stronę pierwszego, który znów poczuł się ważny.

– Trzy, góra cztery lata. Wtedy powinny już zostać tylko kości, a te można zebrać do worka i wrzucić do kruszarki. Przecież już o tym mówiliśmy.

Wszystko zostało powiedziane. Trzech mężczyzn zgodnie pochyliła się nad ciałem. Podnoszą je i niosą na miejsce, gdzie

spocznie na długie lata.

W drodze powrotnej nie zachowują już ciszy. Na wszelki wypadek znowu udają pijanych. Wkrótce okazuje się, że nie była to zbyt ostrożność, gdyż zaraz po wyjściu na drogę natykają się na małżeństwo wracające z zabawy.

– A wy co? – pyta mężczyzna ze śmiechem. – Byliście się kąpać w krowim plosie?

– E tam, kto by laźł tak daleko – mówi drugi rozwlekle, jak to miał zwyczaj robić, gdy był pijany. – Nasze kobity urządziły u nas babski wieczór – dodaje ponuro.

– To wszystko wyjaśnia – przyznaje rozśmieszona kobieta. – Chłopy kupiły flaszkę i poszły se siednąć nad potokiem, coby ich nikt nie widział.

– Flaszkę? – oburza się szef. – Flaszka to jest dobra dla dwóch, jak jeden nie pije! A nas jest trzech.

– Czech i Lech, z nimi Rus, trzem im było wypić mus!

To drugi zawodzi na pijacką nutę i gibie się w stronę kobiety, która odsuwa się i łapie męża pod rękę. Żegnają się i odchodzą w stronę domu, a trzech spiskowców wymienia porozumiewawcze uśmiechy. Lepiej nie mogło się zdarzyć. Największa z okolicznych plotkar z pewnością rozpowie wszystkim, co widziała, dokładając do relacji wzięte z wyobraźni sceny. Nie byłiby zdziwieni, gdyby jutro się okazało, że wyczołgawali się z potoku lub spali na środku drogi. W każdym razie wszyscy będą pewni, że ci trzej spędzili prawie całą noc na pijaństwie, nie mogą więc mieć nic wspólnego ani z pożarem starej szopy, ani ze zniknięciem jednego z członków społeczności.

4 listopada 2019, Jasień

Diona jechała wolno przez ukryte wśród gór miasteczko. Chciała przyrzeć się miejscu, w którym przyjdzie jej spędzić kilka, jeśli nie kilkanaście dni. Doszła do wniosku, że z ukształtowania terenu

Jasień bardzo przypomina Szczyrk, jest tylko dużo mniejszy. On również leżał w kotlinie pomiędzy dwoma zboczami, i tutaj także większość domów wybudowano przy ciągnącej się wzdłuż miasta głównej ulicy. Popatrzyła na rozsiane z rzadka na zboczach, mające w oddali budynki i kiwnęła głową do własnych myśli. Tak, to zdecydowanie jest taki mały Szczyrk.

Zabudowania zaczynały się od dużego budynku mieszczącego lokalny zakład oczyszczania miasta. Tuż za nim leżał cmentarz, naprzeciwko zaś znajdowały się budynki mieszkalne i restauracja „Pod jesionem”. Za restauracją ujrzała boisko przylegające do budynku szkolnego, a po drugiej stronie ulicy kościół oraz duży, ładnie zagospodarowany teren okolony ogrodzeniem z żeliwnych elementów. Zwolniła jeszcze bardziej, by odczytać napis na zielonej tablicy. „Dom seniora Jutrzenka”. *Bardziej pasowałby* Zmierzch, pomyślała z charakterystyczną dla niej, nieco zgryźliwą logiką.

Przejechała most nad rwącą rzeczką o nazwie Biała Woda i znalazła się u celu podróży. Po lewej stronie drogi rozpościerał się park należący do domu wczasowego „Ustronie”, po prawej natomiast płot z pomalowanych na zielono desek odgradzający od ulicy posesję opatrzoną numerem pięć. To właśnie tam znajdował się dom Witeckich, wtulony pomiędzy płynącą w głębokim korycie rzeczkę a budynek, w którym mieściła się siedziba władz miasta.

Diona zaparkowała samochód na poboczu, odszukała otrzymane od gospodarzy klucze i podeszła do furtki. Zamek otworzył się bezszelestnie. Sięgnęła do klamki, lecz w tej samej chwili ktoś chwycił ją za ramię. Jednocześnie usłyszała tuż przy lewym uchu wypowiedziane nieprzyjaznym głosem słowa:

– Czego tu?

Szybko zrobiła krok w prawo, jednocześnie wyszarpując ramię z uścisku, i spojrzała na mówiącego. Młody mężczyzna, właściwie chłopak jeszcze, stał stanowczo zbyt blisko, by dobrze się z tym czuła. Nie znosiła, gdy ktoś naruszał jej osobistą przestrzeń, a już na

pewno nie zamierzała na to pozwolić facetowi, któremu z oczu biła agresja.

W dodatku nagle dołączył do niego drugi, wyglądający na emeryta.

– Proszę się odsunąć.

Powiedziała to spokojnym, lecz lodowatym tonem, i zbliżyła dłoń z kluczem do zamka, a młody człowiek ponownie ją złapał, tym razem za nadgarstek.

– Nie dotykaj mnie!

Zlekceważył jej słowa i szarpnął, usiłując odciągnąć od furtki. Ściśnięty kościstymi palcami nadgarstek zapiekł boleśnie. Diona poczuła, że ogarnia ją złość. Pozwoliła jej przepłynąć przez siebie, rozgościć się w każdej komórce ciała i uwolnić adrenalinę, potem przeszła do kontrataku.

Chłopak zawył z bólu, gdy z całej siły nadepnęła mu ciężkim traperem na stopę, lecz zamiast ją puścić, wzmocnił uścisk. Nie próbowała uwolnić nadgarstka, tylko chwyciła jego rękę prawą dłonią i okrążyła go od lewej tak, że znalazła się za jego plecami. Był tak zaskoczony niespodziewanym manewrem, że zorientował się w sytuacji dopiero wtedy, gdy docisnęła mu przedramię do pleców. Znowu zawył i wypuścił jej nadgarstek, lecz ona nie zwolniła uścisku; zamiast tego jeszcze mocniej wygięła mu rękę.

– Auu! Puść mnie, głupia cipo! Dzwoncie na policję – zawołał w stronę nadchodzących z naprzeciwka dwóch kobiet. – To jakaś wariatka! Panie Romku, niech pan coś zrobi!

– Bardzo dobrze, niech zadzwonią – odpowiedziała. – Gliniarze nie lubią facetów szarpiących kobiety.

– Łukasz! – Głos starszej z kobiet był jak cięcie biczem. – Czyś ty do reszty zgłupiał? Z dziewczyną się bijesz?

– To złodziejka, próbowała się tu włamać! – wrzasnęła i chciał się odsunąć, lecz zaraz zastygł i jęknął głośno, gdy poczuł ból w wykręconej ręce. – Patrzcie, co ona robi! Zaraz złamie mi rękę. To boli!

– Grasz w głupie gry, wygrywasz głupie nagrody – rzuciła zimno.

Nagle uwolniła jego rękę i pchnęła chłopaka lekko do przodu. Nie spodziewawszy się takiego obrotu sprawy, zrobił kilka drobnych kroczków, zaczepił czubkiem buta o wystający kamień i upadł na kolana.

– Przewróciła mnie! Będziecie świadkami! – wrzasnął w stronę emeryta i kobiet z uwagą obserwujących zajście.

Chyba nie wzbudziło to ich zachwytu, gdyż wszyscy troje szybko odwrócili wzrok i podreptali przed siebie. Diona stanęła nad spacyfikowanym agresorem.

– Podobno Polska wreszcie wstała z kolan, a ty dalej klęczysz? Czemu mnie szarpałeś?

Chłopak podniósł się do pionu i popatrzył z niechęcią.

– Bo to nie twój dom. Włamywałaś się...

– Otwierałam bramkę kluczem, kretynie. – Podstawiła mu przed nos klucze leżące na wyciągniętej dłoni. – Nie mogłeś zapytać jak człowiek? Wynajęłam ten dom od Witeckich.

Nie wyglądał na przekonanego. Przygryzając wargę, spoglądał podejrzliwie to na nią, to na klucze.

– Skąd mam wiedzieć, czy ich nie ukradłaś? Każdy może powiedzieć, że wynajął.

Zaczynał już ją wkurzać. Ormowiec się znalazł! Ale z drugiej strony zaprzeczał stereotypowej opinii, że młodzi ludzie to egoiści, których nie interesują sprawy innych. Poza tym wyglądał na upartego. Jeśli pójdzie na policję, gotowi wpaść tutaj i ją zglebować, zanim zdąży się wytłumaczyć.

Westchnęła, pogrzebała w torebce i wydobyła złożoną na pół kartkę.

– Masz. Przeczytaj sobie, żeby nie było, że ściemniam.

Rzucił okiem na umowę najmu i mina mu się wydłużyła. Wolno złożył papier na pół i podał Dionie.

– Sorry – bąknął. – Nie pomyślałem...

– No, spoko. – Złagodniała, spojrzała przychylniej. – W sumie chciałeś dobrze.

– Niby tak... To ja już sobie pójdę. Do widzenia.

Odwrócił się i ruszył przed siebie z pochyloną głową. Dioniza patrzyła za nim w zamyśleniu. Nie spodziewała się takiej reakcji u żadnego z sąsiadów. Nie po tym, co opowiedziała jej Magda Witecka. Czyli nie wszyscy byli wrogami nowych mieszkańców.

Naraz przyszło jej do głowy, że może właśnie ten chłopak jest nadawcą wiadomości, i niewiele myśląc, postanowiła to sprawdzić.

– Regis! – zawołała za nim. – Emiel Regis!

Ale chłopak nawet nie zwolnił kroku i Diona musiała uznać swoją pomyłkę. *Albo i nie*, pomyślała, otwierając bramę wjazdową. Równie dobrze mógł celowo zignorować okrzyk, żeby zachować incognito przed nieznaną.

Zaparkowała samochód na podjeździe, zamknęła bramę i złapała ucho podróźnej torby. Pora poznać swój nowy dom.

4 listopada 2019, Rycerka Górna

Zosia Rusek dygotała ze złości i z zimna. Dość długo stała na przystanku i zdążyła już całkiem przemarznąć. Jesienny płaszczyk stanowił kiepską ochronę przed lodowatym wiatrem i wirującymi w powietrzu wielkimi płatkami śniegu. *Przecież rano było ciepło*, pomyślała, kierując pretensje do całego świata. Do siebie również. Mogła sprawdzić prognozę pogody i ubrać się cieplej albo przełożyć spotkanie na inny dzień. Niestety teraz było już za późno.

Nie przewidziała, że z powodu awarii sieci elektrycznej szefowa każe pracownikom pójść do domu. A właściwie można było to przewidzieć. Podczas przekształcania budynku gospodarczego w szwalnię użyto najtańszych materiałów i postawiono na prowizorkę. Zakład funkcjonował już pięć lat, mimo to do dziś straszył odkrytymi puszkami, z których wystawały niezaizolowane

kable, a przy wyłączaniu maszyny z prądu trzeba było bardzo uważać, by przy wyjmowaniu wtyczki nie wyrwać gniazdka ze ściany.

Zmiana rozkładu dnia tak ją zaskoczyła, że zamiast natychmiast pobiec na przystanek, szła wolno, rozmawiając z koleżankami, przez co zobaczyła jedynie tył odjeżdżającego busa. Musiały dość długo poczekać, zanim autobus do Zwardonia wreszcie nadjechał. Dziewczyny wsiadły, a ona została sama, trzęsąc się z zimna i przeklinając niepunktualność przewoźnika, gdyż następny bus z tabliczką „Jasień” nadal się nie pojawiał.

Jednak i do niej w końcu uśmiechnął się los. W zatoczkę przystanku nagle wjechał samochód, a z zapraszająco uchylonych drzwi dobiegł ją męski głos:

– Wracasz do domu? To wskakuj.

Głos wydawał się znajomy, podeszła więc bliżej i popatrzyła badawczo. Od razu rozpoznała tego mężczyznę. Chodziła z jego synem do podstawówki i nieraz się z nim bawiła, choć był trzy lata starszy. Poza tym mężczyzna był jednym z dalszych sąsiadów, toteż wsiadła do auta bez obaw. Wdzięczna za podwózkę, cierpliwie odpowiadała na pytania, którymi dosłownie ją zasypywał, choć w innym przypadku zbyłaby go, być może nawet niezbyt grzecznie. Naraz przypomniała sobie o umówionym spotkaniu.

– Nie pojedzie pan przypadkiem jeszcze raz do Rycerki?

– Do Rycerki? – powtórzył, nie próbując nawet ukryć ciekawości.

– Pewnie masz randkę. Kto jest tym szczęśliwcem?

Z trudem powstrzymała się od przewrócenia oczami. *Facet ma już chyba czterdziestkę. Stary pierdziel, a tylko jedno mu w głowie, pomyślała z pogardą. Pewnie sam już nie może i chce sobie chociaż posłuchać.*

– Nie mam żadnej randki, tylko obiecałam szefowej, że wpadnę po południu – burknęła. – O siedemnastej trzydzieści. Prosiła, żebym pomogła jej posprzątać po robotnikach.

Najpierw skinął głową, potem nią pokręcił. Zosia nie wiedziała, co mogą oznaczać te sprzeczne sygnały, lecz zanim zdążyła wymyślić jakieś wyjaśnienie, mężczyzna powiedział z wyraźnym ubolewaniem:

– Zaraz po powrocie muszę się zabrać do malowania kuchni. Ale mogę popytać sąsiadów. Może któryś z nich by cię zawiózł?

Zosia przeraziła się nie na żarty. Ostatnie, czego sobie życzyła, to robienie afery z jej wyjazdu. Gdyby rodzice się dowiedzieli, od razu wydałoby się, że coś kombinowała, gdyż szefowa od dawna przyjaźniła się z matką.

– Niech pan nie robi sobie kłopotu – rzuciła szybko. – Tak tylko zapytałam. Pojadę busem. Zaraz sprawdzę, o której odjeżdża.

Wyjęła z plecaka telefon i odszukała stronę z rozkładem jazdy. Bus do Rycerki Górnej odjeżdżał o szesnastej pięćdziesiąt pięć, pasował więc idealnie, o czym poinformowała sąsiada, by definitywnie zamknąć temat. Później otworzyła Messengera, chcąc sprawdzić, czy spotkanie nie zostało odwołane, ale pod wysłaną wiadomością nie było nic oprócz wczorajszej odpowiedzi, czyli krótkiego „OK”.

– O Jezu!

Samochód niemal stanął dęba. Zosia poleciała do przodu, pas boleśnie wpił jej się w żebra, a telefon wyfrunął jej z dłoni i upadł pod nogi kierowcy, który ocierał teraz czoło pokryte kropelkami potu. Dorodny jeleń, będący sprawcą zamieszania, nie przejął się piskiem hamulców. Po przebiegnięciu drogi tuż przed maską pojazdu przystanął i popatrzył za siebie, prezentując rozłożyste rogi.

– Musimy poczekać – stwierdził mężczyzna i wyłączył silnik. Nadal trzęsły mu się ręce. – Za nim na pewno idą łanie i wolałbym się z nimi nie spotkać. Poszukam twojego telefonu. – Schylił się i zaczął gmerać po podłodze. Po chwili wydobył urządzenie. – Mam nadzieję, że się nie uszkodził – mruknął. Nacisnął jakiś klawisz i ekran komórki się rozświetlił, ukazując otwieraną ostatnio aplikację. – Chyba wszystko w porządku.

Jeszcze raz rzucił okiem na ekran, oddał telefon i przeniósł wzrok na drogę, gdzie wolnym krokiem defilowało siedem żon rogacza. Odczekał, aż zwierzęta znikną w zaroślach po drugiej stronie drogi, i dopiero wtedy włączył silnik.

Rozdział 7

Randka z wampirem

4 listopada 2019, Jasień

Ojciec znowu wrócił do domu pijany. Zosia poczuła bolesny skurcz żołądka, gdy mężczyzna rozparł się przy stole i zaczął wodzić za matką spojrzeniem, w którym gniew mieszał się z żądzą. Dobrze wiedziała, czym to się skończy.

– To twoja wina, że klepiemy biedę – wrzasnął nagle. – Matuszny bierze pięćset plus na dwoje dzieci, Gruszce co miesiąc wpada dwa tysiące, a Niemczykowi aż trzy. Wszyscy sąsiedzi dostają kasę na dzieci, tylko my dziadujemy, bo księżniczce nie chciało się rodzić. – Stojąca przy piecu kobieta udawała, że nie słyszy narzekań, co zdenerwowało go jeszcze bardziej. Wstał i przyciągnął ją do siebie. – Co, Kaśka, źle mówię? Chodź, zrobimy sobie dzidziusia.

– Przestań, nie wygłupiaj się – usiłowała go zmytygować. – Jakiego dzidziusia? Zgłupiałeś? Za starzy jesteśmy...

– Za starzy? Masz dopiero trzydzieści sześć lat, zdążysz jeszcze niejedno urodzić. Pomyśl, Kaśka. – Mężczyzna się rozmarzył. – Pięcioro albo nawet sześcioro. Wtedy i zapomogi by się nam należały, a jaka przyjemna robotka!

Kobieta strzepnęła dłoń usiłującą wpełznąć jej za dekolta, i odsunęła się na bezpieczną odległość.

– Idź się lepiej prześpij, bo głupoty gadasz. Żadnych dzieci rodzić nie będę. I robić też nie. Też mi przyjemność kłaść się z pijanym.

Znów ją szarpnął, lecz tym razem brutalnie, z gniewem.

– Ja swoje prawa znam – warknął. – Chcesz, żeby ksiądz przypomniął ci o twoich obowiązkach? Znowu ma ci narobić wstydu przed wszystkimi?

Zosia nie mogła tego dłużej słuchać, zwłaszcza że finał awantury był łatwy do przewidzenia. Matka ugnie się jak zawsze i pozwoli zawlec się do sypialni, a potem rozlegną się te ohydne stękania ojca i jej bolesne jęki.

Dziewczyna wzdrygnęła się, zerknęła na zegar w telefonie i ucieszyła się, gdy stwierdziła, że jest już szesnasta trzydzieści osiem. Podjęła błyskawiczną decyzję. Lepiej poczekać kilka minut na przystanku niż słuchać tych odrażających odgłosów. Czym prędzej się ubrała i wybiegła z domu.

Do odjazdu autobusu miała jeszcze dziesięć minut, minęła więc przystanek znajdujący się przed Urzędem Miejskim i poszła na następny, przy cmentarzu. W drodze zastanawiała się, jak powinna przeprowadzić tę rozmowę. *To moja jedyna szansa. Muszę być konkretna i stanowcza – powtarzała sobie w myślach. – Żadnych negocjacji. Albo przystaną na moje warunki, albo nici z transakcji.*

Po kilku minutach znalazła się przed kościołem, skąd dochodził wzmocniony głośnikami śpiew. Msza się już kończyła. Zosia wiedziała, że wierni zaraz się wyroją przed świątynią niczym osy z rozbitego gniazda, przyspieszyła więc kroku, by nikt jej nie zaczepił. Tego jeszcze brakowało, żeby musiała się tłumaczyć wścibskim sąsiadkom, dokąd się wybiera w tak paskudną pogodę.

Wokół panował półmrok. Nie wiedziała, czy to z powodu oszczędności, czy może z innych względów od dłuższego już czasu drogę oświetlała tylko co druga latarnia, a teraz gęsty śnieg dodatkowo utrudniał widzenie. Szła więc z pochyloną głową, wpatrując się uważnie w pobocze, gdzie biały puch skutecznie przykrył wszelkie nierówności. Zastanawiała się przy tym, czy władze miejskie w końcu przychylią się do próśb mieszkańców i wygospodarują fundusze na budowę chodników. Jak na razie nic na to nie wskazywało.

Nagle ciemność rozjaśniły światła nadjeżdżającego auta. Od razu szło się łatwiej. Zosia poczuła żal, że za moment samochód ją wyminie, pozostawiając za sobą mrok. Tak też się stało. Kremowy polonez przejechał, pozostawiając za sobą gryzący smród spalin. Przy okazji ochlapał dziewczynę pośniegowym błotem.

– Co za burak! – warknęła i przystanęła, by oczyścić kurtkę.

Gdzieś za nią rozległ się pisk hamulców, kilka wystrzałów z rury wydechowej, a po chwili znowu omiotły ją światła. Ucieszona z tej niespodziewanej iluminacji szybko ruszyła naprzód, ślizgając się na zaśnieżonej jezdni.

Pojazd zbliżał się coraz bardziej. Słyszała ryk silnika, szmer kół przesuwających się po asfalcie, więc na wszelki wypadek odsunęła się od jezdni, żeby uniknąć ponownego ochlapania. Światła także się przesunęły. Zanim zdążyła pojąć, co to oznacza, rozległ się stłumiony huk i dziewczyna wyleciała w powietrze. Upadła bezwładnie niczym szmaciana lalka wyrzucona na śmietnik. Obuta w czerwony botek noga dotykała siatki odgradzającej restaurację od ulicy, druga, bosa i dziwnie bezbronna w swej nagości, była wygięta pod nienaturalnym kątem, a szeroko rozrzucone ręce wyglądały, jakby chciały objąć zachmurzone niebo, to samo, w które wpatrywały się szeroko rozwarte, niewidzące oczy.

Samochód przystanął, cofnął kilka metrów, po czym zawył silnikiem i na pełnych obrotach wyprysnął do przodu, najeżdżając prawym kołem na głowę leżącej. Podskoczył lekko, wjechał na ulicę, zawrócił i pognął przed siebie.

4 listopada 2019, Rycerka Górna

Punktualnie o siedemnastej trzydzieści Remańska weszła do „Karczmy Zbójnickiej”. Strzepnęła z włosów śnieżną aureolę i przesunęła wzrokiem po wnętrzu. W sali restauracyjnej nie było zbyt wielu gości, toteż mogła się im dokładnie przyjrzeć. Musiała to

zrobić, uświadomiła sobie bowiem, że Witeccy popełnili kardynalny błąd, wysyłając ją na spotkanie. Emiel Regis nie napisał o żadnym znaku rozpoznawczym, musiał więc znać Witeckich. Tymczasem zamiast Krzysztofa lub Magdy na spotkanie stawiała się ona, a to niemal całkowicie uniemożliwiało nawiązanie kontaktu. Dlatego Dioniza postanowiła wytypować Regisa spośród obecnych.

Parę młodych ludzi z dwojgiem małych dzieci zdecydowanie wykluczyła, założywszy, że nikt przy zdrowych zmysłach nie zabierałby rodziny na spotkanie, które pragnął zachować w tajemnicy. Dwie starsze panie również nie wzbudziły jej zainteresowania, podobnie jak siedząca w kącie nastolatka ze smartfonem w ręce, robiąca dzióbek do piątego chyba selfie. Przy następnym stoliku siedziało czterech mocno podpitych mężczyzn. Ze wznoszonego toastu wywnioskowała, że opijają awans jednego z nich, więc ich także wykluczyła. Tym samym pozostał jej tylko samotny, dwudziestokilkuletni mężczyzna, co rusz spoglądający na zegarek. Tak, to musiał być Emiel Regis.

Zdecydowanie ruszyła w jego kierunku. Zostało jej do przejścia może z półtora metra, gdy nagle ktoś ją potrącił.

– Przepraszam.

Rudowłosa dziewczyna w pobielonej śniegiem kurtce uśmiechnęła się zniewalająco i podeszła do wytypowanego przez Dionę mężczyzny. Ten wstał, objął ją i mocno przytulił. Potem usiedli i zaczęli studiować kartę.

– Cholera – mruknęła Dioniza i skrzyła w stronę stolika w rogu sali.

Z głośnym hurgotem przesunęła masywne krzesło i ustawiła je tak, by mieć za plecami ścianę, a przed sobą widok na całą salę i drzwi wejściowe. Zamówiła kawę i spojrzała na zegarek. Od umówionej godziny minęły dopiero dwie minuty, prawdopodobnie więc tajemniczy Emiel Regis lada moment się pojawi.

Kelnerka przyniosła kawę i Remańska delektowała się mocnym, aromatycznym napojem, lustrując jednocześnie salę uważnym

wzrokiem. Mogła przecież pomylić się w ocenie. Jednak żadna z obecnych osób nie rozglądała się w poszukiwaniu znajomej twarzy, nikt też nie wykazywał się nerwowością, co z pewnością robiłby Regis, nie mogąc doczekać się Witeckich.

Kwadrans akademicki minął, lecz Diona postanowiła dać Emielowi szansę i poczekać jeszcze trochę. Warunki drogowe były fatalne, zatem spóźnienie mogło wynikać z powodu kłopotów z dojazdem, nie ze zmiany zdania. Zamówiła colę i przesiedziała nad nią kolejne piętnaście minut, nim pogodziła się z faktem, że nadawca wiadomości wystawił ją do wiatru. Westchnęła i przywołała kelnerkę.

– Poproszę rachunek.

Uiściła żądaną kwotę, schowała portfel do torebki i włożyła ciągle jeszcze wilgotną na plecach kurtkę. Wyjęła z torebki papierosy i zapalniczkę i wsunęła je do kieszeni, by móc zapalić zaraz po wyjściu. Aż ją skręcało z chęci wciągnięcia dymu w płuca. Odmówiła sobie papierosa do kawy, by nie rozpraszać uwagi, ale teraz już jej nie zależało.

Zawiesiła torebkę na ramieniu, lecz nie ruszyła się z miejsca, tylko ze zdumieniem spoglądała na zmierzającego w jej kierunku mężczyznę. Czyżby to był nadawca wiadomości? Nie tak go sobie wyobrażała. Była pewna, że będzie miał niewiele ponad dwadzieścia lat i typowo młodzieżowy look, tymczasem nadchodzący z pewnością dobijał już do czterdziestki, a jego wygląd charakteryzowała stateczna elegancja.

Więcej spostrzeżeń nie zdążyła dokonać, mężczyzna bowiem już stał tuż przed nią.

– Pani czeka na Emila Regisa?

4 listopada 2019, Rycerka – Jasień

Adam Grot zaraz po wejściu do lokalu stwierdził, że jeżeli miałby brać pod uwagę kogoś z obecnych w sali, to tylko tę szczupłą,

ciemnowłosą kobietę, która z wyrazem rezygnacji wkładała właśnie ręce w rękawy kurtki. Nie tracąc czasu, podszedł do niej i zadał pytanie, a potem w napięciu czekał na odpowiedź.

Zwróciła na niego spojrzenie bursztynowych oczu. Dostrzegł w nich zdziwienie.

– To pan? Nie wygląda pan na wampira.

Teraz on się zdumiał.

– Czemu wampira? Nie rozumiem.

– Chce pan powiedzieć, że nie wie, czyje personalia pan sobie przywłaszczył? – Prychnęła pogardliwie. – Wampir Emiel Regis to jeden z bohaterów cyklu o Wiedźminie Andrzeja Sapkowskiego.

– Aha – skwitował krótko.

Nie bardzo wiedział, co powinien odpowiedzieć. Nie czytał Sapkowskiego, nie przyszedł też tutaj po to, by dyskutować o literaturze. Miał zamiar natychmiast przejść do interesującej go ważniejszej kwestii, lecz go uprzedziła i odezwała się pierwsza:

– Wampir Regis miał doskonałe maniery. – Rzuciła mu spojrzenie mówiące dobitnie, że on takowych nie prezentuje. – Nie sądzę, by w jego kodeksie mieściło się przyjście na umówione spotkanie pół godziny po czasie.

Grot zachnął się niecierpliwie. Nie miał czasu na wysłuchiwanie połajanek. Sięgnął po legitymację i dyskretnie pokazał ją kobiecie. Zamrugła powiekami i ku jego ponownemu zdumieniu uśmiechnęła się lekko. Doszedł do wniosku, że gdyby przyszło mu częściej przebywać w jej towarzystwie, uczucie zdumienia stałoby się jego trwałą cechą.

– Starszy sierżant Adam Grot – przedstawił się ściszym głosem. Skinęła lekko głową. – Muszę z panią porozmawiać. Pojedziemy na komisariat. To ważne.

Ostatnie zdanie wymówił z naciskiem, chcąc zapobiec ewentualnym protestom, jednak kobieta przyjęła jego słowa z zadziwiającym spokojem.

– W porządku. Tylko najpierw puszczę sobie dymka, bo za chwilę mnie skręci. To będzie tylko minutka.

Wyszli przed budynek. Kobieta rzeczywiście musiała być na nikotynowym głodzie, gdyż już na schodkach wyjęła papierosa z pudełka i przystanęła, by go zapalić. Podsunęła sierżantowi paczkę, lecz odmówił, a potem z rozbawieniem obserwował, jak z błogą miną łapczywie wciąga dym.

– Jest pani samochodem, prawda? W takim razie najlepiej będzie, żeby jechała pani za mną.

– Dobrze. – Znowu się zaciągnęła. Naraz na jej twarz wypłynął uśmiech. – I tak nie mam pojęcia, dokąd jechać. Jestem w Rycerce pierwszy raz w życiu. Nawet nie wiedziałam, że jest tu komisariat.

Policjant odwzajemnił uśmiech.

– Rycerka podlega pod komisariat w Rajczy. Łatwo tam trafić, bo leży niedaleko cmentarza. Ale nie ma to większego znaczenia, bo ja nie jestem z Rajczy, tylko z komisariatu w Jasieniu. Skończyła pani? To jedziemy.

Subaru forester miało rejestrację wskazującą na Bielsko-Białą. Od nieoznakowanego radiowozu oddzielały go dwa samochody. Grot wyjechał z parkingu, upewnił się, że forester podąża za nim, i skierował się w stronę Jasienia. Co jakiś czas zerkał w lusterko, chcąc sprawdzić, czy subaru nie zdematerializowało się gdzieś po drodze, ale kobieta chyba nie zamierzała próbować żadnych sztuczek, gdyż jej samochód ani na moment nie zniknął mu z oczu. Mimo to odetchnął z ulgą, gdy dojechali na miejsce. Miał nadzieję, że dowie się od niej, co oznaczała dziwna wiadomość w telefonie denatki.

W komisariacie wskazał jej miejsce z drugiej strony biurka i wyjął z szuflady woreczek foliowy z telefonem Zofii Rusek. Uruchomił Messengera, odszukał interesującą go wiadomość i odłożył urządzenie.

– Pani Magdalena Witecka, prawda? Mogę prosić dowód osobisty?

Kobieta nawet nie drgnęła, tylko wpatrzyła się w niego z ogromnym zdumieniem. Wolno pokręciła głową.

– Pomylił pan osoby. Nie jestem Magdaleną Witecką.

– Jak to? – zdziwił się niemądrze. – Przecież czekała pani na Emila Regisa.

– Emiela – poprawiła go. – Regis miał na imię Emiel, nie Emil.

– Jak zwał, tak zwał. Nieważne. Dlaczego przyjechała pani zamiast Witeckich?

– Bo mnie o to poprosili.

Gdy tak spoglądała na niego niewinnie, z czającym się na twarzy półuśmiechem, sierżant miał ochotę nią potrząsnąć. Widział wyraźnie, że nie zamierzała powiedzieć nic ponad to, co musi, a on potrzebował jej wyjaśnień jak powietrza. Przeczynał, że znaleziona w Messengerze wiadomość ma ścisły związek z zabójstwem Zofii Rusek. Bo sierżant od pierwszej chwili nie miał żadnych wątpliwości, że śmierć dziewczyny nie została spowodowana nieszczęśliwym wypadkiem. Koła samochodu pozostawiły na drodze i poboczu wyraźne ślady. Na szczęście policjanci zdążyli dokładnie obfotografować miejsce zdarzenia, zanim przysypał je śnieg.

Popatrzył bez sympatii na kobietę, która swoim zachowaniem utrudniała dojście do prawdy.

– Dowód proszę. Jak się pani nazywa?

– Dioniza Remańska.

Pogrzebała w wielkiej torebce i wydobyla etui na dokumenty, skąd wyciągnęła plastikowy prostokąt. Obejrzał dokument, porównał zdjęcie z twarzą kobiety i zabrał się do spisywania danych z dowodu.

– Gdzie pani mieszka?

– W Strzygomiu.

Podala adres. Zapisał go skrzętnie, po czym na innej kartce odnotował jej dane osobowe, wezwał młodego posterunkowego i podał mu świstek.

– Daj to dyżurnemu, niech sprawdzi w KSIP-ie[4]. Na cito.

Remańska wydawała się rozbawiona tym poleceniem. Półuśmiech nieco się poszerzył, przez co twarz nabrała niepokojącego uroku. Naraz przeniosła wzrok na ekran komórki, który, zbudzony z uśpienia przypadkowym dotknięciem, rozświetlił się, ukazując wiadomość wysłaną do strony Magdaleny Witeckiej. Kobieta zmarszczyła brwi, uśmiech powoli zniknął, zastępowany grymasem niezdecydowania.

– Panie sierżancie – odezwała się niepewnie po chwili namysłu.
– Nie chciałabym być wścibska, ale... – Urwała, po czym dokończyła już zdecydowanie: – To jest telefon Emiela Regisa, prawda? A Regis nie przyszedł po pieniądze. W takim razie są dwie możliwości: albo macie go na dołku, albo przydarzyło mu się coś niezbyt miłego. Mam rację?

Skinął lekko głową, trochę zaskoczony szybką dedukcją.

– O której godzinie przyjechała pani do karczmy?

– Weszłam do sali równo o siedemnastej trzydzieści. – Musiała zauważyć jego niedowierzenie i trafnie odgadnąć przyczynę, gdyż zaraz dopowiedziała: – Cenię sobie punktualność i nie znoszę się spóźniać. Na parking wjechałam kilka minut wcześniej. Tyle, by wypalić papierosa i przyjść na spotkanie o czasie. Zaraz po wejściu zamówiłam kawę. Zauważyłam, że przy realizacji zamówień posługują się tam komputerem, więc nie powinien pan mieć problemu z potwierdzeniem.

Znowu go zaskoczyła, gdy tak niepodziewanie zrezygnowała z powściągliwości i złożyła szczegółowe wyjaśnienie. Zaintrygowała go ta nagła zmiana nastawienia i już miał o to zapytać, gdy przeszkodził mu posterunkowy. Młody funkcjonariusz nawet nie wszedł, tylko wetknął głowę w uchylone drzwi i poinformował zwięźle o wynikach sprawdzania:

– W KSIP-ie pusto.

Grot odnotował ten fakt i przeniósł wzrok na Remańską.

– O której wyjechała pani ze Strzygomia?

Tęczówki jej oczu nagle się rozjarzyły, zmieniając barwę z piwnej w bursztynową.

– Regis chyba jednak nie siedzi na dołku. Ktoś mu coś zrobił, prawda? Dlatego pan mnie tak wypytuje. Czyżby dostał w łeb i pan myśli, że to ja go wyłączyłam?

Nie wyglądała na zbytnio przejętą faktem, że mógł ją podejrzewać. Bardziej na zmartwioną, a tego już kompletnie nie rozumiał. Nie miał jednak czasu na analizowanie jej uczuć. Musiał skupić się na tym, co było dużo ważniejsze.

– Nie odpowiedziała pani na pytanie – przypomniał.

Przez chwilę wyglądała na całkiem zagubioną, potem w tych dziwnych, bursztynowych oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– Ach tak, rzeczywiście. Nie przyjechałam ze Strzygomia, tylko z Bielska-Białej. Domyślam się, że chciałby pan jakoś to potwierdzić.

– Zamyśliła się. – Może po prostu przedstawię panu swój rozkład całego dnia?

Znowu zastanowiła go nagła chęć współpracy, lecz dociekanie powodów mogło ją spłoszyć, toteż ograniczył się do zaakceptowania propozycji.

– Tak byłoby najlepiej.

Remańska poprawiła się na krześle, swobodnie założyła nogę na nogę i przechyliła się do przodu. Oparła zgiętą w łokciu prawą rękę na blacie biurka, wykorzystując w tym celu skrawek wolnej od papierysk powierzchni. Absolutnie nie sprawiała wrażenia osoby zestresowanej wizytą w komisariacie.

– Przyjechałam do Jasienia około dziesiątej rano. Może to poświadczyć pewien młody człowiek, mniej więcej dwudziestoletni. Jasny blondyn, szczupły, średniego wzrostu. Twarz pociągła, bez zarostu, oczy niebieskie, ale jakieś takie blade, jakby sprane. Znak szczególnie to mała, ledwie widoczna blizna przecinająca prawą brew. Przechodzące kobiety mówiły do niego „Łukasz”. Był tam jeszcze taki starszy facet, chyba emeryt. Chłopak zwracał się do

niego „panie Romku”. Gość skojarzył mi się z opowieściami rodziców o ormowcach.

Zrobiła przerwę na zaczerpnięcie oddechu, co wykorzystał na zanotowanie pytania, które postanowił jej zadać. Nie o chłopaka czy emeryta, tu nie miał żadnych wątpliwości, o kim mówiła, ale o nią samą. Sposób, w jaki scharakteryzowała świadka mogącego potwierdzić godzinę jej przyjazdu, bardziej przypominał opis wzięty żywcem z kartoteki policyjnej, a nie relację przeciętnego obywatela o przypadkowym przechodniu.

– Tak dobrze go pani zapamiętała?

– Usiłował powstrzymać mnie od wejścia na posesję Witeckich – wyjaśniła i lekko wzruszyła lewym ramieniem. – Myślał, że mam jakieś nieczne plany. Nie mógł wiedzieć, że wynajęłam od nich ten dom.

Korciło go, by zapytać o przyczyny wynajmu, lecz zrezygnował. To nie należało do sprawy i tylko niepotrzebnie przedłużyłoby rozmowę.

– Co było potem?

Remańska wyglądała na zmieszaną. Wyraźnie umknęła wzrokiem w bok, w stronę otwartej szafy z aktami.

– Najchętniej pominęłabym ten fragment, bo wyszłam na roztrzepaną idiotkę – odpowiedziała z wyraźnymi oporami. – Kiedy się rozpakowałam, odkryłam, że nie zabrałam licencji. Została w Bielsku u rodziców i musiałam po nią wrócić.

– Co to za licencja? – zainteresował się natychmiast.

– Prywatnego detektywa.

Uniósł brwi.

– Przyjechała pani do Jasienia, żeby kogoś śledzić?

Nie bardzo mógł sobie to wyobrazić. Gęsta zabudowa oraz fakt, że niemal wszyscy się znali, z pewnością bardzo utrudniłyby takie zadanie, o ile w ogóle by go nie uniemożliwiły. Ale Remańska zdecydowanie zaprzeczyła, po czym opowiedziała mu o problemach Witeckich z asymilacją z lokalną społecznością. Poczul się głupio,

gdy usłyszał o solidarnym bojkocie. Zawsze mu się wydawało, że wie wszystko o mieszkańcach Jasienia i nic nie jest w stanie go zaskoczyć. A jednak się mylił.

Nie było to miłe uczucie. Zacisnął zęby z irytacją, którą siedząca naprzeciwko niego kobieta odebrała prawdopodobnie jako skierowaną do siebie, gdyż w jej oczach rozjarzyły się iskry gniewu.

– Wiem, co pan myśli – warknęła. – Że miastowi nadwrażliwcy zrobili aferę tylko dlatego, że ktoś krzywo na nich spojrział. Tylko że to nie tak. Niech pan przez chwilę przestanie patrzeć na sprawę poprzez pryzmat lojalności wobec znajomych i spojrz obiektywnie. Witeccy władowali w ten dom wszystkie swoje oszczędności, poza tym spodziewają się dziecka. Naprawdę pan uważa, że z powodu jakiejś drobnej urazy zostawili piękny dom i wrócili do wynajmowania mieszkania za ciężką kasę?

Pozwolił jej mówić, wiedząc dobrze, że ludzie w gniewie często wyrzucają z siebie to, co w innych warunkach nie przeszłoby im przez gardło, nie dowiedział się jednak nic ponad to, co powiedziała już wcześniej. Ale odniósł przynajmniej jedną korzyść – treść wiadomości w telefonie Zofii Rusek przestała być dla niego niezrozumiałym bełkotem.

– Sama pani zaproponowała, że spotka się Emielem Regisem, czy wyszło to od Witeckich?

Po jej minie poznał, że właśnie stracił kilka punktów.

– Ma pan telefon Regisa. – Lekko trąciła palcem leżącą na stole komórkę. – Musi więc pan wiedzieć, że wysłał tę wiadomość do Magdaleny Witeckiej, nie do mnie. Jak mogłabym zaproponować, że pojedę na spotkanie, o którym nie wiedziałam? – Westchnęła cicho i dorzuciła już innym tonem: – Ona nie najlepiej znosi ciężę, a jej mąż ciągle siedzi w pracy. Dlatego poprosili, żebym to ja pojechała do tej karczmy.

– Zdecydowali się mu zapłacić?

Remańska spochmurniała i ze złością wbiła palce we włosy.

– Kazali mi się targować, ale gdyby nic to nie dało, miałam ostatecznie dać mu te pieniądze. Nie dali się przekonać, że to bez sensu. Nie mogli przecież mieć żadnej gwarancji, że Regis powie im prawdę. Szczerze mówiąc, nie wierzę, że miał do powiedzenia coś ważnego. Ale pewności też nie mam.

Grot znów się zamyślił. Remańska wywarła na nim dobre wrażenie. Inteligentna, kierująca się logiką, zdawała się mówić prawdę. Ale, tak jak przed chwilą powiedziała, pewności nie miał.

– O której wyjechała pani z Bielska-Białej?

Nie odpowiedziała od razu, widział, że się zastanawia. W końcu bezradnie rozłożyła ręce.

– Nie mam pojęcia. Mniej więcej o szesnastej dwadzieścia, ale dokładnie to nie wiem. Za to mogę panu pokazać paragon, bo tankowałam po drodze.

Ożywił się, gdy znów zaczęła przegrzebywać torebkę. Wyjęła mocno zmięty świstek i usiłowała go rozprostować, lecz gdy zabiegi nie przyniosły spodziewanego efektu, poddała się i położyła pognieciony karteluszek na biurku. Grot popatrzył na datę. Remańska nie kłamała. Paragon wystawiono o godzinie szesnastej czterdzieści dziewięć.

Z Żywca do Rycerki Górnej jedzie się średnio pół godziny. Gdyby warunki drogowe były lepsze, mogłaby mocniej przycisnąć gaz i zyskać kilka minut, ale w tej zawiei było to niewykonalne, podejrzewał więc, że mogła jechać dłużej. Ale i przy dobrej pogodzie nie miałyby dość czasu, by zajechać do Jasienia i zabić Zofię Rusek. Jemu jazda w jedną stronę zabrała siedem minut, a Remańska musiała jeszcze wrócić do Rycerki, by znaleźć się w karczmie przed siedemnastą trzydzieści. Poza tym opony forestera nie pasowały do pozostawionych śladów.

– Mogę zatrzymać ten paragon? – Skinęła głową. Wsunął karteczkę do plastikowej koszulki i znów się zwrócił do obserwującej jego poczynania kobiety. – Dziękuję za wyjaśnienia. Ale na spotkanie z Emielem Regisem proszę już nie liczyć.

– Powie mi pan, co się stało?

Nie widział powodu, by ukrywać przed nią prawdę. Zdawał sobie sprawę z tego, że wiadomość o śmierci Zofii Rusek z pewnością już się rozniosła po całym miasteczku. Zawsze tak się działo, gdy w Jasieniu zdarzyło się coś nietypowego, a zabójstwa młodej dziewczyny z pewnością nie dało się zaliczyć do wydarzeń typowych.

Widział, że informacja nią wstrząsnęła. Wymamrotała coś, co prawdopodobnie było przekleństwem, i zadała szereg pytań. Na część z nich odpowiedział, resztę zignorował. Oprócz policjantów nikt nie powinien wiedzieć, że na miejscu zdarzenia pozyskano cenne próbki, mogące wiele powiedzieć na temat marki i rocznika samochodu. Nie zamierzał też zdradzać, że po potrąceniu sprawca ponownie najechał na dziewczynę.

– Więcej nie mogę powiedzieć. Przykro mi.

Ośłodził wypowiedź uśmiechem. Nie wydawała się zbyt ubolewać nad odmową zdradzenia szczegółów, bardziej skupiła się na tożsamości Emiela Regisa.

– Dziewczyna – mruknęła cicho, jakby do siebie. – W ogóle nie przyszło mi to do głowy, byłam pewna, że Regis jest facetem. Może przez ten pseudonim? Chyba straciłam intuicję – zmartwiła się.

Nie mieli sobie już nic do powiedzenia i właśnie miał jej oświadczyć, że jest wolna, gdy coś przyszło mu do głowy. Nie mógł wykluczyć, że Zofia Rusek już wcześniej posługiwała się tym pseudonimem, przez co stał się powszechnie znany. Wówczas byle wzmianka mogła kogoś zaalarmować. Kogoś, kto nie chciał dopuścić do jej rozmowy z Witeckimi.

– Czy podczas rozmów z mieszkańcami Jasienia wspomniała pani o spotkaniu z Emielem Regisem?

Remańska kategorycznie zaprzeczyła. Jediną osobą, z którą miała bliższy kontakt, był wspomniany wcześniej Łukasz, a ich rozmowę trudno uznać za przyjazną. Naraz oczy jej błysnęły. Zsunęła torebkę z ramienia, zanurzyła w niej rękę i wydobyła

komórkę. Ignorując popatrującego ciekawie sierżanta, wyszukała w kontaktach jakiś numer i kliknęła ikonkę połączenia.

– Dobry wieczór, pani Magdo. Mówi Remańska. Mam pytanie. Czy kontaktowała się pani ostatnio z kimś z Jasienia? – Wysłuchała dość długiej odpowiedzi, pod koniec bębniąc niecierpliwie palcami w blat biurka. – Na pewno? A może wspomniała pani komuś innemu o spotkaniu z Emielem Regisem? – Znów zabębniła palcami, wyraźnie zirytowana gadulstwem rozmówczyni. – A mąż? On też z nikim o tym nie rozmawiał? – Chwila przerwy. – Dobrze, poczekam. – Zakryła telefon dłonią i zwróciła się do sierżanta: – Poszła zapytać męża. Pewnie trochę to potrwa, bo jest cholernie gadatliwa.

– Poczekamy – odpowiedział ze szczerym uśmiechem. – Też chciałbym wiedzieć, czy komuś nie powiedzieli.

Podobała mu się jej żywiołowa energia. Widać było, że ta kobieta nie zwykła czekać beczynn timer na uśmiech losu, tylko brała sprawy w swoje ręce.

Remańska ponownie przyłożyła komórkę do ucha.

– Tak, jestem. I co? – Słuchała uważnie, wreszcie powiedziała: – Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła. Do wi... Słucham? Może pani powtórzyć?... Nie, niestety się nie pojawił. Zadzwoń jutro i wszystko opowiem. Do widzenia.

Rozłączyła rozmowę i schowała telefon do torebki.

– Jestem jedyną osobą, którą poinformowali o wiadomości i propozycji spotkania. Nie powiedzieli o tym nikomu innemu.

W gruncie rzeczy Grot niczego innego się nie spodziewał. Hipoteza miała zbyt wiele dziur, by mogła być prawdziwa. Jeszcze raz podziękował Dionizie Remańskiej za wyjaśnienia i poprowadził ją do wyjścia, a gdy odjechała, długo spoglądał za foresterem. Myślał o Witeckich i tym, co spotkało ich w Jasieniu.

[4] KSIP – Krajowy System Informacyjny Policji. Jest to centralny zbiór zawierający informacje o podejrzanych o popełnienie przestępstw ściganych z oskarżenia publicznego oraz osobach poszukiwanych lub usiłujących ukryć swoją tożsamość, jak również o zgubionych lub skradzionych rzeczach.

Rozdział 8

Pytania bez odpowiedzi

5 listopada 2019, Jasień

Po przyjeździe do domu Witeckich Dioniza nawet się nie rozpakowała. Czuła się tak wyzuta z sił, że ograniczyła się do wywleczenia z torby ulubionej żółtej piżamy w zielone króliczki i pobiegła pod prysznic, a po kąpieli natychmiast wskoczyła do łóżka, nie przejmując się faktem, że pościel w gościnnym pokoju, leżąca tam od kilku tygodni, mogła się zakurzyć. Było jej wszystko jedno.

Nazajutrz wstała dość wcześnie i wkrótce z ciekawością oglądała miejsce, w którym miała zamieszkać, udając szukającą natchnienia pisarkę. Tym razem postanowiła użyć wymyślonej przez ojczyma i dotąd niewykorzystanej przykrywki. Przy porannej kawie dopracowała szczegóły, mogła więc z czystym sumieniem poświęcić czas na zwiedzanie domu.

Wystrój wnętrz bardzo przypadł jej do gustu, więc z coraz większą sympatią myślała o Magdzie Witeckiej. W stosunku do jej męża tej sympatii było jakby trochę mniej. Krzysztof nie wywarł na niej dobrego wrażenia. Wydał jej się arogancki i zarozumiały, prócz tego miał nieprzyjemny zwyczaj zwracać się do żony z niedbale maskowaną wyższością i z uporem umniejszać wagę wszystkiego, co robiła.

Diona pomyślała o mającym przyjść na świat dziecku i żal jej się zrobiło małej istotki, która będzie dorastać w domu rządzonym ręką

apodyktycznego ojca. Doświadczenie mówiło jej, że zazwyczaj nie wynika z tego nic dobrego.

Zajrzała do sypialni wyglądającej tak, jakby jej użytkownicy mieli lada moment wrócić, i weszła do sąsiedniego pokoju, gdzie ściany oklejone były tapetą w kolorowy deseń przedstawiający różne zwierzątka. Niezbyt przestronny, lecz widny i przytulny, aż się prosił, by zamieszkało w nim dziecko.

Naprzeciwko znajdowała się łazienka, obok niej dwa pokoje. W pierwszym z nich zainstalowała się wczoraj, zbyt zmęczona, by oglądać coś więcej, dzisiaj jednak doszła do wniosku, że powinna była wybrać sąsiedni, z oknem wychodzącym na ogród. Niewiele myśląc, przeniosła do niego używaną w nocy pościel, a czystą umieściła na łóżku, w którym spędziła noc. Tu okno znajdowało się od strony sąsiedniej posesji, a że nie planowała wpatrywania się w siedzibę władz miejskich, uznała to pomieszczenie za mniej atrakcyjne.

Przeniosła do swojego nowego lokum torbę podróżną i wypakowała ubrania oraz inne niezbędne przedmioty. Jednych i drugich nie było wiele, gdyż Diona od dawna ograniczała bagaż podróżny do niezbędnego minimum, wychodząc ze słusznego założenia, że i tak nie jest w stanie przewidzieć wszystkich okoliczności, a przecież nie będzie zabierać ze sobą wszystkiego. Poza tym nie jechała w dziką głąsę; w razie potrzeby zawsze może kupić potrzebną rzecz na miejscu.

Po skończonej pracy podeszła do okna i zapatrzyła się na pokryty śnieżnym puchem ogród. Stwierdziła, że nie jest w stanie domyślić się, co kryje się pod tą białą szatą, mimo to uznała, że jest ładny. Nie znosiła ogrodów nadmiernie uporządkowanych, gdzie rośliny stały kornie w rzędku, przycięte równiutko i najczęściej rozmieszczone zgodnie z zasadami symetrii, a tutaj raczej tego nie było. Pomyślała, że jutro, najdalej pojutrze przekona się, czy ma rację. Pierwszy śnieg nigdy długo nie leżał, a po skapujących z gałęzi kroplach poznała, że odwilż już się zaczęła.

Nie zważając na poranny chłód, Dioniza wyszła na balkon, a jej wzrok powędrował odrobinę w prawo, na zaczynający się tuż za płotem wąwóz z płynącą na jego dnie rzeczką, potem dalej, na rozrzucone po stromym zboczu budynki, z tej odległości maleńkie jak domki dla lalek. Poczwała do Witeckich wdzięczność, że nie zdecydowali się na kupno domu stojącego właśnie tam. Jazda zimą pod tę górę musiała być męczarnią.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch i skierowała spojrzenie z powrotem na ogród, w samą porę, by zobaczyć pomarańczoworudą plamkę na piersi pękatego ptaszka o długich cienkich nóżkach i wielkich, okrągłych, czarnych oczkach. W następnej chwili rudzik zatrzepotał skrzydłami i odfrunął, znikając w gąszczu sąsiedniego ogrodu. Podążając za nim wzrokiem, Diona zwróciła uwagę na gęstwinę dawno nieprzycinanych krzewów, jabłonie nadal uginające się pod ciężarem niezebranych owoców i na wystające spod śniegu wysokie źdźbła traw. W głębi leżały sterty bezładnie zwalonych desek.

Przemknęło jej przez głowę, że to musi być ten ogród od Białej Matyldy, o którym Szymon Ogiński mówił z wyraźną niechęcią. Sama nie widziała w nim niczego niepokojącego, dlatego zachowanie nadkomisarza wydało jej się lekko przesadzone.

– Zachowywał się tak, jakby wcale nie powtarzał cudzej relacji, tylko sam w nim przebywał i doświadczył spotkania z Matyldą.

Wypowiedziana na głos konkluzja zabrzmiała tak absurdalnie, że Dioniza parsknęła śmiechem i odeszła od okna. Spojrzała na zegarek i zdecydowanym krokiem zbiegła po schodach. Najwyższy czas poznać mieszkańców Jasienia.

6 listopada 2019, Jodłowiec

Ogińskiego coraz bardziej korciło, by poznać przeszłość chłopaka, o którym wiedział tylko tyle, że nosi pseudonim Ratio

i prawdopodobnie mieszka w Bielsku-Białej. W przeciwieństwie do Lipskich nie podejrzewał go o kroczenie ścieżką poza prawem. Chciał jedynie poznać jego drogę do normalności, gdyż wszystko wskazywało na to, że Ratio nie zawsze był przykładnym obywatelem.

Nadkomisarz kilka razy już-już miał sprawdzić to w systemie, na szczęście za każdym razem rozsądek zwyciężał. Po każdym takim działaniu zostaje ślad. Może mógłby wytłumaczyć celowość, ale on sam wiedziałby, że postąpił nieetycznie. Jak więc mógłby wymagać od swoich podwładnych poszanowania zasad?

Jednak ciekawość nie ustępowała i w końcu Ogiński się poddał. Nie tknął wprowadzie systemu, zresztą, jeśli jego podejrzenia były słuszne, nic by tam nie znalazł. Zadzwoił za to do kolegi, z którym przez krótki czas służył w jednym z bielskich komisariatów.

– Cześć, Daniel. Co nowego? Słyszałem, że przeszedłeś do CBS.

Komisarz Daniel Laszczak nie odpowiedział od razu; prawdopodobnie zastanawiał się, kim jest rozmówca.

– Ogi? To ty? Sorry, przy wymianie telefonu wyżarło mi część numerów. Co się stało, że komendanty dzwonią do zwykłego funkcjonariusza?

A więc wiedział o objęciu przez Szymona stanowiska komendanta komisariatu. To znacznie upraszczało sprawę, gdyż obejdzie się bez dokładnego tłumaczenia.

– Niby ty jesteś tym zwykłym funkcjonariuszem? – Roześmiał się głośno. Zbyt dobrze pamiętał niekonwencjonalne metody Daniela. – Dalej zmuszasz szczeniaków do picia kompotów i zagryzania korniszonami?

Usłyszał w słuchawce serdeczny śmiech.

– To były piękne czasy. Teraz taki numer by nie przeszedł. Rodzice gówniarza od razu oskarżyliby mnie o znęcanie się i nikogo by nie obchodziło, że dzięki temu gnojek raz na zawsze oduczył się włamywania do cudzych piwnic. – Laszczak umilkł na moment,

potem odezwał się już poważnie, bez śladu rozbawienia w głosie: – Co mogę dla ciebie zrobić? Bo przecież nie dzwonisz po to, by powspominać dawne dzieje.

Taki właśnie był Daniel. Mogli nie kontaktować się przez wiele miesięcy, ale łącząca ich więź pozostała silna, więc krążenie wokół tematu byłoby tylko stratą czasu. Laszczak domyślał się, czemu zawdzięcza niespodziewany telefon.

– Mam do ciebie taką nietypową prośbę – przyznał Ogiński otwarcie. – Chciałbym dowiedzieć się czegoś o pewnym chłopaku i pomyślałem, że może znasz go z czasów, gdy służyłeś w komisariacie.

– Nie możesz sprawdzić w KSIP-ie? – zdziwił się Laszczak.

– Nie bardzo. Nie toczy się żadne postępowanie z jego udziałem, więc sam rozumiesz. – Usłyszał pomruk komisarza i mówił dalej: – To taka moja prywatna ciekawość, więc nie chcę, żeby ktoś u nas się dowiedział, że wziąłem go pod lupę.

– Dobra, się zrobi. Dawaj jego dane.

– Adresu nie znam. – Ogiński lekko się zająknął. – Wiem tylko, że gość mieszka w Bielsku. Ma jakieś dwadzieścia lat, może rok czy dwa więcej. Wysoki, czarnowłosy, na lewym przedramieniu ma dziarę z motocyklem, a spod niej przebija napis ACAB.

W słuchawce rozległ się śmiech Daniela.

– Przypomniał mi się taki jeden gość, który ukrył CHWDP pod wieźminem. To dlatego się nim interesujesz?

Nadkomisarz pomyślał, że Laszczak jest stanowczo zbyt domyślny. Można było właściwie przewidzieć, że wysnuje taki wniosek.

– Coś w ten deseń – odparł oględnie. – Opowiem ci przy okazji.

– Niech będzie. Ja takiego gostka nie kojarzę, ale popytam dyskretnie kumpli. Jak on się nazywa?

Ogiński naraz poczuł się jak ostatni krety. Jak mógł żądać od kolegi, by ten tracił swój prywatny czas na poszukiwania, które nie mają szans się powieść? Gdyby to jemu zlecono odnalezienie

człowieka, nie podając przy tym ani adresu, ani personaliów, postukałby się w głowę.

– Wiesz co, Daniel? To był jednak głupi pomysł.

Kilkanaście sekund później pomyślał, że tę reakcję Laszczaka również powinien był przewidzieć, Daniel bowiem zaraz uczeplił się powodów rezygnacji i tak długo wałkował temat, że nadkomisarz wreszcie się poddał.

– Bo to bez sensu. Nie znam jego nazwiska. Nie wiem nawet, jak ma na imię. Znam tylko ksywę, a to trochę za mało.

Zaskoczyło go, że Laszczak miał na ten temat inne zdanie.

– Żebyś się nie zdziwił. Już nieraz się okazywało, że lepiej znać ksywę niż nazwisko. No więc? Podasz mi ją czy dalej będziesz się czajnikować?

– Mówią na niego Ratio.

Zaczął literować pseudonim chłopaka, lecz Laszczak przerwał mu zaraz po głosce „A”.

– Nie produkuj się, już zapisałem. I od razu ci powiem, że kiedyś o nim słyszałem. Kumpel o nim wspominał, a że pseudo jest nietypowe, to zapamiętałem.

– A co mówił? – spytał szybko Ogiński.

Daniel się zniecierpliwił.

– Szymon, ja nie mam w głowie dysku twardego. To było ze trzy, cztery lata temu. Myślisz, że pamiętam? Ale poczekaj, coś mi świta.

Umilkł nagle i w telefonie zapadła cisza, przerywana typowo biurowymi odgłosami. Stukot klawiatury, trzaśnięcie drzwiami, odgłos kroków i szmer czyjejs rozmowy w tle. Nadkomisarz czekał dość długo, wreszcie się zniecierpliwił.

– Daniel? Daniel, jesteś?

– Jestem.

Laszczak odezwał się, gdy palec Ogińskiego już miał dotknąć ikonki z czerwoną słuchawką. Nadkomisarz w ostatniej chwili cofnął go i przyłożył komórkę do ucha.

– Co mówiłeś?

– Że byłem w pokoju u tego kumpla, ale gdzieś polazł. Ja pamiętam tylko, że ten Ratio podobno miał w dzieciństwie cholernie pod górkę. Jakieś grube problemy w domu. Dlatego wściekał się na cały świat i zaczął się zadawać z patusami.

– Miał kartotekę jako nieletni?

Ogiński zadał to pytanie pustym, beznamiętnym głosem. Nadal nie potrafił zdystansować się do podobnych spraw i usiłował pokryć to sztuczną obojętnością. Laszczaka jednak nie zdołał oszukać.

– Szymon, przede mną nie musisz udawać książątka. – Nie doczekał się żadnej reakcji, mówił więc dalej: – Nie, kartoteki chyba nie miał, Roman nic o tym nie wspominał. Podobno trafił na policjantkę, która przemówiła mu do rozumu, i chłopak się naprostował.

– Tak, to by się zgadzało – mruknął nadkomisarz. – Poproś kumpla, żeby do mnie zadzwonił, dobra? Jak do tego doszło, że o nim gadaliście?

Laszczak zastanawiał się przez jakiś czas.

– Pasował mi do jednej sprawy, ale Roman twierdził, że to na pewno nie on. To wtedy mi o nim opowiedział. No i kurwa, miał rację. Wiesz, ja powinienem mieć gdzieś dane tego Ratia, jeśli go typowałem na podejrzanego. Ale nie pamiętam nawet, o co dokładnie chodziło. Wiesz, ile spraw od tamtego czasu prowadziłem? Kojarzę tylko, że gośćek miał takie niespotykane imię. Ale jakie? Ni hu, hu sobie nie przypomnę. Musisz poczekać na telefon od Romana.

Po zakończeniu rozmowy Ogiński podparł brodę pięściami i zapatrzył się za okno. Ponura, mglista szarość doskonale konweniowała z jego nastrojem. Pomyślał, że niepotrzebnie zadzwonił do Daniela. Trzeba było zostawić przeszłość Ratia w spokoju, wtedy nie wróciłoby wspomnienie jego własnej. A może to znak, że powinien wreszcie zmierzyć się z ukrytymi głęboko w duszy demonami i spróbować je okiełznać? Tym bardziej że chyba

wcale nie są tak dobrze ukryte, skoro wystarczyły myśli o cudzym nieszczęśliwym dzieciństwie, by udało się je przywołać.

6 listopada 2019, Jasień

Sierżant Grot postanowił, że przy okazji zadawania pytań o Zofię Rusek spróbuje się dowiedzieć czegoś więcej o bojkocie Witeckich. Zastanawiał się, jak to możliwe, że wcześniej nic o tym nie słyszał. Zdawał sobie sprawę z tego, że policjant jest ostatnią osobą, przed którą mieszkańcy chcieliby się pochwalić podobnie nieetycznym zachowaniem, ale z drugiej strony nie było chyba przypadku, by wiadomość o czymś, co działo się w tej małej społeczności, prędzej czy później nie dotarła do jego uszu.

Zaczął już nawet podejrzewać, że Witeccy konfabulowali, chcąc usprawiedliwić przed znajomymi nagłą wyprowadzkę, gdy natknął się na Karola Ulika, właściciela lokalnych zakładów mięsnych. Mężczyzna nie wniósł do sprawy zabójstwa Rusek kompletnie nic, natomiast zapytany o Witeckich, gwałtownie poczerwieniał.

– Nie obsłużyłem ich, bo mi się nie spodobali – rzucił gniewnie. – Ten cały Krzysztof to zarozumiały dupek, patrzy na człowieka jak na psie gówno.

Grot dopiero teraz przypomniał sobie, że Ulik co roku sprzedawał na festynie swoje wyroby, a uzyskany dochód przeznaczal na dofinansowanie szkolnych obiadów dla dzieci gorzej sytuowanych mieszkańców Jasienia.

– To było na festynie. Wtedy ich pan nie obsłużył – stwierdził, chcąc się upewnić.

– A nie obsłużyłem – przytaknął Ulik. – Jestem wolnym człowiekiem i mogę odmówić obsłużenia, jak mi się klient nie spodoba. Takie jest prawo, potwierdził to wyrok Trybunału Konstytucyjnego. A pan co, pewnie jakiś lewak? – spytał na widok zde gustowanej miny policjanta.

– Nie wiedziałem, że klauzula sumienia obejmuje także sprzedaż kaszanki.

Grot odszedł szybko, nie chcąc wdawać się w dalszą dyskusję. Policjant powinien być apolityczny, tymczasem Ulik ewidentnie chciał go sprowokować do dyskusji o polityce. Gdyby to jeszcze miała być dyskusja! Niestety błysk fanatyzmu w oczach mężczyzny kazał Grotowi przypuszczać, że bardziej powinien spodziewać się peanów na cześć rządu, a także agresji słownej w wypadku zakwestionowania bodaj jednego stwierdzenia.

Co się stało z tymi ludźmi? – zastanawiał się w drodze do domu Zajaków. Nawet w czasach minionych nie było takich podziałów. Wprawdzie miał wtedy zaledwie kilka lat, ale wiedział z opowiadań rodziców, że mieli znajomych należących tak do partii, jak do opozycji. Gdy jednak to niedobre grono spotykało się na wspólnych imprezach, spędzano miło czas, unikając drażliwych kwestii. Podobnie było z religią. Nikogo nie obchodziło, w jakiego boga kto wierzy i czy w ogóle jest wierzący. A teraz?

Machnął ręką i wymamrotał przekleństwo, co przyciągnęło uwagę przechodzących kobiet. Zachichotały, a on spojrzał przytomniej i rozpoznał Halinę Matuszną, właścicielkę sklepu budowlano-rolniczego. Druga z kobiet, Anna Zajac, była żoną brata Matusznej, piastującego w Jasieniu urząd burmistrza. To właśnie do jej domu zmierzał, gdyż Jakuba Zajaca i Zosię Rusek często widywano razem i wszystko wskazywało na to, że stanowili parę.

– Dzień dobry. – Skłonił się uprzejmie, gdy się z nim zrównały. – Czy syn jest w domu? – zwrócił się do Zajacowej.

Kobieta spojrzała na wieżę kościelną, gdzie ogromny zegar niezmiennie od wielu lat odmierzał czas.

– Jeżeli nie polazł gdzieś po drodze ze szkoły, to powinien być już w domu. Dopiero wracam z pracy, więc nie wiem na pewno.

– Nie szkodzi. – Uśmiechnął się do sympatycznej burmistrzowej.
– Najwyżej zaliczę spacerek. To podobno dobre dla zdrowia.

Ton jego głosu świadczył, że ma w tej materii całkiem inne zdanie, co sprowokowało kobiety do dyskusji o wpływie zajęć ruchowych na kondycję zdrowotną. Halina Matuszna, szczupła i wiotka mimo urodzenia trojga dzieci, stwierdziła, że ludzie propagujący hasło „bądź fit” bezczelnie robią ludziom wodę z mózgu, żeby nabić własną kiesę. Jej bratowa była przeciwnego zdania. Stwierdziła, że ćwiczenia fizyczne są niezmiernie ważne dla zachowania smukłej sylwetki i ogólnie dla zdrowia.

Grot przezornie stłumił wypełzający na twarz uśmiech. O ogólnym stanie zdrowia Anny Zając nie mógł się wypowiedzieć, ale spoglądając na figurę burmistrzowej, nie mógł się oprzeć podejrzeniom, że w jej przypadku codzienny trening bardziej jest pobożnym życzeniem niż rzeczywistością. Niewysoka, pulchna kobieta stanowiła chodzące zaprzeczenie teorii, że systematyczne ćwiczenia to główna droga do osiągnięcia nieskazitelnej sylwetki. Przy swojej tuszy była jednak tak urocza, iż po namyśle sierżant doszedł do wniosku, że jeśli ktoś z rodziny Zająców powinien się odchudzać, to prędzej burmistrz.

Mirosław Zając ze swoim olbrzymim brzuszyskiem, wielkimi jak u kobiety piersiami i nalaną, wiecznie zaczerwienioną twarzą może by nie rzucał się tak w oczy, gdyby nie jego wypowiedzi. Nie dość, że miały seksistowski wydźwięk, to jeszcze emanowało z nich przeświadczenie, że ich głosiciel uważa się za obiekt kobiecych westchnień.

Przed domem Zająców pożegnali Matuszną i weszli do środka. Jakub Zając rzeczywiście wrócił już do domu i jakkolwiek widać było, że jest zdziwiony wizytą policjanta, przywitał się uprzejmie i zaprosił do swojego pokoju. Matkę wyraźnie to zaniepokoiło.

– Może porozmawiacie w salonie?

– Mamo! – Kuba spojrzał porozumiewawczo na Grota i skrzywił się ostentacyjnie. – Jestem już pełnoletni i nie potrzebuję asysty rodziców podczas przesłuchania.

– Tym bardziej że to nie jest przesłuchanie, tylko zwyczajna rozmowa – włączył się Grot. – Syn nie jest o nic podejrzany. Chcę mu zadać kilka pytań, bo wiem, że przyjaźnił się z Zosią Rusek.

Zającowa nie protestowała dłużej. Kuba wyjął z lodówki butelkę coli, zabrał z ociekacza dwie szklanki i zaprowadził sierżanta na piętro, gdzie znajdował się jego pokój.

– Sorki, że nie zaproponowałem kawy. Ale ekspres długo się nagrzewa i zanim zrobiłbym kawę, matka zdążyłaby wezwać ojca. – Nalał coli do szklanek i podał jedną policjantowi. – Niech pan lepiej pospieszy się z tymi pytaniami, bo stary pewnie już jest w drodze. Czasem można z nimi kurwicy dostać. *Full control*. A Milena to w ogóle ma przesrane.

– To twoja siostra, prawda? – Sierżant przesuwiał szklankę po blacie stolika. – Kumplowała się z Zosią?

Kuba wzruszył ramionami.

– Jakoś specjalnie to nie. Nie były takimi przyjaciółkami, co to zwierzają się sobie ze wszystkiego. Kolegowały się tak ogólnie, jak z innymi.

– A ty? – spytał szybko Grot.

Chłopak zmieszał się i lekko poczerwieniał.

– No... Niby chodziliśmy ze sobą, ale to nie było...

Urwał i wpatrzył się w czubki swoich butów. Sierżant czekał cierpliwie, lecz Kuba uparcie milczał.

– Co chciałeś powiedzieć? Że nie sypialiście ze sobą?

Jakub poczerwieniał jeszcze bardziej.

– To też. Bo wie pan, to była ściema. Myśmy tylko udawali, żeby starsi się nie dopieprzali. Bo Zośka tak naprawdę była z Mariuszem Niemczykiem, a ja z jego siostrą Marleną.

Policjant przywołał w pamięci twarz wysokiego, ciemnowłosego chłopaka o pochmurnej urodzie, potem przed oczami stanęła mu ładna buzia młodzietki dziewczyny, bardzo podobnej do brata.

– Czy ona nie jest trochę za młoda? – spytał ostrożnie.

Kuba popatrzył mu prosto w oczy.

– W maju ukończyła siedemnaście. I my wcale... my jeszcze nie...

– Dobra, zostawmy to. – Grot ulitował się nad nim. – Powiedz lepiej, czemu nie spotykacie się otwarcie.

– Bo rodzice mówią, że Niemczykowie to zwyczajna patologia. Starzy nie pracują, żyją z zasiłków i pięćsetplusów i tylko dzieci robią. Matka Marleny znowu jest w ciąży, a przecież ta najmłodsza dziewczynka nie ma jeszcze roku. Dlatego mamie Zosi też się nie podobało, że Mariusz do niej przychodził. Jej ojciec to olewał, ale on jest taki jak Niemczyk. Też lubi sobie wypić i od kilku miesięcy nigdzie nie pracuje.

Adam Grot zamyślił się nad tymi słowami. Nawet gdyby wybuchł otwarty konflikt między rodzinami Rusków i Niemczyków, to nie widział w tym powodu do pozbawiania życia Zosi. No i obie rodziny nie miały samochodów.

– Kuba, znasz przecież wszystkich w miasteczku. Czy jest ktoś, kto nienawidził Zosi? A może komuś groziła?

Wyrażająca niedowierzanie mina chłopaka w zasadzie wystarczyła za odpowiedź. Jakub wyglądał tak, jakby z całych sił walczył, żeby się nie roześmiać.

– Zosia miała by komuś grozić? *No way!* Ona nie umiałaby nikogo skrzywdzić, no i wrogów też nie miała. Wszyscy ją lubili, bo była uczynna i uprzejma. – Naraz głos Jakuba się załamał. – Niech pan znajdzie tego, co ją przejechał. Powinien zgnić w pierdłu.

Grot pomyślał ze smutkiem, że nawet jeśli zdoła ująć sprawcę, ten pewnie po jakichś dziesięciu latach wyjdzie na wolność. Albo i wcześniej. Polskie prawo dziwnie łagodnie traktowało wszelkiej maści bandziorów.

Naraz ich uszu dobiegły podniesione głosy i sierżant pojął, że oto w domu pojawił się pan burmistrz we własnej pękatej osobie, zatem czas na spokojną rozmowę dobiegł końca. Czym prędzej zadał ostatnie pytanie.

– Czy wiesz, kto to był Emiel Regis?

Kuba popatrzył pustym wzrokiem i pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Czy to jakiś aktor?

– Lubisz czytać książki? – zapytał znowu Adam, zamiast odpowiedzieć, a Jakub Zając skrzywił się wymownie.

– Nie bardzo. Nienawidziłem szkolnych lektur i zawsze mnie dziwiło, że Zośce się chce tak ciągle czytać. Namawiała mnie, ale to nie moja bajka.

Na schodach rozległy się ciężkie kroki, więc Grot podziękował rozmówcy i wyszedł na korytarz, gdzie mocno zdyszany Mirosław Zając zastąpił mu drogę. Policjant wyminął go zgrabnym zwodem i zbiegł na parter, ścigany gniewnymi okrzykami burmistrza, by nigdy nie próbował przesłuchiwać jego dzieci bez obecności rodziców czy adwokata. Udał, że nie słyszy, pożegnał panią domu i wyszedł.

Postanowił w najbliższym czasie odwiedzić Niemczyków. Miał nadzieję, że Zosia była bardziej otwarta w rozmowach z ukochanym niż z kolegą i Mariusz będzie mógł rzucić choć odrobinę światła na powody, dla których ktoś postanowił pozbawić ją życia.

Rozdział 9

Niełatwe życie

Dawniej

Tego dnia ukończyłem piętnaście lat. Pani Lińska jeszcze dobrze nas nie poznała i pewnie dlatego narobiła mi przypału przed całą klasą. Wychowawczynie z podstawówki nigdy by tak się nie odezwała, bo wiedziała dobrze, że nie powinna mówić głośno o moich urodzinach. Spotkała się kilka razy z moją mamą i nie miała żadnych złudzeń.

Ale nowa, jak to nowa – chciała pokazać, że interesuje się klasą. Dlatego ogłosiła, że dziś są moje urodziny, i dodała, że jeżeli chcę poczęstować klasę słodyczami, mogę to zrobić teraz, na lekcji wychowawczej. No i stałem potem czerwony jak burak i nie wiedziałem, co robić, bo przecież nie miałem żadnych słodyczy.

Nie miałem nawet na butkę, żeby wypełnić czymś pusty od blisko dwóch dni żołądek, ale tego nie mogłem przecież powiedzieć. Już wystarczająco dużo kpin musiałem znosić z powodu spranych koszulek czy przykrótkich spodni. Inni chłopcy wymieniali nazwy znanych firm odzieżowych, licytowali się, która z marek jest lepsza. A ja? Nieraz mnie korciło, żeby powiedzieć, że ja też mam markową garderobę. Marki „grzebok”.

Pani Lińska patrzyła na mnie wyczekująco, w klasie rozlegały się coraz głośniejsze chichoty, więc w końcu wypaliłem: „Nie mam żadnych słodyczy. Nie obchodzę urodzin”. Ci, którzy znali mnie z podstawówki, przyjęli to bez komentarza, inni zaczęli dogadywać,

że jakoś o tym nie wspominałem, kiedy ktoś inny częstował. Zrobił się taki szum, że wychowawczyni musiała wrzasnąć, żeby się uciszeli.

Jakoś dobrnąłem do końca lekcji i mogłem wreszcie pójść do domu. Ale tam nie było lepiej. Wolałbym już zawsze słuchać dogadywań kolegów niż patrzeć, jak mama pozwala się obmacywać jakiemuś lujowi w zamian za kilka łyków taniego wina. Żadnego jedzenia dalej nie było, chociaż sprawdziłem wszystko dokładnie; zniknęła nawet ta resztką starej mąki, którą planowałem rozmieszać z wodą i upiec placki. Wychodziły koszarne, twardsze od sucharów, ale pomagały choć na chwilę oszukać głód.

Facet na tapczanie opuścił już spodnie. Ogarnął mnie taki wkurw, że aż łzy stanęły mi w oczach. Gdybym mógł, złapałbym gościa za wszarz i spuścił z piętra, ale byłem mały i chudy. Taki kurdupel, w dodatku słaby z niedożywienia. Gdybyż wystające łokcie i kolana mogły zastąpić mięśnie!

Wyszedłem z domu, myśląc przy tym mściwie, że idę na pole. Mama zawsze mnie pouczała, że wychodzi się na dwór. Ale moi wszyscy znajomi mówili „na polu” i robili sobie bekę z tego jej „na dworzu”.

Dowlokłem się do ławki pod drzewem i usiadłem, bo jakoś dziwnie kręciło mi się w głowie, tylko że i tu nie dane mi było zaznać spokoju. Zaraz pojawiło się dwóch takich, co terroryzowali młodszych, zabierając im pieniądze. Od dawna nie miałem w kieszeniach nawet pięćdziesięciu groszy, więc trochę się zdziwiłem, że tracą na mnie czas. Okazało się jednak, że wcale nie przyszli po pieniądze.

– Ty, Kojot – zagaił Kibic, mniej więcej osiemnastoletni dryblas w okręconym wokół szyi szaliku Podbeskidzia. – Ty jesteś synem tej Ulki spod siódemki?

Zaskoczyło mnie, że zna moją podwórkową ksywę, którą obdarzyli mnie koledzy z podstawówki właśnie dlatego, że byłem niepozorny i przemykałem chyłkiem, w obawie przed zaczepką;

dotychczas myślałem, że w ogóle mnie nie zauważał. Skinąłem głową, niezdolny do wyartykułowania odpowiedzi. Bałem się bicia, ale jeszcze bardziej bałem się tego, co Kibic powie o mojej matce. On jednak nie skomentował mojego gestu, tylko przyglądał mi się tak jakoś taksująco. Odezwał się za to ten drugi, nie wiadomo dlaczego nazywany przez kumpli Danny'm.

– U niej jest teraz taki facet. On ma kupę szmalu.

Nie wytrzymałem i parsknąłem śmiechem, za co zarobiłem w kark.

– Czego ryjesz, debilu?

Powinienem być milczeć, ale nie, nagle obudził się we mnie specjalista od znajomości ludzkich zachowań.

– Jakby miał szmal, toby nie przyniósł mózgojeba. I nie szedłby do wyra z moją matką, tylko wyhaczył jakąś młodą laskę.

Zacząłem głośno, lecz w miarę, jak mówiłem, mój głos stawał się cichszy, pod koniec niewiele głośniejszy od szeptu. Pochyliłem głowę w oczekiwaniu na uderzenie, lecz ono nie nastąpiło.

– Chuj wie, czemu do niej przyszedł, i chuj mnie to obchodzi – powiedział Kibic, a mnie tak strasznie korciło, żeby błysnąć odzywką o powtarzaniu się, że aż zatkałem usta dłonią. – Nas interesuje jego szmal, kumasz, gnojku?

Przytaknąłem, bo rzeczywiście wreszcie zacząłem kumać, a ich pomysł szalenie mi się spodobał. Byłem nabuzowany wściekłością i marzyłem o zemście. Na niej, że znowu o mnie zapomniała, choć tyle razy składała uroczyste przyrzeczenie, że już nigdy więcej, że to był ostatni raz. I na tamtym dostatnio wyglądającym mężczyźnie, że spoglądał na mnie, jakbym był przezroczysty, i że powiedział do mnie: „spierdalaj, żebraku”, kiedy poprosiłem ją o pieniądze.

Zerknąłem ukradkiem na Kibica i Danny'ego. Jeszcze pół godziny temu byli moimi największymi wrogami, ale teraz sprzymierzył nas inny wróg, groźniejszy, bo dorosły. Podjąłem decyzję.

– Co mam zrobić?

Po twarzy Kibica rozlał się szeroki uśmiech.

– No, Kojot, nie myślałem, że masz jaja. Nie spierdol tego, młody. Musisz go tylko zagadać, my zrobimy resztę. Udawaj, że nas nie znasz, bo on może cię rozpoznać.

To spodobało mi się jeszcze bardziej, a pragnienie zemsty opanowało mnie do tego stopnia, że zapomniałem o naukach wpajanych mi przez ojca. „Nie kradnij”, „nie oszukuj”, „nie kłam”, „nie bij słabszych”... Ruszyłem za chłopakami i z jakąś dziką satysfakcją obracałem w ustach słowa skierowane do mężczyzny, który mnie spłodził. *Nie masz prawa mnie pouczać, bo nas zostawiłeś.* Międlilem je tak długo, aż zaczęły się kurczyć i spłaszczać, jakbym wysysał z nich całą treść. W końcu stały się pustym dźwiękiem, lecz nawet wtedy nie wydostały się na zewnątrz. To była sprawa między nami dwoma i nikt obcy nie powinien o niej wiedzieć.

Kibic wyznaczył mi stanowisko przy śmietniku. Facet zaparkował samochód tuż obok, mieliśmy więc pewność, że nam nie umknie. Chłopaki planowali schować się za śmietnikowym płotkiem i zająć go od tyłu, i właśnie przymierzali się do zajęcia stanowiska, gdy o czymś sobie przypomniałem.

– Czekaście! – Przystanęli, popatrzyli groźnie. Chyba myśleli, że wymiękłem. – On ma skitraną kasę – powiedziałem szybko. – Widziałem, jak przekładał ją z portfela, kiedy mama rozkładała wersalkę.

– Chyba nogi! – zarechotał Danny i jako wierny satelita upewnił się spojrzeniem, czy Kibic docenił dowcip.

Nie docenił. Przeciwnie, walnął Danny'ego w tył głowy i rzucił krótko:

– Zamknij ryło, baranie! – I do mnie: – Po co chował kasę?

Wzruszyłem ramionami.

– Pewnie się bał, że jak zaśnie, to mama go obrobi. – Znowu zrobił powątpiewającą minę, więc dorzuciłem obrażonym tonem: – Ma taką małą kieszonkę w spodniach, tuż pod paskiem. Tam schował. Ale jak nie chcesz, to nie wierz.

Niespodziewanie z pomocą przyszedł mi Danny.

– Co nam szkodzi sprawdzić?

Kibic nie odpowiedział, tylko kazał mi zająć stanowisko, sam zaś zniknął z Dannym za śmietnikiem. Dalej wszystko już poszło gładko. Gdy facet doszedł do wyznaczonego punktu, zastąpiłem mu drogę i zacząłem jęczeć, żeby dał mi dychę na jedzenie. Chłopaki później uznali, że mam zdolności aktorskie, ale tak naprawdę to wcale nie grałem. Byłem tak głodny, że ćmiło mi się w oczach i ta jękliwa prośba wcale nie była udawana.

Gość próbował mnie wyminąć, lecz znów stanąłem przed nim. Schylił się i wyciągnął ręce, żeby mnie odsunąć, a wtedy do akcji wkroczył Kibic. Zaszedł go od tyłu i złapał wpół, a Danny zwinnymi palcami sięgnął do kieszeni i wyjął portfel. Potem próbował dostać się do tajnej kieszonki, co nie było łatwym zadaniem, gdyż facet wił się, usiłując strącić Kibica, który siedział mu na plecach i ścisnął kolanami w pasie i rękami za szyję. Wreszcie Danny dostał się do kieszonki i wydobył z niej plik złożonych na pół banknotów. Wtedy zainteresował się portfelem. Wyjął całą gotówkę i rzucił portfel na ziemię.

– Karty ci zostawiamy, bo mamy dobre serce – powiedział Kibic i zwolnił uścisk. – A ty, gnojku – spojrzał na mnie groźnie – piśnij tylko słowo, a nigdy nie wrócisz do mamusi. Kumaszu, szczyłu?

Wypadło to tak naturalnie, że gość nie zorientował się, jaką naprawdę rolę odegrałem. Nawet pomógł mi się podnieść, gdyż podczas szamotaniny na wszelki wypadek udałem, że upadam, i resztę incydentu obserwowałem z pozycji leżącej.

– Nie ci nie jest?

– Nic, tylko kolano stłukłem.

Schylił się po portfel, zajrzał do środka i skrzywiwszy się wymownie, otworzył kieszonkę na bilon.

– Na, trzymaj, kup sobie pizzę. – Wysypał mi na dłoń całą zawartość. – I pamiętaj, co powiedział ten bandzior. Morda w kubeł.

Patrzyłem za nim, gdy masując kark, szedł do samochodu, a w dłoni kurczowo trzymałem monety. Rozprostowałem palce dopiero po jego odjeździe i szybko przeliczyłem zdobycz. Całe trzydzieści dwa sześćdziesiąt! Przez chwilę czułem się bogaty jak Bill Gates, lecz zaraz przyszło opamiętanie. Jeśli tamci mnie obserwowali, nigdy mi nie darują, że to przed nimi zataiłem. Ze smętną miną poszedłem w stronę ławki, gdzie mieli na mnie czekać.

Kibic zdążył już podzielić łup. Właśnie chowali pieniądze do kieszeni, gdy podszedłem i wysypałem mu monety na kolana.

– Dał mi – odpowiedziałem na niezadane pytanie.

Nie dodałem nic więcej w obawie, że się rozplączę. Właśnie pomogłem napaść na człowieka, a teraz okazało się, że zrobiłem to całkiem za darmo. Znowu zrobiło mi się słabo, więc czym prędzej usiadłem na trawie.

– Ej, Kojot, coś ty taki blady? – zainteresował się Danny. – Ze strachu, co? No, przyznaj się, że speniałeś.

Kibic też na mnie spojrzał, ale inaczej. Nie wiem do dziś, czy domyślił się prawdy, w każdym razie pozbiierał monety i wcisnął mi w dłoń. – To twoje, chłopaku. Tobie dał, to bierz. – Wyjął z kieszonki T-shirtu kilka banknotów i położył na monetach, ciągle spoczywających na mojej wyprostowanej dłoni. – Twoja dola. Schowaj dobrze przed starą, bo weźmie i przepije. No, na co czekasz, ziom? Chcesz, żeby wiatr je porwał?

Na myśl o takim finale dłoń bezwiednie zamknęła się na pieniądzach. Wcisnąłem ją w kieszeń i siedziałem milczący niczym posąg Buddy, nie mając dość sił, by ruszyć się z miejsca. Kibic szturchnął kolegę w bok.

– Kopsnij się po coś do żarcia, bo zgłodniałem. – A gdy Danny się oddalił, powiedział, kierując słowa do mnie: – Dobrze ci poszło. Możesz do nas dołączyć. Na wielki szmal nie masz co liczyć, ale parę złotych zawsze ci wpadnie i na żarcie wystarczy.

Podjąłem decyzję, zanim wrócił Danny, nie miałem tylko dość sił, by się odezwać. Młodszy z chłopaków wcale nie był takim bucem, za

jakiego go miałem. Dla mnie również kupił kebsa.

Ten gest Danny'ego i wcześniejsze słowa Kibica sprawiły, że od tej pory byłem z nimi duszą i ciałem.

7 listopada 2019, Jasień

Początkowo przyjmowali jej obecność z ostrożnym zaciekawieniem. Nie próbowała zaprzyjaźniać się na siłę. Wiedziała doskonale, że zbyt nachalne dążenie do bliższej konfidencji zazwyczaj wywołuje skutek odwrotny do zamierzonego. Niech sami się do niej przekonają, bez zbędnych nacisków i przymilania. Zresztą pora nie sprzyjała zacieśnianiu towarzyskich kontaktów, miasteczko bowiem jakby zamarło, przerażone potwornością zbrodni, i musiało minąć kilka dni, nim życie Jasienia wróciło do normy.

Z rzucanych tu i ówdzie uwag Dioniza wywnioskowała, że Zosia Rusek była powszechnie lubiana. Pogodna i uczynna, nie wdawała się w konflikty czy kłótnie i mieszkańcy nie potrafili pojąć, dlaczego ktoś miałby ją celowo pozbawić życia. Ogólnie panowało przekonanie, że potrafił ją jakiś nieuważny kierowca, który później spanikował i uciekł, nie udzielwszy pomocy. Tak, to musiał być zwykły wypadek i policja niepotrzebnie robi aferę, szukając w tym drugiego dna.

Diona milczała. Przysłuchiwała się wysnuwanym teoriom, sama jednak nie włączała się do rozmów, pozostając w roli słuchacza i obserwatora, choć mogła jednym zdaniem rozbić w pył pracowicie tkane scenariusze. Przynęła sierżantowi Grotowi, że nikomu nie zdradzi tego, czego przypadkiem się dowiedziała, poza tym ciekawiło ją, kiedy prawda wyjdzie na jaw. Bo że prędzej czy później stanie się powszechnie znana, tego była całkowicie pewna, gdyż, pomijając przewidywalną niedyskrecję któregoś z funkcjonariuszy, był ktoś, kto doskonale znał prawdziwy przebieg zdarzenia. Tym kimś był jeden z mieszkańców pozornie spokojnego miasteczka.

Ona poznała zatajone przed cywilami szczegóły przez przypadek. Kiedy po rozmowie z Grotem szła do samochodu, wpadł na nią młody funkcjonariusz. Szedł szybko z głową pochyloną dla ochrony przed sypiącym mu prosto w twarz śniegiem i zauważył ją dopiero, gdy się zderzyli. Diona wylądowała w kałuży, a na nogi upadł jej notatnik policjanta, z długopisem zatkniętym za ostatnio wypełnianą stronę. Obok wylądował zwitek jakichś papierów. Starszy posterunkowy na ten widok zastygł, nie wiedząc, czym powinien najpierw się zająć. Zaczął dukać nieskładnie słowa przeprosin, lecz przerwała mu, wskazując nasiąkające wilgocią dokumenty. Młody mężczyzna rzucił się do ratowania papierów, ona zaś dźwignęła się z lodowatej kałuży, wyjęła z kieszeni chusteczkę i zaczęła osuszać kartkę notatnika z brudnych kropel. Nie potrafiła się powstrzymać, by nie przeczytać zapisanych tam zdań, dzięki czemu poznała ważne szczegóły ustaleń, niedostępne dla osób nieupoważnionych.

O tym jednak nie zamierzała nikomu mówić, powodowana solidarnością z policjantami, do których grona należała przez ponad siedem lat. Zresztą nie miała ku temu okazji. Jej obecność w miasteczku została natychmiast zauważona i Dioniza często napotykała kierowane ku sobie nieufne spojrzenia. Nikt jednak nie spytał o przyczyny jej przyjazdu i o powiązania z Witeckimi, choć przecież musiano wiedzieć, że właśnie w ich domu zamieszkała. Domyślała się, że jej pojawienie się zostało przyćmione zabójstwem młodej dziewczyny, nie miała więc innego wyjścia, jak poczekać na unormowanie sytuacji i dopiero wtedy zabrać się do zadawania pytań. Snuła się więc po Jasieniu i tylko czujnie nadstawiała ucha.

*

Chata Niemczyków znajdowała się wysoko na zboczu, tuż pod lasem. Była stareńka, zbudowana jeszcze przez pradziadka Mariusza. Składała się z dwóch izb i kuchni oraz przerobionego ze

strychu nieogrzewanego pokoiku na piętrze. To Mariusz wygospodarował dla siebie odrobinę prywatnej przestrzeni, niestety z chwilą nadejścia mrozów musiał ją opuścić i przenieść się na dół, przez co zrobiło się jeszcze ciasniej.

Gdy policjant wszedł do kuchni, zastał pana domu rozwalonego na krześle i dyrygującego drobniutką, ciemnooką dziewczuszką, która przygotowywała kąpiel w balii stojącej na środku kuchni. Policjant przypomniał sobie, co o tej rodzinie mówił kiedyś jeden z podwładnych. Niemczykowie nie mieli w domu łazienki ani ciepłej wody, jedynie pompę, dzięki której nie musieli taszczyć wiader ze studni, jak to bywało w czasach dziadka obecnego gospodarza. Jeszcze gorzej przedstawiała się sprawa toalety – czy mróz, czy deszcz, musieli biegać do stojącej na podwórzu wygódki.

Lewy bok budynku odgradzał część mieszkalną od obory, która od dawna stała pusta, gdyż Michał Niemczyk uznał, że hodowanie krowy, kur czy prosiaka jest nieopłacalne. Tak samo nieopłacalne było dla niego uprawianie leżącego tuż za domem pola. Wyglądało na to, że za jedyne przynoszące profity zajęcie uznał robienie dzieci, ponieważ od czasu wprowadzenia pięćset plus rodzina powiększyła się o cztery dziewczynki, z których najstarsza liczyła sobie lat cztery, a najmłodsza nie miała jeszcze roczku.

Troje starszego rodzeństwa pomagało w opiece nad tym drobiazgiem, co z pewnością wiele znaczyło dla ich umęczonej matki. Kobieta wyglądała na lat pięćdziesiąt. Grot wiedział, że ma dopiero trzydzieści osiem, a mocno wystający brzuch świadczył o zaawansowanej ciąży. Ósme dziecko w tej biedzie i ciasnocie! Sierżant aż się wzdrygnął.

Dziewczynka, o ile się nie pomylił, trzecia z kolei i licząca czternaście lat, na polecenie ojca sięgnęła po ogromny sagan z gorącą wodą, stojący na kaflowym piecu. Grot natychmiast ją powstrzymał.

– Zostaw, to za ciężkie dla ciebie. Czemu sam nie nalesz wody? – zwrócił się ostro do gospodarza. – Przecież ona jest za

mała na taki ciężar.

– Da radę – burknął Michał Niemczyk i ani drgnął. – Kąpanie dzieciek to babska robota.

– Hmm. – Policjant rozejrzał się ostentacyjnie po zagraconej kuchni. – A co ty robisz? Jaka jest męska robota?

– W polu robić, drzewa urąbać, naprawić, jak się coś zepsuje...

Niemczyk zaczął butnie, lecz pod wpływem wzroku sierżanta z każdym słowem tracił kontenans. Grot nie wytrzymał.

– Przestań pieprzyć! W polu od dawna nie robisz, po drzewo wysłałeś Mariusza, a naprawy... – Zawiesił głos i podniósł oparty o ścianę trójnogi taboret. Czwarta leżała na podłodze, pokryta grubą warstwą kurzu. – Bierz tę wodę, bo stracę cierpliwość!

Mężczyzna podniósł się niechętnie i nalał wody do balii. Popatrywał przy tym na policjanta z taką złością, że gdyby nie obawa przed konsekwencjami, pewnie wylałby mu wrzątek na głowę.

– Kąpać i kąpać – pomrukiwał gniewnie. – Nas matka kąpała raz na dwa tygodnie i było dobrze, a teraz to jakieś nowomodne zwyczaje się wprowadza.

– Czemu nie przerobisz obory na łazienkę? – Grot w myślach dokonał pomiarów. – To duże pomieszczenie, spokojnie wykroiłbyś z niego łazienkę i duży pokój, a może nawet dwa mniejsze.

Niemczyk tylko się skrzywił.

– Za co? To kosztuje, a pieniędzy nie ma. Mariusz zarabia grosze u Ulika, Marlena i Izka jeszcze chodzą do szkoły i ciągle tylko żebrzą o pieniądze na książki i zeszyty. Skąd mam brać na to wszystko?

– Jakbyś poszedł do roboty, zamiast siedzieć w domu i gapić się na telewizję, to pieniądze by były. – Grot zauważył, że Niemczyk ciągle zerka przez otwarte drzwi do pokoju, skąd dochodził szmer jakiejś rozmowy. Zajrzał tam, powodowany ciekawością, i zobaczył wiszący na ścianie błyszczący nowością wielki telewizor. – Za co kupiłeś ten sprzęt? Pięćset plus jest na dzieci, a nie na zachcianki rodziców.

Przerwało mu wejście Mariusza, taszczącego wiklinowy kosz, po brzegi wypełniony kawałkami bukowego drewna. Młody człowiek postawił kosz, otrzepał spodnie z trocin i zwrócił się do gościa:

– Chodźmy na górę, tam można spokojnie pogadać.

Weszli po stromych, wąskich schodach na strych, gdzie wydzielono całkiem zgrabny pokój z dwoma dachowymi oknami. Panował w nim wzorowy porządek, a wystrój, choć niebogaty, sprawiał bardzo przyjemne wrażenie.

Podobnie jak jego właściciel, dlatego policjant przyznał przed sobą, że niesłusznie się do niego uprzedził. Młody człowiek może i nie wyglądał zbyt przyjaźnie, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Zresztą po krótkiej wizycie w ciasnym, potwornie zagraconym domku Grot doszedł do wniosku, że sam też obnosiłby się ze wściekłą miną, gdyby przyszło mu mieszkać w takich warunkach i w takim zagęszczeniu.

– Ładnie tu – pochwalił szczerze. – Pewnie ci żal, że musiałeś się przenieść na dół?

– Jakoś muszę wytrzymać. – Chłopak udawał obojętność, lecz nie był zbyt dobrym aktorem. – Nie miałem innego wyjścia. Za zimno tu przy takiej pogodzie – tłumaczył policjantowi, oglądającemu z zaciekawieniem fachowo postawioną ściankę działową. – Próbowałem przygrzać farelką, ale od razu wypieprzyło korki. Ta instalacja to jedna wielka prowizorka, aż cud, że w ogóle mamy prąd.

Policjant przyjrzał się osadzeniu drzwi, przeniósł wzrok na okna i z uznaniem pokiwał głową.

– Widzę, że znasz się na budowlance. Czemu nie poszukasz roboty w większym mieście? Wiem, że w Bielsku-Białej poszukują takich, co znają się na murarce, na kładzeniu gładzi i w ogóle na tego typu robotach. Wiesz, taki człowiek omnibus. Dałbyś radę? Znam właściciela jednej firmy, mogę z nim pogadać.

Ponurą twarz chłopaka rozjaśnił uśmiech, w oczach błysnęła nadzieja.

– Mógłby pan? Naprawdę?

– No pewnie. Dziwię się, że jeszcze o tym nie pomyślałeś.

– Pomyślałem – zaprzeczył Mariusz żywo. – Ale nie chciałem zostawić Zosi, a ona bała się wyjechać. Ale teraz.. Gdybym się wyniósł, mogłyby tu zamieszkać Marlena i Izka. Na dole nie ma warunków do nauki. Małe ciągle wrzeszczą i siostry muszą się nimi zajmować, a jeszcze ojciec się nimi wystługuje.

Grot znów pokiwał głową i podciągnął wyżej zamek kurtki. Był dopiero początek listopada, a w pokoiku już panował przeraźliwy ziąb.

– Powiedz mi, Mariusz, co ci jest wiadomo o Emielu Regisie – rzucił nagle.

Młody Niemczyk wyraźnie się spłoszył i uciekł spojrzeniem w bok.

– To taki dobry wampir z powieści...

– Wiesz, może jesteś niezły we wciskaniu pierdół rodzicom, ale ze mną ten numer nie przejdzie – ostrzegł policjant. – Zabezpieczyliśmy telefon Zosi, więc dobrze wiemy, że to ona. Zresztą nie o to pytałem. Mnie chodzi o informacje, które chciała sprzedać Witeckim. Co wiesz na ten temat?

– Nie mam pojęcia, co to było – odparł Mariusz i wyglądało na to, że tym razem mówi szczerze. – Nie chciała mi powiedzieć. Mówiła, że to tajemnica, która nigdy nie może wyjść na jaw, i że mam nie naciskać.

– A może twoja siostra coś wie? Marlena. Kuba Zając mówił, że spotykaliście się we czworo, a dziewczyny lubią się sobie zwierzać.

Twarz chłopaka nagle wykrzywiła się w grymasie rozpacz i policjant pojął, że spokój, który brał za obojętność, był tylko efektem zaskakującego w tym wieku opanowania. Teraz jednak samokontrola roztrzaskała się o emocje, zbyt gwałtowne, by młody człowiek umiał sobie z nimi poradzić.

– Myśli pan, że nie chcę pomóc?! – wykrzyknął łamiącym się głosem. – Gdybym coś wiedział, od razu poszedłbym na komisariat.

Przecież Zosia... ja... zależało mi na niej. Od wczoraj nic, tylko się zastanawiamy z Marleną, czy nie wiemy czegoś, co mogłoby wam pomóc. Albo czy Zośka czegoś nie powiedziała. Ale niczego takiego nie było, a pan uważa... Kurwa!... Nie mogę...

Zaplątał się we własne myśli i w słowa, których nie potrafił wypowiedzieć, wreszcie rozpląkał się z bezsilności. Grot go nie pocieszał, podszedł tylko, usiadł tuż obok i uściskiem ramienia dał znać, że rozumie jego ból. Minuty mijały. Oddech Mariusza stopniowo się wyrównywał, aż wrócił do normalnego rytmu. Chłopak uniósł głowę i spojrzał niepewnie na policjanta, jakby szukał w jego twarzy oznak kpiny czy rozbawienia. Ale zobaczył tam tylko zamyślenie. Chrząknął dla zwrócenia uwagi.

– Wczoraj Zosia wyszła wcześniej z pracy, bo mieli awarię prądu – odezwał się, gdy sierżant podniósł na niego wzrok. – To jedyne nietypowe zdarzenie, jakie kojarzę.

Grot natychmiast się ożywił, oczy błysnęły zaciekawieniem.

– Skąd wiesz? Widziałeś się z nią?

– Tylko przez chwilę. Ja szedłem do sklepu, a Zosia akurat wysiadła z samochodu.

– Tu, w Jasieniu? – upewnił się policjant. – Kur... de, nikt nie wspomniał, że przyjechała samochodem.

Mariusz wzruszył ramionami.

– Pewnie nikt nie wiedział. Zawsze dojeżdżała autobusem, tylko że wczoraj wypadł z kursu. A pan Matuszny akurat wracał do domu i zabrał ją z przystanku. Kiedy przyjechali, cholernie sypało i pod sklepem nie było nikogo.

Pewnie nikt nie wiedział, powtórzył sierżant w myślach. Nikt prócz Sławomira Matusznego, który nie wspomniał o tym nawet słowem. Dlaczego?

Rozdział 10

Niespodziewana wizyta

8 listopada 2019, Jasień

Czwarty dzień pobytu w Jasieniu nie różnił się niczym od dwóch poprzednich. Może tylko tym, że coraz więcej twarzy potrafiła skojarzyć z nazwiskami, a i ona stała się rozpoznawalna. Jeszcze nie dla wszystkich, ale coraz więcej osób witało ją uśmiechem czy skinieniem głowy. Nikt jednak o nic nie pytał.

Sama także milczała, doszła bowiem do wniosku, że lepiej poczekać z zadawaniem pytań o powody ostracyzmu do czasu, gdy mieszkańcy już do niej przywykną. Jednak całkowity brak prób zaprzyjaźnienia się mógłby zaszkodzić jej wiarygodności, gdyż nowi przeważnie chcą jak najszybciej nawiązać kontakt z tubylcami. Uznała, że najbezpieczniejszym tematem będzie Biała Matylda. Takie opowieści zawsze i wszędzie wzbudzały zainteresowanie i nawet byłoby dziwne, gdyby o nią nie zapytała.

– Wynajęłam dom od państwa Witeckich – zagaiła w sklepie spożywczym.

Wysoka, chuda ekspedientka o pociągłej twarzy i ciemnoblonde włosach upiętych w koronę obdarzyła ją zawodowym uśmiechem.

– To ładny dom – stwierdziła dość obojętnie. – Na stałe czy czasowo?

– Jeszcze nie zdecydowałam – odparła Diona. – Zobaczymy, co powie mój narzeczony. Wie pani, jak to jest.

Obojętny dotychczas uśmiech kobiety zamienił się w szczery, a towarzyszące mu prychnięcie oznajmiło Remańskiej, że zagrała na właściwej nucie.

– Oni zawsze myślą, że to ich zdanie jest najważniejsze.

– No właśnie. – Dioniza skwapliwie przytaknęła. – Mnie się tu podoba, dlatego zrobię wszystko, żeby zechciał odkupić od Witeckich ten dom. Jest piękny, no i miałabym wreszcie własny ogród. Zawsze o tym marzyłam.

Ekspedientka szczytała kod z opakowania lavazzy i sięgnęła po reklamówkę z połówką chleba.

– Zna się pani na ogrodnictwie?

Obojętny ton świadczył, że zadała to pytanie wyłącznie z grzeczności.

– Nie bardzo – przyznała Diona z odrobinę zakłopotaną miną. – Ale bardzo lubię kwiaty, a zieleń podobno dobrze robi na oczy. Za dużo siedzę przed monitorem. A, właśnie! Słyszałam wzmianki o Białej Matyldzie, która błąka się po starym ogrodzie i porywa dzieci. Czy to jakaś lokalna legenda?

Kobieta uniosła głowę znad stoika z marynowaną papryką i spojrzała na klientkę dziwnie chłodno.

– Biała Matylda? Pierwsze słyszę. Ktoś pani głupot nagadał.

– No nie wiem – nie ustępowała Diona. – Podano mi nawet miejsce, gdzie ta zjawia ma zwyczaj spacerować. To stary ogród Witeckich.

– Jak już, to Mizerów – mruknęła ekspedientka.

Remańska nie oglądała aktu kupna, więc była to dla niej całkiem nowa informacja. Nie miała dla sprawy żadnego znaczenia, ale Dioniza lubiła kolekcjonować w pamięci takie detale. Nigdy nie wiadomo, czy kiedyś się nie przydadzą.

– Tak się nazywali poprzedni właściciele? Nie wiedziałam. Ale teraz ogród jest Witeckich, a może niedługo będzie mój, bo oni chcą sprzedać całość.

– Po co to pani? – zdziwiła się kobieta. – Wszystko tam na pewno zdziczało i trza będzie włożyć masę pieniędzy, żeby ogród jako tako wyglądał.

Nie powiedziała już nic więcej, a Diona nie chciała zbyt nachalnie dopytywać. Wróciła do domu, zaparzyła kawę i otworzyła notes, by zapisać nazwisko Mizera. Potem rozważała przyczyny wyjątkowej powściągliwości mieszkańców Jasienia w zadawaniu pytań. Naprawdę nie zaciekawiła nikogo w miasteczku? Nawet tego emeryta, Romana Ogórka, o którym dowiedziała się z podsłuchanej przypadkowo rozmowy, że kiedyś rzeczywiście należał do ORMO i z dawnych lat pozostała mu skłonność do nadmiernego interesowania się cudzym życiem? Nie nurtowało ich nawet to, dlaczego zamieszkała w domu Witeckich? Zastanawiające.

Poświęciła więc trochę czasu na zgłębienie zagadnienia i po dość długim namyśle znalazła przyczynę nietypowego dla małego miasteczka zachowania. Był przecież ktoś, kto widział fikcyjną umowę najmu, przygotowaną przez zapobiegliwą Magdę Witecką. Miał na imię Łukasz, a później Dioniza poznała również jego nazwisko. Łukasz Matuszny, którego matka odmówiła Witeckiemu sprzedania artykułów budowlanych.

– Ciekawe – mruknęła. Zabrała kubek z kawą i usiadła na wygodnej kanapie w salonie. – Matka brała udział w bojkocie Witeckich, a syn troszczy się o ich dobytek. O co w tym wszystkim chodzi?

Spoglądała za okno z takim napięciem, jakby oczekiwała stamtąd odpowiedzi. Ale jedyne, co przyciągnęło jej uwagę, to rudzik, podskakujący śmiesznie na długich, cienkich nóżkach. Westchnęła i odstawiła kubek.

Nigdy nie zaliczała się do osób cierpliwych i takie bezczynne czekanie na moment, gdy zostanie zaakceptowana przez mieszkańców na tyle, by zechcieli z nią rozmawiać, męczyło ją i wytrącało z równowagi. Doskwierała jej też samotność. W Strzygomiu również mieszkała sama, ale byli tam ludzie, których

w każdej chwili mogła odwiedzić. Mirabelka, Drawiczowie, Kotlarscy i Marcin...

Marcin? Roześmiała się gorzko. Jak mogła się tak pomylić? A była go taka pewna!

Dzwonek był tak przeraźliwy, że aż podskoczyła. Przemknęło jej przez myśl, że chyba czuwał nad nią jakiś święty od czystych ubrań, dlatego wcześniej odstawiła kawę na stolik. Mimo woli się uśmiechnęła. W drodze do drzwi zastanawiała się, kto może za nimi stać. Czyżby wreszcie któryś z lokalsów postanowił się zaprzyjaźnić? Szybko przekręciła klucz i wyszła przed dom.

Tym razem czekał grzecznie przed furtką, co rozśmieszyło ją tak bardzo, że chichotała, zwalniając zamek i nawet jeszcze wtedy, gdy już stał przed nią i patrzył jak na osobę niespełna rozumu.

– Ratio, co ty tu robisz? – wyjąkała wreszcie. – Jak mnie znalazłeś?

Młody człowiek najpierw uściskał ją serdecznie i dopiero potem się odezwał, lecz zignorował jej pytanie i zadał własne:

– Możemy wejść do środka? Cholernie tu wieje.

Dopiero teraz odkryła, że wyszła w bluzce z krótkim rękawem i trzęsie się z zimna. Czym prędzej zaprosiła niespodziewanego gościa do środka, zamknęła drzwi i ponowiła pytanie, nie mogąc pojąć, skąd chłopak wiedział, gdzie ją znaleźć.

– Kto ci powiedział, gdzie jestem?

– Pan Imielski.

Swoim zwyczajem ograniczył się wyłącznie do zwięzłej odpowiedzi na zadane pytanie. Na ogół przyjmowała to jako coś naturalnego, bywały jednak chwile, gdy charakterystyczna dla niego cecha ją irytowała. Tak właśnie było obecnie, poczuła się bowiem jak ktoś poddawany inwigilacji.

– Może by tak coś więcej? – sarknęła i skierowała się do kuchni. Denerwujący czy nie, Ratio nie zrobił nic, co zasługiwałoby na karę. A tym byłoby pozbawienie go możliwości napicia się kawy. – Całkiem dobrze wyglądasz z tym zarostem – skomentowała jego nowy

image. – Fajnie, że jesteś, ale nie wierzę, że przyjechałeś, żeby pochwalić się brodą. Ani w to, że już się stęskniłeś. Masz do mnie jakąś sprawę?

– Nie. – Zauważył jej minę i uśmiechnął się kącikiem ust. – Dobra, już mówię. Pan Imielski mnie poprosił, żebym cię obstawiał.

– Co?!

Remańską zalała fala irytacji. Gdy po podpisaniu umowy z Witeckimi wpadła jeszcze na moment do domu, zastała tam już ojczyrna, a w tej sytuacji nie wypadało wyjechać bez pożegnania. Tym bardziej że skruszona mina Imielskiego rozbroiła ją nawet bardziej niż żarliwe słowa przeprosin. Zachowanie mężczyzny mówiło jasno, że zrozumiał swój błąd i poniechał prób wtrącania się w jej sprawy, najwyraźniej jednak chciał jedynie uspić jej czujność.

Ratio ponownie uniósł w górę lewy kącik w zapowiedzi uśmiechu, lecz naraz spoważniał.

– Dionka, on się o ciebie martwi. Nie powiedział ci, bo bał się, że go wyśmiejesz, ale podobno od początku ma przeczucie, że tu nie jest dla ciebie bezpiecznie. – Jeszcze raz zerknął na jej zaciętą twarz i dodał cicho: – Nie każdy ma kogoś, kto się o niego troszczy. Powinnaś to docenić, zamiast się wściekać.

Poczuła się głupio, że ten o osiem lat młodszy chłopak poucza ją jak jakąś smarkulę i że w dodatku ma rację. Podobnie jak on nie była zbyt dobra w okazywaniu uczuć, więc tylko ucisnęła mu ramię i zmieniła temat.

– Jak nasz film? Będzie coś z tego?

– Wczoraj dokończyłem wstępny montaż. Jeśli pozwolisz, znajdę tu sobie jakiś kącik i będę dopieszczać.

Mówił to obojętnym głosem, lecz po błyskach w czarnych oczach poznała, że jest dumny ze swojego dzieła. A że Ratio nie zwykł szczycić się byle czym, zyskała pewność, że film będzie naprawdę dobry.

– Możesz zająć gabinet Magdy, tam nikt nie będzie ci przeszkadzać. Zabrałeś lapka czy będziesz pracować na moim?

– Mam wszystko. – Rozejrzył się po kuchni. – Nieźle to urządzili, nie dziwię się, że żal im było opuszczać ten dom.

Diona wzięła kubki z kawą i skierowała się do salonu. Szedł za nią powoli, uważnie lustrując otoczenie. Przyjrzał się ścianie działowej, dzięki której Witecka zyskała wymarzony gabinet, i mruknął coś, czego Diona nie dosłyszała. Otworzył przesuwne drzwi, zajrzał do środka i bez słowa je zasunął.

Remańska obserwowała go spod oka. Nigdy nie zaliczał się do gadatliwych, ale dzisiaj był wyjątkowo mało komunikatywny. Wyczuła, że ma jakieś zmartwienie, i przemyśliwała, jak namówić go do zwierzeń. Gdy był młodszy, nieraz wyżalał się przed nią, ale i wtedy odnosiła wrażenie, że nie mówi jej wszystkiego.

– Gdzie będę spać? – zainteresował się nagle i zmarszczył brwi.
– Tu jest tylko jedna sypialnia. Lubię cię, ale to tak, jakbym miał spać z sios...

Urwał i odwrócił głowę tak, że nie mogła zobaczyć wyrazu jego twarzy, ale zanim to zrobił, zdążyła zauważyć, że jest zmieszany. Jak zwykle rozbawił ją wstydlivością, z jaką podchodził do ich wzajemnych stosunków.

– Nie bądź taki przerażony, nie zamierzam cię zgwałcić. – Naraz coś sobie uprzytomniła. – Skąd wiesz, że tu jest jedna sypialnia?

Wzruszył ramionami.

– Bo mam oczy i umiem liczyć. Po tamtej stronie domu musi być coś więcej oprócz kuchni i łazienki, bo na to wskazuje bryła budynku. Logika mi podpowiada, że jest to sypialnia.

Remańska posłała mu pełne satysfakcji spojrzenie.

– I tu cię mam, mądralo! Rzeczywiście jest tam jeszcze jedno pomieszczenie, ale to nie sypialnia, tylko gabinet Witeckiego.

Wydawał się poruszony tą informacją. Najpierw popatrzył na Dionę, jakby chciał sprawdzić, czy nie żartuje, potem znowu się rozejrzył po salonie z miną osoby wietrzącej podstęp.

– Nie rozumiem – przyznał wreszcie. – Gdzie oni w takim razie spali?

– Na piętrze. Nie widziałeś okien? Jest tam sypialnia Witeckich, pokój dla dziecka, łazienka i dwa nieduże pokoje gościnne. Wybrałam sobie ten z balkonem. Wychodzi na ogród i jest bardziej słoneczny. – Zauważyła pochmurną minę chłopaka i ze śmiechem klepnęła go w plecy. – Sorki, ale ja byłam pierwsza.

Odpowiedział lekkim uśmiechem i wstał.

– Zaniosę swoje szpeje do pokoju i zabiorę się do tego filmu.

– Dasz pooglądać?

Nie odpowiedział, pokręcił tylko głową i wyszedł. Diona wyniosła do kuchni kubki po kawie, wstawiła do zlewozmywaka i nagle uzmysłowiła sobie, że nawet nie zapytała Ratia, czy jest głodny. Wyszła do przedpokoju, by do niego krzyknąć, lecz zmieniła zamiar. Jeszcze się nie zdarzyło, by odmówił posiłku, mogła więc przygotować coś bez obaw, że jedzenie się zmarnuje. Wyjęła chleb i masło, sięgnęła po nóż...

Nie, nie będzie karmić go kanapkami w porze obiadowej. Tylko że jej talenty kulinarne oscylowały wokół zera, a na dzisiejszy posiłek zaplanowała chińską zupkę z Vifonu, w dodatku dysponowała tylko jednym opakowaniem.

Doszła do wniosku, że należałoby uczcić ponowne spotkanie porządnym obiadem. Przyznała teraz przed sobą, że choć z uporem wypierała prawdę, ucieszyła się z pomysłu Imielskiego. Wprawdzie nie czuła się w najmniejszym nawet stopniu zagrożona, ale obecność Ratia zawsze wprowadzała ją w dobry humor. Lepszego towarzystwa nie mogła sobie wymarzyć.

8 listopada 2019, Jodłowiec

Nie myślał o tamtym okresie swojego życia przez tyle lat, a okazało się, że pamięć o nim tkwi przyczajona w zakamarkach podświadomości i wystarczyło krótkie spotkanie z Ratiem, by wypłynęła na powierzchnię. Nadkomisarz bezwiednie zaczął szukać

podobieństw i od razu zdał sobie sprawę z tego, że zamaskowany tatuaż nie jest jedyną analogią, choć mógł jedynie domniemywać, jakie były losy tego chłopaka.

O swoich nie myślał, jak zwykle tłumacząc sobie, że pora na dokonanie rozrachunków z przeszłością jeszcze nie nadeszła. Ale po zadaniu Danielowi Laszczakowi pytania o przeszłość znajomego Diony wspomnienia wróciły nieproszone, jakby same zdecydowały, że wystarczająco długo je ignorował i najwyższy czas, by wreszcie się z nimi zmierzył.

Ogiński nie zwykł łatwo ulegać cudzej woli i teraz też bronił się przed kapitulacją, chociaż w tym konkretnym przypadku przeciwnikiem były jego własne myśli, uporczywie domagające się uwagi. Konsekwentnie odsuwał je od siebie, w czym wydatnie pomagał mu nawał pracy w mocno okrojonym z funkcjonariuszy komisariacie. W trakcie służby nie miał czasu na rozważanie prywatnych problemów, a po powrocie do domu bywał tak zmęczony, że stać go było jedynie na wzięcie prysznicza i przygotowanie ubrania na rano.

Nadszedł jednak dzień wolny, a wówczas myśli o przeszłości zaatakowały z całą mocą, korzystając z faktu, że prasowanie czy wrzucenie do pralki brudnej odzieży nie wymagało skupienia uwagi. Wspomnienia o tamtych dniach pojawiały się co rusz, przyjmowały kształt rozbłysków, a każdy z nich ranił do głębi. Znekany mężczyzna w końcu się poddał, świadomy, że nie jest w stanie wygrać nierównej walki z własnymi zmysłami. Położył się na wznak z rękami podłożonymi pod głowę i pozwolił, by pamięć przesuwiała mu przed oczami niby zapomniane, a jednak znajome, znieawidzone obrazy.

9–12 listopada 2019, Jasień

W dniu przyjazdu Ratia nie poszli jednak na obiad do restauracji. Chłopak stwierdził, że jest zbyt zmęczony, by docenić rozkosze

stołu. Po sprawdzeniu zawartości lodówki zadowolił się jajecznicą na resztkę boczku, a po posiłku poszedł się zdrzemnąć. Wieczorem zniknął w gabinecie Magdy i Dioniza zobaczyła go dopiero rano.

Przez następnie dni niemal z niego nie wychodził, a na uwagę, że przecież jest święto, wzruszył tylko ramionami, zabrał ogromny kubas kawy i wrócił do pracy.

Na planowany obiad poszli dopiero we wtorek. W małej, przytulnej restauracji „Pod jesionem”, zresztą jedynej w miasteczku, wszystkie stoliki były zajęte, musieli więc poczekać przy barze, gdzie krzątał się dobrze znany Dionizie chłopak. Rozpoznała go od razu po jasnobłond włosach, bladoniebieskich oczach i nieznacznej szramie przecinającej prawą brew i uśmiechnęła się na powitanie.

– Cześć, Łukasz.

Zorientowała się po jego zmieszanej minie, że też ją rozpoznał. Potem przeniósł wzrok na Ratia i długo mu się przyglądał.

– Cześć – odpowiedział z roztargnieniem.

Nie spojrzawszy przy tym na Dionizę, całą uwagę poświęcił jej towarzyszowi, który chyba go w ogóle nie zauważył, zajęty obserwacją tego, co działo się w sali. Zaintrygowana Diona powiodła spojrzeniem w tamtym kierunku i zobaczyła dwóch stojących naprzeciwko siebie młodych ludzi. Ich zacięte twarze i napięcie emanujące z lekko pochylonych do przodu sylwetek kazały jej przypuszczać, że lada moment dojdzie do bójki. Rozpoznała ich i nieco się zdziwiła, gdyż dotychczas była pewna, że są przyjaciółmi.

– Kim są ci dwaj? – spytał Ratio.

Dionę uderzyło napięcie w jego głosie. Zanim zdążyła się odezwać, zrobił to Łukasz Matuszny.

– Ten młodszy to Przemek Gruszka, a ten starszy: Kuba Zając.

Ratio nie zaszczycił go nawet spojrzeniem, tylko zadał następne pytanie, nadal nie odrywając wzroku od tamtych dwóch.

– Zając to ten rudawy, prawda?

– Faktycznie. Skąd wiedziałeś? – dopytywał się barman. Odpowiedziało mu skrzywienie warg.

– Domyśliłem się.

Barman skinął głową i znów przyjrzał mu się z uwagą.

– Znamy się skądś?

Towarzyszący Dionizie chłopak dopiero teraz popatrzył na niego po raz pierwszy, lecz w jego oczach nie pojawił się błysk rozpoznania. Pozostały obojętne.

– Nie sędzę. Jak się nazywasz?

– Łukasz Matuszny. A ty?

– Ratio.

Po udzieleniu lapidarnej odpowiedzi chłopak wrócił do obserwowania tamtych dwóch. Starszy chyba chciał uniknąć awantury, zmierzał bowiem w stronę wyjścia, ale młodszy najwyraźniej jeszcze z nim nie skończył. Podbiegł i szarpnął go za ramię.

– Zrób coś, bo mam już tego dość – wysyczał cicho, nie na tyle jednak, by jego głos nie dotarł do stojących przy barze. – Zapłać im albo co. Niech się stąd raz na zawsze wyniosą, bo nie myślę za ciebie siedzieć!

Kuba Zajac drgnął jak ukłuty szpilką. Odwrócił się płynnym ruchem i pochylił groźnie w stronę Gruszki.

– Za mnie?! – warknął, a oczy zwęziły mu się w wąskie szparki. – Ty też tam byłeś. Inni są tak samo winni jak ja. Ty też.

– Ty skurwysynu! – wrzasnął Przemek.

Odskoczył w tył i uderzył Jakuba pięścią pod okiem, po czym natychmiast poprawił ciosem w szczękę. Zaatakowany chłopak poleciał na ścianę, odbił się od niej i wpadł na automat do gier. Przytrzymał się go dla zachowania równowagi i nagle z nisko pochyloną głową błyskawicznie ruszył na Gruszkę. Uderzenie w pierś posłało tamtego na bar. Diona aż się wzdrygnęła, gdy przywalił plecami w kant blatu i osunął się na podłogę. Zaraz jednak dźwignął się z zaciśniętymi pięściami, gotów do walki, lekceważąc prośby Łukasza, by nie demolowali lokalu i przenieśli się z bijatyką na zewnątrz.

– Dostyc już – oznajmiła Dioniza stanowczo, zastępując mu drogę. – Daliście sobie po razie i wystarczy.

– Gównu cię to obchodzi – wrzasnął Przemek. – Odsuń się, bo zarobisz.

– Spróbuj. – Uśmiechnęła się szeroko. – No, dawaj.

Patrzyła prosto w oczy rozwścieczonego chłopaka, lecz kątem oka cały czas obserwowała nie mniej rozsierzonego Kubę, który najpierw stał spokojnie w oczekiwaniu na ruch przeciwnika. Kiedy jednak zauważył, że uwaga Gruszki jest rozproszona, zaczął skradać się ku niemu od tyłu. Uniósł w górę pięść, zamachnął się...

– Uważaj! – krzyknęła do nieświadomego zagrożenia Przemka.

Ostrzeżenie okazało się zbędne. Nagle przed atakującym wyrósł wysoki, czarnowłosy chłopak. Poruszał się płynnym, niemal tanecznym krokiem i równie płynnym ruchem podciął mu nogi, potem usiadł na nim okrakiem, przytrzymał mu ręce nad głową i z tej pozycji obserwował, jak Diona pacyfikuje szalejącego Gruszkę, chcącego się zemścić za próbę ataku od tyłu.

Po kilku bezowocnych próbach uwolnienia się spod przygniatającego go kolana Przemek poniechał oporu.

– Puść mnie – wycharczał zduszonym głosem.

Remańska zwolniła trochę nacisk, jednak przytrzymała go nadal.

– Będziesz już grzeczny? – spytała słodkim głosem, jakby mówiła do dziecka. – A może mam zadzwonić po gliny?

Przerażona mina chłopaka w zasadzie wystarczyłaby za odpowiedź, nie zdziwiła się więc, gdy poprosił.

– Puść mnie. Mam już dość. Zostawię tego gnoja w spokoju.

Cofnęła kolano i pomogła mu wstać, lecz zachowała czujność. Jednak Gruszka rzeczywiście ograniczył się tylko do pogardliwego spojrzenia na Zająca i po chwili zniknął za drzwiami.

– Puść go, Ratio – zwróciła się do drugiego rozjemcy. – Napijmy się wreszcie piwa i zjedzmy coś, bo mi żołądek do krzyża przyrośnie.

Po uwolnieniu Kuba Zając przemknął chyłkiem do wyjścia, a oni usiedli przy jednym ze zwolnionych stolików. Gdy zaczęła się bójka, kilku gości natychmiast opuściło salę, prawdopodobnie w obawie, by nikt nie powołał ich na świadków. Duże miasto czy małe miasteczko, ludzkie zachowania są bardzo podobne. Lepiej odejść i wmawiać sobie, że nic się nie stało, niż zaangażować się w cudze sprawy.

Młody Matuszny bez pytania przyniósł im piwo i pokale, po chwili wrócił i postawił na stoliku koszyk z chlebem, pojemnik po brzegi wypełniony smalcem i talerzyk z kiszonymi ogórkami. Doniósł jeszcze kartę i cofnął się o krok w oczekiwaniu na zamówienie.

Dioniza nawet nie spojrzała na menu.

– Co polecasz?

Łukasz nie potrzebował namysłu.

– Barszcz z uszkami albo z krokietem, a na drugie żeberka duszone w piwie z ziemniakami i kapustą zasmażaną.

– Kapusta jest świeża czy kiszona?

– Kiszona.

Uśmiechnęła się z aprobatą. Uwielbiała kapustę zasmażaną, ale wyłącznie przygotowaną z kiszonej.

– Biorę. Barszcz oczywiście z uszkami. A ty? To samo?

Ratio przyklasnął jej wyborowi. Matuszny oddalił się, a po chwili znów go ujrzała, tym razem za barem. Nalewał komuś piwo i nie patrzył w ich stronę, a jednak gotowa była przysiąc, że cały czas ich obserwuje. Tylko jaki mógł być powód tego nadmiernego zainteresowania?

– Ratio? – Dotknęła lekko dłoni chłopaka, który sprawiał wrażenie, jakby myślami przebywał tysiące kilometrów stąd. Wzdrygnął się lekko i spojrział przytomniej. – Byłeś już kiedyś w Jasieniu? Czemu on pytał, czy się znacie?

W chwili, gdy skończyła mówić, uświadomiła sobie, że bardziej idiotycznego pytania nie mogła zadać. Z prychnięcia wydanego przez towarzysza wywnioskowała, że on pomyślał o tym samym. Zaraz też dał jej to odczuć, zadając własne pytanie.

– Naprawdę uważasz, że umiem czytać w myślach? Dziękuję. Nie wiedziałem...

– Kończ waść, wstydu oszczędź – mruknęła tylko i wgrzyła się w kromkę ze smalcem, by mieć pretekst do zakończenia tematu.

– Wykombinowałaś, że jak mi pojedziesz klasykiem, to się zamknę? – Ratio nie odpuszczał. – Pamiętam taką jedną policjantkę, która ciągle podkreślała wagę precyzji wypowiedzi. Nie masz pojęcia, jaka to była upierdliwa franca.

Od odpowiedzi wybawił ją Matuszny, pojawiając się z zamówionym barszczem. Natychmiast zabrali się do jedzenia. Barszcz okazał się rzeczywiście wyśmienity, uszka również, choć Diona nie omieszkała zauważyć, że u Mirabelki są lepsze. Powiedziała to jednak szeptem, żeby jej słowa nie dotarły do obcych uszu. Ratio skinął głową i odparł:

– Jak chcesz, to mogę ci takie zrobić. Też będą lepsze.

Omali się nie zakrztusiła.

– Umiesz? Naprawdę? Ratio, jesteś gigant!

Uśmiechnął się niezbyt skromnie i znów zabrał się do barszczu. Właśnie odsuwali talerze, gdy na stół wjechało drugie danie i Dioniza skinęła głową z aprobatą. Nie znosiła, gdy podawano kolejne danie zbyt wcześnie, gdyż zawsze wtedy miała dylemat – zostawić zupę i zabrać się do drugiego, czy raczej pozwolić mu stygnąć. Tutejsza idealna synchronizacja świadczyła, że Łukasz Matuszny naprawdę znał się na rzeczy.

Po posiłku dokończyli piwo, przy którym zdążyli znowu się pokłócić, tym razem o rachunek, ponieważ Ratio uparł się, że to on powinien zapłacić, a Remańska nie zamierzała na to pozwolić.

– To ja cię zaprosiłam – wytknęła. – Poza tym dostałam zaliczkę.

– A ja wreszcie rozliczyłem stare długi i okazało się, że zostało mi kupę hajsu, więc nie rób ze mnie żebraka! – rzucił gniewnie.

Diona skamieniała. Z jego miny wywnioskowała, że chlapnął bezmyślnie i teraz ma sobie za złe nadmierną szczerość.

– Jakie długi? – spytała ostrożnie. – I skąd miałeś kasę na spłacenie?

Chłopak zachnął się i zacisnął wargi w grymasie uporu, a ona natychmiast pożałowała, że nie spytała jakoś dyplomatycznie. Na szczęście Ratio się nie obraził. Odetchnął głęboko i popatrzył jej prosto w oczy.

– Nie zrobiłem nic złego. Zaufaj mi, Dionka. Ten ostatni raz uwierz mi w ciemno.

I ona uwierzyła, pozwoliła też, żeby zapłacił. Jeśli dzięki temu miał poczuć się lepiej, niech tak będzie. Kłótnia okazała się jednak całkiem niepotrzebna, gdyż Łukasz nie przyjął pieniędzy.

– Na koszt firmy – oświadczył, a gdy zapytała o przyczynę, wyjaśnił krótko: – Straty wyniosłyby więcej. Gdyby nie wy, Kuba i Przemo zrobiliby mi w lokalu taki rozpiżdziel, że głowa mała. Poza tym muszę dbać o opinię, bo ksiądz się ciepie, że restauracja jest za blisko kościoła. On nie lubi moich starszych i na pewno nie pominąłby okazji, żeby im zrobić koło pióra.

Ani myśleli się upierać. Podziękowali za poczęstunek i wyszli z lokalu.

Po tym dniu w zachowaniu mieszkańców Jasienia nastąpiła wyraźna zmiana. Diona nie wiedziała, czy to widok Ratia u jej boku wpłynął na ich nastawienie, czy może już przywykli do jej obecności, ale nie zamierzała tracić czasu na zastanawianie się nad przyczyną. Ważniejsze było, że wreszcie zaczęli traktować ją jak znajomą. Nie tylko odpowiadali na pozdrowienia, ale i kłaniali się pierwsi. Dopiero po jakimś czasie przyszło jej do głowy, że może zawdzięczała to Matuszynom, wdzięcznym za uratowanie ich lokalu od dewastacji.

Rozdział 11

Oskarżenia

Kiedyś, gdzieś

Chłopiec cicho szlocha w poduszkę. Nie potrafi powstrzymać łez od chwili, gdy matka suchym głosem poinformowała go o przeprowadzce. Aż się cały trzęsie ze strachu na myśl o nowej szkole i nowych kolegach. Tu wszyscy znają go od małości, nikogo więc nie dziwią sińce, tak często zdobiące jego ciało. Zresztą wielu kolegów nosi podobne dowody na to, że łagodna perswazja nie zalicza się w okolicy do preferowanych środków wychowawczych. Nauczyciel wuefu także woli udawać, że niczego nie widzi. Plotka głosi, że wyłądownął tutaj z powodu nadmiernego zamiłowania do trunków i że jest to jego ostatnia szansa.

Chłopiec jest świadomy tego, że tam, w obcym, dużym mieście będzie zupełnie inaczej. Jest pewien, że nowi koledzy będą się z niego wyśmiewać, a nauczyciele z pewnością się przyczepią do śladów przemocy, których nic nie jest w stanie ukryć. Zrobią aferę, powiadomią policję i kuratorium, a wtedy...

Z gardła chłopca znów wrywa się szloch. Wstydzi się dziecinnego zachowania, ale nie potrafi znieść tego wszystkiego po męsku, chociaż ma już trzynaście lat. Zwłaszcza myśli o domu dziecka, w którym niechybnie wyłąduje. Wolałby już, żeby mama codziennie okładała go po gołych plecach kablem od żelazka, niż gdyby miał dostać się w ręce wychowawców, o których

okrucieństwie tyle się nasłuchał od kolegów mających dostęp do Internetu.

– Czego znowu ryczysz, usmarkańcu?!

Głos matki jest ostry i nieprzyjemny, ma moc powstrzymywania płaczu, a nawet oddechu. Chłopiec spazmatycznie łapie powietrze przez zaciśnięte gardło.

– Ile razy mam mówić, żebyś spakował swoje rzeczy? Robisz mi na złość? Przecież wiesz, że ze mną nie wygrasz.

Matka wybucha złośliwym śmiechem i chłopiec nie wie, czy bardziej boi się bicia, czy tego właśnie śmiechu, straszego, wręcz nieludzkiego. Szybko podnosi się z łóżka i staje przed nią z pochyloną głową, nie śmiąc popatrzeć jej w oczy, lecz kobieta chwyta go pod brodę i zmusza, by na nią spojrział. Robi to z takim przerażeniem, że mógłby zmiękczyć najtwardsze nawet serce, ale nie kogoś pozbawionego wszelkich uczuć.

– Mamo, proszę... Nie bij mnie. Tata nie pozwalała...

Uderzenie w twarz jest silne, jednak chłopak nie traci równowagi i nadal stoi sztywno wyprostowany. Czasy, gdy jednym celnym ciosem potrafiła zmieść go z krzesła, już minęły. Zmężniał i podrośł, jest już wyższy od matki i gdyby zechciał, mógłby odpłacić jej biciem za wszystkie doznane przez ostatnie dwa lata krzywdy, ale nigdy nawet nie pomyślał, że mógłby podnieść na nią rękę. To przecież jego matka, poza tym ma tylko ją. Jakakolwiek by była, dzięki niej nie jest sam na świecie.

Chłopiec nie ma pojęcia, że ona właśnie tego się boi. Że któregoś dnia syn przestanie w pokorze przyjmować razy i jej odda. Dlatego bije go coraz częściej i coraz mocniej.

– Wyplenię z ciebie tę bezczelność. Nawet ojciec nie wytrzymał twoich wyskoków i odszedł. Zostawił nas przez ciebie! Zdejmuj koszulkę!

Chłopak kornie wypełnia polecenie. Tkanina T-shirtu unosi się, odsłaniając plecy poznaczone krzyżującymi się bezładnie, podłużnymi bliznami. Jedne są stare, dawno zagojone, inne nowsze,

pokryte delikatną młodą skórą, jeszcze inne całkiem świeże, odznaczające się ciemnymi strupami lub podbiegniętą krwią opuchlizną.

Kobieta chwyta syna za kark. Zmusza go, by uklęknął obok krzesła i przechylił się przez siedzisko, sama zaś sięga po leżący na parapecie kabel od żelazka. Bierze pierwszy zamach i izolowany gumą przewód ze świstem uderza w obnażone plecy, zostawiając na nich świeżą pręgę. Chłopiec wciska pieść w usta, by stłumić krzyk, i tylko cicho pojękuje, gdy spadają na niego kolejne uderzenia. Kabel opada raz za razem, plecy spływają krwią.

Zmęczona kobieta opuszcza bezwładnie rękę i dopiero teraz zauważa, że syn stracił przytomność. Dopada ją lęk przed konsekwencjami, zaraz jednak wykrzywia usta w parodii uśmiechu.

– Nic mu nie będzie – mruczy, chcąc przekonać samą siebie. – Tacy jak on zawsze spadają na cztery łapy.

Wychodzi z pokoju chłopca od nowa pełna gniewu, gdyż uświadamia sobie, że ponieważ syn zemdlał w trakcie przyjmowania razów, nie odczuł kary w całej pełni.

13 listopada 2019, Jodłowiec

Ogiński jeszcze nie całkiem uporał się ze wspomnieniami własnej przeszłości, gdy jakiś czas po ich rozmowie o Ratiu Dariusz Lipski podczas porannej kawy ponownie nawiązał do pobytu chłopaka w Strzygomiu.

– Mówiłeś, komendancie, żeby zostawić tego chłoptasia Diony w spokoju. A tymczasem wczoraj w Świercznicy były dwa włamania.

Obdarzył przełożonego pełnym wyrzutem spojrzeniem, lecz nic nie wskazywało na to, by Ogiński się przejął. Spokojnie upił łyk kawy i odpowiedział krótko:

– Wiem o tym.

– I co chcesz z tym zrobić? – Lipski aż się zapowietrzył z emocji.
– Nie przejmujesz się, że włamał się tak jakby tuż pod naszym nosem? A teraz wyjechał i nikt nawet nie wie, jak on się nazywa i gdzie mieszka.

– Diona wie.

Lakoniczność odpowiedzi zdenerwowała aspiranta tak bardzo, że zapomniał, z kim rozmawia.

– Kurwa, Szymon! Pojechało cię czy jak?! Przecież ona musi też być umoczona, bo wiele razy jeździli razem. I pomyśleć, że chciałem ją za synową – dokończył z dość żalną miną.

Ogiński popatrzył na niego zimno, bez cienia sympatii.

– Zapomniałeś o hierarchii, więc ja zapomnę o twoim wieku i powiem ci prosto w oczy, że jesteś debilem. Gdyby na moim miejscu siedział ktoś inny, już byś miał naganę i patrol pieszy. Sprawdzalesz Ratia?

Lipski z ponurą miną skinął głową.

– Sprawdzalem po ksywie. Nie ma nikogo takiego. Ale się założę, że gdybym wrzucił nazwisko, wyskoczyłaby taka kartoteka, że papieru w drukarce by zabrakło.

– Darek! – Ogiński miał już powyżej uszu tej rozmowy. Słowa aspiranta wskazywały jasno, że za poduszczeniem syna zafiksował się na osobie Ratia. – Co z tymi włamaniami? Podjąłeś w ogóle jakieś czynności zmierzające do ustalenia sprawcy czy olałeś temat, bo od razu założyłeś winę chłopaka?

Starszy aspirant wyprostował się i spojrzał z urazą na komendanta.

– Przepraszam za tamte słowa – powiedział sztywno. – Zachowałem się niedopuszczalnie. Ale to jeszcze nie powód, żeby kwestionować moją bezstronność.

Nadkomisarz przyglądał mu się z taką uwagą, jakby widział go po raz pierwszy.

– Dałeś się wkręcić synowi w idiotyczną grę, a teraz się dziwisz, że mam wątpliwości. Nie trać czasu na Ratia, bo jest niewinny.

Wyjechał razem z Dioną do Bielska, a od piątku jest razem z nią w Jasieniu. Chłopak nie ma własnego samochodu, więc ciężko byłoby mu przemknąć niezauważenie do Świercznicy, obrobić dwa domy i zniknąć z fantami. Autobusem je wiozł czy jak?

Lipski wysłuchał go uważnie, lecz nie wyglądał na przekonanego, a jego wargi zacisnęły się w grymasie uporu. Wreszcie wyrzucił z siebie nabrzmiałe gniewem słowa:

– To wcale nie tak, że się na niego uwzięłem, i dobrze o tym wiesz, bo na początku sam się śmiałem z Marcina i jego sercowych problemów. Ale potem dały mi do myślenia te ciągłe wyjazdy Ratia. I to, że nikomu nawet prawdziwego imienia nie podałem, że o nazwisku nie wspomnę. A kiedy włamano się do domów, w których bywał, pomyślałem sobie, że Marcin mógł mieć rację.

– Rozmawiałeś przecież z tymi ludźmi, więc musisz wiedzieć, po co ich odwiedził. Nie wmówisz mi, że ich o to nie zapytałeś.

Aspirant zrobił pogardliwy grymas.

– Wypytywał o tego esbeka, z którym Diona się zaprzyjaźniła. Podinspektora Gredtkego. Że niby jakiś film o nim kręci. Akurat! Myślałby kto, że Gredtke to jakiś celebryta. A z Ratia znowu żaden Almodóvar.

Ogiński poczuł znużenie prowadzącą donikąd rozmową. Lipski z uporem odrzucał wszystkie argumenty i każdą wątpliwość tłumaczył na niekorzyść Ratia, dalsza dyskusja nie miała więc sensu.

– W porządku, porozmawiaj z nimi. – Zauważył błysk w oczach Lipskiego i dorzucił: – Ale pojedziemy tam razem.

Lipski zbladł i odrzucił głowę w tył, jakby zafasował cios w podbródek.

– Jednak mi nie ufasz.

– Ufałem ci. – Komendant celowo użył czasu przeszłego. – Ale teraz zaczynam mieć wątpliwości. Twoja chęć wsadzenia go do lochu bardziej przypomina vendettę niż dbanie o bezpieczeństwo

ludzi i mienia. Mówię ci otwarcie, że tak to widzę. Mam nadzieję, że się mylę.

– Mylisz się i ja ci to udowodnię. Kiedy tam pojedziemy?

Nadkomisarz otworzył terminarz i skrzywił się na widok gęsto wypełnionych rubryk. Kolejny raz pomyślał, że przydałby mu się zastępca, któremu mógłby przekazać część obowiązków.

– We wtorek – oświadczył, a na widok rozczarowania Dariusza rzucił ze złością: – Przecież się nie rozdwoję! Kurwa mać, a tyle było gadania, że będą walczyć z biurokracją. I tak muszę wszystko poprzestawiać, żeby znaleźć czas na ten wyjazd.

– Mogę jechać sam – zaczął aspirant, lecz Ogiński pokręcił głową.

– Nie możesz.

Nie dodał nic więcej. Pochylił się i zaczął przetasowywać obowiązki, by wygospodarować kilka wolnych godzin. Lipski jakiś czas przyglądał się tym rozzadom, wreszcie zrozumiał, że niczego już nie usłyszy, podniósł się więc i opuścił pokój.

14–15 listopada 2019, Jasień

Ratio tak się poświęcił pracom nad filmem, że prawie nie wychodził z domu. Jeśli już decydował się wystawić nos poza próg, robił to z tak wyraźną niechęcią, że Diona zaczęła nazywać go borsukiem. Nie robiło to jednak na nim żadnego wrażenia i nic nie wskazywało, by w najbliższej przyszłości miał zamiar zmienić swoje zwyczaje. Zresztą widywali się zbyt rzadko, by mogła się do woli z niego naigrawać.

Remańska snuła się więc po Jasieniu sama, co rusz zaskakiwana próbami kontaktu ze strony ludzi, którzy jeszcze niedawno traktowali ją jak powietrze. Do jakiego stopnia była im obojętna, mógł świadczyć fakt, że ani razu nie miała okazji posłużyć się kłamstwem wymyślonym na potrzeby wytłumaczenia swojej

obecności w miasteczku. Po prostu nikt się nią nie zainteresował. Aż tu nagle taka zmiana!

Później stwierdziła, że musiała doznać jakiegoś zaćmienia umysłowego, gdyż dopiero po trzeciej rozmowie zorientowała się, że to wcale nie ona była obiektem ciekawości. Ich interesował Ratio. Wypytywali, jak się nazywa, skąd pochodzi i czy bywał wcześniej w Jasieniu. Pytali też, czy są parą.

Rozbawiło ją zwłaszcza to ostatnie, gdyż nigdy nie myślała o Ratiu w takich kategoriach. Zamiast młodego i niewątpliwie przystojnego mężczyzny z interesującą osobowością cały czas widziała chudego wyrostka, usiłującego butną miną pokryć przerażenie.

W piątek borsuk wylazł wreszcie z nory. Stał w drzwiach kuchni, przeciągnął się i przejechał dłonią po zmierzwionych włosach.

– Kawy – jęknął żałośnie.

Przyjrzała mu się krytycznie.

– Wyglądasz, jakbyś chlał przez tydzień – stwierdziła z pełnym dezaprobaty skrzywieniem warg, ale włączyła ekspres. Dobrze wiedziała, jak to jest być na głodzie. – Co się stało, że postanowiłeś wrócić między żywych?

Niemal wyrwał jej kubek z ręki i przypiął się do niego, pijąc tak łapczywie, jakby to była cola czy inny zimny napój, a nie wrzątek.

– Skończyłem – oznajmił pomiędzy jednym łykiem a drugim.

Sens jego wypowiedzi nie od razu dotarł do Diony. Musiała minąć ponad minuta, nim połączyła jego sztucznie obojętną minę ze źle skrywanym błyskiem dumy w oczach i zorientowała się, o czym mówił.

– Skończyłeś film?!

Nie czekając na potwierdzenie, uściskała go serdecznie. Maską udawanej obojętności roztrzaskała się w pył i Ratio nadał się jak paw.

– Kiedy wrzucimy do sieci? – spytał, gdy po odskakaniu czegoś, co miało być tańcem triumfu, wypuścił Dionę z objęć.

Spojrzała w czarne, pełne radości oczy i wspomniała chudego wyrostka, w którego wzroku trudno byłoby się doszukać bodaj odrobiny nadziei. Odchrząknęła, gdyż nagły spazm ścisnął jej gardło.

– Jestem z ciebie dumna, Ratio. Zawsze wiedziałam, że dasz radę wszystkiemu, co postanowisz zrobić.

– Przecież jeszcze go nie widziałaś – zaprotestował, nagle zawstydzony pochwałami. – Skąd wiesz, że jest dobry?

– Po prostu wiem – odpowiedziała z głębokim przekonaniem. – Jesteś perfekcjonistą, nie wypuściłbyś gniota. Zaraz zadzwonię do Gredtkego, bo myślę sobie, że powinniśmy być razem z nim, kiedy film pojawi się na YouTube.

– Pomyśl nad terminem, a ja pójde pod prysznic, bo zaczynam cuchnąć.

– Zaczynasz?! Mnie się wydaje, że już...

Urwała, gdy zorientowała się, że rozmówca zniknął. Po chwili doszedł ją szum wody w łazience i podśpiewywane dźwięcznym barytonem słowa: „Może Norwid, bo coś plótt, że łaza gdzieś znad planety spada i groby przecieka. Ale skąd by, skąd by wiedział, że na jego słowa ktoś tu jeszcze może czekać...”^[5] i przypomniały jej się dawne czasy, gdy wsiadali do samochodu i gnali przed siebie, śpiewając na całe gardło wraz z wykonawcami jej ulubionych utworów. Czuła satysfakcję, że dzięki temu Ratio odkrył istnienie wielu innych prócz rapu gatunków i przekonał się, że muzyka klasyczna nie została stworzona wyłącznie ku radości wybrańców, tak jak hip-hopu nie słuchają jedynie blokersi.

Ratio wyłonił się z łazienki po półgodzinie, przebrany w czystą odzież, z lekko wilgotnymi jeszcze włosami. Zapalił papierosa i zaczął wypytywać Dionizę o dotychczasowe ustalenia. Musiała z przykrością przyznać, że niewiele udało jej się dowiedzieć. Zresztą nawet owo „niewiele” było grubą przesadą. Właściwie nie

dowiedziała się niczego mogącego rzucić światło na powody wykluczenia towarzyskiego Witeckich.

– Naprawdę nie wiem, o co tym ludziom mogło chodzić. Kurde, przecież nie wbiję im się do domu i nie zapytam, czemu zniechcili Magdę i Krzysztofa!

W tym okrzyku zawarła cały ogrom frustracji, przygniatającej ją niczym stukilowy głaz. Nigdy jeszcze nie czuła się tak bezradna.

Ratio obserwował ją z troską; takiej Dionizy dotychczas nie oglądał. Naraz zdał sobie sprawę z drugiego dna tej sceny i zalała go fala radości. Nie widział jej w chwilach załamania, gdyż nie dopuszczała go do siebie aż tak blisko. Dzisiaj nastąpiła zmiana, co mogło oznaczać tylko jedno – wreszcie całkowicie mu zaufała.

Nagły przyptyw radości i dumy omal nie pozbawił go tchu. Ostrożnie wziął haust powietrza i chwycił Dionę za rękę dla przyciągnięcia uwagi. Musiał jej pomóc, choć miał wrażenie, że każda minuta pobytu w tym przeklętym miasteczku kosztuje go co najmniej miesiąc życia.

– Ich nie możesz zapytać – powiedział, gdy skierowała na niego wzrok. – Ale tego gliniarza owszem.

Diona zaklęła, choć tyle razy potępiała Ratia za używanie niecenzuralnych wyrażeń. Całkiem zapomniała o rozmowie z sierżantem Grotem, a przecież wydawał się zainteresowany tematem i być może zdobył jakieś informacje.

– Zaraz do niego pójde.

Zerwała się z krzesła, lecz chłopak ją powstrzymał.

– Zaczekaj. Pójde z tobą. Pokażesz mi miasteczko, no i przy okazji zrobię zakupy, bo zawartość twojej lodówki...

Nie dokończył, zamiast tego wymownie machnął ręką, a Remańska roześmiała się serdecznie.

– Przecież znasz mój stosunek do gotowania. Do jedzenia też.

Odwzajemnił uśmiech.

– Znam aż za dobrze. To co, idziemy?

Pół godziny później szli wolno poboczem głównej drogi, a Dioniza tonem rasowej pilotki wycieczek opisywała mijane obiekty. Gmachu Urzędu Miejskiego i Domu Kultury nie zaszczyliła żadnym komentarzem, zatrzymała się natomiast, by wskazać niepozorny domek wtulony pomiędzy posesję mieszczącą dom wczasowy a boczną drogę prowadzącą do domu i zakładów mięsnych Karola Ulika. Był to rodzinny dom Zosi Rusek.

– Mieli tylko ją jedną – powiedziała cicho.

– Gdzie zginęła?

– Koło cmentarza, ze dwa metry przed przystankiem. Kiedy wróciłam tamtego dnia do Jasienia, obrys ciała jeszcze nie zdążył się zatrzeć.

– Myślisz, że ktoś ją przejechał dlatego, że chciała wyznać Witeckim, dlaczego mieszkańcy miasta ich nie lubią?

W głosie Ratia brzmiało powątpiewanie. W głębi duszy wcale się nie dziwiła, że chłopak uznał jej hipotezę za zbyt karkołomną, by mogła być prawdziwa. Niepodobieństwem było zakładać, że osiemnastoletnia dziewczyna poznała informację tak groźną, że kosztowała ją życie. Ale jeśli nie to było powodem, to co?

Za skrzyżowaniem znajdował się sklep obuwniczo-tekstylny, tuż za nim spożywczy, a dalej komisariat oraz warsztat samochodowy Dominika Koniewicza. Przy tym ostatnim przystanęli, by zawrócić, gdyż w tym miejscu kończyło się ściśle centrum miasta. Za nim zabudowania były coraz rzadsze i ciągnęły się niemal do granicy ze Słowacją, choć nadal administracyjnie należały do Jasienia.

Ratio zamyślnym wzrokiem wodził od warsztatu do znajdującego się powyżej budynku mieszkalnego.

– A starzy Koniewiczze? Co z nimi?

– Mieszkają razem z synem i synową – odpowiedziała Diona, całą uwagę poświęcając pensjonatowi „Jutrzenka”, znajdującemu się po drugiej stronie drogi, obok budynku Ochotniczej Straży Pożarnej.

– Jakoś dziwnie pusto w tych wszystkich obiektach. Zauważyłam to już wcześniej. W ogóle cholernie ich dużo jak na taką małą miejscinę.

– To przez źródła – odpowiedział i zdumiał się, gdy dostrzegł na jej twarzy wyraz zagubienia. – Nie wiedziałaś? Miasto jest otoczone źródłkami mającymi lecznicze właściwości. Znajdują się na tych zboczach, dlatego zabudowa nie poszła w tamtych kierunkach i miasto się nie rozrosło. Za komuny chciano wybudować tu sanatorium, o tam. – Wskazał na pole i las ponad posesją Witeckich. – Ale ludzie zaczęli się burzyć, że to naruszy strukturę źródeł. Tak im powiedział jakiś sprowadzony z Krakowa specjalista. Sporządził ekspertyzę, z której wynikało, że naruszenie cieków wodnych może doprowadzić do wyschnięcia większości źródeł na tym zboczu, więc zrezygnowali.

Remańska nie posiadała się z podziwu.

– Skąd ty masz takie szczegółowe wiadomości? – zdumiała się i ucieszyła jednocześnie. Wiedza chłopaka stanowiła kolejny dowód na to, że wiara Dionizy w jego możliwości nie była przesadzona.

Ruszył w drogę powrotną, pociągając ją za sobą.

– Znalazłem w necie. Sporo tam materiałów dotyczących Jasienia.

– O Białej Matyldzie też coś znalazłeś? – zażartowała, lecz on potraktował pytanie poważnie.

– Nie natrafiłem na żadną informację, więc to raczej tylko wymysł.

Dioniza skłonna była się z nim zgodzić. Pewnie straszono nią niegrzeczne dzieci, a Witeccy uwierzyli, że w opowieści tkwi ziarnko prawdy.

– Ale wiesz, dalej nie rozumiem, czemu teraz nie ma chętnych na zwiedzanie tych źródełek.

Ratio przez kilka minut wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, wreszcie wybuchnął śmiechem.

– Ty naprawdę nie masz o nich żadnego pojęcia! Ale jaja! – Na widok jej wścieklej miny roześmiał się jeszcze głośniejsze. – Dionka, tych źródeł się nie zwiedza, w nich się leży! Poniżej każdego z nich są wykute z kamienia półki. Kładziesz się na takiej, a woda sobie

splywa i cię nawilża. Jest cieplejsza niż zwykła woda, ale nie na tyle ciepła, żeby można było korzystać ze źródeł przy niskich temperaturach.

Zastanowiła się nad jego słowami. Wytłumaczenie niby było logiczne, ale nadal nie trafiało jej do przekonania.

– Nie rozumiem, dlaczego w takim razie nie wybuduje się jakichś ogrzewanych pawilonów, żeby chorzy mogli korzystać z terapii przez cały rok – sarknęła, jakby miała osobisty interes w całorocznym funkcjonowaniu leczniczych źródeł.

Spoglądał na nią z rozbawieniem.

– Jak chciałabyś to zrobić? Obudujesz drzewa i krzewy? Razem ze zwierzyną, ptakami i owadami?

– Można by przecież... – zaczęła i nagle urwała. – Oczywiście, że nie można! Ekosystem, tak? Zachodzi obawa, że naruszenie czegokolwiek zaszkodzi źródłom? – Skinął głową, a ona mówiła dalej, wspominając poznaną kiedyś informację. – Czytałam, że gdzieś wycięto kilka drzew i źródło zniknęło. Tego się boją?

– Pewnie tak. Albo tego, że woda utraci swoje właściwości.

Diona dopiero teraz zauważyła, że od dłuższego czasu stoją przed sklepem spożywczym sąsiadującym z komisariatem, ruszyła więc do przodu, lecz Ratio nawet nie drgnął. Ponagliła go, on zaś wykrzywił się w odpowiedzi.

– Mam wejść dobrowolnie do psiarni? Sorki, ale nawet dla ciebie!

Nie nalegała. Przewidywała, że wizyta w komisariacie nie będzie krótka, zawróciła więc i razem weszli do sklepu. Nie wiedziała, jak chłopak zareagowałby na prośbę kupna tamponów, i wolała załatwić to sama.

Zakupy zajęły im dość dużo czasu, gdyż Ratio postanowił zaopatrzyć kuchnię Diony we wszystkie, jego zdaniem, niezbędne produkty, przez co wózek niemal pękał w szwach. Spacerując pomiędzy półkami, omawiali plan zajęć.

– Nawet dobrze to wymyśliłaś, żeby w poniedziałek pojechać do Świercznicy – perorował Ratio. – Przy okazji możemy zajrzeć do

Strzygomia i zobaczyć, czy z twoim domem wszystko dobrze. A jutro jeszcze raz na spokojnie sprawdzę film, czy nie zrobiłem gdzieś jakiegoś kiksusa.

– I pojedziemy do Mirabelki – dorzuciła Dioniza. – Zabiorę ze sobą Uszka, bo już na pewno tęskni. Wzięłabym go od razu, tylko nie wiedziałam, czy będzie tu miał odpowiednie warunki. – Podeszła do kasy i zaczęła wyklądać zakupy na taśmę. – Ratio, tylko nie próbuj mnie budzić bladym świtem. Wystarczy, że wyjedziemy koło dziesiątej.

– W porządku. – Uniósł dłonie w geście poddania. – Jak szanowna pani każe.

– A we wtorek przygotuj się na wyprawę badawczą.

Ratio wyjął z koszyka jakąś puszkę, obejrzał krytycznie, potem wrzucił ramionami i położył na taśmie.

– Ma termin do piętnastego. Ale chyba zdążymy zeżreć. Jaką wyprawę?

– Co to, ananasy? Spokojnie, jest szansa, że znikną już dzisiaj. Pytałeś o wyprawę? Do ogrodu Matyldy oczywiście. – Parsknęła śmiechem na widok jego niepewnej miny. – Peniasz, ziom? Nie bój żaby, nie zamierzam jej wywoływać. Magda mnie poprosiła, żebym rzuciła okiem, czy można by tam postawić dom i czy jest możliwość zbudowania drogi dojazdowej. Uznali z Krzysztofem, że najlepiej byłoby sprzedać ten nawiedzony ogród.

Zauważyła, że chłopak wyłożył ostatni produkt, więc sięgnęła po kartę, lecz on zdecydowanie odsunął ją od kasy.

– Dzisiaj ja płacę. W Strzygomiu ty fundowałaś, więc teraz moja kolej. Nie możemy pójść dzisiaj do tego ogrodu?

Dioniza spojrzała wymownie w stronę okna, za którym zrobiło się prawie ciemno. O szyby zabębniły wielkie krople. Wcale jej to nie zaskoczyło, wszystkie prognozy pogody prorokowały dwa dni ulewnego deszczu z możliwością zamiany na śnieżyce. Ratio również popatrzył za okno i zrezygnował z domagania się odpowiedzi. Gęsto zarośnięty krzewami ogród z wysoką mimo

aktualnej pory roku trawą i z nisko zwieszającymi się gałęziami drzew nie zachęcał do odwiedzin podczas opadów.

Załadował trzecią torbę i podniósł je wszystkie pomimo sprzeciwów Remańskiej. Nie widział sensu, by taszczyła zakupy do komisariatu, sam zaś wciąż nie kwapił się do wizyty w siedzibie formacji, z którą nie zawsze był w pokojowych stosunkach. Szybko skierował się ku drzwiom, by zapobiec ewentualnej dyskusji.

Dioniza wiedziała, kiedy należy się poddać. Wzruszyła ramionami i posłała kasjerce pożegnalny uśmiech i natychmiast skierowała myśli na planowaną rozmowę z sierżantem Grotem.

– Do widzenia, pani Pawlusowa – odezwał się Ratio od drzwi, przez co Remańska na moment oderwała się od rozważań na tyle, by przypomnieć sobie o dobrych manierach.

– Do widzenia – rzuciła z roztargnieniem.

– Do widzenia – odpowiedziała kobieta.

Wyszła zza lady i poprawiła ułożenie czekolad, które ktoś rozrzucił na półce, a na jej twarzy odmalował się wyraz skupienia.

[5] Fragment piosenki „Tango na głos, orkiestrę i jeszcze jeden głos” autorstwa Grzegorza Tomczaka.

Rozdział 12

Kraksa na Zygzakach

15 listopada 2019, Jasień

Adam Grot wyglądał na kompletnie wyczerpanego z sił. Długi czas spoglądał na Remańską bez słowa, nim w jego oczach pojawił się błysk rozpoznania. Gestem zaprosił ją, by usiadła, przerzucił niemrawo jakieś papiery i zmarszczył brwi.

– Czy ja panią wezwałem? Nie – odpowiedział sam sobie. – To ja miałem pójść do pani, ale nie zdążyłem. – Zauważył jej konsternację i wyjaśnił: – Mamy taki młyn, że nie wiem, w co ręce włożyć. Połowa ludzi jest na chorobowym, więc może się pani domyślić, jak to wszystko wygląda.

Wyobraziła to sobie bez trudu, prócz tego z jego słów wywnioskowała, że sierżant już wie o jej siedmioletnim związku z policją. Ucieszyła się, gdyż to oszczędziło jej tłumaczenia, dlaczego dobrze zna realia służby.

– A pan nie powinien być na chorobowym? Moim zdaniem zbyt zdrowo pan nie wygląda – wypaliła, znów szybciej mówiąc, niż myśląc.

Sierżant nie wyglądał na szczęście na urażonego. Przeciwnie, przez jego twarz przewinął się nikły uśmiech.

– Miałem iść do lekarza w dniu zabójstwa Zofii Rusek, ale w zaistniałej sytuacji zrezygnowałem. Nie mogłem inaczej, choć niektórzy z kolegów pewnie mają mnie za idiotę.

Diona wyduła usta, analizując jego słowa, potem pokręciła głową.

– Moim zdaniem nie mają racji. To nie jakaś popierdółka, tylko gruby kaliber. No, ale oni nie muszą patrzeć matce w twarz, kiedy pyta o postępy w śledztwie. A tak z ciekawości, są jakieś?

Grot się zachnął i już była pewna, że ostro skomentuje jej wścibstwo, gdy niepodziewanie wyrzucił z siebie słowa przepełnione gniewem zrodzonym z bezsilności:

– Jesteśmy w czarnej dupie i raczej nie mam nadziei na zobaczenie światełka. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie. Ci, co akurat nie byli w kościele na mszy, siedzieli w domu ze względu na pogodę. Dotarłem do faceta, z którym przyjechała z Rycerki, ale on twierdzi, że jedyne, co się po drodze przydarzyło, to spotkanie z jeleniem. Wysadził Zosię pod sklepem i pojechał do domu. Godzina, którą podał, zgadza się z tym, co zeznali rodzice, więc Matu... gość na pewno nie ma z zabójstwem nic wspólnego.

Diona udała, że nie zauważyła zająknięcia, choć dzięki temu fragmentowi nazwiska od razu zorientowała się, o kim mowa. Nie chciała dołować przemęczonego policjanta. Popatrzyła na niego współczująco.

– A na miejscu zdarzenia nie zostały jakieś ślady? Odciski opon, urwane lustro, odpryski farby czy szkła?

Grot wzruszył ramionami i bezradnym gestem przegarnął dłonią włosy, tworząc na czubku głowy śmiesznego koguta.

– Odciski opon na razie nic nie dały. Typowy bieżnik, dość mocno zużyty, ale to u nas normalne.

Wiedziała, co miał na myśli, gdy użył słów „na razie”. Gdy znajdą auto mogące być narzędziem zbrodni, wówczas odlew opony zostanie wykorzystany do badań porównawczych, ale najpierw trzeba ten samochód znaleźć.

Pewna, że to już wszystko, co miał do powiedzenia, chciała gładko zmienić temat, lecz niespodziewanie sierżant znowu się odezwał.

– Rozmawiałem z pani byłym komendantem. – Zerknął na nią, ciekaw reakcji. Dioniza uniosła brwi, jej usta ułożyły się do

wypowiedzenia głoski „o”, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. – Mówił, że mogę pani zaufać. – Urwał, znowu jej się przyjrzał uważnie, jakby dokonywał jakiejś oceny. – Na podstawie innych śladów naszym specjalistom udało się określić markę i kolor samochodu. To był kremowy polonez caro.

Tym razem Remańskiej nie udało się zachować obojętności. Była zbyt zaskoczona, i to nie tyle szczerością policjanta, ile informacją o marce pojazdu.

– O kur... de! To one jeszcze jeżdżą? Malucha zdarzyło mi się widzieć na drogach, ale poldka?

– Ten konkretny najwyraźniej jeździ – odparł sucho Grot. – Tylko że według ewidencji pojazdów nikt w Jasieniu ani okolicach takiego samochodu nie posiada. Dlatego zdecydowałem się prosić panią o pomoc. Nikt tu nie wie, że służyła pani w policji, prawda?

Mogła z czystym sumieniem potwierdzić. Nie dość, że nikt z mieszkańców nie mógł o tym wiedzieć, to jeszcze, o co gotowa była się założyć, nie znali nawet jej nazwiska, gdyż nie zadali sobie trudu, by o nie zapytać. Nie była pewna, czy w ogóle wiedzą, jak ma na imię, a już na pewno, jakie jest jego pełne brzmienie.

Policjant wysłuchał jej odpowiedzi z niekłamanym zadowoleniem.

– A pani chłopak się komuś nie wygadał?

Miała wielką ochotę demonstracyjnie wywrócić oczami i powstrzymała się wyłącznie dlatego, że polubiła sierżanta. Ale ironicznego tonu nie zdołała stłumić.

– Bardzo panu dziękuję za komplement. Dla kobiety stojącej o krok przed trzydziestką młodszy o blisko dziewięć lat kochanek to prawdziwy uśmiech losu. Jak mniemam, nie słyszał pan o takim uczuciu jak przyjaźń? – Grot zmieszał się i wyglądał z tym tak bezradnie, że postanowiła się nad nim ulitować. – Wracając do pańskiego pytania, to ręcę, że nie. Ratio nie jest zbyt komunikatywny, a już tym bardziej nie ma zwyczaju zwierzać się obcym z prywatnych spraw.

– Ratio? – Grot powtórzył jej gest sprzed kilku minut, z tą tylko różnicą, że oprócz uniesienia brwi dodatkowo je zmarszczył. – To skrót od imienia? Brzmi jakoś znajomo...

– Nie, to podwórkowa ksywa z lat dzieciństwa. Z nieznanych przyczyn lepiej mi do niego pasuje.

– A naprawdę nazywa się...?

Sierżant zawiesił głos w oczekiwaniu na dopowiedzenie, a Dioniza nie widziała żadnego powodu, by nie podać mu prawdziwych personaliów chłopaka. Nie były wszak tajne. Policjant zanotował je na karteczce, co również uznała za całkiem normalne działanie.

– Wspomniał pan o jakiejś prośbie – przypomniała, gdy w milczeniu wpatrzył się w zapisane przed chwilą personalia. – Mam popytać o kremowego poloneza?

Pokiwał głową tak energicznie, że czub na głowie wpadł w ruch wahadłowy, pochylając się to do przodu, to do tyłu.

– Tylko wie pani, tak nienachalnie.

– Bez obaw, jeszcze nie zapomniałam, jak się to robi – uspokoiła go, po czym nagle klepnęła się w czoło. – Za to zapomniałam o czymś innym. Byliśmy ostatnio z Ratiem świadkami dziwnego incydentu. Robiliśmy nawet za rozjemców, ale to akurat nie ma znaczenia. Bardziej istotna wydaje mi się rozmowa tych gostków.

Powtórzyła dokładnie słowa Jakuba Zająca i Przemka Gruszki. Grot wysłuchał jej spokojnie, ale w przygaszonych przedtem oczach zapalił się nowy błysk.

– To bardzo ciekawe – rzekł w zadumie. – Rozmawiałem z tymi chłopakami zaraz po zabójstwie, ale nie odniosłem wrażenia, by mieli coś na sumieniu. Poza tym obaj mają alibi. Ale kto wie, co się za tym kryje? Chyba będę musiał ich sobie wypożyczyć i zdrowo przemaglować.

Dioniza już miała zamiar zakończyć wizytę, gdy przypomniała sobie o jej głównym celu. Niestety Grot nie miał dla niej żadnych informacji. Opowiedział o rozmowie z Ulikiem, która nie wniosła do

sprawy nic nowego. Obiecał, że popyta innych, niestety nie potrafił określić, kiedy mógłby to zrobić.

– Rozumiem, panie sierżancie. Najpierw obowiązek, później prywatnie. – Dioniza wygięła kąćki warg w porozumiewawczym uśmiechu. – Mam jeszcze jedną prośbę. Mógłby się pan czegoś dowiedzieć o Białej Matyldzie?

18 listopada 2019, Jasień

Poniedziałek wstał słoneczny, co po deszczowym, ponurym weekendzie było prawdziwym darem losu. Nieustające siąpienie i niebo całkowicie zaciągnięte ciężkimi, nabrzmiętymi deszczem chmurami nie rokowały, że pilnie śledzone przez Dionizę prognozy pogody mają szansę się sprawdzić.

– Niespodzianka!

Ratio bez ceregieli wtarabanił się do pokoju Diony i jednym szarpnięciem sznurka rolety odsłonił okno. Słoneczne promienie osiadły na jej rozespanej twarzy, zmuszając ją do otwarcia oczu.

– Jaka niespodzianka? – wymamrotała. – Daj mi spokój.

Przykryła głowę poduszką, lecz bezlitośnie szarpnęła za róg i zerwał pierzastą osłonę. Potem chwycił kołdrę, lecz Diona tym razem była szybsza i zdążyła ją przytrzymać.

– Idź sobie, głupku. I zostaw tę kołdrę. Jestem goła.

Zastygł z wyciągniętymi rękami i otwartymi ustami, na twarz wypełznął mu rumieniec widoczny mimo ciemnego zarostu na policzkach. Cofnął się gwałtownie i wpadł na stolik. To otrzeźwiło go na tyle, że zdołał wydukać:

– Sorki, nie wiedziałem...

Znów cofnął się o krok, potem o drugi, cały czas z miną tak przerażoną, jakby zamiast Dionizy pod kołdrą leżał jadowity wąż. Był już przy drzwiach, gdy zawołała:

– Ratio!

Spojrzał przytomniej, a wówczas odrzuciła kołdrę, prezentując swoją ulubioną piżamę, tę jadowicie żółtą w zielone króliczki.

– Oszustka! – syknął.

– Czy to moja wina, że dajesz się robić w konia jak mały chłopiec? Nie widziałeś moich rąk na kołdrze?

Wyciągnęła wzmiankowane kończyny przed siebie, by zwrócić jego uwagę na długie rękawy, których nie powinien był przeoczyć.

Droczyli się w drodze do kuchni, gdzie już czekały kubki z kawą. Potem zjedli przyrządzoną przez Dionę jajecznicę – jedną z nielicznych potraw, która wychodziła jej całkiem smaczna.

– Co teraz? – spytał Ratio, gdy skończyli. – Robić już kawę czy wolisz się najpierw ogarnąć?

Przeczesała palcami skołtunione włosy, skrzywiła się na widok żółtej plamy na grzbiecie zielonego króliczka i wstała.

– Za wcześnie na drugą kawę. Poza tym muszę się przebrać. Ciekawe, czy uda mi się kiedyś przeżyć dzień bez upaprania się przy jedzeniu?

Pobiegła do łazienki, wrzuciła piżamę do kosza na brudną odzież i wskoczyła pod prysznic. Po dziesięciu minutach pojawiła się na dole już przebrana, z głową okręconą turbanem uwitym z ręcznika.

– Później dosuszę – oznajmiła w odpowiedzi na niezadane pytanie. – Teraz kawa i papieros. Chodźmy do salonu, chcę zobaczyć, czy pojawi się mój przyjaciel.

Ratio rzucił jej zdumione spojrzenie, lecz o nic nie spytał, tylko włączył ekspres i ustawił na nim kubek, a po pewnym czasie drugi.

W salonie usiadła tak, by móc przez okno obserwować ogród. Upiła kilka łyków i zapaliła papierosa, świadoma zaciekawienia chłopaka, który jednak nadal trwał w narzuconym sobie w dzieciństwie reżimie zabraniającym zadawania pytań i nakazującym skrywanie uczuć. Stłumiła westchnienie. Tak bardzo chciałaby, żeby zrzucił wreszcie tę maskę sztucznej obojętności i zaczął reagować spontanicznie. Wiedziała jednak, że to nie takie proste. Maską stanowiła zbroję chroniącą przed zranieniem, a ran

przytrafiło się Ratiowi aż nadto. I to nie tylko fizycznych, które goją się dużo szybciej.

Zamrugła powiekami, wydobywając się z zamyślenia, zauważyła, że chłopak jej się przygląda, i nagle rzuciła spontanicznie:

– Mógłbyś ze mną zamieszkać na stałe. Nie musiałbyś płacić czynszu, a ja miałabym towarzystwo. – Westchnęła. – Fajnie jest mieć swój dom, ale czasami jest w nim tak przeraźliwie pusto... – Zobaczyła wlepione w siebie pełne zrozumienia oczy chłopaka i czym prędzej dorzuciła, wymuszoną wesołością maskując prawdziwe uczucia: – Przy tobie nie muszę się przejmować wyglądem, no i nie musiałabym chodzić na obiady do Mirabelki.

Przeliczyła się, Ratio bowiem nie podjął żartobliwego tonu. Przyglądał jej się z taką uwagą, że aż się zmieszała.

– Dionka... – zaczął i urwał, a ona poczuła się tak podle, jak jeszcze nigdy w całej historii ich znajomości.

– Ratio, ja nie... Nie chciałam cię urazić. Przecież wiesz, że nie robię tego z litości. – Urwała, lecz zaraz znów podjęła: – Lubię cię...

Odezwał się równocześnie z nią i to jego głos przeważył.

– Naprawdę mógłbym mieszkać w twoim domu? Mówiłaś to poważnie?

Tym razem na próżno silił się na obojętność. Złowiła wzrokiem błysk radości w jego oczach, w głosie zabrzmiał ledwo uchwytny ton nadziei.

– Oczywiście, że mówiłam poważnie. Możesz wprowadzić się od razu. Tylko co z twoją pracą? – zatroszczyła się, gdyż codzienny dojazd autobusem do Bielska-Białej był jednak trochę skomplikowany, a nie podejrzewała, by Rati stać było na kupno samochodu. – Gdzie ty w ogóle pracujesz? – zainteresowała się nagle, uświadomiwszy sobie, że chłopak jakoś dziwnie dowolnie dysponuje czasem. Najpierw przyjechał do Strzygomia, teraz do Jasienia, a oba te wyjazdy nie były wcześniej zaplanowane. – Czy

szefostwo się nie wkurzyło, że znowu bez uprzedzenia wzięłeś urlop?

Swoim zwyczajem odpowiedział najkrócej, jak tylko było można.

– Nie.

– Ejże! – rzuciła ostrzegawczo. – Chyba zdążyłeś zauważyć, że nie wpytyuję cię bez potrzeby? Nie rozumiesz, kretynie, że się o ciebie martwię?

Pochylił głowę i wymamrotał niewyraźnie:

– Wiem. Przepraszam. Ja... Nie lubię mówić o sobie. Ale tobie...

– Raptownie uniósł głowę i popatrzył jej prosto w oczy: – Po maturze zacząłem pracę w spółce zajmującej się tworzeniem programów. Głównie do sprzedaży i fakturowania, ale innych też. To była fajna praca i zespół też w porządku.

Sięgnął przez stół po papierosy, zapalił i zaciągnął się łapczywie. Diona już dawno nauczyła się odczytywać jego reakcje, toteż bez trudu rozpoznała podenerwowanie.

– Ale? – odezwała się równie lakonicznie jak przedtem on. – Bo jest jakieś „ale”, prawda?

Skinął głową i zgasił na wpół wypalonego papierosa.

– Wymyśliłem grę komputerową. Żadne cudo na miarę Minecrafta, tylko taka zmuszająca do myślenia gierka dla starszych dzieciaków. Ale pomysł wydał mi się na tyle dobry, że poszedłem z nim do szefa. Wyśmiał mnie. – Ratio zacisnął dłonie w pięści. – Następnego dnia mnie wezwał i wręczył wypowiedzenie dyscyplinarne. Dlatego dojazdami do pracy raczej nie muszę się przejmować.

Diona nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że powtórzyła jego gest. Dłonie same zwały się w pięści tak mocno, że poczuła, jak paznokcie wbijają się w ciało. Jeżeli Bóg był dobry, miłosierny i sprawiedliwy, jak mógł do tego dopuścić? Dlaczego pozwolił, by ten głęboko doświadczony przez los chłopak znów został skrzywdzony?

– Zaraz! – Coś sobie uprzytomniła. – Nie można zwolnić dyscyplinarnie pracownika ot tak sobie. Trzeba wykazać przyczyny

zwolnienia.

Ratio wykrzywił wargi w pełnym goryczy uśmiechu.

– Szef uzasadnił, że zajmowałem się tą grą w godzinach pracy. Podobno znaleźli się świadkowie, którzy to potwierdzili. Potem powiedział, że może mi pójść na rękę, jeżeli napiszę, że chcę odejść za porozumieniem stron.

– Propozycja nie do odrzucenia – mruknęła, a on potwierdził.

– No właśnie. Nie miałem innego wyjścia, jak napisać to pierdolone pismo!

Musiał być bardziej zdenerwowany, niż myślała, skoro tak otwarcie dał ujście gniewowi. Wyciągnęła rękę i dotknęła lekko jego ramienia.

– Są ludzie i klamki, nic na to nie poradzisz. Pewnie pozazdrościł ci talentu.

– Nie o to chodziło. – Zapalił następnego papierosa. – Przed przyjazdem do Strzygomia wyczytałem w „Komputer Świat”, że moja była firma pracuje nad grą edukacyjną. Z opisu wynikało, że to moja gra.

Nie zdołała ugryźć się w język i zaklęła wyjątkowo paskudnie, choć tyle razy zwracała mu uwagę na niestosowność takiego zachowania. Ratio nie skomentował, uniósł tylko brwi i spojrzał wymownie, mimo że sam przed chwilą także się zapomniął. Machnęła ręką.

– Są takie chwile, gdy grzechem byłoby nie zakląć. Co za gnój! Zwyczajny złodziej! – piekliła się, nie mogąc pogodzić się z faktami.

– Może warto by go pozwać? Potrafiłbyś udowodnić, że gra jest twoja?

– Potrafiłbym, ale... – Zawahał się, nim wyjaśnił: – Sędziowie się na tym nie znają. Musiałbym powołać biegłych na swój koszt, firma pewnie powołałaby swoich i w ten sposób sprawa ciągnęłaby się latami. Opuściłem, bo wiesz, walczyliśmy o wolne sądy, a one od dawna są cholernie wolne. – Na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiech. – Ale złodzieje za długo się tą gierką nie nacieszą.

– Co masz na myśli? Co zrobiłeś? – spytała niepewnie, pełna obaw, czy nie postąpił wbrew prawu.

– Spokojnie, nic się nie bój, to nie było nic nielegalnego. – Ratio miał teraz minę chłopca, który spletał dorosłym brzydkiego figla. – Wiesz, że nie mam w sobie zbyt wielkiej wiary w ludzkość. Dlatego przed zaprezentowaniem gry napisałem pewien skrypt i wkomponowałem go w zapis programu. Ukryłem go dobrze, więc musieliby to przepisywać z klawiatury, żeby zauważyć te kilka wersów, a nie wierzę, żeby komuś się chciało tracić na to czas. Na pewno zrobią kopiuj-wklej i powielą przy tej okazji zapis skryptu. A kiedy uruchomią grę, on sprawi, że po wykonaniu wcześniejszych zadań program się posypie i będzie nie do odzyskania. – Zauważył, że Diona zmarszczyła brwi, dodał więc szybko: – Przecież to moja gierka. Skąd mogłem wiedzieć, że mi ją ukradną?

Remańska przeanalizowała jego słowa i uśmiechnęła się szeroko, z aprobatą.

– Dobra, już skumałam. Od dawna jesteś bez pracy? – zainteresowała się bardziej przyziemną kwestią.

Znowu jej się przyjrzał z uwagą, jakby sprawdzał, czy rzeczywiście pomyślała to, o co najwyraźniej ją podejrzewał. Ale nie, jego odpowiedź świadczyła, że głowę zaprzętało mu co innego.

– Pewnie mnie wyśmiejesz.. – zaczął z nietypową dla niego nieśmiałością. Nie pozwoliła mu dokończyć.

– Przestań! Czy kiedykolwiek się z ciebie wyśmiewałam? – Odczekała, a gdy nie usłyszała sprzeciwu, wytknęła: – Nie śmiałam się nawet wtedy, gdy się uparłeś przefarbować sobie włosy na zielono.

– Wtedy akurat mogłaś – mruknął i zerknął na nią z dość niepewną miną. – Już następnego dnia wiedziałem, że wyszedłem na ostatniego przygłupa. Łaziłem potem taki zielony całe dwa tygodnie, bo nie miałem kasy na farbę. A teraz... pewnie uznasz, że źle zrobiłem, ale zarejestrowałem się jako bezrobotny. Tylko że na

razie nie szukam pracy. Tworzę nową grę i jednocześnie piszę program dla księgowych.

Z trudem zapanowała nad wyrazem twarzy. Nie chciała, by zobaczył, jak sceptycznie jest nastawiona do jego pomysłu.

Naraz wzrok zahaczył o zegar i Diona zerwała się z fotela.

– Jasna cholera! Ratio, musimy zaraz jechać, bo się spóźnimy. Zbieraj się, pogadamy w drodze.

Siedem minut później wyjeżdżali z Jasienia. Prowadził Ratio, który ubłagał Dionizę, by pozwoliła mu sięść za kierownicą, inaczej prawo jazdy całkiem mu zaśnieje. Remańska rozsiadła się więc wygodnie i zaczęła dopytywać o szczegóły. Nie była pewna, czy można napisać taki program, nie znając zasad księgowości.

– A kto powiedział, że nie znam? – odpowiedział pytaniem. – Pamiętasz, jak załatwiłaś mi pracę na lato? Później też u nich dorabiałem, w dodatku na różnych stanowiskach. Stałem na kasie, wystawiałem faktury i pomagałem księgowej. To właśnie oni zamówili ten program, a z księgową uzgadniam wszystko na bieżąco.

Usatysfakcjonowana odpowiedzią Diona skinęła głową i zamilkła, pozwalając mu skupić się na prowadzeniu samochodu. Przed nimi zaczynał się stromy odcinek, w dodatku tak najeżony ostrymi zakrętami, że wołała chłopaka nie rozpraszać.

Przebyli już prawie połowę stromizny, gdy nagle Ratio wrzasnął.

– Nie dojeżdżaj mnie, kretynie! – Zatrąbił klaksonem. – Zgłupiał czy co?

Zaalarmowana okrzykiem Diona popatrzyła w lusterko i zmartwiła. Za nimi w pełnym pędzie gnał kremowy polonez. Zanim zdążyła pomyśleć, co to może oznaczać, samochód grzmotnął w tył forestera. Autem zarzuciło i Ratio z trudem zapanował nad kierownicą, nie pozwalając mu zjechać na pobocze. Dodał gazu. Polonez został z tyłu, lecz znowu przyspieszył. Mogła teraz zobaczyć krzywo wiszący zderzak bez tablicy rejestracyjnej.

Naraz uprzytomniła sobie, że lada moment na drodze wyrosnie najostrożniejszy z zakrętów, a Ratio nie ma na tyle doświadczenia, by móc bezpiecznie go pokonać bez zmniejszenia prędkości.

– Zwolnij! – krzyknęła w panice. Zakręt był tuż-tuż.

Posłusznie depnął po hamulcu. W tej samej chwili polonez znów uderzył w forestera, tym razem bardziej z prawej strony. Prowadzone niewprawnymi rękami niedoświadczonego kierowcy subaru przeleciało przez drogę, złamało barierkę zabezpieczającą i pofrunęło w dół, łamiąc stojące mu na drodze młode brzoźki.

Brzozowy młodnik wyhamował nieco pęd samochodu, lecz Ratio nadal był bezradny. Nie miał pojęcia, dokąd jedzie. W pokrytą pajęczyną pęknięć, mokrą od brzozowego soku szybę co rusz uderzały gałęzie, zostawiając na niej zrudziałe liście, które przyklejały się do lepkiej powierzchni, całkowicie uniemożliwiając widzenie.

Odbili się od jakiegoś grubszego drzewka i tor jazdy znów się zmienił. Teraz zsuwali się prawym bokiem, aż wreszcie siła ciężkości przeważała i forester przewrócił się na prawą stronę. Pokonał w tej pozycji jeszcze ze dwa metry, uderzył dachem w samotny świerk, znów się obrócił i opadł kołami na ziemię, po czym wbił się maską w kępę drzew i wreszcie znieruchomiał.

Oszołomiony Ratio poruszył się ostrożnie. Nic go nie zabolalo, wyglądało więc na to, że wyszedł z wypadku bez szwanku. Naraz dotarło do niego, że od strony pasażera nie dochodzi żaden dźwięk. Chciał spojrzeć w tamtym kierunku i wtedy odkrył, że coś skleilo mu powieki. Obmacał twarz, a gdy dotknął czoła, poczuł dotkliwy ból.

– Diona? Diona, nic ci nie jest? Odezwij się! Kurwa, nic nie widzę.

Próbował wytrzeć wierzchem dłoni krew zalewającą mu oczy, drugą manipulował na oślep przy zapięciu pasa. Udało mu się zwolnić zatrzask, dzięki czemu mógł sięgnąć na tylne siedzenie, gdzie rzucił kurtkę. Wydobyl z kieszeni chusteczkę higieniczną. Po przyłożeniu do czoła natychmiast przesiakła krwią, ale zdążył

dostrzec, że przytrzymywana pasem Diona zwisa bezwładnie z głową przechyloną na bok.

– Dionka, obudź się! Błagam, nie umieraj!

Łzy zmieszane z krwią spływały mu po twarzy i skapywały na sweter. Nie czuł tego, nie wiedział nawet, że płacze, złamany rozpaczą i bezradnością. Diona tyle go nauczyła. Jak żyć wśród normalnych ludzi, jak rozmawiać i jak się bronić. Ale nie nauczyła go, jak pomóc człowiekowi poszkodowanemu w wypadku. Umiał jedynie zadzwonić po pomoc.

– Telefon!

Miał wrażenie, że krzyczy, lecz w rzeczywistości jego głos był niewiele głośniejszy od szeptu. Znow sięgnął po kurtkę, lecz kieszenie były puste, komórka upadła na podłogę. Próba otworzenia drzwi skończyła się niepowodzeniem – gęste krzaki skutecznie to uniemożliwiły. Ratio zaklął i na oślep macał po kratkach wentylatora, gdzie Diona zawsze mocowała swój telefon. Nareszcie!

Wypiął urządzenie z chwytnika i po raz kolejny przetarł oczy rękawem, by móc choć na moment odzyskać zdolność widzenia i wstukać numer alarmowy. Działanie było jednak tak przesiąknięte krwią, że manewr nie przyniósł żadnego efektu. Chłopak usiłował sobie przypomnieć położenie ikon w telefonie Diony, wreszcie na oślep dotknął ekranu. Usłyszał sygnał, a po chwili rozległ się znajomy głos:

– Diona? Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Jeszcze godzinę temu Ratio powitałby go bluzgiem, teraz jednak głos Marcina Lipskiego wydał mu się najpiękniejszy ze wszystkich głosów świata.

– Diona jest nieprzytomna – wyrzucił z siebie, by tamten się nie rozłączył, i mówił dalej krótkimi, szarpanymi zdaniami, by jak najszybciej przekazać to, co najważniejsze. – Mówi Ratio. Wypadłem z drogi koło Jasienia. Nic nie widzę... – Poczł, że słabnie, i znow zaklął, bo jeszcze nie powiedział wszystkiego. –

Przyślij karetkę, jesteśmy na Zygza... – Telefon wypadł mu z ręki. –
...kach – dokończył bezgłośnie, a głowa bezwładnie wsparła się na
kierownicy.

Rozdział 13

Rozejm

18 listopada 2019, Jasień

Kiedy Marcin dojechał na miejsce wypadku, ranni zostali już przewiezieni do szpitala. Spoglądał przez chwilę na techników uwijających się przy pokieroszowanym subaru, po czym podszedł do starszego sierżanta nadzorującego czynności.

– Cześć. Starszy aspirant Marcin Lipski, Komenda Powiatowa.

Nie oczekiwał entuzjastycznego przyjęcia, zresztą wcale się temu nie dziwił. Za czasów swojej służby w komisariacie zawsze ogarniała go niechęć, gdy do prowadzonej przez lokalnych funkcjonariuszy sprawy włączał się desant z powiatówki. Marcin odbierał to jako brak wiary w ich umiejętności, odnosił przy tym wrażenie, że są traktowani jako ci gorsi.

Tymczasem policjant z Jasienia kompletnie go zaskoczył. Energicznie uściśnął podaną mu dłoń, przedstawił się i stwierdził z niekłamana radością:

– Dobrze, że pan przyjechał. Prosiłem o wsparcie już tydzień temu. Gdyby od razu pana tu skierowano, może nie doszłoby do tego.

Zatoczył ręką łuk obejmujący zasięgiem tkwiące w krzakach subaru i zryte zbocze ze sterczącymi niczym zasieki kikutami młodych drzew.

– Co z nimi? – przerwał mu niecierpliwie Marcin.
Sierżant Grot zagryzł wargi.

– Wysłałem do szpitala posterunkowego, żeby ich pilnował. Dzwonił dziesięć minut temu. Ten chłopak, który prowadził, odzyskał przytomność już w karetce. Stracił dużo krwi, ale nie odniósł poważniejszych obrażeń.

– A Remańska? – dopytywał się Lipski.

Miał ochotę potrząsnąć sierżantem, Grot bowiem umilkł i zapatrzył się na technika oglądającego z uwagą tył foreстера.

– Pani Remańska jest na OIOM-ie, lada moment będą jej robić rezonans głowy. – Westchnął i dorzucił: – Ciągłe jest nieprzytomna, choć nie odniosła właściwie żadnych obrażeń. Tylko kilka sińców i zadrapań. Na razie nie wiadomo, co jej dolega, stąd to badanie. Podobno lekarze podejrzewają krwiaka.

Marcin zważył dłonie w pięści. Oczami wyobraźni zobaczył siebie uderzającego Ratia prosto w nos, potem w podbródek, potem... Zmusił się, by porzucić tę wizję. Nie dość, że nie pomagała w opanowaniu emocji, to jeszcze bardziej je nakręcała.

– Kurwa mać! – wybuchnął. – Jeśli ona... Zajebię skurwysyna. Gnój pierdolony! Dorwał się do kierownicy i pewnie grzał, ile fabryka dała...

– Panie aspirancie. – Sierżant położył mu dłoń na ramieniu. – To nie była wina tego chłopaka.

– Jak nie jego wina?! – obruszył się Lipski. – Kiedy do mnie zadzwonił, powiedział wyraźnie, że wypadł z drogi.

– Pewnie nie chciał tracić czasu na tłumaczenie – odparł Grot spokojnie. – W sumie powiedział prawdę, tylko że nie całą. Wypadł z drogi, bo został z niej zepchnięty.

Marcina tak zaskoczyła wypowiedź sierżanta, że nie zdołał się opanować.

– Co?! – wykrzyknął i zrobił ruch, jakby miał zamiar chwycić Grota za ramiona i nim potrząsnąć. – O czym pan mówi?

Zamiast odpowiedzieć, sierżant wskazał aspirantowi drugą ekipę, zajmującą się śladami na jezdni w miejscu, gdzie subaru przebiło barierkę i potoczyło się w dół po zboczu.

– Chodźmy tam. Po drodze opowiem ci o tym zabójstwie.

Lipski aż przystanął. Na fakt, że sierżant zaczął mówić mu po imieniu, w ogóle nie zwrócił uwagi, tak bardzo było to naturalne. Ale druga część wypowiedzi już nie.

– Jakie zabójstwo?

Teraz z kolei zdumiał się Grot.

– Tydzień temu w Jasieniu ktoś celowo przejechał osiemnastolatkę. Nie mam dość ludzi, więc poprosiłem, żebyście to przejęli albo przystali wsparcie. Myślałem, że przyjechałeś z tego powodu.

Marcin pokręcił głową i wyjaśnił, że właściwie zjawił się tu całkiem prywatnie, z uwagi na znajomość z poszkodowaną. Wprawdzie to on uruchomił akcję ratunkową dzięki zlokalizowaniu telefonu Diony, ale jego rola w sprawie właściwie na tym się skończyła. Wcale nie musiał jechać aż pod Jasień, wystarczyłoby sporządzenie stosownej notatki.

Grot wyraźnie się zmartwił. Przyznał, że w całej swojej karierze policjanta nie prowadził nigdy sprawy o zabójstwo z premedytacją i obawia się, że nie podoła temu zadaniu, tym bardziej teraz, gdy musi pełnić obowiązki komendanta, a część załogi z powodu grypy nadal przebywa na zwolnieniu lekarskim.

Lipski pokiwał głową ze współczuciem. Rok temu on sam znalazł się w podobnej sytuacji, a miesiące pełnienia obowiązków komendanta komisariatu wspominał jak najgorszy koszmar.

– A komendant co? Też chory?

Sierżant odpowiedział nikłym uśmiechem.

– Chory, w dodatku dość poważnie. Trzy tygodnie temu zasłabł na służbie i trafił na kardiologię. Wszczepili mu stenty i wszystko już dobrze, ale pewnie jeszcze z miesiąc go nie będzie.

Ostatnie słowa wypowiedział rwącym się głosem. Zaraz potem umilkł i dysząc ciężko, pokonywał ostatnie metry stromej zbrocza. Marcin, choć sporo młodszy, także się zasapał i pomyślał nawet, że

mogli pójść drogą. Byłoby wprawdzie dużo dalej, ale uniknęliby tej cholernej wspinaczki.

– Nienawidzę łażenia po górach – wyznał, gdy stanęli wreszcie na poboczu. – Mówi się, że każdy góral ma to we krwi, ale ja chyba jestem z nieprawego łoża.

Adam Grot skinął głową ze zrozumieniem i podszedł do mężczyzny pobierającego z asfaltu jakieś próbki. Nie chciał mu przeszkadzać, a jedynie zwrócić na siebie uwagę, toteż gdy tamten mruknął „jeszcze chwileczkę”, skinął głową i przysiadł na barierce zabezpieczającej. Marcin usadowił się obok niego i wyciągnął z kieszeni pudełko papierosów. Podsunął je Grotowi, lecz ten odmówił ruchem głowy.

Jakiś czas palił w milczeniu. Sierżant przerwał je pierwszy.

– To zabójstwo, o którym wspomniałem... Sprawca poruszał się kremowym polonezem caro, a Ratio powiedział, że zepchnął go z drogi kremowy polonez.

Marcin dopalił papierosa, analizując słowa Grota. Energicznie zdeptał niedopałek i popatrzył na drogę.

– Diona jest prywatnym detektywem. Czy ściągnąłeś ją tutaj, żeby pomogła ci znaleźć zabójcę?

Sierżant wyglądał na oszołomionego tą supozycją.

– W ogóle nie przyszło mi do głowy, żeby ją zaangażować. Zresztą ona wykonuje inne zlecenie.

Opowiedział Marcinowi o Witeckich, Emielu Regisie i spotkaniu w Rycerce, które nie doszło do skutku. Lipski zadumał się nad jego słowami.

– Czy jest możliwe, że ta dziewczyna zginęła, bo ktoś nie chciał dopuścić do jej rozmowy z Witkowskimi?

– Witeckimi – poprawił go Grot. – Nie mam pojęcia. Przedtem w ogóle nie przyszło mi to do głowy. Przed rozmową z Remańską podejrzewałem, że w treści wiadomości Zosia umieściła jakąś ukrytą groźbę i że to Witeccy ją zabili. Ale pani Dioniza wytłumaczyła mi, w czym rzecz. Z tym bojkotem to też jakaś dziwna sprawa, nie

potrafię zrozumieć, czym ci ludzie tak się narazili. Co ciekawe, oni też nie wiedzą.

Przerwał mu technik, który skończył zbieranie próbek i przyszedł poinformować o wstępnych wynikach. Udało mu się pozyskać kawałki szkła z rozbitego reflektora, drobinki kremowego lakieru i pogięty przedni zderzak, który musiał się urwać, gdy polonez taranował forestera.

– Wysłałem zdjęcie do kumpla, który jest maniakiem takich staroci. Twierdzi, że jest to ewidentnie taki zderzak, jaki montowano fabrycznie w polonezach caro. Ale blachy skurwelec zabrał. Muszę przyznać, że ma nerwy ze stali. Przecież mógł ktoś akurat tędy jechać i go zobaczyć.

– Nerwy jak nerwy – zauważył Lipski. – Po prostu facet umie myśleć. Wiedział, że każdy zwróci uwagę na wypadek, a nie na starego poldka i zderzak luzem.

– Obaj się mylicie – pogodził ich Grot. – Ratio powiedział, że polonez w ogóle nie miał z przodu tablicy.

– Zaplanował to – mruknął Marcin przez zaciśnięte zęby. – Nie zabrał tablic, bo wiedział, że jedzie na polowanie.

Grot i technik zaczęli dyskutować o jakiejś spawie, lecz już ich nie słuchał. Celowo się wyłączył, żeby spokojnie zebrać myśli. W pierwszej chwili doszedł do wniosku, że równie dobrze celem mógł być Ratio. Nie dlatego, że go nie lubił. W tej sprawie nie miało to znaczenia. Ale widział napis ACAB na przedramieniu chłopaka, świadczący o przynależności do jakiejś subkultury lub nawet organizacji przestępczej, a od tego już krótka droga do aktów przemocy czy samosądu. Ulica nie wybacza zdrady, a Ratio przecież żył z byłą policjantką. Kto wie zresztą, od kiedy datował się ich związek. Sprawiali wrażenie ludzi znających się od lat, mogli więc zacząć już wtedy, gdy Diona jeszcze służyła w policji.

Już był pewien, że poznał motywy napaści, gdy przypomniał sobie opowieść Grota o zabójstwie dziewczyny. To absolutnie się nie kleiło, nie mogło mieć nic wspólnego z Ratiem. W obu przypadkach

użyto kremowego poloneza. Przypadek? Niemożliwe! Nie wierzył w takie zbiegi okoliczności. Tej dziewczyny żadna nitka nie łączyła z Ratiem, za to wiązała ją z Dioną. Witeccy byli punktem wspólnym, a zatem to Diona była celem.

Wyjął następnego papierosa, dając tym sobie czas na ochłonięcie. Powinien się uspokoić przed wizytą w szpitalu, inaczej gotów wedrzeć się siłą do gabinetu lekarza i wydusić z niego obietnicę, że Diona będzie żyć. Poza tym chciał załatwić jeszcze jedną sprawę, a w rozmowie z naczelnikiem absolutnie nie wolno mu dać się ponieść nerwom. Inaczej Cichostępski od razu się zorientuje, że aspirant bardziej ma na względzie kwestie osobiste niż służbowe, a wówczas odpowiedź z pewnością będzie odmowna.

18 listopada 2019, Żywiec

W szpitalu trafili wprost na awanturę. To rozwścieczony Ratio usiłował wejść do sali, gdzie leżała Diona, nie potrafił jednak przedrzeć się przez żywą zaporę w postaci pielęgniarki i lekarza.

– Muszę ją zobaczyć – powiedział błagalnie, gdy Grot siłą odciągnął go od drzwi. – Chociaż na jedną małą chwileczkę. Proszę...

Marcin zagryzł wargi. Nadal nie znosił tego chłopaka, ale nie mógł pozostać obojętny na widok jego rozpacz. Podeszedł do lekarza, przedstawił się i poprosił o krótką ocenę stanu zdrowia Remańskiej. Mężczyzna w białym kitlu skinął głową, jeszcze raz spojrzawszy podejrzliwie na Ratia rozmawiającego z Grotem i zaprosił aspiranta do gabinetu, gdzie wziął do ręki teczkę z historią choroby.

– Z jednej strony pani Remańska miała cholerne szczęście. Można było spodziewać się wielu obrażeń, a skończyło się na siniakach i dwóch pękniętych żebrach.

Przerzucił kartkę i wczytał się w następną, coś do siebie pomrukując. Lipski czekał cierpliwie, lecz po kilku minutach nie

wytrzymał i zapytał:

– A z drugiej strony?

Lekarz podniósł na niego wzrok, którego przenikliwość stała w rażącej sprzeczności z malującym się na twarzy zmęczeniem, i bezradnie rozłożył ręce.

– Wszystkie wyniki są prawidłowe, a jednak pacjentka nadal nie odzyskała przytomności. Jej stan przypomina śpiączkę farmakologiczną.

– Co?! – Marcin z całej siły zacisnął dłonie na skraju biurka. Przestał się dziwić zachowaniu Ratia; sam też miał ochotę natychmiast popędzić do Diony i zrobić coś, by się wybudziła. Z trudem się opanował. – Dlaczego? Co jest przyczyną śpiączki?

– Jestem neurologiem, nie jasnowidzem. Bogiem też nie jestem – burknął mężczyzna. – Wyklucziliśmy powody związane z fizjologią i została nam tylko psychika, a to nadal niezbadany obszar. Nie da się jej zważyć, zmierzyć i prześwietlić. Wszystko wskazuje na jakąś formę zaburzenia dysocjacyjnego i prawdopodobnie jest reakcją na stres związany z wypadkiem.

– Co teraz? Co macie zamiar dalej robić?

Aspirant odniósł nieodparte wrażenie, że lekarz miał zamiar wzruszyć ramionami, i samo to wystarczyło mu za odpowiedź.

– To, co zwykle robi się w takich przypadkach. Jak już mówiłem, fizycznie pani Remańska jest zdrowa. Nie ma żadnych poważnych urazów, serce pracuje prawidłowo, pacjentka oddycha samodzielnie. Poddamy ją działaniu różnych bodźców i będziemy obserwować reakcje. Proszę nam zaufać, wiemy, co robić.

Marcin nigdy nie miał zaufania do ludzi każących sobie ufać.

– Czy ona się wybudzi? – spytał wprost.

Oczekiwał konkretnej odpowiedzi, lecz lekarz zrobił kolejny unik.

– Trzeba mieć nadzieję. Wszystko w rękach Boga. Proszę się za nią pomodlić.

Lipski znów zwarł szczęki, by powstrzymać cisnące się na usta przekleństwo. Lekarz specjalista oczekujący boskiej interwencji?

A podobno wie, co robić. Modlitwa zamiast leczenia? To chyba kpiny!
Po co w takim razie jakakolwiek służba zdrowia?

– Mogę do niej zajrzeć? – spytał tylko, gdy fala gniewu minęła.

– Nie widzę przeciwwskazań. Jak już mówiłem, oprócz pękniętych żeber fizycznie jest w doskonałej formie. Może pan do niej mówić, ale proszę powstrzymać się od uwag mających negatywny wydźwięk. Nie wiemy, czy dociera do niej...

– Rozumiem. – Marcin przerwał mu niezbyt grzecznie. Coraz bardziej irytował go ten człowiek, przemawiający przemądrzałym tonem, i bał się, że może powiedzieć coś, co zaważy negatywnie na ich dalszych relacjach. – Dziękuję panu.

Aspirant opuścił gabinet. Na korytarzu nie zastał już Adama Grota, a i Ratio gdzieś zniknął. Trudno, poszuka go później. Teraz musiał zobaczyć Dionę. Zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi, przed którymi pół godziny wcześniej awanturował się Ratio, nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Pokoik był malutki, mieścił tylko łóżko, szafkę i krzesło oraz stolik na kółkach z umieszczoną na nim jakąś aparaturą. Na wysięgniku stało urządzenie monitorujące funkcje życiowe pacjentki. Tak przynajmniej się domyślał, gdy obserwował płynące po ekranie linie i słuchał jednostajnego popiskiwanego.

Diona leżała na wznak. Nigdy dotąd jej takiej nie widział, cichej i spokojnej, bez tak charakterystycznej dla niej ekspresji, wyrażanej to zmarszczeniem brwi, to uśmiechem czy kpiącym grymasem wykrzywającym wargi.

Przysiadł na skraju łóżka, ujął bezwładną dłoń i odezwał się półgłosem:

– Diona... Pewnie mnie nie słyszysz, ale i tak to powiem. Przepraszam za tamto. To nie twoja wina, że nie czujesz tego, co ja. Cholernie mi ciebie brakowało.

Gdzieś za nim skrzypnęły drzwi. Marcin obejrzał się i zobaczył tę samą pielęgniarkę, która ciałem broniła Ratiowi dostępu do Dionizy. Wyszła z pomieszczenia obok, prawdopodobnie łazienki.

Przez jakiś czas wpatrywali się w siebie bez słowa. Policjant już chciał wytłumaczyć swoją obecność, gdy niespodziewanie kobieta się uśmiechnęła.

– To dobrze, że pan do niej mówi. Ci, co wybudzili się ze śpiączki, powtarzali, że słyszeli wszystko. I że to pomogło im wydobyć się ze snu.

– Rozumiem – mruknął. – A właściwie to nie rozumiem. Jeżeli wizyta u pani Remańskiej nie może jej zaszkodzić, dlaczego Ratio nie mógł tu wejść?

Pielęgniarka popatrzyła niepewnie.

– Kto? O kim pan mówi?

– Ratio – powtórzył aspirant niepewnie. Właśnie sobie uzmysłowił sobie, że nie zna jego nazwiska, i poczuł się jak idiota. – Mówię o tym chłopaku, któremu nie pozwoliliście wejść do sali.

– Pan Ratier? – upewniła się kobieta.

Lipski miał ochotę się roześmiać. Snuł różne teorie na temat pochodzenia tego przezwiska, a najprostsze z możliwych wyjaśnień w ogóle nie przyszło mu do głowy.

– Właśnie pana Ratiera miałem na myśli – potwierdził szybko. – Czemu nie chciała go pani wpuścić?

– Przecież pan Ratier jest pacjentem – oburzyła się pielęgniarka. – Powinien leżeć na sali, a nie łązić po szpitalu.

Rzucił okiem na plaketkę z imieniem, przyczepioną nad lewą piersią kobiety, i uśmiechnął się pojednawczo.

– Pani Bernadetto, przecież to nie jest więzienie. Chłopak chyba czuje się dobrze, jeśli miał dość sił, żeby tu przyjść.

– Powinien leżeć – powtórzyła z uporem. – Stracił dużo krwi i ma wstrząśnienie mózgu. Nie mogę dopuścić...

– Może pani i nawet powinna – przerwał jej poirytowany uporem. – Był razem z Dioną w tym samochodzie, więc nic dziwnego, że się o nią martwi. – Wymamrotała coś o przepisach, więc postanowił przyłożyć jej z grubej rury: – Przepisy zabraniają również

informowania obcych o stanie zdrowia pacjentów, a jakoś to pani nie przeszkadzało, kiedy mówiła pani o Ratierze.

– Przecież pan jest policjantem – broniła się, nerwowo wyłamując palce. Już nie wyglądała na nieugiętą, prędzej na bardzo przerażoną.

– Nie jestem tu na służbie, tylko prywatnie. – Złagodził te słowa uśmiechem. Nie chciał jej stresować, tylko uświadomić, że ludzie są ważniejsi od przepisów. – Pani Bernadetto, myślę, że obojgu dobrze zrobi, jeśli Ratier będzie mógł przy niej posiedzieć. To co? Mogę mu zanieść dobrą nowinę?

Skinęła głową i wymieniła numer sali. Jej głos nie brzmiał zbyt entuzjastycznie, ale Lipskiemu to wystarczyło.

– Zbieraj się pan, panie Ratier – powiedział po wejściu do czteroosobowej sali, gdy tylko wypatrzył Ratia na łóżku pod oknem.

Chłopak nawet nie drgnął. Na jego twarzy nie było niechęci czy gniewu. Wyglądała bezosobowo, martwo, a wrażenie to jeszcze potęgowało puste spojrzenie.

– On cały czas jest taki – odezwał się jeden z chorych.

– Wcale nie przez cały czas – zaoponował drugi. – Przecież się ruszył, kiedy przyszedł lekarz. Nawet z nim rozmawiał i pytał o jakąś kobietę. Potem wstał i wyszedł.

– I co z tego? Wrócił, położył się i ani piśnie, tylko leży jak nieboszczyk. Może jakiś nienormalny?

Marcin przestał słuchać. Podeszedł do Ratia i ścisnął go mocno za ramię, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Chłopak nadal milczał, lecz z jego oczu zniknęła pustka, choć nadal nie pojawił się w nich nawet cień zainteresowania.

– Jak się czujesz? – spytał Lipski.

– Dobrze – odparł Ratio obojętnie i odwrócił głowę.

Niezrażony jego zachowaniem Marcin ponowił uścisk.

– W takim razie wychodzimy – oznajmił, a gdy chłopak nawet nie drgnął, dorzucił: – Chciałeś iść do Diony? To wstań i przebieraj

nogami, bo jak nie, to cię przeniosę i będziesz mieć przypała na cały szpital.

Coś z jego słów musiało dotrzeć do chłopaka, bo usiadł na łóżku i przesunął stopami po podłodze w poszukiwaniu papci. Marcin pomógł mu je odnaleźć. Ratio przytrzymał się jego ręki i wstał, zrobił najpierw jeden krok, potem kolejne, wspierając się ciężko na policjancie. Wolno doszli do separatki, w której leżała Dioniza.

Widok nieprzytomnej kobiety najwyraźniej odblokował jakąś zapadkę w jego mózgu, naraz bowiem Ratio wyrwał się Lipskiemu i przypadł do łóżka chorej. Ukląkł tuż obok i wsparł czoło na jej dłoni.

– Dionka, nie umieraj. Obudź się. Popatrz na mnie. – Jego plecami wstrząsnął bezgłośny szloch.

Marcin obserwował tę scenę i czuł, jak cały gniew na tego chłopaka odpływa, zastępowany współczuciem. Usiadł na jedynym krześle i odezwał się cicho:

– To nie była twoja wina.

– Nie moja?! – Ratio gwałtownie wstał z kolan i stanął przed policjantem, zaciskając dłonie na stojaku kroplówki. – Gdybym się nie napraszał, że chcę prowadzić, nic by się jej nie stało. Więc nie pierdol mi, że to nie moja wina!

– Siadaj! – rzucił zimno Lipski. – I przestań drzeć japę. Gdyby Diona prowadziła, tak samo wylecielibyście z drogi, bo ten gość taranowałby forestera tak długo, aż dopiąłby swego. Ratio, on był tam po to, żeby was zabić. Myślisz, że by odpuścił tylko dlatego, że Diona jest lepszym kierowcą? To ona była celem, nie ty! Zepchnąłby ją z drogi, nawet gdyby jechała sama. Dla niego ty w ogóle się nie liczyłeś.

Ratier klapnął na łóżko obok nóg Diony, jakby naraz zabrakło mu sił, i wpatrzył się w ekran monitora, na którym program niestrudzenie kreślił linie. Od chwili, gdy Marcin wyprowadził go z sali, starannie unikał spojrzenia mu w oczy.

– To nie jest tak, jak myślisz – powiedział nagle. – Diona mnie uratowała. Gdyby się nie uparła, że zrobi ze mnie człowieka, pewnie

już by mnie nie było. Jest dla mnie jak starsza siostra. Rozumiesz teraz?

– Czemu mi to mówisz? – zainteresował się Marcin. – Przecież nienawidzisz policjantów, a mnie w szczególności.

Wymownym ruchem dotknął obnażonego przedramienia chłopaka, gdzie nawet w przyćmionym świetle lampki nad łóżkiem można było dostrzec obraźliwy skrót. Ratio również popatrzył na tatuaż, po czym przeniósł wzrok na aspiranta i wzruszył ramionami z udawaną obojętnością.

– Wezwałeś do nas pomoc – burknął i znów umknął spojrzeniem w bok. – No i nie musiałeś mi mówić tego wszystkiego, a ja nie lubię mieć długów. Przysługa za przysługę. Teraz kumasz?

Lipski skinął lekko głową, dając do zrozumienia, że uznał tę odpowiedź. Miał zamiar jeszcze o coś zapytać, lecz przeszkodziła mu pielęgniarka. Przyszła po Ratiera, który początkowo nie chciał opuścić Diony. Spod jego gniewnych słów przebijał lęk; chłopak najwyraźniej obawiał się, że Dioniza umrze, jeśli on spuści ją z oka na dłużej. Pomogło dopiero zapewnienie, że po kolacji będzie mógł ponownie tu zajrzeć i posiedzieć jakiś czas przy chorej. Teraz jednak musi wrócić do swojej sali, zażyć leki, zjeść posiłek i przygotować się do wieczornej wizyty, gdyż lekarz z pewnością będzie chciał obejrzeć ranę.

Marcin wyszedł razem z nimi i zaczekał na korytarzu na powrót pielęgniarki. Korzystając z chwili samotności, zadzwonił do naczelnika. Cichostępski przemyślał już sprawę i wydał pomyślny dla starszego aspiranta werdykt. Zdecydował, że komenda powiatowa udzieli komisariatowi w Jasieniu wsparcia w osobie doświadczonego funkcjonariusza i zgodził się, by został nim Lipski.

– Ale pamiętaj! – ostrzegł. – Jeżeli zauważę, że twoje relacje z Remańską choćby w minimalnym stopniu przeszkadzają ci w obiektywnej ocenie sytuacji, w tym samym dniu wylądujesz z powrotem za swoim biurkiem. I jeszcze będziesz mi wdzięczny, że cię nie oddelegowałem do kierowania ruchem.

Aspirant podziękował i przyrzekł pełny profesjonalizm, pogroźkę puścił natomiast mimo uszu, tak bardzo była absurdalna. Zobaczył, że pielęgniarka opuściła już salę Ratiera, podszedł więc do niej, by dopytać dokładnie o jego obrażenia. Wolał porozmawiać z nią niż z antypatycznym lekarzem.

Kobieta rzuciła mu krzywe spojrzenie.

– Potem znowu mi pan zarzuci, że zdradziłam tajemnicę lekarską.

– Przepraszam – pokajał się całkiem szczerze. – To dlatego, że zrobiło mi się go żal. Poza tym ona jest dla niego jak siostra, a przecież rodzinę byście wpuścili.

Tu przypomniał sobie o Imielskich i czym prędzej zapytał, czy ktoś ich powiadomił. Okazało się, że nie. Diona nawet na chwilę nie odzyskała przytomności, a Ratio o nich zapomniał, lub – co było wielce prawdopodobne – w ogóle ich nie znał. Marcin pojął, że to jemu przypadł w udziale ten niemiły obowiązek, i poczuł przygniatający go ciężar odpowiedzialności. Powiadamanie rodziny o nieszczęściu, które dotknęło bliskich, stanowiło tę część obowiązków prowadzącego śledztwo, której serdecznie nienawidził.

Na razie mógł to odwlec na czas rozmowy z pielęgniarką, toteż wyjaśnił, że od teraz występuje już oficjalnie, i ponownie poprosił o opisanie obrażeń chłopaka, gdyż cały czas miał w pamięci jego rozpaczliwy okrzyk: „nic nie widzę”. Tymczasem Ratio nie sprawiał wrażenia osoby mającej kłopoty ze wzrokiem.

Kobieta wysłuchiwała go uważnie, a potem delikatnie się uśmiechnęła.

– Nie widział z powodu krwi spływającej mu do oczu. Podczas wypadku pan Ratier zranił się w głowę, stąd krew. Nie wiem, co było w tym aucie, ale to coś prawie go oskalpowało. Musicie sami sprawdzić, czym mógł się tak zranić.

Podziękował za wyjaśnienie i opuścił szpital. W drodze do samochodu zadzwonił do Imielskiego i przekazał mu tragiczną wiadomość. Celowo wybrał ojczyzna Dionizy. Założył, że mężczyzna,

w dodatku emerytowany policjant, wykaże się większym opanowaniem niż matka. Braku więzów krwi nie brał pod uwagę, gdyż wiedział, że Imielski kocha pasierbicę, jakby była jego rodzoną córką.

Po zakończeniu rozmowy mógł wreszcie pojechać do Jasienia i porozmawiać z Adamem Grotem. Miał nadzieję, że starszy sierżant przyjmie jego udział w śledztwie ze spokojem, skoro sam prosił o wsparcie.

Rozdział 14

Wyzwolenie

Dawniej

Minął już rok, odkąd zawarłem przymierze z Kibicem i Dannym. Od tego czasu przestałem być wiecznie głodny i nie chodziłem obdarty, zyskałem też sobie w klasie pewną pozycję. Nie to, że stałem się nagle lubiany. Nie zależało mi na tym, toteż nie próbowałem nawiązywać przyjaznych stosunków. Nadal trzymałem się z dala, nie wchodząc w żadne interakcje. To, że klasa zaczęła postrzegać mnie inaczej, miało całkiem inne przyczyny.

Kibic był dość dobrze znany w mieście jako osoba, z którą nie warto zadzierać, a na mnie, od kilku miesięcy jego przybocznego, spłynęła część jego złej sławy. Wkrótce znalazło się w klasie kilku takich, którzy mi zazdrościli i gdyby tylko mogli, natychmiast zajęliby moje miejsce. Z kolei ci bardziej praworządni zwyczajnie bali się ze mną zadzierać.

Bezwstydnie wykorzystywałem mój nowy status i nie czułem najmniejszych wyrzutów sumienia, gdy kazałem pisać za siebie wypracowania, podrzucać ściągę z gotowymi odpowiedziami na kartkówkach i sprawdzianach czy odrabiać prace domowe. Robiłem tak, bo mogłem, bo wiedziałem, że nie mają w sobie tyle odwagi, by mi się sprzeciwić.

Po pewnym czasie nie chciało mi się nawet udawać i w ogóle przestałem pokazywać się w szkole. Uczyłem się zresztą czegoś całkiem innego, a przyswojenie tej wiedzy wydawało mi się dużo

bardziej pożyteczne, tym bardziej że wykazywałem w tym kierunku niebywałe uzdolnienia. Wkrótce doszedłem w posługiwaniu się wytrychami do takiej wprawy, że nie było zamka czy kłódki, które by mi się oparły.

Od czasu do czasu pojawiały się wprawdzie wyrzuty sumienia, ale skutecznie je zagłuszałem wymówką, że przecież ja nie przetrząsam cudzych piwnic i niczego nie kradnę. To robili inni, ja byłem niewinny.

Coraz więcej czasu spędzałem poza domem i coraz częściej się zdarzało, że nie wracałem na noc. Byłem pewien, że pogrążona w alkoholowych wizjach matka nawet tego nie zauważyła, i być może wcale się nie myliłem, niestety do gry włączyła się wychowawczyni. Zaniepokojona moją przedłużającą się nieobecnością pani Lińska zadzwoniła do mamy, co zmusiło moją rodzicielkę do odwiedzenia szkoły.

Zapomniałem dodać, że matka owszem, była pijaczką, ale taką z klasą. Przed wyjściem z domu zawsze brała długi prysznic, by zmyć z siebie zastarzały pot i alkoholowo-nikotynowy smród, który od przebywania w niewietrzonym pokoju przylegał do niej jak druga skóra. Potem ubierała się starannie, robiła kunsztowny makijaż i układała włosy, nikt więc nie przypuszczał, że ta elegancka pani w myślach odlicza minuty dzielące ją od chwili, kiedy znów będzie mogła się napić. Nawet najbliżsi sąsiedzi nie domyślali się prawdy. A może woleli udawać niewiedzę? Bo jakoś nie chce mi się wierzyć, że nie widzieli odwiedzających nasze mieszkanie meneli i nie słyszeli pijackich wrzasków.

Kobiety wspólnie wymyśliły program naprawczy. Co prawda matka zapomniała połowę punktów, zanim doszła do domu, ale to i tak cud, że w ogóle zapamiętała cokolwiek. No i wystarczyło, by wywołać we mnie natychmiastową chęć buntu. Bo jakże to tak? Przez tyle miesięcy mnie ignorowała, nie wspierała mnie, gdy była mi najbardziej potrzebna, a przypomniawszy sobie o moim istnieniu teraz, gdy poradziłem sobie sam. Miałem do niej tak wielki żal, że nie

tylko nie wróciłem do szkoły, ale i w domu pokazywałem się tylko wtedy, gdy nie miałem już innego wyjścia. Na przykład tamtego feralnego dnia, kiedy wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie.

Kwiecień już z racji swojej nazwy powinien cechować się feerią barw kwitnących kwiatów, co ściśle wiąże się ze słońcem i ciepłem. Tymczasem w nocy obudziło mnie dotkliwe zimno. Zaanektowana przeze mnie, a należąca do schorowanego, poruszającego się na wózku sąsiada altanka w ogródkach działkowych była bezpiecznym schronieniem. Tu nie groziło mi nagłe wtargnięcie oburzonych właścicieli mogących posunąć się nawet do wezwania policji.

Domek miał niestety zasadniczą wadę – cienkie ściany i nieszczelne okna w najmniejszym stopniu nie chroniły przed chłodem. Jakoś przetrwałem do rana, lecz byłem tak skostniały, że nie umiałem opanować szczykania zębami, a ciałem co rusz wstrząsały niekontrolowane dreszcze. Nie widziałem innego wyjścia, jak wrócić do domu, choć zaplanowałem ten dzień zupełnie inaczej.

To, że rzuciłem szkołę, w żaden sposób nie wpłynęło na moje zamiłowanie do czytania. Nie stać mnie było na kupowanie książek, na szczęście nikt jeszcze nie wpadł na to, by kazać czytelnikom płacić za korzystanie ze zbiorów bibliotecznych. Panie z osiedlowej biblioteki znały mnie od lat i chętnie odkładały dla mnie nowości, wiedząc, że czekam na nie z utęsknieniem.

Nie starczało mi też pieniędzy na kupowanie czasopism, a uwielbiałem czytać opowiadania zawarte w miesięczniku „Fantastyka”. Na szczęście jeden z kolegów z podstawówki był prawdziwym maniakiem literatury science fiction i kolekcjonował „Fantastykę”. Zebrał wszystkie numery; zawsze w styczniu zanosił ubiegłoroczny komplet do introligatora, a później z dumą ustawiał na półce kolejny pięknie oprawiony tom. Pożyczał je niechętnie i tylko wybrańcom, do których miałem szczęście należeć.

W tomie z 1989 roku, który wczoraj wreszcie dostałem w swoje ręce, znajdowało się „Ziarno prawdy” – trzecie opowiadanie o wiedźminie Geralcie z Rivii. Od czasu, gdy poznałem pierwsze

z opowiadań Andrzeja Sapkowskiego, pokochałem jego bohatera miłością wieczną i bezwarunkową.

Zacząłem od razu wczoraj, ale już po kilku zdaniach zmrok zmusił mnie do odłożenia lektury. Planowałem wrócić do niej zaraz rano, niestety pogoda pomieszała mi szyki. W domu przemknąłem od razu do swojego pokoju i zabrałem się do czytania. Byłem pewien, że matka odsypia nocne picie, być może nie sama, toteż nawet do niej nie zajrzałem. Okazało się jednak, że bardzo się pomyliłem.

– Dlaczego nie chodzisz do szkoły? – usłyszałem naraz jej głos.

Stała w progu, starannie uczesana i w czystych ciuchach, przyglądając mi się z niepokojem. Tak dalece odbiegała od swojego zwykłego wizerunku, że zapomniałem języka w gębie i tylko gapiałem się na nią bez słowa, nie mogąc uwierzyć w to, co widziałem. Musiała powtórzyć pytanie, by wreszcie mnie odblokowało.

– Obowiązek szkolny już mnie nie dotyczy – odburknąłem. – Zapomniałaś, że ukończyłem podstawówkę?

– A ty zapomniałeś, że jest jeszcze obowiązek nauki, a ten będzie cię dotyczyć, dopóki nie ukończysz osiemnastu lat? – odparowała natychmiast.

Nie miałem o tym pojęcia. Musiało się to odbić na mojej twarzy, bo uśmiechnęła się z pobłażaniem, co od razu doprowadziło mnie do furii. Jakim prawem ktoś, kto nie trzeźwiał od ponad pół roku, śmie pokazywać mi swoją wyższość?

– No ciekawe. – Nie mogłem powstrzymać się od sarkazmu. – Ja muszę stosować się do przepisów, ale ciebie to nie obowiązuje? A mnie się zdawało, że rodzice powinni opiekować się swoimi dziećmi... – Popatrzyła na mnie wzrokiem zranionej łani, co rozwścieczyło mnie jeszcze bardziej. – Wiesz co?! – wrzasnąłem, tracąc całe dotychczasowe opanowanie. – Zostaw mnie w spokoju i idź się napij. To ci wychodzi najlepiej!

Odwróciłem się w stronę okna, żeby nie widzieć jej twarzy, bo mimo całego nagromadzonego przez blisko rok żalu zrobiło mi się

jakoś niewyraźnie, tak bardzo moje zachowanie nie przystawało do zasad przez lata wbijanych mi do głowy. Bądź uprzejmy dla starszych, szanuj rodziców, nie zachowuj się chamsko... *Ach, walić to!* – przekonywałem sam siebie i nie oderwałem oczu od szyby, choć nie widziałem za nią nic przez dziwną mgłę przesłaniającą wzrok.

Cichy szcęk zamka poinformował mnie, że mama wyszła. Wróciłem do lektury, lecz teraz przygody białowłosego Geralta nie wydawały mi się już tak porywające. Bardziej zajmowało mnie to, co wydarzyło się tutaj, w moim domu. Trzeźwa! Matka naprawdę była trzeźwa! Przez chwilę korciło mnie, by pójść do niej i powiedzieć, że jestem z niej dumny, i błagać, by nie zmarnowała tego sięgnięciem po butelkę, zaraz jednak doszły do głosu zadawnione urazy. Przypomniałem sobie te dni, kiedy prawie omdlewałem z głodu, bo wydała ostatnie pieniądze na gorzałę. W głowie znowu zabrzmiały mi złośliwe uwagi klasowych kolegów o moich spranych koszulkach i przykrótkich dżinsach, i chęć okazania jej wsparcia odeszła bezpowrotnie.

Mimo to nie czułem zwykłego podekscytowania, gdy wieczorem podążałem na spotkanie „klubu Kibica”, jak nazywaliśmy naszą bandę. Gdyby ojciec był z nami, świętowalibyśmy dzisiaj jego czterdzieste urodziny. Gdy sobie to uświadomiłem, znowu pojawiły się wyrzuty sumienia, tym razem jednak nie pozwoliły się usunąć poza obręb świadomości, musiałem więc zabić je gniewem.

Nie masz prawa mnie pouczać, przemawiałem w myślach do nieżyjącego od ponad dwóch lat mężczyzny. *To ty wybrałeś! Uznałeś obce dziecko za ważniejsze od rodziny. Mówią, że zginąłeś jak bohater, ale ja to mam w dupie. Słyszysz? Tak samo jak policję. Chuj im w dupę!*

Kiedy dotarłem na miejsce, byłem już na tyle spokojny, że nie zdrząła mi ręka, gdy wkładałem wytrych w kłódkę zamykającą nam drogę do cudzej piwnicy. Później ze spokojem obserwowałem

chłopaków wynoszących rowery. Wyrzuty sumienia są dobre dla lamusów, a ja od teraz będę twardy jak skała.

18 listopada 2019, Jasień

Tak jak Marcin się tego spodziewał, mimo dość późnej pory Adam Grot nadal siedział przy biurku, pochylony nad jakimś zestawieniem. Na widok wchodzącego aspiranta uniósł głowę, a po jego twarzy przeleciał cień uśmiechu.

– Tak się niedawno zastanawiałem, czy się tu pokażesz. Chcesz kawy?

Lipski zdecydowanie pokręcił głową.

– Rzygam na samą myśl o kawie. Wypiłem dwa kubki tego szpitalnego syfu i mam dość. Nie masz jakiejś coli albo mineralnej?

– Kropla Beskidu, gazowana. Może być?

Aspirant złapał rzuconą mu butelkę, otworzył i przypiął się do szyjki. Poczucił się jak w niebie, gdy przetykał kolejne hausty, a chłodny płyn nawilżał wysuszone nadmiarem papierosów gardło. Bąbelki gazu delikatnie łaskotały nozdrza.

– Naczelnik oddelegował mnie do śledztwa dotyczącego zabójstwa Rusek i próby zabójstwa Remańskiej i Ratiera – oznajmił, gdy zaspokoił pierwsze pragnienie. Wolał od razu postawić sprawę jasno, żeby później nie było nieporozumień.

Grot wyglądał na ucieszonego. Wstał i wyciągnął rękę.

– W takim razie witaj w naszej małej fabryczce. – Uścisnęli sobie dłonie. – Cieszę się, że to będziesz ty – kontynuował sierżant. – Myślę, że się dogadamy. Chcesz zacząć od jutra czy od razu?

Lipski nie musiał się namyślać.

– Od razu. Szkoda czasu, zresztą i tak nie miałbym co robić. Ale zanim zacznę, powiedz mi, gdzie tu można znaleźć jakiś pokój do wynajęcia.

Sierżant się zafrasował. Zamyślił się, rozważając różne możliwości, lecz żadna nie wydała mu się odpowiednia, czemu dał wyraz, mrużąc coś pod nosem z niezadowoleniem.

– Ciężko będzie – stwierdził w końcu. – Mamy tu dom wczasowy i pensjonat, ale oba o tej porze roku nie działają pełną parą, bo nie ma obłożenia. Dlatego część obiektów aż do wiosny jest wyłączona z użytkowania i nie wiem, czy znajdziesz coś wolnego. Poza tym te ceny... Nie wiem, czy finanse ci klepną rachunek, przecież wiadomo, że funkcjonariusz może przespać się w radiowozie.

Marcin podchwycił ironiczny ton.

– Oczywiście, że tak. Chociaż na dobrą sprawę czemu miałby spać i może jeszcze nie daj Boże jeść? Fanaberie jakieś. Służba to nie wczasy, twardym trza być, nie miętym. – Wymienili porozumiewawcze uśmiechy. – A tak z ciekawości, ile ta przyjemność w pensjonacie?

– Za jedynekę od dwieście wzwyż, w zależności od standardu.

– A żeby ich prąd popieścił! Może prywatnie? – spytał z nadzieją w głosie, lecz sierżant tylko pokręcił głową.

– O tej porze roku nikt prywatnie ci nie wynajmie. Tu mieszkają rodziny wielopokoleniowe i w domach jest ścisk. W lecie młodszy sypiają pod namiotami czy w budynkach gospodarczych, żeby zostawić pokoje dla wczasowiczów, ale nie teraz, kiedy jest zimno. – Grot znów jakiś czas się zastanawiał. – Ja mieszkam w Rycerze Dolnej, mogę popytać. A nie możesz zatrzymać się u Remańskiej? Przecież się znacie, więc pewnie nie miałaby pretensji.

Marcin bardzo chciał tego uniknąć, widział jednak, że nie ma innego wyjścia. Dotknął kluczy wypychających mu kieszeń i skinął głową.

– Chyba tak zrobię. Dobrze, że odebrałem ze szpitala jej klucze. Mam zamiar rozejrzeć się po domu, sprawdzić, czy nie przygotowano tam jakiejś niemiłej niespodzianki. Daj mi teraz akta sprawy zabójstwa Rusek, okej? Pora zacząć zarabiać na pensję.

Sierżant zrobił śmieszny grymas, opróżnił stojące przy oknie biurko z zalegających je szpargałów, położył na nim niezbyt gruby skoroszyt i gestem zaprosił aspiranta do zajęcia stanowiska pracy. Lipski usiadł i zabrał się do studiowania akt. Czas płynął w ciszy przerywanej tylko szelestem przewracanych kartek i pełnymi irytacji westchnieniami Grota, gdy ten nie mógł poradzić sobie z jakimś zagadnieniem.

Po dwóch godzinach Marcin odłożył teczkę, wstał i przeciągnął się, po czym sięgnął po kurtkę.

– Idę zajarać. Ty chyba nie palisz?

– Nie palę, ale pójdę z tobą. – Grot także się podniósł. – Muszę się na chwilę oderwać od tych idiotycznych tablek, bo mi się mózg zagotuje.

Przystanęli przed komisariatem, a Lipski skorzystał z okazji, by wypytać sierżanta o spostrzeżenia i odczucia, których próżno byłoby szukać w zwięzłych, sporządzonym suchym urzędniczym językiem notatkach. Uwagi Adama niewiele jednak mu pomogły.

W pokoju Zosi policjanci nie znaleźli nic mogącego naprowadzić ich na trop sprawcy, a rodzice zdecydowanie twierdzili, że córka nie była z nikim skonfliktowana. Zdarzały się oczywiście drobne kłótnie czy niesnaski wśród znajomych, ale ich kaliber wykluczał, by mogły być motywem zbrodni. Nikt nie zabija dlatego, że ktoś odmówił pożyczania bluzki lub nie chciał iść na imprezę.

Państwo Ruskowie nie mieli również pojęcia, jakie informacje córka chciała przekazać Witeckim, i nie wiedzieli, w jaki sposób je zdobyła. Zresztą Grot wcale nie miał pewności, czy wiążą się one z zabójstwem. Mógł to być zwyczajny przypadek, że umówione spotkanie i śmierć Zosi niemal zbiegły się w czasie.

– To znaczy tak myślałem do wczoraj – dodał szybko, gdy lewa brew Lipskiego uniosła się w wyrazie powątpiewania. – Bo w świetle tego, co się dzisiaj stało, sprawa wygląda całkiem inaczej.

– Właśnie miałem ci na to zwrócić uwagę. – Marcin wciągnął dym w płuca, zakaszłał i czym prędzej zgasił papierosa. – Za dużo dzisiaj

tych fajek – mruknął. – Roboty też. Nic już na razie nie wymyślę, pora się zawinąć do domu – stwierdził, ale na widok smętnej miny Adama zmienił zdanie. – Jak chcesz, to mogę ci pomóc z tymi tabelkami. Przez pół roku byłem zastępcą komendanta w Jodłowcu, więc trochę się na tym znam.

Sierżant ani myślał się certować i natychmiast przyjął propozycję. Wkrótce obaj pochylili się nad sprawozdaniami, których sensu istnienia obaj nie umieli pojąć.

*

Po wjechaniu na teren posesji Marcin wprowadził auto do garażu, stwierdził bowiem, że obcy samochód mógłby wzbudzić niepotrzebną sensację. Kto wie, czy w miasteczku nie istniało coś na kształt straży obywatelskiej? Nie zapytał o to Grota, wolał więc nie kusić losu. Był zmęczony i nie miał ochoty zostać obudzony w środku nocy przez żądnych krwi, naładowanych testosteronem byczków. Wiedział, że tego typu formacje najpierw pacyfikują delikwenta, a dopiero później zadają pytania.

Przeniósł torbę z podstawowym ekwipunkiem do domu, włączył czajnik i wolno przeszedł się od pokoju do pokoju, bardziej dla zebrania myśli niż z chęci poznania gustu znanych mu tylko ze słyszenia Witeckich. Chciał także zobaczyć, gdzie mógłby się rozlokować na czas pobytu w Jasieniu. *O ile Diona nie wywali mnie stąd na zbity pysk* – pomyślał z ponurym grymasem.

Słowa Ratia potwierdziły tylko to, co sam od początku podejrzewał. Niestety najpierw był zbyt wściekły, by myśleć logicznie, a później celowo unikał spojrzenia prawdzie w oczy, nie chcąc przyznać sam przed sobą, że zachował się jak zaślepiiony zazdrością kretyn. Miał nadzieję, że Diona wkrótce się wybudzi i będzie mógł wszystko jej wytłumaczyć. I przeprosić. Przy tym

ostatnim skrzywił się, gdyż podejrzewał, że zwykłe „sorry” tym razem nie wystarczy i trzeba będzie pokajać się trochę bardziej.

Skorzystał z łazienki i po wytarciu rąk w puchaty ręcznik przeszedł do następnego pomieszczenia, które uznał za gabinet Witeckiego. Zajrzał do biurka, które okazało się całkowicie opróżnione. Przeniósł wzrok na regał, gdy uzmysłowił sobie bezsensowność własnego działania. Gdyby Witeccy zostawili w domu coś mogącego rzucić światło na przyczyny zastosowania wobec nich ostracyzmu, Diona już dawno by to znalazła.

Wrócił do kuchni, zalał wrzątkiem torebkę herbaty i z kubkiem w ręce poszedł do salonu. Już miał usiąść, gdy przypomniał sobie, że nie zwiedził jeszcze piętra, gdzie musiały się mieścić sypialnie. Odstawił herbatę na stolik, zabrał torbę z przedpokoju i szybko ruszył w górę schodów.

Pokój dziecienny wyeliminował od razu. Tapeta w misie jeżdżące samochodzikami wcale by mu nie przeszkadzała, podobnie jak dywanik w podobny deseń. Problemem było łóżko, a raczej łóżeczko. Gdyby chciał się w nim położyć, musiałby się najpierw rozkawałkować lub poskładać na czworo.

Łazienkę na razie pominął, a gdy wszedł do sąsiedniego pokoju, od razu zorientował się, że sypia w nim Ratio. W otwartej na oścież szafie dostrzegł kilka koszulek i bluzę, przez oparcie fotela zwieszały się džinsy, których gabaryty zdecydowanie wykluczały Remańską jako właścicielkę. Diona nie zaliczała się wprawdzie do niskich kobiet, ale aż tak wysoka jednak nie była.

Marcin zerknął na leżącą na stoliku kartonową teczkę z logo jednej z bielskich kancelarii notarialnych, zwalczył pokusę, by do niej zajrzeć, i na wszelki wypadek szybko opuścił pomieszczenie. Otworzył drzwi na wprost schodów i od razu zorientował się, że wszedł do królestwa Dionizy. Wyraźnie wyczuwał w powietrzu delikatny aromat Green Tea Elizabeth Arden, a obecność damskich fatałaszków w szafie to podejrzenie potwierdziła.

Mężczyzna podszedł do drzwi balkonowych i spojrzał na pogrążony w mroku ogród, po czym zawrócił do drzwi z uśmiechem na ustach. Gdyby nawet już wcześniej nie uwierzył w zapewnienia Rati, teraz zyskał dowód, że tych dwojga nie łączą intymne więzy. W przeciwnym razie nie spaliby w oddzielnych pokojach.

Naraz ze zdumieniem skonstatował, że ucieszył się wcale nie z odkrycia, iż Diona nie sypia z Ratiem, tylko z tego, że Rati mówił prawdę. Chłopak okazał się całkiem inny, niż Marcin początkowo podejrzewał, dlatego byłoby mu przykro, gdyby koniec końców Rati dał się poznać jako kłamca. A Remańska? Tu Lipski musiał głębiej się zastanowić, by zrozumieć, dlaczego naraz zaczął postrzegać inaczej więzy łączące go z dziewczyną. Bynajmniej nie stała mu się obojętna czy obca, ale zniknęło pragnienie posiadania jej na wyłączność.

To, co poczuł, gdy zobaczył ją leżącą na szpitalnym łóżku, bezbronną, zdaną na innych, nie miało nic wspólnego z lękiem o ukochaną osobę; bardzo podobnie było, gdy jeden z kolegów walczył o życie po tym, gdy został ranny w trakcie interwencji. Zatem uczucie, które przez rok uważał za miłość, wcale nią nie było. Zauroczeniem owszem, pożądaniem także, ale miłością chyba jednak nie. Inaczej nie zamieniłoby się niepostrzeżenie w przyjaźń dlatego, że Dioniza go nie odwzajemniła.

Marcin analizował krok po kroku wzajemne relacje z Dionizą, aż wreszcie doszedł do wniosku, że najbardziej zawiniła tutaj chęć zadowolenia rodziców. Matka nieustannie wytykała mu kawalerski stan i domagała się wnuków, ojciec zaś wręcz popychał go ku Dionie, stwierdziwszy, że byłaby idealną synową. A on pozwolił sobą manipulować jak ostatni kretyn, w czym walenie dopomogło pożądanie, które zresztą nie było niczym dziwnym, gdy wziąć pod uwagę, że Remańska była bardzo atrakcyjną kobietą.

Tylko że samo pożądanie to stanowczo za mało, powinno łączyć się z pełną akceptacją, zaufaniem i lojalnością, a z tymi miał poważny problem. Gdy spoglądał na nieprzytomną dziewczynę,

poczuł gniew, że tak beztrosko szafowała swoim życiem, zamiast zająć się czymś nieniosącym żadnych zagrożeń. Teraz pojął, że nigdy do końca nie zaakceptował jej pracy, przez co nie umiałby zaufać jej bezgranicznie.

Chyba jestem seksistowskim kretynem, ale wolę, żeby moja żona siedziała przed telewizorem i robiła na drutach, zamiast uganiać się za przestępcami, pomyślał i niespodziewanie poczuł ulgę, że wreszcie to zrozumiał.

Wszedł do ostatniego pomieszczenia, wnioskując z gabarytów łóża, małżeńskiej sypialni Witeckich. Stał jakiś czas w progu, wreszcie wzruszył ramionami i rzucił torbę na podłogę. Nie znał tych ludzi, nie powinien więc mieć skrupułów, że narusza ich prywatność. Zresztą i tak nie miał innego wyjścia.

Zdjął kurtkę, położył ją na torbie i rozejrzał się za szafką z bielizną pościelową. Odnalazł ją w łazience, gdzie powędrował po krótkim namyśle. Naciągnięcie pachnących lasem powłoczek zajęło mu nieco czasu, gdyż jak zwykle uwiązał w poszwie na kołdrę i trochę potrwało, nim się z niej wyplątał, wyrzucając przy tym z siebie wymyślne przekleństwa. Potem przypomniał sobie mem o pochodzeniu duchów i roześmiał się serdecznie.

19 listopada 2019, Jasień – Rycerka Górna

To nie był łatwy dzień. Po ponownym przeanalizowaniu wszystkich okoliczności Marcin i Grot utwierdzili się w przekonaniu, że za próbą zabójstwa Diony stoi ta sama osoba, która przejechała Zosię Rusek. Niewiele jednak im to dało, gdyż nadal nie znali motywów sprawcy. W przypadku Remańskiej sprawa była prostsza. Prawdopodobnie podczas swojego pobytu w Jasieniu zobaczyła lub usłyszała coś, co mogło ją naprowadzić na trop zabójcy, dlatego uznał, że bezpieczniej będzie ją wyeliminować.

Nie umieli natomiast pojąć, w czym mogła mu zagrażać osiemnastoletnia szwaczka. Zosia nie prowadziła bujnego życia towarzyskiego, rzadko uczestniczyła w lokalnych imprezach czy spędach, nawet w kościele pojawiała się od wielkiego dzwonu. W zasadzie bywała tylko w domu i pracy oraz na randkach z Mariuszem Niemczykiem, na te ostatnie jednak, jako odbywające się w tajemnicy, wybierali ustronne miejsca lub kawiarnię, lub kino z dala od Jasienia.

Po namyśle doszli do zgodnego wniosku, że właśnie na randce musiała być świadkiem czegoś mogącego wzbudzić podejrzenia i zabójca nie chciał ryzykować, że komuś o tym powie. Ich hipoteza miała jednak poważne dziury i za nic nie chciała się domknąć. Po pierwsze, jak to mogło się stać, że Mariusz nie zauważył tego, co Zosia? Po drugie, nawet jeśli nie zwrócił uwagi na owo tajemnicze coś, dlaczego dziewczyna nie wspomniała mu o tym nawet słowem, choć podobno mówili sobie o wszystkim? I po trzecie, wezwany na przesłuchanie chłopak kategorycznie zaprzeczył, jakoby w ostatnich dniach spotkał się z Zosią. Twierdził, że zakład, w którym pracowała, dostał jakieś pilne zlecenie i skuszona dodatkowymi pieniędzmi dziewczyna od dwóch tygodni zostawała w szwalni po godzinach. Jego zeznanie potwierdziła matka Zofii, musieli więc pogodzić się z faktami.

Zdecydowanie wykluczyli, by to zdarzenie mogło mieć miejsce wcześniej. Zabójca z pewnością nie był głupi, a głupotą byłoby zbyt zwlekać z uciszeniem dziewczyny. Jak jednak mogła poznać jego sekret, przebywając wyłącznie w domu i pracy? Policjanci musieli pogodzić się z tym, że dobili do ściany, wobec czego przenieśli swoje zainteresowanie na narzędzie zbrodni, w tym przypadku kremowego poloneza caro.

Marcin wiedział od sierżanta, że pierwsze poszukiwania pojazdu nie dały żadnych rezultatów. Nikt w miasteczku nie posiadał inkryminowanego samochodu, z zeznań mieszkańców także nie wynikało, by ktoś z Jasienia jeździł polonezem caro. Lipski

początkowo przyjął to do wiadomości, ale wracając w południe ze szpitala, gdzie odwiedził nadal nieprzytomną Dionę, postanowił przyjrzeć się temu jeszcze raz.

W przeciwieństwie do Grota wcale nie planował rozmów z członkami społeczności Jasienia. To mniejsze od niejednej okolicznej wioski miasto było zasiedlone przez niewielu ludzi i jak zdążył się zorientować, wielu łączyło pokrewieństwo lub powinowactwo. Nie miał złudzeń. Musiałby nastąpić jakiś solidny wstrząs, żeby wzruszyć stanowiącą monolit społecznością, a i wtedy tylko nieliczni zdecydowaliby się zeznawać przeciwko komuś, kogo zapewne uważali za rodzinę. Musiał spróbować gdzie indziej.

Rozdział 15

Zabić Matyldę

19 listopada 2019, Jasień – Rycerka Górna

Właścicielka szwalni, gdzie pracowała Zofia Rusek, przedstawiła się jako Adriana Moško. Odrobinę zbyt pulchna, lecz niesamowicie zgrabna blondynka w wieku około czterdziestu lat przyjrzała się Marcinowi uważnie, mrużąc oczy o rzadko spotykanej niebieskozielonej barwie. Wyglądała na zdziwioną celem jego wizyty.

– Składałam już zeznania na komisariacie – przypomniała mu, gdy wyłuszczył cel swojego przyjazdu. Odnotował, że w jej głosie nie było pretensji z powodu oderwania jej od obowiązków, jedynie zaniepokojenie.

– Wiem, ale ja chciałbym panią zapytać o coś całkiem innego.

Skinęła głową i niespodziewanie zaproponowała:

– To może zrobię kawę?

Nie czekając na odpowiedź, podeszła do przepierzenia, za którym znajdował się kącik kuchenny. Włączyła czajnik i nasypała kawę do dwóch kubków. Marcin obserwował jej poczynania, potem podszedł bliżej.

– Czy zna pani kogoś, kto jeździ polonezem caro?

Zaprzeczyła bez wahania, co było w zasadzie całkiem oczywiste. Taki pojazd musiałby rzucać się w oczy i nie sposób byłoby go nie zauważyć. Spoglądał na nią z nieodgadnioną miną, zastanawiając się nad następnym pytaniem. Moško musiała odebrać to spojrzenie jako nieufność, gdyż powtórzyła:

– Nikt nie ma takiego auta. Naprawdę! Nawet tu takie już nie jeżdżą. W Rycerze Dolnej pewien starszy pan jeździ maluchem, ale poloneza nie widziałam tu od lat.

Zalała kawę wrzątkiem, zabrała kubki i zaniósła do stołu, gdzie zamaszystym ruchem odsunęła na bok produkty spożywcze zapakowane w reklamówki i pojemniki na żywność. Zanim zaproponowała, by usiadł, przechyliła krzesło, potrząsnęła nim kilka razy i na koniec przejechała ręką po siedzisku.

– To nasz pokój socjalny – wyjaśniła, gdy uniósł lewą brew, oznajmiając w ten sposób zaciekawienie. – Dziewczyny jadają tu posiłki i czasem się zdarza, że na krzesłach są okruszki. Pracują na akord, więc sam pan rozumie.

Skinął głową, lecz nie podjął tematu. Ta kwestia go w tej chwili nie interesowała, podobnie jak przestrzeganie zasad BHP i ppoż., choć miał co do nich spore wątpliwości. Ruchem głowy podziękował za cukier i upił odrobinę kawy. Okazała się całkiem smaczna. Wypił jeszcze kilka łyków i odstawił kubek.

– Takie auto na pewno nie mogłoby przejechać przez wioskę niezauważone. Kiedy ostatni raz widziała pani poloneza?

Tym razem Moško nie od razu udzieliła odpowiedzi. Zastanawiała się dość długo, zanim znowu pokręciła głową.

– W ogóle się tu takich nie widuje. Ostatni raz widziałam taki samochód ze cztery lata temu. Jeden z sąsiadów miał poloneza caro.

– Tak? – Aspirant wykazał umiarkowane zaciekawienie. – W jakim kolorze?

– Chyba bordowym. Albo ciemnoczerwonym. Dokładnie to nie wiem, bo ten samochód zawsze był potwornie brudny.

– I nikt inny nie miał auta tej marki? Aż się wierzyć nie chce, przecież to był popularny samochód.

– Nie mówię, że nikt nie miał – oburzyła się kobieta. – Ale to było wcześniej, a pan pytał o teraz.

Naraz Marcinowi zaświtała w głowie pewna myśl. Pochylił się nad stołem i poprosił głosem całkowicie wypranym z emocji:

– Niech mi pani opowie o tych polonezach z przeszłości.

Moško zapatrzyła się w przepierzenie, jakby szukała tam natchnienia. Jej wargi poruszały się bezgłośnie. Lipski jej nie popędział. Wolał poczekać niż otrzymać informacje podane bez zastanowienia. Oczywiście mógł je zdobyć również z wydziału komunikacji, ale trwałoby to znacznie dłużej niż te kilka chwil oczekiwania.

– Wydaje mi się, że u nas były tylko trzy.

Wymieniła nazwiska właścicieli, a później, na wyraźne polecenie policjanta, także kolory karoserii. Żaden nie był kremowy.

– A w okolicach? – dopytywał, niezrażony brakiem trafienia. – Mogli tędy przejeżdżać i rzucić się w oczy.

– Kojarzę jednego poloneza z Rycerki Dolnej. To było dawno temu, ale go zapamiętałam, bo był taki sraczkowaty, rzucał się w oczy. – Przerwała i popatrzyła na Lipskiego. Gdy nie zareagował, mówiła dalej: – I pamiętam trzy z Jasienia.

Marcin z trudem się opanował, by nie krzyknąć z radości. To była informacja, na którą czekał. Zmrużył oczy, by nie dostrzegła błysku podeksycytowania.

– Z tego, co mi wiadomo, nikt w Jasieniu nie ma poloneza.

– Teraz już nie, ale to było dawniej. Pracowałam wtedy w tamtejszym sklepie odzieżowym, więc dobrze znałam tych ludzi. Jednego miał Koniewicz, ten, co ma warsztat samochodowy i jest komendantem straży pożarnej. Drugim jeździł Matuszny, a trzecim Pawlus.

– Pani Adriano, jaki te samochody miały kolor? Pamięta pani?

– A co mam nie pamiętać! Nie jestem jeszcze tak stara, żeby mieć demencję. – Kobieta uśmiechem złagodziła ostry ton wypowiedzi. – Ten Koniewicza był granatowy, Matusznego ciemnozielony, a Pawlusa kremowy.

Aspirant sięgnął po kubek i jednym haustem dopił zimną resztkę kawy. Czyżby jego pomysł miał spowodować postęp w śledztwie? Zapisał podane nazwiska i znów zwrócił się do kobiety. Nie mógł pytać tylko o jeden interesujący go samochód. Gdyby plotka się rozniosła, a jego hipoteza okazała się fałszywa, przysporzyłby kłopotów niewinnym ludziom.

– A pamięta pani może, kiedy to było?

Moško obdarzyła go szerokim uśmiechem.

– Mówiłam panu, że wtedy tam pracowałam, a w sklepie słyszy się różne rzeczy. W dwa tysiące ósmym Koniewicz dostał spadek po jakimś wujku czy ciotce. Wybudował nowy dom, wyburzył stary i w jego miejsce postawił warsztat. Wtedy też sprzedał poloneza i kupił sobie hyundaia.

Marcin odwzajemnił uśmiech, pochwalił doskonałą pamięć i zapytał od niechcienia:

– A Matuszny? Też sprzedał?

– Tego to nie wiem. – Posłała mu przepaszające spojrzenie. – W grudniu dwa tysiące dziewiątego wpadł w poślizg na Zygzakach i poważnie uszkodził samochód. Mówił, że będzie go remontować, ale nie wiem, co było dalej, bo od nowego roku zmieniłam pracę i już nie jeździłam do Jasienia. Jak pan chce, to mogę popytać.

Lipskiego niezbyt interesowały dalsze losy ciemnozielonego poloneza, podziękował więc tylko za chęć pomocy i wrócił do pojazdu, który jako jedyny z tych trzech mógł być brany pod uwagę.

– Niech mi pani jeszcze powie, co się stało z polonezem Pawlusa.

Tym razem szczęście go nie opuściło. Moško była całkowicie pewna, że gdy odchodziła z pracy w sklepie w Jasieniu, Pawlusowie nadal jeździli starym, lecz ciągle sprawnym samochodem. Miała też wrażenie, że później widziała go kilkakrotnie, przejeżdżającego przez Rycerkę, ale nie mogła ręczyć, że pamięć jej nie zawiodła. Równie dobrze mogło to mieć miejsce wcześniej.

Lipski nie przejął się tym. Najważniejsze, że poznał nazwisko właściciela kremowego poloneza. Postanowił wezwać Pawlusa do komisariatu i solidnie przemaglować.

Podziękował Adrianie Moško za pomoc i poprosił o zachowanie dyskrecji. Oczywiście ją przyrzekła, lecz nie robił sobie wielkich nadziei, że dotrzyma słowa. Ale nie miało to większego znaczenia, gdyż nie zamierzał dać Pawlusowi czasu na obmyślenie wybielających go wyjaśnień.

Do Jasienia wracał uśmiechnięty, lecz gdzieś w głębi duszy czaił się cień co jakiś czas zasnuwający radość zwątpieniem. Aspirant bowiem nie umiał znaleźć odpowiedzi na pytanie, po co Andrzej Pawlus miałby zabijać Zosię Rusek.

19 listopada 2019, Jodłowiec

Dariusz Lipski dopadł Ogińskiego, gdy tylko ten przekroczył próg komisariatu. Nie pozwolił mu nawet wejść do pokoju, tylko natychmiast przypuścił zmasowany atak.

– Jedziemy od razu czy po kawie? Mam nadzieję, że ten gnojek dalej jest w Jasieniu. Czemu nic nie mówisz? Chyba nie zmieniłeś zdania?

Nadkomisarz włączył ekspres, nasypał kawy do zasobnika i podstawił filiżankę. Dopiero potem spojrzał na aspiranta.

– Nie rozmawiałeś z Marcinem?

– Nie. Czemu pytasz? I co to ma wspólnego z naszym wyjazdem?

Ogiński wymienił filiżankę w ekspresie, a pełną podał Dariuszowi.

– Dziwne, że nie zadzwonił – mruknął. – Ale właściwie wcale nie. Pewnie nie miał do tego głowy.

Lipski podniósł filiżankę do ust, lecz odstawił ją, nie zrobiwszy ani łyku. Nietypowe zachowanie komendanta zaczęło go niepokoić.

– Coś się stało Marcinowi?!

– Nie, wszystko w porządku – uspokoił go Szymon. – Ale Diona i Ratio mieli wczoraj wypadek samochodowy i Diona jest w śpiączce.

Aspirant otworzył usta i zamknął je bez wydania żadnego dźwięku. Nie bardzo wiedział, jak skomentować tę informację. Koniec końców zdobył się tylko na uwagę, która w kontekście usłyszanej nowiny nie wypadła zbyt zręcznie.

– Tyle razy jej mówiłem, że jeździ za szybko.

Ogiński zabrał swoją kawę i usiadł przy biurku z chmurną miną.

– Z tego, co słyszałem, Diona nie siedziała za kierownicą. Prowadził Ratio.

– Żeby go jasny chuj strzelił! Przez niego Marcin i Diona się rozeszli, a teraz to! Ciekawe, co jeszcze zepsuje.

– Nie wrzeszcz – rzucił zimno nadkomisarz. – Z tego, co wiem, Diona i Marcin nigdy nie byli w związku, więc nie mogli się rozejść. To po pierwsze. Po drugie, w tym przypadku Ratio wcale nie zawinił, tylko ktoś ich zepchnął z drogi. A po trzecie, sprawdź go sobie w systemie i przestań się czepiać chłopaka, bo już się nie da tego słuchać.

Skarcony Dariusz najpierw zaniemówił, później popatrzył z urazą na przełożonego.

– Jeszcze niedawno twierdziłeś, że nie ma podstaw do sprawdzania tego gnojka, a teraz sam mi każesz?

– Chryste, Darek, co tak wolno trybisz? – zniecierpliwiał się komendant. – Przecież podejrzewasz go o te włamania, a to chyba wystarczający powód do sprawdzenia. Chłopak nazywa się Medard Ratier. Wrzuć jego dane i przestań wreszcie mendzić, bo mnie tu zaraz jasna kurwica ogarnie!

Po wyjściu aspiranta Ogiński podszedł do okna i zapatrzył się niewidzącym wzrokiem na trapezowaty rynek Jodłowca. Żałował, że w rozmowie z Lipskim dał się ponieść nerwom. Biedny aspirant z pewnością nawet nie podejrzewał, skąd ten nagły przyptyw złego humoru, podobnie jak Diona nie domyśliła się prawdziwego powodu niespodziewanych odwiedzin Szymona. A przecież równie dobrze

mógł wówczas podać jej telefonicznie zamiary na Witeckich i nie musiał w tym celu nachodzić jej w domu. Tylko że wówczas nie poznałby prawdziwego charakteru jej znajomości z Medardem Ratierem i nadal żyłby w niepewności.

A ta historia z Marcinem? Sam nie wiedział, co o tym myśleć. Chwilami było mu go żal, innym zaś razem stwierdzał, że młodszy Lipski sam jest sobie winny. To ostateczne zdanie przeważało, przez co nadkomisarz odczuwał później dyskomfort psychiczny za sprzeniewierzenie się męskiej solidarności.

Za oknami rozległ się głośny dźwięk sygnaturki i Ogiński ze złością odsunął się od okna. Najwyraźniej księża kolejny raz zlekceważyli petycję mieszkańców w sprawie przyciszenia dzwonu, choć hałas był naprawdę trudny do zniesienia.

Wrócił do biurka i odsunął od siebie myśli o Dionie i Ratiu. Teraz nie miał na to czasu, powinien natychmiast zająć się pracą. Ledwo jednak zdążył uruchomić komputer, w drzwiach ponownie stanął Lipski.

– Nie ma go – oznajmił od progu. – Ktoś taki jak Medard Ratier nie występuje w KSIP-ie. Jako Ratio też nie. Jesteś pewien, że to jego nazwisko?

Komendant westchnął demonstracyjnie.

– Tak, jestem pewien – odparł tonem niezachęcającym do dyskusji.

Aspirant nie rezygnował, choć musiał dostrzec, że przełożony pochylił się nad jakimś dokumentem, dając do zrozumienia, że nie ma czasu na dyskusje.

– Kto ci podał jego dane?

Ogiński raptownie uniósł głowę, w jego czarnych oczach zapłonęły iskry gniewu. Odsunął się wraz z krzesłem od biurka i założył ręce na piersiach.

– Chyba się nie zrozumieliśmy, kiedy zaproponowałem przejście na ty. To nie była zachęta do tego, żebyś traktował mnie jak

niedorostka i kontrolował moje działania. Tym razem ci odpowiem, ale uprzedzam: lepiej nie przeginaj, bo źle na tym wyjdiesz.

Dariusz jeszcze nigdy nie słyszał, by komendant mówił tak lodowatym tonem. Pojął, że od pewnego czasu stąpa po bardzo cienkim lodzie i inny szef już dawno postawiłby go do pionu. Ale tak bardzo poczuł się urażony w imieniu syna, że gniew na Ratia przestłonił mu zdrowy rozsądek. Teraz przyszło mu za to zapłacić.

– Przepraszam – powiedział, patrząc Ogińskiemu prosto w oczy.
– Zachowałem się niestosownie.

– Zachowałeś się jak głupi buc – poprawił go nadkomisarz. – Mam nadzieję, że więcej się to nie powtórzy. Wracaj do roboty. Aha, Ratia możesz sobie odpuścić, skoro nie ma go w systemie. Jego dane podał mi szef Marcina, naczelnik Cichostępski.

Po wyjściu Dariusza Szymon znów podszedł do okna i stał tam, bijąc się z myślami. Wreszcie podjął decyzję.

– Nie jestem męczennikiem – mruknął, jakby się przed sobą usprawiedliwiał. Pomyślał, że już wkrótce będzie miał wrogów w obu Lipskich, ale nie zamierzał się tym przejmować. Rezygnacja absolutnie nie wchodziła w grę.

19 listopada 2019, Jasień

Marcin wrócił do domu Witeckich dopiero wieczorem. Schował auto w garażu, starannie zamknął bramę i wszedł do domu. Mimo że ostatni raz jadł rano, nie odczuwał głodu. Tęsknił za to za kąpielą w wannie, poszedł więc do górnej łazienki.

Po dość długim czasie zszedł na dół, zrobił sobie herbatę i sięgnął po papierosy. Już miał zapalić, gdy nagle się zawahał. Nigdzie nie widział popielniczki. Wczoraj był zbyt przejęty wypadkiem Diony, by poświęcić nieistotnemu w gruncie rzeczy zagadnieniu bodaj jedną myśl, i po prostu posłużył się spodeczkiem. Teraz jednak załęgło mu się podejrzenie, że Diona z jakichś

względów nie paliła w domu, a zatem powinien to uszanować. Zabrał więc z łazienki długi, jasnoszary szlafrok z kapturem, wnioskując z rozmiaru, należący do Ratia, i włożył go dla ochrony przed zimnem.

Miał zamiar tylko uchylić drzwi na taras, lecz gdy okazało się, że chłód zelżał, wyszedł na zewnątrz i usiadł na drewnianej ławce pod ścianą. Wzrok mężczyzny leniwie wędrował po ogrodzie, gdzie przebijające się zza chmur promienie księżyca rysowały srebrne ścieżki. Wokół panowała kompletna cisza, tym więc donośniej zabrzmiał naraz łomot, a po nim męski głos, wyrzekający na brak oświetlenia.

– Kurwa mać, mało nogi nie złamałem na tych wertepach. Zapalże tę latarkę!

– Zamknij się, kretynie – odpowiedział mu znacznie ciszej drugi mężczyzna. – Całe miasto chcesz obudzić?

Coś nie tyle w treści wypowiedzi, ile w jej intonacji zaalarmowało Lipskiego. Zgasił papierosa, wsunął rozwiązane sznurowadła w buty i bezszelestnie zszedł z tarasu. Był pewien, że do ogrodu znajdującego się pod opieką Diony zakradli się jacyś intruzi, wkrótce jednak przekonał się, że głosy dochodzą z sąsiedniego ogrodu, tak zarośniętego, że promienie księżyca zatrzymywały się na tworzących kłębowisko gałęziach, przez co tylko nielicznym udawało się przez nie przedrzeć i dotrzeć do ziemi.

Odwrócił się, żeby odejść. Nie zamierzał podsłuchiwać cudzych rozmów, a skoro ci ludzie chodzili po posesji niebędącej pod opieką Diony, nie powinni go obchodzić. Zaraz jednak znów ich usłyszał i natychmiast powróciło wrażenie, że coś z nimi jest nie w porządku. Dochodząca jego uszu rozmowa coraz bardziej przypominała dyskusję przestępców przygotowujących się do jakiegoś skoku.

– Sam się zamknij – mówił pierwszy z mężczyzn. – Połowa miasta dobrze wie, po co tu jesteśmy, a drugiej ściemni się o Matyldzie. No dawaj to światło, czego się boisz?

– Nie wygłupiaj się – włączył się trzeci. – Skąd wiesz, czy Remańska i ten młody gnojek nie wrócili do domu? Tego tylko trzeba, żeby narobili alarmu, że ktoś wszedł na ich teren. Oni nie wyglądają na takich, co by uwierzyli w Białą Matyldę.

– No właśnie – zaczął drugi. – Trzeba ostrożnie. I cicho. Musicie kłapać na mordach jak pojebani?

– Czy wy, kurwa, po polsku nie rozumiecie?! – zdenerwował się pierwszy, a jego głośny szept poniósł się sykiem po ogrodzie. – Przecież wam mówiłem, że Remańska i ten młody zostali wyeliminowani. On sam tu nie wróci, zresztą jest ranny. A ona? Nawet jakby wyszła z tej śpiączki, to pewnie będzie jak roślina.

Mężczyzna umilkł. Jakiś czas panowała cisza, po czym odezwał się trzeci:

– Bierzmy się do roboty. Trzeba wreszcie to załatwić, bo nie wiadomo, co jeszcze ci Witeccy wykombinują. A nuż zaczną wynajmować dom tak jak Kryśka? Wtedy nigdy nie zrobimy z tym porządku.

Błysnęło światło latarki, mężczyźni ruszyli naprzód, z każdym krokiem przybliżając się do Marcina, który gorączkowo rozważał, co powinien przedsięwziąć. Z podsłuchanej rozmowy wyciągnął trzy wnioski. Pierwszy był taki, że zarośnięty ogród także należy do Witeckich, zatem mężczyźni przebywają w nim nielegalnie. Drugi – że mają zamiar przeprowadzić w nim jakąś akcję, najprawdopodobniej również sprzeczną z prawem. I wreszcie trzeci, ten najważniejszy: pierwszy z mężczyzn musiał wiedzieć, kto stał za zepchnięciem forestera z drogi. Był zbyt dobrze zorientowany w sytuacji.

Do tych trzech wniosków Lipski po namyśle dołożył czwarty – okazał się idiotą, przyjeżdżając do Jasienia bez broni. Na swoje usprawiedliwienie miał co prawda to, że był pewien, iż jedzie do zwykłego wypadku, i nie mógł przewidzieć rozwoju wydarzeń. Jednak to w najmniejszym stopniu nie wpłynęło na poprawę jego

humoru. Był wściekły, że musi się wycofać, zamiast zatrzymać tych nocnych wędrowców.

Tamci zbliżali się szybko; jeszcze kilka metrów i znajdą się przy siatce. Marcin wyteńczył wzrok w nadziei, że zobaczy przynajmniej ich sylwetki. Może przy odrobinie szczęścia któraś z nich okaże się na tyle charakterystyczna, że będzie później mógł ją rozpoznać? Ale rozrośnięte krzewy skutecznie ich osłaniały i Lipski widział tylko poruszające się w rytm kroków światło latarki. Naraz się zatrzymali. Światło zatoczyło łuk, zahaczając o ogród Witeckich, i na moment oślepiło Lipskiego, który automatycznie zasłonił oczy dłonią.

– Kurwa, tam ktoś stoi! – rozległ się przerażony głos, w którym policjant rozpoznał drugiego z mężczyzn.

– Gdzie? – burknął pierwszy. – Nikogo nie widzę.

– Za siatką, u Witeckich. Ubrany na jasno, w kapturze... – W miarę jak mężczyzna mówił, jego głos przybierał coraz bardziej niepewny ton. – Matylda? – wykrztusił wreszcie z wyraźnym przestraszaniem.

– Nie pierdol mi tu o duchach. Gdzie niby stoi?

– Na wprost ciebie! – Spanikowany mężczyzna machnął ręką, wskazując kierunek. – Mówię wam, że to Biała Matylda. Ja stąd idę.

– To wypierdalaj, tchórze!

Marcin po pierwszym okrzyku zastygł w kompletnym bezruchu, czekając na sposobny moment, by się wycofać. Teraz uznał, że okazja wreszcie się pojawiła – istniała szansa, że zajęcia kłótnią mężczyźni nie zauważą jego odwrotu. Zdążył zrobić kilka kroków wstecz, gdy usłyszał słowa:

– Widzę go! Zaraz wam udowodnię, że to nie jest żadna Matylda. Załatwię ją jak Remańską.

Koło ucha świsnął Lipskiemu jakiś przedmiot, potem drugi. Trzeci trafił go w głowę, w miejsce, gdzie stożkowato zakończony kaptur utworzył wysoki czub. *Walał we mnie kamieniami. Skąd oni je biorą?* – zdziwił się Marcin i przyspieszył kroku. Czwarty kamień uderzył go w rękę, raniąc boleśnie. Policjant zagryzł wargi, tłumiąc okrzyk

wściekłości i bólu, potknął się na jakiejś nierówności i wpadł w wielką kępę azalii. W następnej chwili kolejne dwa kamienie przeleciały mu nad głową.

– Widzieliście? – znów wykrzyknął drugi z mężczyzn. – Dostała w głowę i nawet nie drgnęła. Kamienie jej się nie imają. A teraz zniknęła. Jej się nie da zabić.

Jego panika musiała udzielić się również tamtym, nagle bowiem rozległ się tupot nóg, a światelko zaczęło się oddalać. Marcin wy dostał się z azaliowych chaszczy i pomknął do domu, gdzie dokładnie zamknął drzwi na taras. Drżącymi rękami zapalił papierosa i pogładził jasnoszarą dzianinę szlafroka.

– Mam u ciebie dług, Ratio – powiedział i łapczywie wciągnął dym w płuca.

20 listopada 2019, Żywiec

Urządzenia popiskiwały cichutko, po monitorze systematycznie płynęły różnokolorowe wykresy. Od dwóch dni Ratio prawie nie odchodził od łóżka Diony. Chwilami przysypiał, lecz budził go najmniejszy szelest. Teraz też otworzył oczy, gdy tylko pielęgniarka poruszyła klamką. Na widok chłopaka zajmującego swoje stałe miejsce przy łóżku pacjentki kobieta się uśmiechnęła i dotknęła jego ramienia.

– Idź się przejść, Medard. Pora na mycie i oliwienie.

Ratio skrzywił się na dźwięk znieprawionego imienia, lecz darował sobie protesty. Pod tym względem pani Bernadetta była nieugięta. „Medard to piękne imię” – pouczyła, gdy poprosił, by go tak nie nazywała. „Oznacza śmiałego, odważnego mężczyznę. A Ratio? Jak można człowieka nazywać stosunkiem?” Przekonywał ją, że w tym przypadku stosunek jest synonimem słowa proporcja, lecz bezskutecznie. Pozostała głucha na wszelkie argumenty i z uporem zwracała się do niego metrykalnym imieniem.

Poszedł do swojej sali, gdzie czekało już na niego śniadanie. Zjadł bez apetytu. Trudno zresztą byłoby zajadać łapczywie coś tak kompletnie pozbawione smaku, jak podana pacjentom pasta jajeczna, jeśli o jej podstawowym składzie świadczył jedynie żółtawy kolor. Nieraz zastanawiał się, jak to możliwe, że szpitalne jedzenie smakuje dokładnie niczym. Zaczął eksperymentować z kucharzeniem już jako młody chłopak, dlatego wiedział, że nędzna jakość potraw najczęściej nie ma nic wspólnego z ich kosztem. Tłumaczenie tego stanu niską stawką żywieniową absolutnie go nie przekonywało. *Trzeba się cholernie postarać, żeby tak spieprzyć ryż z jabłkami*, zżymał się nie dalej jak wczoraj, grzebiąc widelcem w białej mazi upstrzonej brązowymi plamami.

Po śniadaniu zaczekał na wizytę, choć najchętniej znowu pognałby do Diony.

– Jak samopoczucie, panie Ratier? – spytał lekarz studiujący jego kartę choroby.

– Całkiem dobrze – odpowiedział zgodnie z prawdą. Oszołomienie spowodowane bólem, utratą krwi i szokiem już dawno minęło i gdyby nie Diona, już wczoraj domagałby się wypuszczenia.

– To świetnie. Obejrzymy teraz głowę.

Rana goiła się błyskawicznie, a przyszyta skóra miała zdrowy odcień i prawidłową temperaturę. Lekarz nakazał nałożenie opatrunku, zapisał coś w karcie i popatrzył na pacjenta z namysłem.

– Pan mieszka sam czy z rodziną?

Pewnie piguły mu doniosły, że nikt mnie nie odwiedza, pomyślał Ratio i skłamał bez mrugnięcia okiem:

– Z rodziną.

Nienawidził pytań o sytuację rodzinną i tak samo mocno nienawidził litości okazywanej mu na wieść, że jest na świecie sam, dlatego najczęściej uciekał się do wykrętów, a jeśli już nie dało się uniknąć konkretnej odpowiedzi, kłamał w żywe oczy i nie odczuwał z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia.

– To dobrze. W takim razie jutro będzie pan mógł iść do domu.

Zmusił się, by okazać radość. Do domu! Do jakiego domu? Od pół roku nie miał czegoś takiego jak dom, trudno bowiem określać tym mianem kawalerkę wynajmowaną do spółki z dwoma kolegami, z której zresztą zrezygnował przed wyjazdem do Strzygomia. A i przedtem miejsce, w którym mieszkał, można było nazwać domem tylko przy sporej dozie uporu.

Zdecydował, że pojedzie do Jasienia. I tak musiał to zrobić, gdyż tam znajdował się cały jego dobytek. Diona na pewno nie będzie miała pretensji, jeśli zatrzyma się w domu Witeckich. Z pewnością kursują stamtąd jakieś autobusy do Żywca. Ratio nie wyobrażał sobie, że mógłby zostawić Dionę w szpitalu i zająć się swoimi sprawami. Że praca? Co mu szkodzi przyjeżdżać tu z laptopem?

Rozdział 16

Przebudzenia

20 listopada 2019, Żywiec

Po skończonej wizycie Ratio natychmiast pognął do separatki, by opowiedzieć Remańskiej o swoich planach. Za ledwie jednak zdążył przysunąć sobie krzesło i wypowiedzieć kilka słów, gdy drzwi się otworzyły. Spodziewał się ujrzeć Imielskich, lecz do salki wszedł Marcin Lipski.

– Cześć, Medard – powitał go przyjaznym uśmiechem.

Gorzej nie mógł zacząć i Ratio od razu się naburmuszył.

– Teraz i ty zaczynasz? Opętało was z tym Medardem czy co?

– Spoko, chłopaku. Luzik. – Marcin wyszedł na korytarz, skąd przytargał dodatkowe krzesło. Usiadł po drugiej stronie łóżka i kontynuował przemowę: – Powiedz lepiej, jak się mają sprawy. Kiedy wychodzisz?

– Jutro. – Ratio nie zamierzał dodawać nic więcej, ale ciekawość zwyciężyła. – Musisz być tak upiornie przyjazny? Aż mi ciarki chodzą po plecach. Pewnie wykombinowałeś dla mnie specjalne atrakcje. Jakieś małe zatrzymanko? A może użycie siły z powodu stawiania oporu?

– Chyba mi się nie chce. – Lipski poprawił się na krześle i wyciągnął przed siebie nogi. – Wracasz do Bielska?

– A chuj cię to... – zaczął Ratio z przyzwyczajenia, lecz nie dokończył wypowiedzi. Nie powinien zaognić stosunków z tym mężczyzną, skoro ten także troszczył się o Dionizę. – Wracam do

Jasienia – powiedział już spokojnie. – Będę spać w domu Witeckich i przyjeżdżać tu do Dionki.

Lipski wyglądał na zamyślonego. Milczał dłuższy czas, chcąc rozważyć wszystko, nim się odezwie.

– Ty chyba nie masz samochodu? W takim razie przyjadę jutro i cię odbiorę. No co tak ślepisz? Jesteś ważnym świadkiem, więc muszę zadbać o twoje bezpieczeństwo. Nie mogę dopuścić, żeby ktoś cię utłukł.

Nie dodał nic więcej. Postanowił nie mówić na razie, że także zamieszkał w domu Witeckich. Obawiał się, że na wieść o tym Ratier może uznać, iż woli sypiać gdzieś w bramie niż pod jednym dachem z policjantem.

– Aha. – To było wszystko, co Ratio chwilowo był w stanie z siebie wydusić, tak bardzo zaskoczyła go propozycja aspiranta. Długo siedzieli w ciszy zakłócaną jedynie szmerem urządzeń medycznych. Minęło chyba z pięć minut, zanim zdobył się na obszerniejszą odpowiedź: – Dzięki za propozycję, ale nie chcę robić ci kłopotu. Dobrze wiem, że ta gadka o bezpieczeństwie to zwyczajne mydlenie oczu. Nie potrzebuję twojej pomocy. Pojadę autobusem.

Marcinowi od wczoraj coś nie dawało spokoju. Nie umiał zdefiniować problemu, wiedział tylko, że jest to coś związanego z Ratierem. Teraz nareszcie pojął, w czym rzecz. Ratio mówił normalnie. Nie używał podwórkowego slangu, mało tego, miał zdecydowanie bogatszy zasób słownictwa niż przeciętny Polak w jego wieku.

– Jaki masz zawód? – spytał znienacka.

Chłopak dał się złapać na ten stary jak świat podstęp.

– Technik elektronik – odpowiedział, nim zdał sobie sprawę z tego, co robi. W spojrzeniu, które rzucił policjantowi, złość mieszała się z podziwem. – Niezły jesteś – dorzucił jakby wbrew sobie. – Ale jak nie przestaniesz mnie wypytywać, to może się to skończyć nieciekawie, bo ci zwyczajnie jebnę.

Marcin nie wydawał się zrażony okazaną niechęcią. Oszczędna pochwała nie tylko go rozbawiła, ale i zachęciła do zadawania dalszych pytań. Pogrożkę natomiast całkowicie zignorował.

– Naprawdę nakręciłeś film o Gredtkem? Mój ojciec służy w Jodłowcu i mówił mi...

Tego było już Ratierowi za wiele.

– Kurwa, czy ty głuchy jesteś?! – wrzasnął i poderwał się z krzesła. – Jak masz do mnie jakieś wąty, to mnie wezwij na przesłuchanie...

– Ratio, przestań wrzeszczeć.

Urwał w pół słowa i z niedowierzaniem spojrzał na łóżko, skąd doszedł go słaby, niewyraźny głos. Diona patrzyła na nich całkiem przytomnie, a na jej bladej twarzy malowało się zagubienie. Chłopak natychmiast do niej przypadł.

– Dionka! Obudziłaś się!

Za jego plecami skrzypnęły drzwi – to Marcin wyszedł, żeby przekazać pielęgniarce dobrą nowinę. W połowie drogi aspirant przypomniał sobie o istnieniu przycisku alarmowego przy łóżku, ale nie zawrócił. *Niech mają czas na przywitanie*, pomyślał i uśmiechnął się, wspomniawszy łzy w oczach Ratiera. Ten młody twardziel wcale nie był taki beznamiętny, jak usiłował to przedstawić. Każdy człowiek ma jakąś słabość, w przypadku Ratia tym słabym punktem była Diona.

Informacja o powrocie Remańskiej do świadomości postawiła na nogi niemal cały personel medyczny oddziału. Ratier został wyproszony z separatki, lecz zamiast wrócić do swojej sali, chodził nerwowo po korytarzu, co rusz spoglądając na drzwi, za którymi pozostawił Dionizę.

– Chodź, postawię ci kawę. – Marcin nie mógł znieść tego ciągłego dreptania. – Teraz na pewno będą ją badać, sprawdzać wszystko co do joty. Nie licz na to, że szybko skończą. Zamiast łązić wte i wewte po korytarzu, lepiej zadzwonić do Imielskich.

Ratio dał się w końcu przekonać. Z wdzięcznością przyjął kubek kawy i popijając lurowaty płyn, przysłuchiwał się rozmowie Lipskiego z matką Dionizy. Gdy policjant skończył i schował komórkę, chłopak spojrzał na niego dziwnie nieśmiało.

– Wiesz co, Marcin? Jakbyś mógł mnie jutro odwiedzić do Jasienia... Nie mam przy sobie hajsu, ale zapłacę ci na miejscu i...

– Wiesz co, Medard? – Lipski celowo powtórzył słowa Ratiera. – Ty już nic lepiej nie mów. Raczej się pomódl, żeby nie spenalizowano głupoty, bo nigdy z pierdła nie wyjdiesz. Przecież powiedziałem, że cię odwiozę. A hajs wsadź se w dupę i dobrze podlewaj, to może się rozkrzewi.

Siedzący z pochyloną głową Ratio nie mógł widzieć uśmiechu na twarzy Lipskiego. W obawie, że znów zostanie skarcony, w milczeniu wpisał do kontaktów numer aspiranta i schował komórkę. Ten gliniarz wcale nie był taki zły.

Minęło blisko półtorej godziny, nim mogli zamienić z Dioną kilka słów, wykorzystując przerwę między jednym badaniem a drugim. Dziewczyna była blada i wyglądała na wykończoną, ale, jak ich od razu poinformowała, wcale nie czuła się źle. Ból pękniętych żeber został stłumiony środkami przeciwbólowymi, a na drobne stłuczenia w ogóle nie zwracała uwagi. Zmęczył ją powstały wokół niej szum.

– Teraz już wiem, jak musieli się czuć ci wszyscy nieszczęśnicy, których dawniej obwożono po jarmarkach i pokazywano ku uciechu gawiedzi. Gdybym wiedziała, że tak będzie, to wcale bym się nie obudziła.

Siedziała bokiem na brzeжку łóżka, przytrzymując lewą ręką rozdartą na piersi flizelinową koszulę. Miała matowe, zmierzwiłe włosy, podkrążone, pozbawione charakterystycznego dla nich blasku oczy i ogólnie prezentowała się dosyć żałośnie.

Ratio przypadł do niej i mocno ją przytulił.

– Nie mów tak! – zawołał ze strachem, którego nie próbował nawet ukryć. – Nie masz pojęcia, jak się baliśmy, że się nie obudzisz.

Diona syknęła i spróbowała oswobodzić się z uścisku.

– Puść mnie, Ratio – poprosiła łagodnie. – Te żebra jednak trochę mnie bolą. I zadek też, dlatego siedzę półgębkiem. Nie wiem, czemu się uparli ładować mi wszystkie zastrzyki w jedno miejsce.

Przejęty jej słowami chłopak natychmiast się odsunął, wpadając przy tym na Marcina. Ten go podtrzymał i popchnął w stronę krzesła.

– Siadaj, Medard, bo jeszcze sobie krzywdę zrobisz. Że też mamusia się nie boi wypuszczać cię samego z domu.

Twarz Ratiera stężała i Lipski od razu zorientował się, że palnął gafę. Utwierdził się w tym, gdy Diona głośno wciągnęła powietrze w płuca, czym prędzej więc złapał za ramię zmierzającego w stronę drzwi chłopaka.

– Medard, zaczekaj. Nie wiem, co takiego złego powiedziałem, ale przepraszam. Nie miałem nic złego na myśli, tak się po prostu mówi. Kumasz? To nic osobistego.

Twarz Ratiera, jeszcze przed momentem kompletnie bez wyrazu, zaczęła się wolno wypogadzać i chłopak zawrócił. Usiadł na krześle i popatrzył na młodą kobietę, która kiedyś ocaliła mu życie, choć pewnie do dziś o tym nie wiedziała, gdyż fizycznie nic mu nie zagrażało. Ale utrata człowieczeństwa to także śmierć.

– Właściwie to miałaś szczęście – odezwał się po chwili niezręcznego milczenia. – Z tymi żebrami. Najbardziej bolą przez pierwsze trzy dni, a ty to przespałaś.

Diona nie zdążyła mu odpowiedzieć. Do sali weszła pielęgniarka i grzecznie, lecz stanowczo wyprosiła obu mężczyzn, pacjentkę czekały bowiem następne badania. Po zerknięciu na zegarek Marcin stwierdził, że musi już wracać. Pożegnał się z Ratiem, obiecując, że na pewno jutro go odbierze, i opuścił szpital.

20 listopada 2019, Jasień

Marcin zastanawiał się, jakim cudem już dawno nie zlikwidowano komisariatu w Jasieniu. Owszem, obejmował swoim zasięgiem całkiem spore terytorium, mieszkańców jednak było tutaj bardzo mało. Dużo większe gminy dysponowały zaledwie posterunkami, w dodatku często działającymi tylko przez osiem godzin. Ktoś musiał mieć wielką siłę perswazji, że obronił tę jednostkę.

Liczebność załogi także była niewielka, proporcjonalna do liczby mieszkańców. Na co dzień to wystarczało, lecz nie w takiej sytuacji jak obecna, gdy do rutynowych czynności doszło śledztwo w sprawie zabójstwa i usiłowania zabójstwa, jak również wczorajsze wtargnięcie na cudzą posesję i obrzucenie aspiranta kamieniami.

Marcin początkowo zlekceważył wczorajszy atak. Dopiero rano, gdy już spokojnie i bez emocji przeanalizował zajście, doszedł do wniosku, że popełnił błąd, nie informując o nim Grota. Należało zrobić to natychmiast, tymczasem on poprzez zbagatelizowanie sprawy dał napastnikom fory.

Doszedł do wniosku, że musiał cierpieć na jakieś zaćmienie umysłowe. Ten, kto rzucał w niego kamieniami, nie zrobił tego ze strachu czy chęci przepłoszenia. Być może nie miał zamiaru zabić, ale niewiele to zmieniało, w dodatku przeczyły temu podsłuchane słowa. Gdyby kamień trafił w odsłoniętą głowę, a nie w luźny kaptur, skończyłoby się co najmniej ciężkim uszkodzeniem ciała.

Grot był tego samego zdania. Nie skomentował wprawdzie zachowania aspiranta, ale samo jego spojrzenie wystarczyło za opinię. Bez słowa sięgnął po telefon, zadzwonił do komendy powiatowej i poprosił o przysłanie technika. Wysłał też patrol z poleceniem wejścia do ogrodu Witeckich i pilnowania, by nikt niepowołany nie wszedł do tego drugiego, owianego złą sławą. Miało to zapobiec ewentualnym próbom zatarcia śladów.

Ponieważ technik mógł dotrzeć do Jasienia nie wcześniej niż w południe, Lipski wykorzystał ten czas na wyjazd do szpitala, dzięki czemu był świadkiem przebudzenia Diony. Od razu poweselał, tym bardziej że Remańska potraktowała go przyjaźnie i ani słowem nie

nawiązała do tamtego nieszczęsnego poranka, kiedy zrobił z siebie kompletnego idiotę. Przez kilka minut podejrzewał nawet, że uległa częściowej amnezji, wkrótce jednak przekonał się, że z jej pamięcią wszystko jest w porządku. Wtedy poczuł, że ciężar od pięciu tygodni przygniatający mu piersi nagle zelżał, a potem całkiem zniknął.

Po powrocie do Jasienia zatrzymał się przy swoim tymczasowym miejscu zamieszkania i pchnął furtkę. Była otwarta, domyślił się więc, że czynności jeszcze trwają. Obszedł budynek i skierował się do ogrodu, gdzie zobaczył znudzonych funkcjonariuszy siedzących na plastikowych krzesłach przyniesionych z tarasu. Na jego widok poderwali się z miejsc i wyprężyli, przyjmując pozycję zasadniczą, a na ich twarzach odmalowało się poczucie winy.

– Siadajcie. – Poparł polecenie gestem dłoni. Ostatnie, co mogłoby mu przyjść do głowy, to wymagać, by ci nieszczęśnicy stali tu tyle godzin bez dania ulgi zmęczonym nogom. – Technik jeszcze jest?

Obaj jak na komendę przytaknęli, a jeden z nich udzielił również obszerniejszej odpowiedzi:

– Tak jest, panie starszy aspirancie. Jest w drugim ogrodzie. Zabronił nam tam wchodzić, żebyśmy nie pozacierali śladów.

W jego głosie brzmiało rozgoryczenie. Widocznie nigdy dotąd nie uczestniczył w oględzinach i nie wiedział, że stanie na uboczu i obserwowanie pracującego technika niesie w sobie tyle samo emocji, co spoglądanie na krople wody skapujące z kranu. Marcin nie odniósł się w żaden sposób do tych słów, skinął tylko głową i ruszył w stronę furtki prowadzącej do ogrodu Białej Matyldy.

Wrażenie było naprawdę niesamowite. Nieprzycinane od lat drzewa owocowe rozrosły się tak, że nie sposób było stwierdzić, gdzie kończą się gałęzie jednego, a zaczynają drugiego, tak bardzo splątały się ze sobą, tworząc miejscami zwartą kopułę. Krzaki agrestu i porzeczek tworzyły tak gęste zarośla, że każdy, kto chciałby wybrać się tu na spacer, musiałby je omijać, nie chcąc pokaleczyć się o kolce. Tam, gdzie mróz nie dotarł, wysokie źdźbła

trawy kołysały się lekko na wietrze. Marcin ocenił, że sięgną mu do pasa, i skrzywił się lekko na myśl o tym, jak później będą wyglądać jego dżinsy. Zobaczył wydeptaną kilkoma parami butów ścieżkę prowadzącą ukosem w prawo, lecz zanim nią podążył, przystanął i rozejrzał się ciekawie.

Od miejsca, gdzie wczoraj zatrzymali się intruzi, dzielił go nie więcej niż metr. Po lewej stronie mróz musiał być silniejszy, co niespecjalnie go dziwiło, gdyż ta część ogrodu była pozbawiona drzew. Obfitowała za to w pokrzywy, z których tylko nieliczne oparły się działaniu mrozu, większość zaś leżała zwarzona, odsłaniając to, co przedtem zapewne skrywała przed ludzkim okiem. Stare, porośnięte mchem fundamenty i resztki kamiennych schodków świadczyły, że kiedyś stał tu jakiś budynek. Tuż obok leżała spora kupa gruzu, powstała prawdopodobnie podczas rozbiórki, na co wskazywały większe kawały, wrosnięte w ziemię i również pokryte zielonkawym nalotem.

Marcin przyglądał im się przez chwilę, po czym przeniósł wzrok w przeciwnym kierunku. Kupa gruzu zainteresowała go jedynie o tyle, że dzięki niej dowiedział się, skąd napastnik wziął kamienne pociski, raczej nieczęsto spotykane w ogrodach. Obok gruzu leżała sterta starych, spróchniałych desek, lecz ona także nie przykuła jego uwagi, podobnie jak druga, dużo niższa, znajdująca się bardziej na prawo, w bliższym sąsiedztwie drzew. Poza nimi nie dostrzegł w ogrodzie niczego odbiegającego od normy. Rzucił jeszcze okiem na zetłate resztki grubego sznura zwieszające się z gałęzi dorodnej czereśni, wruszył ramionami i podążył wydeptaną ścieżką.

Szlak prowadził do rogu ogrodu, gdzie płot graniczył ze stromym brzegiem potoku. Aspirant już z daleka zobaczył mężczyznę kucającego obok słupka ogrodzeniowego. Po bujnej jasnoblonde czuprynie poznał Janusza Ubratę i ucieszył się, gdyż uważał go za najlepszego z zespołu techników.

– Cześć – powitał go, podchodząc bliżej. – Masz coś?

Ubrata obejrzał się przez ramię, mrużąc oczy przed oślepiającym go słońcem.

– Cześć – odpowiedział i przysiadł na piętach. – Obejrzałem te kawałki gruzu, którymi w ciebie rzucał. Całkiem spore. Gdyby trafił, mógłbyś nawet zawitać do Świętego Piotra. Ale mam dobrą wiadomość. Jeżeli go zidentyfikujecie, to tego rzucania się nie wyprze.

– Zostawił paluchy?! – Marcin nie posiadał się ze zdumienia. – Myślałem, że kamień jest za bardzo porowaty, żeby dało się zdjąć.

Technik wykrzywił się w nieco lekceważącym uśmiechu.

– Z kamienia pewnie tak, ale on nie rzucał kamieniami. – Pokiwał głową na widok błysku zrozumienia w oczach aspiranta i wyjaśnił: – Ten gruz też jest porowaty i nieregularny, na szczęście największy z odłamków ma całkiem płaski i gładki jeden z boków. I tak się nieszczęśliwie dla faceta złożyło, że akurat na nim spoczęły jego cztery palce. Nasz fart, jego pech.

Marcin nie mógł pojąć podobnej beztroski. Ten człowiek chyba był szalony, skoro nie zawahał się użyć gołej dłoni. Chociaż...?

– Skurwysyn! – ocenił zwięźle.

W kontekście tego, co właśnie przyszło mu do głowy, ten epitet wydał mu się najbardziej adekwatny. Ubrata chyba pomyślał to samo, co Lipski wywnioskował z jego miny i potakującego ruchu głową.

– Nie da się ukryć. W razie czego na pewno będzie twierdzić, że wcale nie rzucał tym gruzem wczoraj, a nam nie uda się udowodnić, że było inaczej.

– Czyli mam gówna, a nie szczęście – podsumował aspirant z ponurą miną.

Technik przytrzymał się siatki, powstał z kucek i wydobyl z kieszeni paczkę papierosów. Wskazał przy tym leżący opodal odłamany pień zwalonej jakiś czas temu jabłoni.

– Wichura tak ją załatwiła. Jakies dwa-trzy miesiace temu, wnioskując z jej stanu. Stara już była, spróchniała w środku, dlatego

się złamała. Ale przysiąc można.

Marcin popatrzył na niego z szacunkiem.

– Nie wiedziałem, że wiedza o drzewach wchodzi w zakres wymaganych umiejętności technika – stwierdził i wyjął papierosa z podsuniętego mu pudełka.

– Bo nie wchodzi. – Ubrata szczęknął zapalniczką. – Moi rodzice mają sad jabłoniowy, to się nauczyłem co nieco o drzewach. – Z lubością wciągnął dym w płuca, obserwując przy tym siedzącego z ponurą miną aspiranta. – Jak już jesteśmy przy paluchach, to na tym słupku jest taki sam zestaw, tylko powiększony o odcisk kciuka.

– Należą do tego samego człowieka, co te z gruzu?

– A skąd mam wiedzieć? Myślisz, że mam komputer w oczach? – oburzył się technik. Znów się zaciągnął, po czym powiedział już spokojnie: – Zobaczymy, co z tego wyniknie, kiedy wrzucę te odciski w system.

Na twarzy Marcina nie pojawił się nawet cień entuzjazmu.

– Tylko że to nadal gówno nam daje, bo facet będzie się tłumaczyć, że wchodził tu zbierać owoce, żeby się nie marnowały. Albo wymyśli inne z dupy wzięte wyjaśnienie, a my nie będziemy mogli udowodnić, że kłamie.

Ku jego zdumieniu Ubrata machnął lekceważąco ręką.

– Mam coś lepszego – stwierdził, czym natychmiast skupił na sobie całą uwagę Lipskiego. – Pobrałem z gruzu próbki krwi.

Reakcja Marcina była bardzo daleka od wybuchu radości, którego technik najwyraźniej oczekiwał. Bardziej przypominała zachowanie dziecka po znalezieniu pod choinką pary skarpetek. Wyciągnął przed siebie lewą rękę i podstawił technikowi niemal przed nos, demonstrując nieregularną, szarpaną ranę otoczoną sporym zasinieniem.

– Niepotrzebnie się wysilałeś, Januszkę – burknął. – Widzisz? Skurwiel trafił mnie w dłoń. To moja krew.

Ubrata przyjrzał mu się z taką uwagą, jakby spoglądał na nieznanego mu dotąd okaz fauny.

– Trafił cię w to samo miejsce aż pięć razy? Ten to musi mieć oko.

Do Lipskiego sens tych słów dotarł dopiero po jakimś czasie. Złapał technika za ramię i mocno potrząsnął.

– Chcesz powiedzieć, że wszystkie kawałki gruzu są umazane krwią?

– Dokładnie to chcę powiedzieć – spokojnie przytaknął Ubrata. – Pewnie zranił się w rękę, kiedy podnosił pierwszy. A że ciebie też zranił, na jednym z kawałków gruzu powinny się znajdować dwie różne próbki krwi.

Dawniej

Od kilku miesięcy matka prawie nie trzeźwiała i jej stan przestał już być tajemnicą. Miało to i złe, i dobre strony. Złe, bo nie mogłem znieść litości widzianej w oczach sąsiadów. Bo bałem się, że ktoś zaalarmuje opiekę społeczną, a nie wyobrażałem sobie, że mógłbym trafić do domu dziecka. Nie teraz, kiedy niedługo miałem ukończyć szesnaście lat. Kibic powiedział, że będę mógł uzyskać przed sądem prawo do samostanowienia, a on znał się na takich sprawach, bo jego kuzyn kiedyś wpadł i miał potem nadzór kuratora.

Całe szczęście, że udało mi się namówić listonosza, żeby nie oddawał matce mojej renty po ojcu, tylko przekazywał ją mnie. Dzięki temu zapłaciłem zaległy czynsz i uregulowałem inne zadłużenia. Renta oczywiście nigdy by na to nie wystarczyła, ale miałem też inne dochody, uzyskiwane dzięki moim kumplom.

– Spóźniłeś się, Kojot – wytknął mi Kibic, gdy tamtego wieczoru dotarłem na miejsce. – Musimy się pospieszyć, bo nie mamy dużo czasu. Właściciele poszli do kina, a seans zaczął się – tu zerknął na zegar w telefonie – pół godziny temu.

– No to co? – Nie rozumiałem jego obaw. – Myślisz, że zaraz po powrocie polecą do piwnicy liczyć kompoty?

Nie odpowiedział od razu, tylko jakiś czas przyglądał mi się w milczeniu, jakby oceniał, czy może mi zaufać. Wreszcie podszedł bliżej, pochylił się do mojego ucha i odezwał się ściszym głosem:

– Mój kontrahent nie chce już rowerów, rolek i skateboardów, dlatego ostatnio płaci nam tylko nędzne grosze. Musimy zmienić asortyment.

Nie pierwszy raz zauważyłem, że kiedy nasz szef się zapomina, mówi piękną polszczyzną. Co ciekawe, miało to miejsce tylko wtedy, gdy rozmawiał ze mną w cztery oczy. Wystarczyło jednak, by ktoś się do nas zbliżył, a Kibic natychmiast przechodził na podwórkowy slang. Podejrzywałem, że podobnie jak ja nie wywodzi się z marginesu, czego nie dało się powiedzieć o reszcie naszej bandy.

– Co masz na myśli? – spytałem, nie starając się ukryć niechęci. Coś mi mówiło, że zmiana nie wyjdzie nam na dobre.

– Od dawna mam na oku pewien kwadrat i teraz przyszła pora, żeby się nim zająć.

Czy mi się tylko zdawało, że nadrabiał miną? Nie, to niemożliwe, przecież to był Kibic – największy twardziel na osiedlu. A szkoda, bo wcale się nie paliłem do takiej roboty. Nie znałem kodeksu karnego, ale wydawało mi się, że za włamanie do mieszkania kara musi być wyższa niż za włamanie do piwnicy.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – odpowiedziałem po namyśle.
– Przecież w bloku mieszka pełno ludzi...

– To nie jest blok, tylko dom prywatny – burknął Kibic. – Rusz się! Danny i reszta chłopaków na pewno już czekają.

Nie próbowałem z nim dyskutować, choć wyjaśnienie sprawiło, że plan bynajmniej mnie nie zachwycił, a spodobał mi się jeszcze mniej, gdy poznałem lokalizację. Budynek stał przy ulicy Mireckiego, co prawda niezbyt uczęszczanej, za to charakteryzującej się bardzo gęstą zabudową. Moim zdaniem wybranie tego miejsca było niepotrzebnym ryzykiem – w każdej chwili mógł nas zobaczyć któryś z sąsiadów. Miałem jednak wobec Kibica dług wdzięczności, poza

tym nie chciałem wyjść przed chłopakami na takiego, co obsrał się przy pierwszej poważnej robocie.

Po dotarciu na miejsce bez zbędnej dyskusji podszedłem do furtki i przypasowałem wytrych, choć wszystko we mnie krzyczało, żeby natychmiast stamtąd spieprzać. Utrafiłem za pierwszym razem, co trochę podniosło mnie na duchu, i już raźniej zabrałem się do drzwi wejściowych. Tu poszło trochę trudniej, ale i tak w miarę szybko – przy piątej próbie rozległ się charakterystyczny szcęk oznajmiający, że zamek ustąpił.

Moja rola już się skończyła, przemknąłem więc z powrotem na ulicę i przyczałem się za jakimś krzewem, który co prawda nie miał jeszcze liści, ale i tak stanowił dość dobry kamuflaż.

Od początku utarło się, że wyszukiwaniem i wynoszeniem fantów zajmują się tamci. Ja miałem tylko rozkminiać zamki, a potem stałem na bliku, pilnując, by nikt nas nie nakrył. Chłopaki najpierw się buntowali przeciwko mojej uprzywilejowanej pozycji, ale Kibic uciszył ich krótko, mówiąc, że moje ręce są zbyt cenne, żeby ryzykować ich utratę. Wyszło więc, że jestem niezastąpiony, z czego byłem cholernie dumny.

Stałem więc tam za krzakiem i czujnie ślepiłem się w ciemność. Wszędzie panowała cisza, tylko z sąsiedniego domu sączyły się cichutko odgłosy telewizora. Nie, wcale nie straciłem czujności. Po prostu nie wiem, skąd oni tak nagle się tam wzięli. To znaczy teraz już wiem, ale wtedy było to tak niespodziewane, że dosłownie wrosłem w ziemię, gdy koło domu zaroilo się od policjantów. Musieli zostawić radiowozy gdzieś dalej, bo te pojawiły się dopiero wtedy, gdy kilku gliniarzy wbiegło do domu, a inni obstawili budynek.

Zastanawiałem się, co będzie z moimi kumplami. Najpierw pojawiła się niezbyt szlachetna myśl, że jednak to ja miałem rację, potem zmartwiłem się, skąd będę brać kasę, gdy grupa przestanie istnieć. Dopiero na końcu uzmysłowiłem sobie, że sam znalazłem się w bardzo nieciekawej sytuacji. Stałem niemal naprzeciwko tego pieprzonego domu, schowany za bezlistnym krzaczorem, i tylko

wielkiemu szczęściu zawdzięczałem, że jeszcze nikt mnie tam nie wypatrzył. Ale lada chwila mogło się to zmienić, dlatego postanowiłem jak najszybciej się stamtąd ewakuować.

Bardzo powoli wysunąłem się zza łysych gałęzi, stanąłem na chodniku i ruszyłem w stronę Osiedla Beskidzkiego, siłą powstrzymując się, by nie przyspieszyć. Przeszedłem tak może cztery metry, a może pięć. Nagle gdzieś za mną usłyszałem okrzyk:

– Stój! Stój, policja!

To wystarczyło, by oładnęła mną panika. Zerwałem się do biegu i pędziłem w dół ulicy tak szybko, jakby strach dodał mi skrzydeł. Zbliżałem się właśnie do mostka niedaleko pętli autobusowej, gdy jakaś wysoka postać zastawiła mi drogę. Nie zdążyłem wyhamować i byłbym przywalił głową w tors, gdyby mężczyzna nie przytrzymał mnie za ramiona. Niemal zaryłem butami w ziemię, a on nawet się nie zachwiał. Pewien, że to jakiś przechodzień wracający tędy do domu, odchyliłem głowę, by zobaczyć, czy bardzo jest na mnie zły, i ze zgrozą zobaczyłem policyjny mundur.

Rozdział 17

Poloneza czas zacząć

Kiedyś, gdzieś

Chłopak spogląda z rozpaczą na walające się w pokoju strzępy czegoś, co jeszcze niedawno było jego ubraniami. *Ona jest szalona*, myśli i w tym przypadku nie jest to tylko epitet powszechnie stosowany dla określenia kogoś zachowującego się w pewien sposób nietypowo. Postępowanie matki świadczy o chorobie psychicznej.

Wzdycha ciężko i zwija porozrzucaną odzież w wielki kłęb, ładuje do worka na śmieci, później odsuwa wersalkę, gdzie schowany jest inny worek. Zagląda do niego i oddycha z ulgą, gdy stwierdza, że zawartość znajduje się w nienaruszonym stanie.

Matka nie pierwszy raz złapała za nożyce, by pastwić się nad ubraniami syna. To jej nowy sposób gnębienia go od czasu, gdy musiała zrezygnować z kar cielesnych, czyli od niespełna roku.

Postawił się jej dwa dni po swoich czternastych urodzinach. Gdy znów sięgnęła po kabel, poczuł nagle, że nie zniesie kolejnego bicia, i w akcie desperacji wyrwał jej narzędzie kaźni. Usiłowała je odzyskać, lecz on nie miał już nic do stracenia. Wiedział, że jeżeli jej ulegnie, już nigdy nie odzyska tego, co przed chwilą wywalczył. Przeciwnie, będzie tracić siebie kawałek po kawałku, aż w końcu całkiem zniknie, pochłonięty przez jej nienawiść. Mimo to nie potrafił jej uderzyć. Odepchnął ją tylko i wyrzucił kabel przez okno.

Kobieta wydała z siebie nieludzki wrzask i wyciągnęła ręce z zagiętymi jak szpony palcami, próbując dosięgnąć oczu. Nie miał innego wyjścia, jak tylko znowu ją odepchnąć. Nie rezygnowała, atakowała go raz po raz, aż do zupełnego wyczerpania. Dopiero wtedy rozplakała się, przez co znowu przypominała człowieka, a nie krwiożerczego potwora. Gdy później dezynfekował zadrapania na twarzy, gdzie dosięgły jej paznokcie, usiłował sobie przypomnieć, ile razy odepchnął matkę. Nie pamiętał, ataków było zbyt wiele.

Ranami zainteresowała się wychowawczynie i chociaż chłopak uparcie milczał, musiała domyślić się prawdy. Wezwała matkę do szkoły. Kobieta wróciła do domu wściekła, ale od tamtej pory nigdy więcej nie uderzyła syna. Wkrótce jednak znalazła inny sposób gnębienia. Niszczzenie ubrań i głód.

Chłopak wie, że w domu nie ma nic do jedzenia. Matka kupuje tylko tyle, ile jest w stanie sama zjeść, i rzadko się zdarza, by znalazł coś ponad zeschniętą kromkę chleba. Gdyby nie potrafił sam o siebie zadbać, już dawno umarłby z głodu.

Zastanawia się, skąd kobieta bierze pieniądze na jedzenie i opłaty. Przecież nigdzie nie pracuje, zresztą jak sięgał pamięcią, nigdy nie chodziła do żadnej pracy. Dopóki ojciec był z nimi, to on zarabiał na dom. A później?

Chłopak usiłuje sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział, żeby listonosz przynosił jakiś przekaz. Jest prawie pewny, że to nigdy się nie zdarzyło, zatem niemożliwe, by tata przysyłał mamie jakieś pieniądze. Wie, że kobieta nie umie obsługiwać komputera, wobec czego wyklucza także możliwość wpływów na konto elektroniczne. A do banku matka na pewno nie chodzi, skoro prawie nie opuszcza mieszkania i bywa najdalej jedynie w osiedlowym sklepiku.

Nie umie znaleźć żadnego wytłumaczenia, a głód nie pozwala mu się skupić, chłopak porzuca więc rozważania i zaczyna przygotowywać się do wyjścia. Wyjmuje z ukrywanego za tapczanem worka stare dżinsy i bluzę z kapturem, ze szkolnego

plecaka wygrzebuje ciemne okulary. Przebiera się szybko, chowa plecak i worek za tapczan i wychodzi z domu. Nadeszła pora na polowanie.

21–26 listopada 2019, Jodłowiec

Chociaż Lipski miał zamiar przesłuchać Andrzeja Pawlusa zaraz po rozmowie z Adrianą Mośko, musiał zmienić plany. Wysłany z wezwaniem funkcjonariusz wrócił z niczym. W domu Pawlusów zastał tylko ich córkę opiekującą się niedomagającą od lat babcią. Dziewczyna wyjaśniła, że rodzice wyjechali do Wrocławia, by odwiedzić syna i synową, wrócić zaś mieli dopiero dwudziestego. Zobowiązała się, że przekaże rodzicom wezwanie, i najwyraźniej słowa dotrzymała, gdyż zaraz następnego dnia po powrocie Pawlusowie stawili się w komisariacie.

Zapytani o kremowego poloneza caro małżonkowie najpierw zgodnie zrobili wielkie oczy, potem oświadczyli, że sprzedali go dawno temu. Odpowiadali chętnie i według opinii Marcina całkiem szczerze, toteż uznał, że nie ma powodu im nie wierzyć, chociaż nie mogli przedstawić dokumentu sprzedaży. Od tamtego dnia minęło blisko dziesięć lat, nie zdziwił się więc, że nie przechowywali nadal umowy. Sam wprawdzie niechętnie pozbywał się starych dokumentów, ale, jak kiedyś przyznał się Dionie, był pod tym względem inny niż większość ludzi.

Natychmiast po zakończeniu rozmowy wysłał funkcjonariuszy po mężczyznę, który według zapewnień Pawlusów odkupił od nich samochód. Jednak przesłuchanie Sławomira Matusznego nie tylko niczego nie wyjaśniło, ale jeszcze bardziej zaciemniło sytuację, wobec czego Marcin uznał, że musi poprosić Adama Grota o pomoc. Chciał skonsultować z nim swoją najnowszą hipotezę śledczą.

– Nie znam mieszkańców Jasienia – zagał. – Za to ty znasz, dlatego mam pytanie. Czy twoim zdaniem Matuszny mógł zabić

Zofię Rusek?

Zaskoczony sierżant przez jakiś czas wgapił się w niego w milczeniu. Wreszcie pokręcił głową nie tyle w geście przeczenia, ile ze zdziwieniem.

– Powiedz mi najpierw, co wymyśliłeś, bo nie bardzo mogę zajrzeć. Przecież Matuszni nie mają żadnego poloneza.

– Ale kiedyś mieli. Ciemnozielony polonez caro w grudniu dwa tysiące dziewiątego roku uległ poważnemu uszkodzeniu. Matuszny chciał go ponoć remontować, ale chyba nic z tego nie wyszło, bo dwa miesiące później go zezłomował, a wcześniej odkupił od Pawlusów ich samochód. Też poloneza caro, tylko kremowego.

Grot znowu pokręcił głową, tym razem z niedowierzaniem.

– Musiałeś coś pokręcić. W ewidencji nie ma śladu po takiej operacji. Po wyrejestrowaniu tamtego poloneza Matuszni kupili outlandera, którego dwa lata temu wymienili na audi. – Posłał Marcinowi podbarwiony złośliwością uśmiech. – Wiesz, my w małych komisariatach też umiemy myśleć. A że mieszkańców tu niewiele, zadałem sobie trud sprawdzenia, jakimi samochodami jeździli. Cofnąłem się o dziesięć lat, aż do dwa tysiące dziesiątego roku, więc ten nabytek Matusznego musiałby znaleźć się na mojej liście.

Marcin nie byłby sobą, gdyby nie odwzajemnił zgryźliwości.

– Za to my z większych jednostek mamy większą wyobraźnię. Matuszny potwierdził, że odkupił samochód od Pawlusa. Tylko widzisz, Adam, on tego auta nigdy nie zarejestrował, dlatego zniknęło z ewidencji.

– O cholera! To mi nie przyszło do głowy. Wytłumaczył, czemu tego nie zrobił?

Aspirant poprawił się na krześle, wyciągnął nogi i wymownie wzruszył lewym ramieniem.

– Niby tak. Twierdził, że ten samochód też był stary i że kupił go właściwie tylko na części, żeby wyremontować tego swojego ziolońca. Ale nic z tego nie wyszło, dlatego zezłomował oba i kupił nowego outlandera.

Sierżant przechylił się ku niemu przez biurko.

– A tobie wydaje się to podejrzane, tak?

– Bo ja wiem? Teoretycznie mogło tak być, w każdym razie nie udowodnię, że było inaczej. Kwit ze złomowania wywalił już jakiś czas temu, i o to też nie mogę się przyczepić. Tylko że w tej sprawie zrobiło się jakoś dziwnie dużo Matusznych. – Lipski wyprostował się nagle, porzucając rozleniwioną pozę. – Najpierw weźmy Zofię. Sławomir Matuszny w dniu zabójstwa przywiózł ją z Rycerki do Jasienia. Twierdził, że oprócz spotkania z jeleniem nic szczególnego podczas tej drogi nie zaszło, ale mamy na to tylko jego słowa. Dziewczyna ich nie potwierdzi, bo nie żyje.

Grot od razu pojął, do czego aspirant zmierza. Kiwnął głową, aprobując tok myślenia, i wszedł mu w słowo.

– Jeśli chodzi o Remańską, to wszystko zaczęło się chyba od Witeckich. Z tego, co pani Dioniza mówiła, mieszkańcy Jasienia najpierw byli do nich nastawieni całkiem przyjaźnie. To uległo zmianie praktycznie z dnia na dzień, po tym, jak Krzysztof Witecki rozmawiał z Haliną Matuszną. Potem pani Dioniza miała zajście z Łukaszem Matusznym, który chciał jej uniemożliwić wejście na posesję, choć nie powinno go to obchodzić.

– Ci trzej, którzy zaszczycili swoją wizytą ogród Matyldy, szli prosto w stronę furtki – podjął Lipski. – Z ich słów wynikało, że chcą skorzystać z tego, że w domu nikogo nie ma, więc możemy przyjąć, że to coś, z czym chcieli zrobić porządek, znajduje się na posesji Witeckich. Masz pomysł, co by to mogło być?

Sierżant bezradnie rozłożył ręce.

– Jedyne, co mi przychodzi na myśl, to przemyt. Słowacja jest bardzo blisko. Może alkohol albo fajki?

Lipski nie wyglądał na przekonanego.

– To raczej idzie ze wschodniej granicy. Może narkotyki? Mieliście tu kiedykolwiek problem z tym gównem?

– Za moich czasów ani razu – bez namysłu odpowiedział Adam.

– Jestem tu dopiero sześć lat. Musiałbyś spytać mojego

poprzednika, ale nie sędzę. Jakiś ślad po takiej sprawie by został, no i ludzie by gadali. Marcin, ty przecież słyszałeś głosy napastników. Czy któryś z nich mógł należeć do Matusznego?

– Żaden – odparł zwięźle aspirant. – Matuszny ma specyficzny głos, dość wysoki jak na mężczyznę. To na pewno nie był on.

Siedzieli pogrążeni w ponurym milczeniu, które wreszcie przerwał Grot. Mówił niepewnie, jakby w obawie, że urazi starszego stopniem kolegę.

– Wiesz, Marcin, tak sobie myślę... Ja wiem, że ty znasz się lepiej na takich sprawach, tylko że... Nie obraż się, ale wydaje mi się, że idziemy złą drogą.

– To znaczy? – spytał Lipski zwięźle. Nie wyglądał na obrażonego. – No powiedz, nie bój się, że wpadnę w histerię.

– Twoja hipoteza, że to Matuszny jest sprawcą, oparta jest na tym, że nie zarejestrował poloneza. Ale właśnie to wydaje mi się bezsensowne. Musiałby przewidywać, że za dziesięć lat będzie chciał kogoś przejechać.

Marcin rzeczywiście uznał fakt niezarejestrowania auta za okoliczność obciążającą. Po słowach Adama zaklął głośno, zrozumiał bowiem, jak mało brakowało, by całkiem się wygłupił. Matuszny kupił kremowego poloneza pod koniec stycznia dwa tysiące dziesiątego roku, czyli dokładnie dziewięć lat i dziewięć miesięcy temu. Zosia Rusek miała wtedy niespełna dziesięć lat. Jeżeli dziewczynka zagrażałaby mu w jakiś sposób, po co miałby czekać tak długo? Jeśli zaś zagroziła mu dopiero teraz, nie mógł o tym wiedzieć wtedy, gdy kupił samochód od Pawlusów... Poczł, że pogubił się w domysłach, i ze zniechęceniem machnął ręką, a Grot odpowiedział mu równie ponurym spojrzeniem, co jego własne.

Następne dni przyniosły aspirantowi jedynie narastającą frustrację. Nie znaleźli nic mogącego dać mu bodaj najmniejszy punkt zaczepienia. Wprawdzie badania znalezionych odcisków linii papilarnych potwierdziły domysł Ubraty, że człowiek, który zostawił je

na kawałkach gruzu, był tym samym, który przytrzymał się słupka, przechodząc pod naderwaną siatką do ogrodu Matyldy, ale odcisków nie było w systemie. Próbkę krwi, po których tyle sobie obiecywał, na razie okazały się całkowicie nieprzydatne. Należały do dwóch różnych osób, jedna zgadzała się z grupą krwi Marcina, niestety nadal nie zdołał wytypować kogoś, do kogo mogłaby należeć druga.

– Nie masz pojęcia, jak mnie ten Arbuz wkurwia! – żalił się Adamowi na prokuratora nadzorującego śledztwo. – Dzwoni jak popieprzony i ciągle wypytuje o postępy, a sam nie chce pomóc.

W akcie desperacji Grot wymyślił pobranie próbek DNA od wszystkich dorosłych płci męskiej. Dzięki temu mogliby ustalić, który z mężczyzn zaatakował Lipskiego, a wtedy już tylko jeden krok dzieliłby ich od udowodnienia, że to właśnie on jest zabójcą. Aspirant odniósł się do pomysłu bardziej niż niechętnie. Tłumaczył sierżantowi, że mieszkańcy Jasienia niemal na pewno odmówią oddania próbek i jedynym efektem będzie to, że zabójca zostanie ostrzeżony. Poza tym wiedział dobrze, że prokurator nie wyrazi zgody choćby ze względu na koszty, tym bardziej że odmówił zgody na przebadanie próbek z kamienia, twierdząc, że nie zdoła uzasadnić takiego wypadku.

Kiedy jednak kolejne dni minęły bez żadnych postępów, Lipski postanowił pomówić z prokuratorem. Karol Matczak, z racji figury przypominającej kulę poruszającą się na nieproporcjonalnie cienkich nogach zwany Arbuzem, był raczej lubiany przez policjantów. Nie męczył ich nadmiernym nadzorem, nie zlecał dziwacznych czy niewykonalnych zadań, w dodatku wykazywał zrozumienie dla ludzkich słabości i nie wytykał drobnych potknięć. Dlatego Marcin liczył na to, że dobroduszny i obdarzony poczuciem humoru mężczyzna wykaże się zrozumieniem i podpisze nakazy, dzięki którym zamieszkujący Jasień mężczyźni nie będą mogli odmówić oddania próbek. Niestety prokurator odmówił, w dodatku bezlitośnie wykpił aspiranta, porównując zaproponowane działanie do metod stosowanych przez policjantów z zagranicznych seriali kryminalnych.

Koniec miesiąca, a tym samym koniec oddelegowania do Jasienia zbliżał się milowymi krokami i wszystko wskazywało na to, że aspirat Lipski opuści miasteczko na tarczy.

27 listopada 2019, Żywiec

Lekarze najpierw ostro zaprotestowali, a gdy to nie poskutkowało, przeszli do perswazji. Prym w tym wiódł neurolog, który już pierwszego dnia nie przypadł Marcinowi do gustu. Dionie również wydał się jakiś śliski, a gdy zaczął mówić, a raczej przemawiać, poczuła do niego gwałtowną antypatię. Nie znosiła, gdy ktoś traktował ją z góry, a jeszcze bardziej, gdy ktoś używał wobec niej tonu, jakby głosił Słowo Pańskie. Argument „mówię pani, że tak jest” zawsze doprowadzał ją do furii, a teraz dodatkowo czuła złość na to, że jest słaba, bezradna i zdana na innych. Musiała wrócić do domu. Wiedziała, że z dala od szpitalnych murów od razu poczuje się lepiej.

Tamci wyszli, by kontynuować obchód, lecz neurolog pozostał w sali. Spoglądał to na kartę choroby, to na pacjentkę, wreszcie się odezwał:

– Chciałbym porozmawiać z kimś z pani najbliższych. Z mężem czy narzeczonym.

– Nie mam – odburknęła krótko.

– To może z ojcem? – nie ustępował.

Irytacja Diony uzyskała poziom bliski wybuchu.

– Ojciec nie żyje. A tak w ogóle, to dlaczego akurat z ojcem? Z matką nie można?

– Wolałbym z mężczyzną. Są konkretniejsi. Wy, kobiety, jesteście cudownymi istotami, ale rządzą wami uczucia, a tu potrzeba logicznego rozumowania.

Nawet się nie zająknął, gdy wygłaszał te brednie, i Remańska pojęła, że dyskusja z nim jest stratą czasu. Wstała z łóżka i zaczęła

wkładać swój skromny dobytek do reklamówek po przyniesionych jej produktach.

– Może pan nie zauważył, ale od dawna jestem pełnoletnia. Nie ma pan prawa z nikim omawiać mojego stanu zdrowia. – Uniósł dłoń, by jej przerwać, lecz nie dopuściła go do głosu. – Jeżeli pan to zrobi, odpowie pan za złamanie przepisów o ochronie danych osobowych. Proszę przygotować mi wypis.

– Nie może pani tak sobie wyjść! – wybuchnął. – Nie wyrażam zgody...

– Wie pan, gdzie mam pańską zgodę? Z wypisem czy bez, za pół godziny już mnie tu nie będzie. Chce się pan założyć?

Popatrzyła na niego wyzywająco, bursztynowe oczy słały gniewne błyski spod zmrużonych powiek. Lekarz skapitulował.

– Przygotuję ten wypis, ale wychodzi pani na własną odpowiedzialność. Mógłbym co prawda zatrzymać panią siłą, ale...

– Ale pan tego nie robi, bo złamałby pan prawo – weszła mu w słowo.

Miała ochotę jeszcze trochę go przeczołgać, lecz nagle się zreflektowała. Bądź co bądź zajmował się nią, w dodatku zadbał, by dostawała stosowną dawkę leków przeciwbólowych, przez co dolegliwości z powodu pękniętych żeber ograniczały się tylko do lekkiego ćmienia przy gwałtowniejszych ruchach.

– Nie zrobię, ale to nie znaczy, że się z tym zgadzam. Głupio pani robi. Ryzykuje pani życie, bo w razie wystąpienia jakichś komplikacji...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

– Panie doktorze! – Posłała mu jeden ze swojej bogatej kolekcji uśmiechów. – Nie chcę wyjść na niewdzięcznicę. Doceniam to, co pan dla mnie zrobił, i jestem wdzięczna za opiekę i leczenie. Ale znam swój organizm i wiem, że najszybciej dojdę do siebie we własnym domu. Poza tym mama jest pielęgniarką, więc będę miała doskonałą opiekę.

– Jak pani uważa – burknął, ale nie miał już takiej zawziętej miny jak przed chwilą. – Załączę zalecenia, których proszę przestrzegać. Nie powinna pani lekceważyć swojego stanu, śpiączka mogła wywołać niekorzystne zmiany...

Przestała go słuchać. Powtarzał te słowa już tyle razy, że nauczyła się ich na pamięć i w zasadzie mogłaby sama je wygłosić. Wreszcie zamilkł, popatrzył na nią z wyrzutem i wyszedł, a Diona odetchnęła z ulgą, po czym wzięła głęboki wdech, sposobiąc się psychicznie do nowej batalii.

Drzwi za lekarzem jeszcze dobrze się nie zamknęły, a już ukazała się w nich głowa Marty Imielskiej.

– Jednak wychodzisz do domu? To dobrze. Pomogę ci.

Sięgnęła po wypchną reklamówkę i wywaliła jej zawartość na łóżko.

– Mamo! Co robisz? Dopiero co to spakowałam.

Marta popatrzyła na córkę bez zrozumienia.

– Do tego? Nie masz żadnej torby?

Zrobiła przy tym taką minę, jakby ten brak kwalifikował Dionę do postawienia jej przed sądem. Widząc to, Remańska natychmiast się naburmuszyła. Sytuację uratował Grzegorz Imielski, który niepostrzeżenie pojawił się w sali.

– Przestań się jej czepiać – ofuknął żonę. – Przecież nie planowała szlajania się po szpitalach, a większość pobytu tutaj przespąła. Nie widzisz, że ma szpitalną koszulę?

– Mogła powiedzieć, tobym jej przywiozła. – Marta nie zamierzała łatwo skapitulować. – A papcie? – zawołała z triumfem. – Nie wmówicie mi, że też szpitalne.

Dionizę z tego wszystkiego rozboleła głowa, wiedziała jednak, że nie może pisać o tym nawet słówkiem. *Matka zaraz poleciałaby do pielęgniarek, one do lekarzy i piękny plan wyjścia do domu poszedłby się... paść*, dokończyła swą myśl nie całkiem zgodnie z pierwotnym zamierzeniem.

– Przecież pracujesz w szpitalu – odezwała się pojednawczym tonem. – U was też musi czasem się zdarzać, że pacjenci czegoś zapomną. Nie powiesz mi chyba, że wyrzucacie rzeczy, po które nikt się nie zgłosił.

Marta nie odpowiedziała. Pokręciła się po sali, później złapała talerzyk, na którym stał nieco wyszczerbiony kubek ze sztuccami w środku.

– Pójdę to oddać.

Po jej wyjściu Imielski popatrzył z troską na pasierbicę.

– Na pewno dobrze się czujesz? Jesteś jakaś blada.

– Głowa mnie boli od tego trajkotania. Mama czasami jest niemożliwa.

– Martwi się o ciebie. Przecież wiesz, jaka jest. Zawsze jej się włącza opcja „krytyk”, kiedy jest podenerwowana.

Dioniza przysiadła na pełnej reklamówce, nie kłopotząc się jej odsunięciem, i westchnęła z rezygnacją.

– Wiem. I tak dobrze, że nie doszła do opcji „słowotok”. Tatek, błagam, wytłumacz jej jakoś, że rekonwalescencja w Bielsku to głupi pomysł. – Złożyła ręce jak do modlitwy. – Przecież ona mnie zamęczy tą swoją troskliwością. Najszybciej dojdę do siebie, kiedy zajmę się pracą, a na usługi będę miała Marcina i Ratia. Zwariuję od nicnierobienia, a mama na pewno każe mi leżeć.

Za dobrze znał żonę, by polemizować, scenariusz przedstawiony przez pasierbicę był więcej niż prawdopodobny. Marta prawie nigdy nie chorowała, a jeśli już zdarzyła jej się niedyspozycja, traktowała ten fakt jako osobistą obrazę i wmawiała wszystkim, łącznie ze sobą, że czuje się wyśmienicie. Za to w przypadku choroby córki czy męża bywała zdecydowanie nadopiekuńcza i zdaniem Diony chciała zagłaskać ich na śmierć.

Imielski uśmiechnął się ze zrozumieniem i wyszedł, by porozmawiać z żoną na osobności. Dioniza nie dowiedziała się, jakich argumentów użył, musiały jednakowoż być mocne. Matka nie tylko nie nalegała, by córka pojechała z nimi do Bielska-Białej, ale

również nie sprzeciwiła się pomysłowi, by Dionę ze szpitala odtransportował Marcin. Po krótkim pożegnaniu pozwoliła mężowi wyprowadzić się z sali i bez sprzeciwów wsiadła do samochodu.

Obserwująca ich z okna Remańska odetchnęła z ulgą. Kochała matkę, ale czasami upór rodzicielki doprowadzał ją do pasji. Tym większej, gdy uprzytamniała sobie, że sama pod tym względem jest nie lepsza.

Auto Imielskich wyjechało z parkingu. Diona wróciła na łóżko i zadzwoniła do Marcina, później zaś ułożyła się wygodnie w oczekiwaniu na jego przyjazd. Zanim się pojawił, zdążyła odebrać wypis, a lekarz tym razem zaskoczył ją pozytywnie, nie próbując namawiać do zmiany zdania.

Teraz mogła już się przebrać bez obawy, że zapeszy nadmiernym pośpiechem. Wypakowała ze szpitalnego worka własne ubrania i właśnie przyglądała się z niesmakiem poplamionej krwią garderobie, gdy do sali wszedł Marcin ze sporą reklamówką w ręce.

– Tu masz czyste – powiedział zamiast powitania. – Wybieraliśmy razem z Ratiem, więc mam nadzieję, że o niczym nie zapomnieliśmy.

Aż podskoczyła z radości. Podbiegła i ucałowała go serdecznie w policzek, wyrywając mu jednocześnie z ręki ucho reklamówki. Wysypała zawartość na łóżko, dokładnie obejrzała, po czym skierowała wzrok na swoje nogi.

– Kurde, dalej są dwie – stwierdziła z powagą, której przeczyły błyski rozbawienia w oczach. – Bo już się przelęłam, że jedną mi amputowali, a ja tego nie zauważyłam.

– Rzeczywiście są dwie. – Marcin podjął poważny ton. – W dodatku obie niczegowate.

– Hm. W takim razie dlaczego przywiozłeś tylko jedną skarpetkę? Zerknął na kupkę odzieży i wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Skarpetki szykował Ratio. Pewnie doszedł do wniosku, że jedna wystarczy. Piersi też masz dwie, a biustonosz nosisz tylko jeden.

Na to nie znalazła odpowiedzi, więc tylko postukała się palcem w czoło.

– Dosyć tego leżenia i gapienia się w sufit – oznajmiła, zwracając się bardziej do siebie niż do Marcina. – Wiem od tatka, że w dawnych czasach, kiedy udawał się na jakąś interwencję, miał zwyczaj mówić: „Rzekła rdza do rdzy – poloneza czas zacząć”. Moim zdaniem teraz to powiedzenie nabrało całkiem nowego znaczenia.

Zgarnęła ubrania i zniknęła w łazience, skąd wyłoniła się już przebrana i gotowa do działania. Pół godziny później opuścili Żywiec.

Rozdział 18

Powroty

27 listopada 2019, Jasień

Ratio jak zwykle miał problemy ze zwerbalizowaniem swoich uczuć. Uścisnął tylko leciutko Dionę, rzucił krótkie „dobrze, że już jesteś” i zniknął w kuchni. Dopiero gdy zawołał ich na obiad, mogła się przekonać, jak wiele dla niego znaczyła. Wykwintnie podane dania z kompotem i deserem były jak wyznanie braterskiej miłości i dziewczyna poczuła, że wilgotnieją jej oczy. Sama też nie odznaczała się zbyt dużą wylewnością, przez co wielu miało ją za oschłą i pozbawioną empatii, teraz jednak podbiegła do przepasanego fartuchem kucharza i uściskała go z całych sił.

Marcin obserwował ich ukradkiem i zastanawiał się, jak powinien wytłumaczyć to wszystko. Wcześniej zawarł z Medardem układ. Przysługa za przysługę. On woził go do Żywca, gdy chłopak chciał odwiedzić Dionę, w zamian zaś zażądał, by Ratio nie zdradził jej, że policjant również zakwaterował się w domu Witeckich.

– Teraz kawa – oznajmił Ratier.

Spojrzał przy tym na niego porozumiewawczo, dając tym znak, że celowo zostawia ich samych. Lipski postanowił zacząć od końca.

– Słuchaj, Ratio ci o tym nie powiedział, bo chciałem zrobić to sam – zagał niezbyt zręcznie. Diona zmarszczyła brwi. Zapewne chciała zrozumieć, do czego zmierzał, a on pojął, że tym wstępem niczego nie wyjaśnił. – Chodzi o to, że zostałem tu oddelegowany, żeby pomóc Grotowi...

– Wiem o tym – przerwała mu. – Sierżant powiedział mi, kiedy przyszedł odebrać moje zeznania odnośnie do wypadku.

– No właśnie. Chciałem wynająć w Jasieniu jakiś pokój, żeby nie musieć codziennie dojeżdżać, ale...

Diona uniosła dłoń w geście nakazującym milczenie i Marcin posłusznie przerwał wypowiedź.

– Widzi mi się, że coś kręcisz – orzekła i posłała mu spojrzenie nauczycielki karcącej niesforne dziecko. – Do Żywca masz dalej niż do Jasienia, a jakoś dotychczas ci to nie przeszkadzało.

– Cholera jasna, musisz być taka dociekliwa? – spytał z udawaną złością, przez którą przebijało rozbawienie. Zaraz jednak spoważniał. – Dionka, ile Grot ci powiedział?

– Wszystko – odparła zwięźle.

– To dobrze. A jeśli wiesz, że to ty byłaś celem, na pewno zastanawiałaś się, dlaczego ktoś postanowił cię wyeliminować.

Siedziała w milczeniu i pocierała nos niezapalonym papierosem. Na ten widok cofnął rękę z zapalniczką. Znał Dionę na tyle, by wiedzieć, że w chwilach największego skupienia miała zwyczaj wspomagać myślenie takimi właśnie gestami.

– Nie wiem – przyznała w końcu bezradnie.

– No właśnie. My też tego nie wiemy. Przez to nie sposób przewidzieć, na ile ten ktoś jest zdeterminowany, dlatego pomyślałem, że powinienem popilnować tego domu, żeby wykluczyć przykrą niespodziankę.

Niespodziewanie dziewczyna zakłęła cicho, a w rzuconym mu spojrzeniu trudno byłoby doszukać się przyjaznych uczuć.

– Marcin, z ciebie jest jednak kawał kretyna. Najpierw wymyśliłeś sobie jakiś absurdalny związek pomiędzy mną a Ratiem, potem strześliś focha, a tu w Jasieniu pobiłeś rekord głupoty. Przecież ten dom stał pusty, a ty podobno zabrałeś moje klucze. Nie mogłeś się tu wprowadzić? Ale nie, pan starszy aspirant Lipski postanowił unieść się honorem. – Wzięła głęboki wdech. – Skończyłam. Teraz możesz mówić.

Kilkakrotnie próbował jej przerwać i za każdym razem był powstrzymywany groźnym zmarszczeniem brwi i ostrzegawczo uniesioną dłonią. Miał ochotę się roześmiać z jej władczego tonu, opanował się jednak, nie wiedział bowiem, jaka byłaby reakcja Dionizy.

– Właśnie to zrobiłem – wyjaśnił. – Wprowadziłem się tutaj, bo to było jedyne wyjście. Nie byłem pewien, czy nie będziesz wkurzona.

– To nie ja się obraziłam, tylko ty. Możesz tu mieszkać, jak długo zechcesz.

– Kawa! – zawołał Ratio z kuchni.

Marcin lekko się skrzywił. Nie zauważył, że minęło już tyle czasu, a miał jeszcze do załatwienia najważniejsze.

– Za chwilę! – odkrzyknął. – Medard, daj nam jeszcze pięć minut.

– Medard? – Dioniza uniosła brwi. – Chyba cię polubił. Nawet mnie nie wolno tak do niego mówić – dodała z nutką zazdrości w głosie.

– Zawarliśmy pakt o nieagresji – odparł Marcin zdawkowo, nie wchodząc w szczegóły. – Diona, nie jestem dobry w takich sprawach. Nie umiem ładnie mówić, ale... Naprawdę szczerze żałuję mojego zachowania. Nie wiem, co mnie opętało. Pomyślałem, że sypiecie ze sobą, i cholernie mnie to wkurzyło.

– Nie sypiamy. Ratio jest dla mnie...

– Nieważne – przerwał jej niecierpliwie. – Nawet gdyby to była prawda, nie miałem prawa się wtrącać, bo to zawsze powinien być twój wybór.

Dostrzegła na jego twarzy poczucie winy i dotknęła lekko dłoni spoczywającej na oparciu fotela.

– Marcin, wiesz, że bardzo cię lubię. Ale ja...

– Wiem. – Znów jej przerwał. – Nic z tego nie wyjdzie. Nie bój się, nie będzie więcej takich wyskoków. Wreszcie mi przeszło.

– Mogę już?

To Ratio zaczął się niecierpliwić. Zgodnym chórem zaprosili go do pokoju, zadowoleni, że dzięki temu minie to dziwne skrępowanie,

którego dotąd nigdy nie czuli w swoim towarzystwie.

Chłopak zręcznie lawirował pomiędzy stolikiem a wyciągniętymi nogami Marcina i nie uronił ani kropli z niesionych na tacy kubków. Pomruk uznania ze strony Dionizy oznajmił, że doceniła jego starania.

– Ten gliniarz jest strasznie niezgrabny. Zaraz pierwszego dnia zalał kawą całą podłogę – poskarżył się, zerkając z ukosa na Lipskiego. – A kiedy ja niosę kubki, zawsze wystawia te swoje giczoty na środek pokoju i muszę bifurkować.

– Co musisz?! Chyba meandrować.

Diona z uśmiechem przysłuchiwała się sprzeczce, w której Marcin i Ratio powoływali się na nieznane jej definicje i autorytety. Sama nie miała najbledszego pojęcia, co oznacza słowo „bifurkować”, ale w ogóle się tym nie przejęła. Ją interesowali oni, ci dwaj mężczyźni tak bardzo dla niej ważni, choć każdy w inny sposób. Cieszyła się, że doszli do porozumienia. Niespodziewanie przyszło jej do głowy, że do kompletu brakuje tu Ogińskiego, a w następnej chwili omal nie zachłysnęła się ze zdumienia, tak bardzo ją to zaskoczyło. Dlaczego pomyślała właśnie o Szymonie, a nie na przykład o Robercie Gredtkem? Na to pytanie nie znalazła jednak odpowiedzi.

28 listopada 2019, Jodłowiec

Dariusz Lipski od pierwszej chwili polubił Dionizę, dlatego tak przeżywał jej konflikt z Marcinem. Wziął stronę syna, nie próbując nawet silić się na obiektywizm. Rozżalony, że tak się na niej zawiódł, bezkrytycznie przyjął, iż wina leżała po jej stronie, a od tego był już tylko jeden krok do oskarżenia jej o wszystko, co najgorsze. Ostre słowa Ogińskiego sprawiły, że trochę się opamiętał, ale wtedy cały swój gniew przelał na Ratia. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego komendant broni chłopaka należącego wedle wszelkich znaków do

jakiejś subkultury. Porządny chłopak nie zrobiłby sobie takiego tatuażu.

Wypadek Diony i Ratia spowodował wyrzuty sumienia, bo choć nie życzył nieznajomemu aż tak źle, to jednak jego myśli trudno byłoby uznać za życzenia szczęścia. Nie mógł też pozbyć się przeświadczenia, że gdyby nie wściekał się na Remańską, dziewczyna nie zapadłaby w śpiączkę. Wiedział, że to głupie i kompletnie irracjonalne, a jednak nadal w nim tkwiło i nie pozwalało się wyplenić.

Odetchnął z tak wielką ulgą na wieść o jej wybudzeniu, że na informację o rozejmie między Marcinem a Ratiem w ogóle nie zwrócił uwagi. Dlatego omal nie upuścił telefonu, gdy dzisiaj usłyszał słowa syna:

– Jutro robimy imprezę na cześć powrotu Diony między żywych. Przyjedź koniecznie, na pewno się ucieszysz. I nie jedz za dużo, bo Medard planuje jakieś wymyślne menu.

Przez moment myślał, że się przesłyszał.

– Kto?!

– Medard Ratier, znany ci jako Ratio – wyjaśnił Marcin uprzejmie.
– Mieszkaliśmy razem od ich wypadku. Pomyliłem się co do niego – przyznał po krótkiej pauzie. – To fajny chłopak i w dodatku niegłupi. To co, przyjedziesz?

Dariusz obiecał, że na pewno się zjawi, i z dość głupią miną schował komórkę. Marcin zaprzyjaźnił się z Ratiem? Koniec świata!

Po wyjściu z szatni jak co dzień pierwsze kroki skierował do pokoju komendanta, z którym miał zwyczaj wypijać poranną kawę. Koledzy przyjmowali to za coś oczywistego i nie próbowali się silić na złośliwe komentarze. Z całej załogi komisariatu on był najstarszy i właśnie wiek uchronił go od nazywania dupolizem czy innymi równie miłymi określeniami. Zrobienie kariery w policji już mu nie groziło, na awans także nie liczył, toteż nie stanowił dla nikogo konkurencji.

W pokoju zastał komendanta dopinającego guziki munduru.

– Akurat się przebierałem, kiedy zadzwonił Ratio. Zaprosił mnie na imprezę z okazji powrotu Diony ze szpitala. Do ciebie ma dzwonić Marcin.

– Dzwonił przed chwilą. – Dariusz miał dość niewyraźną minę. – Nie wiem, czy powinienem jechać. Po tym, co o nich wygadywałem...

– Nie wygłupiaj się – przerwał mu Ogiński. – Przecież oni o tym nie wiedzą. A gdyby nawet wiedzieli, to co z tego? Każdy ma prawo się pomylić. Zapomniałeś, co ja mówiłem o Dionie?

Wspomnienie zachowania nadkomisarza ostatecznie przekonało Lipskiego i późnym popołudniem zgodnie z umową podjechał pod dom, w którym Ogiński wynajmował pokój.

Kiedyś, gdzieś

Chłopak jest niezbyt wysoki i bardzo chudy, przez co nie wygląda na swoje piętnaście lat. To skutki długotrwałego niedożywienia i nerwicy, której się nabawił, gdy w każdej chwili mógł się spodziewać ataku ze strony wpadającej w niespodziewaną furię matki. Zawsze był najniższy w klasie i miał z tego powodu ogromne kompleksy, ale później nadeszły czasy, gdy zaczął doceniać swoją drobną posturę.

Zaczął się od tego, gdy dał się przyłapać na kradzieży w sklepie. Na szczęście zdążył schować pod bluzę tylko paczkę zapakowanych próżniowo parówek i dwie bułki. Rodzaj łupu w połączeniu z wyglądem dwunastolatka obudziły w żeńskim personelu uczucia macierzyńskiej litości, a on nawet nie musiał specjalnie udawać, gdy nabrzmiałym łzami głosem tłumaczył się, że ukradł tę żywność z głodu.

Później zdarzyło mu się kilka razy wykorzystywać ten scenariusz już nie do kradzieży, lecz do zwyczajnej żebraniny. Niestety wszystko ma swój kres. Wyciągnął rękę do niewłaściwej osoby

i został rozpoznany, a wtedy ruszyła machina tak zwanej pomocy społecznej, składająca się z ludzi przeświadczonych, że o dysfunkcyjnych rodzinach wiedzą wszystko, podczas gdy w rzeczywistości nie wiedzieli nic.

Oczywiście kontrole nie wykazały żadnych zaniedbań; postarała się o to ta elegancka, kulturalna pani, którą nazywał mamą, choć z pewnością nie zasługiwała na to miano. Milczał, gdy go nie pytano, a jeśli to robiono, udzielał takich odpowiedzi, by nie mogły zaszkodzić jego małej rodzinie. A właściwie parodii rodziny. Ale to było wszystko, co miał, i nie wyobrażał sobie, że mógłby żyć inaczej. Nadal tkwił w nim patologiczny strach przed pobytem w domu dziecka, ugruntowany przez lata sączenia mu w uszy opowieści, których nie miał możliwości zweryfikować.

Jeszcze przez miesiąc od ostatniej kontroli matka pozornie zachowywała się zgodnie z tym, czego oczekuje się po rodzicielce. Wzięła udział w szkolnym zebraniu rodziców, kupiła synowi nową odzież, a w lodówce pojawiły się zapasy żywności. Przez kilka dni gotowała nawet obiady, wkrótce jednak poszło to w zapomnienie, a w miarę jak w lodówce ubywało zapasów, kobieta zaczęła wracać do sprawdzonych technik gnębienia chłopaka. Nic więc dziwnego, że znowu zaczął doskwierać mu głód. Wiedział jednak, że zebranie nie wchodzi już w grę, uznał więc, że została mu tylko jedna droga do zdobycia pieniędzy.

Teraz nie zdawał się już na łut szczęścia i najpierw przez kilka dni obserwował stojący na uboczu kiosk, nim uznał, że włamanie powinno przebiec całkiem gładko. Zakradł się tam następnej nocy, otworzył sporządzonym z drutu wytrychem kiepski zamek i przyświecając sobie latarką, zabrał się do ładowania łupów do plecaka.

Nie wiedział, że jest obserwowany, dopóki czyjś głos nie pochwalił szybkości, z jaką rozprawił się z drzwiami. Zamarł z przerażenia, na szczęście okazało się, że byli to jego rówieśnicy, nie policjanci. Oni także upatrzili sobie ten kiosk i teraz postanowili

się przyłączyć. Nie protestował. Było ich trzech, a on tylko jeden, poza tym i tak nie zdołałby wynieść więcej ponad to, co mieściło się w plecaku.

Od tamtej pory związał się z nimi i życie od razu wydało mu się jaśniejsze. Był im wdzięczny, że go zaakceptowali. Bezkrytycznie przyjmował ich opinie i uczestniczył w realizacji pomysłów. Po pewnym czasie zorientował się, że w przeciwieństwie do niego wspólnicy nie włąmywali się z musu. Pochodzili z tak zwanych porządnych domów, a otrzymywane kieszonkowe wystarczało aż nadto na wszelkie zachcianki. Oni robili to dla chęci przeżycia czegoś niezwykłego, dla smaku przygody i dla buzującej we krwi adrenaliny. To mu nie przeszkadzało, ważne było tylko, że nie był już sam.

Chłopak wspomina to wszystko, przemykając ulicami miasta. Wybiera ciemne przejścia i kiepsko oświetlone ulice, by nie natknąć się na patrol policji, którą przez blisko rok życia po drugiej stronie prawa zdążył serdecznie znienawidzić. Dotychczas udawało mu się uniknąć zatrzymania, choć kilka razy niewiele brakowało, tak jak wtedy, gdy po włączeniu się alarmu uciekał w popłochu i natknął się na nadjeżdżający radiowóz. Zanim policjanci zdążyli wysiąść, krzyknął łamiącym się głosem: „Napadli na sklep. Biją ekspedientkę. Jedźcie tam prędko!”. Machnął ręką w stronę, z której przybiegł, i skręcił w bramę starej kamienicy. Za sobą słyszał tupot nóg – znak, że nie kupili jego słów. Ale chłopak zbyt dobrze znał tę okolicę, by mogli go złapać. Przemknął korytarzem do tylnego wyjścia, przebiegł przez małe podwórko i wspiął się po rynnie na budynek z garażami. Zeskoczył z dachu na sąsiednią ulicę i spokojnym krokiem wrócił do domu.

Pograżony we wspomnieniach chłopak dociera wreszcie na miejsce spotkania. Koledzy już czekają, zniecierpliwieni i niespokojni.

– Co tak długo?! – narzeka niekwestionowany przywódca ich małej grupy. – Masz szczęście, że jesteś dzisiaj niezbędny, bo

poszlibyśmy sami.

– Sorki – mruczy chłopak pod nosem. – Co dzisiaj robimy?

– Kantor – odpowiada tamten tak spokojnie, jakby planował spacer po Bulwarach Straceńskich.

– Ochujałeś.

Chłopak nie dodaje nic więcej. Lata spędzone z niezrównoważoną matką nauczyły go oszczędnych wypowiedzi.

– Bo co? – rzuca tamten z agresją w głosie. – Coś się nie podoba?

– Tam będzie alarm.

Żaden z nich chyba o tym nie pomyślał i na ich twarzach pojawia się konsternacja. Szef najszybciej bierze się w garść. Zastanawia się przez chwilę, po czym przedstawia zmodyfikowany scenariusz. Przedtem najszczuplejszy z nich miał wsunąć się do środka przez zawsze uchylone okienko toalety i otworzyć drzwi od środka, żeby nikt z ulicy nie mógł zobaczyć manipulowania przy zamku. Nowy plan pomija ten punkt. Teraz szczupły, drobny chłopak ma zostawić drzwi w spokoju. Powinien władować pieniądze do worka i wyrzucić przez okienko, po czym wyjść tą samą drogą, którą wszedł.

Kantor rzeczywiście stoi na uboczu, z dala od domów mieszkalnych, ale tuż obok przebiega dość często uczęszczana ulica. Na szczęście okienko toalety znajduje się z boku budynku, w głębokim cieniu rzucanym przez rozłożyste drzewo. Światła latarni i samochodów tu nie docierają.

Podsadzony przez kolegów chłopak zwinnie wślizguje się przez wąski otwór, starając się przekręcić ciało tak, by nie wpaść głową w muszlę klozetową. Już wydaje mu się, że tego nie uniknie, gdy ręka rozpaczliwie szukająca jakiegoś punktu zaczepienia natrafia na biegnącą pionowo rurkę. Chwyta się jej najpierw jedną ręką, potem wykonuje gwałtowny skręt tułowiem i druga dłoń także na nią natrafia. Teraz wszystko przebiega już szybko i sprawnie. Chłopak podciąga się na rękach, wywleka nogi z okienka i opuszcza się po rurce na podłogę.

W pomieszczeniu panują kompletne ciemności. Chłopak postępuje naprzód z wyciągniętą przed siebie ręką i prawie natychmiast natrafia na przeszkodę. To ściana, robi więc zwrot o dziewięćdziesiąt stopni. Znowu ściana. Kolejny zwrot, tym razem o sto osiemdziesiąt stopni, i wreszcie dotyka gładkiej powierzchni drzwi. Otwiera je, nie starając się zachować ciszy, hałas nie jest jego problemem. Martwi go co innego. Szef nie powiedział ani słowa o miejscu przechowywania pieniędzy. Czyżby nie zrobił rozeznania? Jeżeli w kantorze jest sejf zamiast zwykłej szuflady, cały wysiłek pójdzie na marne.

Rozeznania chyba rzeczywiście nie było, a jeżeli już, to bardzo kiepskie. Według słów współników wewnątrz powinno być w miarę widno, gdyż po drugiej stronie ulicy, niemal naprzeciwko kantoru, stoi latarnia. Jest to prawda, ale tylko to. Nikt nie wspomniał nawet słowem o zasuniętych żaluzjach, przepuszczających zaledwie odrobinę światła. Chłopak wyęży wzrok, dostrzega przed sobą ladę i zmierzając w jej stronę, wpada na krzesło. Uderza się boleśnie w tyłek i klnie głośno, gdyż nagle latarnia gaśnie, pozbawiając go nawet tej namiastki światła. Niepewny krok w jedną, potem w drugą stronę...

– Kurwa, to bez sensu!

Wściekły na los i na kolegów, którzy postawili przed nim niewykonalne zadanie, chłopak wydobywa z kieszeni maleńką latarkę i zagląda pod ladę w poszukiwaniu szuflady czy kasetki. Osłania przy tym dłonią nikłe światło, lecz zbyt mało wie na temat systemów alarmowych, by zdawać sobie sprawę, że nawet tak kiepski alarm reaguje nie tylko na światło, ale i na ruch, a on właśnie, zaglądając pod ladę, znalazł się częściowo w zasięgu czujnika.

Nad głową rozlega mu się jazgot tak donośny, że chłopak drętwieje z przerażenia i zastyga w bezruchu, niczym zajęty schwytywany w sidła samochodowych świateł. Traci cenne sekundy, aż wreszcie do otępiełego mózgu dociera odwieczny impuls: „Uciekaj!”.

Rzuca się w stronę drzwi w próżnej nadziei, że będą zamknięte tylko na łucznik, i znów traci czas, szarpiąc je rozpaczliwie. Po kilku próbach wraca jasność myśli i chłopak sięga po pęk wytrychów, w których użyciu wyspecjalizował się tak, że stał się prawdziwym wirtuozem zamków. Nagle spływa na niego spokój, jak zawsze wtedy, gdy czuje w dłoni chłód metalowego narzędzia. Przymierza pierwszy wytrych, potem drugi i trzeci. Trafia za czwartym razem. Rozlega się cichy szcęk zapadki i chłopak wypada na zewnątrz, nie troszcząc się o zamknięcie drzwi. Teraz nie ma to już znaczenia.

Rozgląda się za współnikami. Nigdzie ich nie widać, za to wyraźnie słychać narastające wycie syreny. W panice przebiega przez drogę, a gdy migoczący niebiesko i czerwono samochód omiata światłami pobocze i skręca pod kantor, chłopak przypada do ziemi, kryjąc się w dawno niekoszonej trawie. Między kołyszącymi się na lekkim wietrze źdźbłami widzi podjeżdżający radiowóz i policjantów rozmawiających z pracownikami agencji ochrony i postanawia leżeć tak bez ruchu, dopóki sytuacja się nie unormuje.

Czuje się w miarę bezpiecznie. Biegąca w górę dość stromego zbocza ulica po mniej więcej dwustu metrach dochodzi pod kątem prostym do następnej, a między nimi leży spory kawał nieużytku, na którym znalazł schronienie. Wprawdzie niedaleko zajmowanego przez niego miejsca znajduje się wydeptana w trawie ścieżka, którą mieszkańcy domów stojących przy sąsiedniej ulicy skracają sobie drogę do sklepu, ale w środku nocy na pewno nikt nie będzie się tędy przechadzać.

Tym bardziej więc jest zaskoczony, gdy nagle tuż nad głową słyszy pełne ironii słowa:

– Opalasz się czy tylko wypoczywasz?

Leżący na brzuchu chłopak wolno obraca się na bok, gotów do ucieczki, gdy jego wzrok zahacza o rękę trzymającą kajdanki. Z jego oczu tryska strumień nienawiści.

– Nie dam się zamknąć! Lepiej od razu mnie zastrzel. No, na co czekasz?

29 listopada 2019, Jasień

Dioniza oniemiała, gdy zawołana przez Marcina weszła do salonu. Najpierw zobaczyła nakryty na sześć osób stół. Kiedy się obejrzała, chcąc spytać, co to ma znaczyć, ujrzała stojących za nią gości. Przedtem ich nie dostrzegła, gdyż zasłaniały ich drzwi.

Dariusz Lipski objął ją i mocno przytulił, Robert Gredtke zaś cmoknął ją w policzek i pogładził po włosach, które odzyskały już sprężystość i blask. Jeden Szymon Ogiński zachował wobec niej dystans. Przywitał się zwykłym uściskiem dłoni, co niespodziewanie sprawiło jej przykrość. Ukryła to jednak starannie i jego również obdarzyła uśmiechem.

Zasiedli do stołu, a przepasany fartuchem Ratio krążył między kuchnią a pokojem, co rusz donosząc nową potrawę. Chciała mu pomóc, lecz zrezygnowała, gdy zamierzył się na nią ścierką. Poszła więc w ślady innych i zabrała się z zapalem do jedzenia, lecz wkrótce przekonała się, że siły okazały się dużo słabsze od zamiarów. Po raz pierwszy od bardzo dawna Dioniza Remańska odsunęła talerz, nie dokończywszy dania.

– Ty naprawdę musiałaś być bardzo chora – skomentował ten fakt Dariusz.

Posłała mu krzywe spojrzenie.

– E tam, po prostu się odchudzam.

Zawsze była szczupła, lecz trzy dni pod kroplówką i tydzień na szpitalnym wikcie sprawiły, że mocno schudła i musiała ściągnąć spodnie paskiem, żeby nie zjechały jej z bioder. Również bluzka, jeszcze niedawno dopasowana, teraz wisiała na niej, uwypuklając nadmierną szczupłość sylwetki.

Mężczyźni zaczęli komentować jej wypowiedź i przerzucać się pomysłami utuczenia, tylko Szymon milczał ze wzrokiem wbitym

w talerz. Poczwała się dziwnie nieswojo. Wstała i poszła do kuchni, gdzie Ratio układał na talerzu wędliny i sery.

– Idź jeść – powiedziała cicho. – Ja to dokończę.

Podniósł głowę i przyjrzał jej się uważnie.

– Jesteś smutna. Nie cieszysz się, że przyjechali?

– Cieszę się. Idź, Ratio. Chcę trochę побыć sama.

Po posiłku, gdy na stół wjechały trunki i kawa, Diona poprosiła Marcina, by opowiedział jej o ustaleniach śledztwa. Mężczyzna pokręcił jednak głową i tego już było dla niej za wiele. Oczy jej zwilgotniały, gardło zacisnęło się spazmem i dziewczyna przeraziła się, że gotowa zaraz wybuchnąć płaczem. Co się z nią działo? Nie mogła tego pojąć. Nie przyszło jej nawet do głowy, że tak obce jej reakcje mogą mieć związek z niedawnym wybudzeniem się i że lekarz miał rację, mówiąc, iż nie całkiem jeszcze doszła do siebie. Przestraszyła się, że pozostawanie tak długo bez przytomności wywołało raczej nieodwracalne zmiany w mózgu. Szybko pochyliła głowę, by nikt nie zauważył, jak bardzo jest przerażona.

Nie przewidziała, że jej nietypowe zachowanie zostanie odebrane jako niezadowolnienie z przybycia gości. Przy stole zapadła krępująca cisza. Sytuację uratował Ratio, który na moment zniknął za drzwiami zaanektowanego przez siebie gabinetu, skąd wyłonił się po chwili z laptopem pod pachą.

– O sprawach policyjnych pogadacie sobie później. Teraz mamy co innego do zrobienia. Nie pamiętasz, Dionka? Obiecaliśmy panu Robertowi film. To co, odpalamy?

Rzeczywiście całkiem jej umknęło, że mieli wyemitować film w listopadzie. Dlatego zresztą znaleźli się na tych cholernych Zygzakach, kiedy zepchnięto ich z drogi.

– Odpalamy.

Ratio zajął się przygotowaniem do pokazu filmu, a reszta towarzystwa zaczęła się rozwodzić nad tym, jak dzieło Ratiera zostanie przyjęte przez widzów. Nie mieli zbyt wielkich złudzeń. Już dawno zauważyli, że najwięcej komentarzy na Facebooku znajduje

się pod tymi postami, gdzie można komuś zdrowo dokopać. Dlaczego na YouTubie miałyby być inaczej?

Gredtke słuchał ich z uwagą, lecz z jego twarzy nie mogli nic wyczytać. W końcu i on zabrał głos.

– Dobrze wiem, że ten film nie wywoła żadnych skutków. Nawet jeśli ktoś z rządzących go obejrzy, to tylko uśmiechnie się z politowaniem. Przecież oni dobrze wiedzą, że złamali prawo, a większość funkcjonariuszy objętych ustawą jest niewinna. To był czysty koniunkturalizm, a nie żadna sprawiedliwość dziejowa. Ale Diona mnie przekonała, że nie wolno mi milczeć. Jeden głos nic nie znaczy, brzmi cicho jak szept. Ale tysiąc głosów to już krzyk. Dlatego się zgodziłem.

Ratio wstał od stołu i znów zniknął w gabinecie. Gdy wrócił, trzymał w dłoni przewód HDMI. Sprawnie podłączył laptop do telewizora i zmienił ustawienia obrazu na monitor zewnętrzny.

– Teraz możemy się napić – oznajmił, wracając do stołu z myszką w ręce. – A potem obejrzymy wielkie dzieło wschodzącej gwiazdy reżyserii.

Rozdział 19

Prawdy i kłamstwa

29 listopada 2019, Jasień

Później wszyscy zgodnie uznali, że Ratio odwalił kawał dobrej roboty. Chłopak znacznie rozszerzył przygotowany przez Dionizę scenariusz. Nie ograniczył się do rozmowy z Gredtkem, lecz nagrał także wywiady z sąsiadami i z byłymi kolegami z pracy. Diona zastanawiała się, jak chłopak zdołał do nich dotrzeć, z miny Roberta wywnioskowała bowiem, że dla niego ten fragment także był niespodzianką.

Potem ku swojemu jeszcze większemu zaskoczeniu zobaczyła na ekranie nazwiska osób, które wstawiały się jako opozycjoniści. Z czterech występujących w filmie tylko jeden kojarzył nazwisko i twarz Gredtkego. Dla pozostałych był osobą całkowicie nieznaną, ów czwarty zaś wspominał jakieś przesłuchanie, podczas którego młody kapral zadał mu kilka pytań, po czym uprzejmie podziękował i puścił go wolno.

W następnej części filmu będący niewidocznym narratorem Ratio wspominał krótko o pozytywnej weryfikacji Roberta Gredtkego i przeszedł do jego służby w policji. Wspominał o awansach dotyczących tak stanowiska, jak i stopnia, opowiedział o pochwałach i odznaczeniach. Te ostatnie pojawiły się na ekranie kilkakrotnie. Chcąc, by widzom dokładnie utkwily w pamięci, Ratio robił na nie co jakiś czas najazd kamery.

Zakończył omówieniem ustawy dezubekizacyjnej, kilkakrotnie podkreślając, że Gredtke służył w SB zaledwie półtora roku, a w policji dwadzieścia siedem lat, a jednak całą jego emeryturę uznano za esbecką i zmniejszono ją o ponad siedemdziesiąt procent. Zwrócił uwagę na fakt, że podinspektor, podobnie jak tysiące innych funkcjonariuszy, nigdy nie został o nic oskarżony, tymczasem w narracji rządzących przedstawiony został jako oprawca, bandyta i zbrodniarz.

Diona była pewna, że to już koniec, gdy nagle głos ponownie zabrał Gredtke. W prostych, dobitnych słowach oświadczył, że wskutek celowej zwłoki Trybunału Konstytucyjnego w orzekaniu wszystkie drogi odwoławcze są dla niego i jego kolegów zamknięte. Nadmienił też, że osoby objęte ustawą zostały potraktowane jako pozbawione ochrony danych osobowych, gdyż dane te zostały opublikowane na stronie IPN-u. Oświadczył, że skoro wykluczono go z grona obywateli Polski, jego odznaczenia są warte mniej niż papier, na którym wydrukowano dokumenty odznaczeniowe, dlatego ściana, na której wiszą, nie jest dla niego ścianą dumy, lecz ścianą hańby. „Nie mojej” – zaznaczył ze smutnym uśmiechem. „To ściana hańby tych, którzy poparli tę ustawę. Niech tu wiszą i codziennie mi przypominają o podłości części moich rodaków”.

Na tym film się skończył. Siedzieli jakiś czas w zadumie, wreszcie Ratio ocknął się i ujął w dłoń myszkę.

– Lukniemy na komcie, ziom? – spytał, zerkając znacząco na Marcina. Ten roześmiał się i odpowiedział, siląc się na poważny ton:

– Dajesz, ziombel.

Wbrew oczekiwaniom większość komentarzy miała pozytywny oddźwięk. Oczywiście pojawiły się też negatywne, w których z zawilej, okraszanej ogromną liczbą wielokropków treści płynęło przesłanie „już dawno wam się należało”. Inne, krótkie i jakże treściwe, ograniczały się do życzeń emanujących chrześcijańską miłością bliźniego, a ich ogólny sens można było zawrzeć w słowach „zdychaj, kurwo”.

– Kasować ten syf?

– Po co? – Robert popatrzył na Ratia i wzruszył ramionami. – To było do przewidzenia. Niech się onanizują swoją prawością. Mnie bardziej interesują takie komentarze jak ten trzeci od góry. To znak, że nie robiłeś tego filmu na darmo.

Diona zerknęła na wskazany komentarz i z satysfakcją odczytała go głośno:

– „Nie wiedziałem, że obniżyli wam całą emeryturę. Byłem pewien, że tylko tę esbecką część. I myślałem, że ustawa dotyczy tylko tych, którzy gnębili ludzi. Minister przecież mówił, że niewinni będą wyłączeni. To zwyczajne skurwysyństwo. Pozdrawiam i życzę powodzenia”.

– Jest więcej takich komentarzy – zauważył Ratio. – O to wam chodziło, prawda? Żeby ludziom otworzyć oczy.

Diona skinęła głową i zwróciła się do Gredtkego:

– Nie ma sensu śledzić tego na bieżąco. Poczytamy sobie hurtem, okej? Bo teraz chciałabym się dowiedzieć od Marcina, co udało mu się ustalić. O ile oczywiście nie uzna, że niedoszła ofiara zamachu nie jest na tyle ważna, by ją o tym poinformować.

Choć starała się je ukryć, Lipski dosłyszał brzmiające w jej głosie rozżalenie. Przechylił się przez stół, dotknął ręki dziewczyny i odpowiedział spokojnie:

– Nie chciałem mówić wcześniej, bo wiedziałem, że Ratio zaplanował na tę godzinę wyemitowanie filmu. Teraz już mogę wam opowiedzieć, do czego udało mi się dojść. A raczej nie udało, bo sukcesów śledczych brak.

Upił łyk sprite'a i zdał relację ze swoich działań. Mówił długo. Omawiał punkt po punkcie wszystkie kroki i na koniec bezradnie rozłożył ręce, przyznając, że znalazł się właściwie w punkcie wyjścia.

– Mnie też się wydaje, że polonez tego Matuszaka jest pojazdem, którego szukasz – odezwał się Dariusz, gdy syn zamilknął. – Kupił, nie zarejestrował, zezłomował – wyliczał na palcach. – A dokument złomowania wywalił. To daje do myślenia.

– Matuszny, nie Matuszak – poprawił Marcin i sięgnął po butelkę, by uzupełnić płyny. – Nie udowodnię mu, że kłamie. Arbuz powiedział, że absolutnie nie przyklepie przeszukania, bo nie mam żadnych poszlak oprócz pobożnych życzeń.

– Jak nie masz? – oburzył się starszy Lipski. – Przecież ten facet kupił kremowego poloneza i nie może udowodnić, że się go pozbył.

– Ale nie miał motywu. Po co miałby zabijać tę dziewczynę? I Dionę?

Ojciec i syn wdali się w dyskusję na temat prokuratora i zasadności odmowy. Wciągnęli do niej Gredtkego, lecz on kategorycznie odmówił opowiedzenia się po którejś ze stron, twierdząc, że wie zbyt mało, by móc wyrobić sobie zdanie. Ratio zauważył, że tylko udawał zaciekawienie, w rzeczywistości zaś całą uwagę poświęcił Ogińskiemu, który siedział z pochyloną głową i sprawiał wrażenie ogromnie zainteresowanego wzorem na obrusie. To również była zasłona dymna, gdyż co jakiś czas zerkał spod oka na Dionę. Remańska z kolei w ogóle nie była dziś sobą i sprawiała wrażenie osoby na granicy załamania.

Naraz Szymon poruszył się na krześle.

– Chyba będę już leciał.

Nie zwrócił się do nikogo w szczególności. Rzucił te słowa w przestrzeń i chciał wstać, lecz Gredtke go powstrzymał.

– Zostań, Ogi. Już nie musisz udawać, że mnie nie znasz.

Te słowa wyrwały Dionizę z marazmu.

– Wy się znacie?! – Zwróciła się w stronę Roberta. – Czemu musiał udawać?

Gredtke się uśmiechnął.

– Dociekliwa jak zwykle. Uznałem, że lepiej będzie udawać nieznanym.

Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy podejrzewać Szymona o coś takiego. Chociaż? Przecież ją samą łatwo odsądził od czci i wiary, wystarczyło mu do tego trochę

plotek. Widocznie był człowiekiem, dla którego liczy się nie prawda, lecz to, co mówią ludzie, a ona znowu się pomyliła.

– Dlatego, że byłeś esbekiem? Jak mogłeś! – zwróciła się do nadkomisarza.

Ogiński spojrział na nią i bezradnie pochylił głowę. Gredtke zauważył to i cicho westchnął.

– To ja go poprosiłem, żeby udawał, że się nie znamy. Prowadziłem dla twojego ojczyzna pewną sprawę i nie chciałem, żeby ktoś się dowiedział, że komendant komisariatu jest moim starym znajomym. Nie pomyślałem o wskazaniu wyjątków, no i całkiem zapomniałem, żeby to wszystko odwołać.

Humor Diony od razu się poprawił.

– Przepraszam. – Dotknęła lekko ręki Szymona. – Teraz ja pospieszyłam się z oceną.

Zrobił ruch, jakby chciał nakryć jej dłoń drugą ręką, ale ostatecznie położył ją na stole, co Robert skwitował ironicznym uśmiechem.

– Tchorz. To naprawdę jest trudniejsze niż włam na kwadrat? – Zanim Remańska zdążyła zapytać, co miał na myśli, zawrócił ją z obranego kierunku na inne tory: – Oni dalej się kłócą o decyzję prokuratora. A co ty o niej sądzisz?

Wzruszyła ramionami, demonstrując obojętność.

– Szkoda czasu na rozmyślanie o pierdołach. Mnie w tej całej historii uderzyło coś całkiem innego.

Na dźwięk jej słów Lipsy natychmiast zaprzestali kłótni i czujnie nadstawili uszu.

– Co mianowicie? – spytał Szymon. – Mieszkałaś tu jakiś czas. Zauważyłaś coś podejrzanego?

– Podejrzanego to może nie. Ale zastanawiającego. Pamiętasz, jak opowiadałaś mi o Witeckich? O tym, kiedy zaczął się bojkot?

Ogiński zmarszczył brwi w zastanowieniu. Na lewej widniała drobna, ledwo widoczna blizna, co przypomniało Dionie o ich burzliwej rozmowie sprzed czterech miesięcy.

– Że rozmawiał z Matuszną i rozstali się w doskonałej zgodzie, a następnego...

– O czym rozmawiali? – przerwała mu niecierpliwie.

– Chyba o pracach w ogrodzie. Nie pamiętam dokładnie.

– No właśnie. O pracach w ogrodzie, a konkretnie w ogrodzie Białej Matyldy.

– Diona, zlituj się – nie wytrzymał Marcin. – Nie mieszaj do tego jeszcze duchów, dość mam problemów z istotami materialnymi. Jesteś pewna, że nie poddali cię lobotomii?

Nie odgryzła się, co było do niej niepodobne. Ale nie chciała tracić czasu na docinki, wołała jak najszybciej przejść do sedna.

– Któregoś dnia zadzwoniła do mnie Magda i poprosiła, żebym zrobiła zdjęcia tego ogrodu i zorientowała się, czy na tej działce zmieści się dom. Pamiętasz, Ratio? Mówiłam ci o tym, gdy byliśmy w sklepie.

– Pamiętam – potwierdził Ratio. – I co z tego?

Diona zignorowała pytanie i przeszła do następnego zdarzenia związanego z ogrodem Białej Matyldy.

– Potem był atak na Marcina i znowu występuje tu ten cholerny ogród. Moim zdaniem to właśnie on odgrywa w sprawie kluczową rolę. Tym bardziej że Magda nie zdążyła nawet umieścić ogłoszenia o sprzedaży, a już znalazł się kupiec. Jak myślicie, kto to był?

– Zapewne Matuszny.

Ogiński po raz pierwszy zabrał głos na temat śledztwa, nie licząc chwili, gdy musiał odpowiedzieć na skierowane bezpośrednio do niego pytanie. Poza tym konsekwentnie milczał i wyglądał na kompletnie niezainteresowanego tematem. Teraz nastąpiła w nim radykalna zmiana. Widać było, że z napięciem oczekuje odpowiedzi, a jego ciało mimo pozornego rozleniwienia sprawiało wrażenie sprężonego do skoku. Dionie skojarzył się ze sposobną się do ataku panterą.

– Nie, tym razem to nie Matuszny, tylko jego żona.

– Co nie robi wielkiej różnicy – mruknął. – Tak myślałem. Nie wydaje ci się, że trochę za dużo go obciąża? Marcin nie mówił, że ten facet jest upośledzony psychicznie, a tylko ostatni kretyn pozostawiłby tak czytelne ślady.

– Cholera jasna! – Remańska zdzieliła się porządnie w głowę. Jak mogła nie zwrócić uwagi na coś, co po jego słowach wydawało się oczywiste? – W ogóle o tym nie pomyślałam. A już byłam pewna...

– Nie przejmuj się, nie ty jedna – pocieszył ją Gredtke. – Ja też uznałem go za winnego, a po minie Darka widać, że on również. Po prostu Ogi kolejny raz udowodnił, że gwiazdek na pagonach nie dostał za masło.

– Nie przesadzaj. – Szymon sprawiał wrażenie zażenowanego pochwałami. – Po pierwsze Matuszyny za bardzo pcha się na pierwszy plan, a po drugie, zapamiętałem, co Marcin mówił. Twierdził, że facet ma alibi na czas zabójstwa tej dziewczyny, a rozdwoić się nie mógł. – Umilkł, rozmyślał przez kilkadziesiąt sekund, po czym podjął: – Ale z tym ogrodem moim zdaniem trafiłaś w dziesiątkę. Wszystko kręci się wokół niego. Mam wrażenie, że ktoś za żadne skarby nie chce dopuścić do tego, żeby coś się w tym ogrodzie zmieniło.

– Matylda? – prychnął Marcin.

Rozśmieszył tym towarzystwo. Zaczęli się przerzucać coraz bardziej absurdalnymi uwagami, prócz Ratia bowiem każdy wymyślił jakiś powód, dla którego nieżyjąca od trzydziestu lat kobieta za wszelką cenę pragnie chronić swój ogród przed ingerencją. Marcin akurat ze wszystkich sił chciał przeforsować pomysł, by nazajutrz, zaopatrzeni w piły łańcuchowe i sekatory, zrównali z ziemią cały ogród Matyldy, co na pewno wypłoszy ducha, gdy naraz Ogiński uciszył ich ruchem dłoni.

– Diona, wspomniałaś, że mówiłaś w sklepie o planowanych pomiarach ogrodu. Kto wtedy tam był oprócz ciebie i Ratia?

– Tylko ekspedientka. – Diona poszukała wzrokiem chłopaka. – Nikogo innego nie widziałam. A ty? – Zaprzeczył ruchem głowy. – Jak ona się nazywała? Wymieniłeś to nazwisko przy pożegnaniu.

Ratier wstał, zabrał z komody pudełko papierosów i zapalniczkę i ruszył na taras.

– Pawlusowa – rzucił od drzwi. – Idę zajarać.

Wbrew tej zapowiedzi nie ruszał się z miejsca i przysłuchiwał się rozgorzałej nagle dyskusji, czy Pawlusowa ze sklepu to ta sama kobieta, której mąż dziesięć lat temu sprzedał Matusznemu kremowego poloneza caro. Kilkakrotnie już otwierał usta, by włączyć się do rozmowy, lecz za każdym razem rezygnował i zamykał je bez wydania najmniejszego dźwięku. Wreszcie sięgnął do klamki i wtedy właśnie padły słowa:

– Powinniście sprawdzić, jak się przedstawiają jej powiązania rodzinne – odezwał się Gredtke. – Wcale bym się nie zdziwił, gdyby była spokrewniona z Matusznymi. Może na przykład być jego siostrą.

– Nie jest z nimi spokrewniona. To siostra Karola Ulika.

Ratio urwał gwałtownie, gdy zorientował się, jak wielki popełnił błąd. Wprawdzie ostatnie słowa wypowiedział tak cicho, że zabrzmiały nie głośniejsz niż szept, ale było już za późno. Pięć słuchających go osób, w ten czy inny sposób związanych z policją, skierowało na niego podejrzliwy wzrok.

– Skąd o tym wiesz? – spytała ostro Diona. – To nie pierwszy raz, kiedy okazuje się, że masz informacje, których przyjezdny w żaden sposób nie mógł poznać.

– Wydaje ci się – mruknął, lecz nie spojrzał jej w oczy. – Musiałem o tym od kogoś usłyszeć.

– O tym, jak ekspedientka ma na nazwisko, też usłyszałeś przypadkiem? Bo wiesz, ona nam się nie przedstawiła, a na plakietce miała tylko imię. – Diona podeszła do Ratiera i ujęła się pod boki. – W barze też jakimś dziwnym trafem się domyśliłeś, który

chłopak to Zając, a który Gruszka. No?! Bardzo jestem ciekawa, jak to wytłumaczysz.

Od odpowiedzi uratował go dzwonek do drzwi, pierwszy od chwili, gdy Remańska zamieszkała w Jasieniu, nie licząc przyjazdu Ratiera. Tym razem jednak nie mógł to być nikt blisko z nią związany, gdyż całe grono przyjaciół siedziało przy stole, a matka i ojczym mieli ją odwiedzić dopiero pod koniec miesiąca. Zastygła więc w bezruchu, przesuwając zdziwionym wzrokiem po obecnych, jakby od nich oczekiwała wyjaśnienia tego nietypowego zjawiska.

Ratio natychmiast skorzystał z okazji, by odwrócić od siebie uwagę.

– Nikogo więcej nie zapraszałem. A ty, Marcin?

– Też nie. Mam pójść otworzyć?

– Nie trzeba. – Diona wreszcie odzyskała równowagę. – Już idę.

Skierowała się do przedpokoju. Tuż za nią szedł Ogiński, któremu przyszło do głowy, że późnowieczorny gość niekoniecznie ma dobre zamiary. Zaraz jednak przekonał się, że niepotrzebnie, gdyż w progu stanął mężczyzna w policyjnym mundurze z dystynkcjami starszego sierżanta. Domyślił się, że ma przed sobą Adama Grota, którego Marcin nie mógł się nachwalić.

– Pan do Marcina? – spytała Diona, witając się z gościem. – Proszę dalej.

Po wejściu do salonu Grot zmieszany, niepewnym wzrokiem obrzucił towarzystwo.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale to dość pilne. Marcin, możemy gdzieś pogadać?

– Nie musisz się czaić, to sami gliniarze. – Lipski szybko przedstawił Gredtkego, Ogińskiego i ojca. – A Diona i Medard raczej nie należą do wrogiego obozu.

Sierżant zerknął na Remańską, nieco dłużej zatrzymał wzrok na Ratierze i zajął wskazane mu krzesło.

– Rozmyślałem o tym ogrodzie i odkryłem jedną rzecz – zaczął. Marcin natychmiast mu przerwał.

– My robiliśmy to samo i wyszło nam, że wszystkie zdarzenia wiążą się z tym przeklętym miejscem. Oprócz śmierci Ruskówny, ale kto wie? Może...

– Nie o tym myślałem. – Teraz Grot wszedł mu w słowo. – Mnie chodzi o coś innego. Cały czas się mówi, że to ogród Mizerów, a przecież po ich śmierci własność przeszła na starszą córkę, która po mężu nazywała się Harbutowska.

Przyglądali mu się ze zdumieniem.

– Dlaczego to takie ważne, jak się nazywała? – dopytywał się Lipski. – Przecież później sprzedała wszystko siostrze. A może to tylko plotka?

– Sprzedała – potwierdził Grot spokojnie. – Ale ta siostra również była mężatką, więc nosiła inne nazwisko.

– Chyba nosi, nie nosiła – wtrąciła się Diona.

– Nosiła, bo w lipcu zmarła, a wszystko odziedziczył syn. Chcecie wiedzieć, jak się nazywa? – Grot uśmiechnął się samymi kącikami ust, zaraz jednak zmarszczył brwi. – Dokąd to, panie Ratier? Nie jest pan ciekawy nazwiska tych ludzi?

Ratio rzucił mu spojrzenie zaszczutego zwierzęcia i pomknął do przedpokoju. Choć miał na sobie tylko ulubiony, sprany do niemożliwości T-shirt z krótkimi rękawami, nie tracił czasu na włożenie kurtki. Tak jak stał, dopadł drzwi i byłby z nimi zniknął, gdyby nie Ogiński, który w ostatniej chwili złapał go za skraj koszulki przy szyi. Ratio zaszamotał się, szarpnął, lecz policjant nie puścił. Nagle rozległ się dziwny odgłos. To stara, cienka od częstego prania dzianina nie wytrzymała naporu i przedarła się z cichym trzaskiem na całej długości. Ratio wydał z siebie przeciągły skowyt, wyrwał się Szymonowi i skulił się na podłodze, przyciskając plecy do ściany. Ale było już za późno. Wszyscy zobaczyli potwornie okaleczone ciało, gdzie blizn było tak dużo, że krzyżowały się, zachodząc jedna na drugą i tworząc wypukłości w miejscach wielokrotnych zranień. Plecy Ratiera wyglądały jak dzieło szalonego artysty, który postanowił zmieścić na niewielkim płótnie niezliczoną ilość hashtagów.

– Jezu Chryste – jęknął Dariusz Lipski.

Jego pełen zgrozy głos wyrwał Remańską ze stuporu. Podbiegła do chłopaka, usiała obok i niemal siłą odciągnęła mu dłonie od twarzy.

– Ratio – odezwała się cicho. – Ratio, popatrz na mnie. Powiedz mi, kto ci to zrobił.

Z trudem panowała nad emocjami. Nie była w stanie wyobrazić sobie ogromu cierpienia, które musiał znosić; nawet jej wyobraźnia nie radziła sobie z wykreowaniem podobnej potworności.

Nie ona jedna o tym pomyślała. Obok ukląkł Ogiński i zaraz potem usłyszała jego głos.

– Myślałem, że widziałem już wszystko, a widziałem i przeżyłem naprawdę wiele. Ale to? – Delikatnie ujął Ratiera za ramię i lekko odsunął od ściany, by móc ponownie spojrzeć na pobrużdżone bliznami plecy. – To wszystko stało się już dawno. Minimum pięć, sześć lat temu, możliwe nawet, że więcej. Był wtedy dzieckiem. Kiedy podrósł i zmężniał, blizny się rozlazły, stały się szersze.

– Byłeś bity, kiedy się spotykaliśmy, a ja tego nie zauważyłam – szepnęła Diona. – Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Czy spowodowały to jej słowa, czy może głos, złamany, nabrzmiały poczuciem winy? Nie wiadomo. Ale puste oczy Ratiera nagle nabrały wyrazu, a ręka w jej uścisku drgnęła. Powoli wysunął ją i dotknął policzka Diony.

– Wtedy już mnie nie biła. Przestała rok wcześniej, bo zagroziłem, że jej oddam.

– Ona? – Nie była pewna, czy się nie przesłyszała. – Kto to był?

– Moja mama. Krystyna Ratier, córka Białej Matyldy, która wcale nie była biała i nigdy nigdzie nie straszyla. To matka wymyśliła te brednie, żeby odstraszyć dzieciaki od zakradania się do ogrodu. Pewnie już wtedy miała odchyły, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

Przez głowę Diony przelatywało tyle pytań naraz, że nie wiedziała, które zadać najpierw. Otwierała i zamykała usta, nie umiając się zdecydować. Z pomocą przyszedł jej Marcin, który

w pewnej chwili opuścił przedpokój, na co nawet nie zwróciła uwagi, a który teraz zmaterializował się tuż przed nią z koszulą w ręce.

– Włóż to, Medard, bo się przeziębisz – rzucił szorstko. – Czy ja ciągle muszę być zmuszany do oglądania twoich wątpliwej jakości wdzięków?

Ratio spojrzął na niego nieprzytomnie. Z wolna wzrok zaczął mu się wyostriać, na usta wypłynął lekki uśmiech.

– Ty naprawdę masz jakąś fobię związaną z nagością. Za brak majtek dostałem po ryju, a teraz nie możesz znieść widoku mojego gołego torsu. Trzeba było iść na księdza, oni też mają na tym tle obsesję.

– Przestań pyszczyć, szczyłu. Zakryj ten swój żaloszny torsik udający kaloryfer i chodź do pokoju. Siądziemy jak ludzie, napijemy się dla zagłuszenia smutków, a potem opowiesz nam swoją historię. Bo mam jakieś dziwne wrażenie, że w niej znajdziemy odpowiedzi na wiele pytań.

Propozycja Marcina została przyjęta przez aklamację. Tym razem wypili wszyscy, nawet Ogiński, który całkiem zapomniał, że na początku imprezy sam zaoferował swoje usługi jako kierowca powrotny. Zazwyczaj stronił od alkoholu, ale tym razem zrobił wyjątek. Przeczuwał, że potrzebne mu będzie wspomaganie, by znieść opowiadanie Ratiera. Trudno, będą musieli tu przenocować. Nie był pewien, czy w domu znajdzie się tyle miejsc noclegowych, ale tym się nie przejął. Nieraz zdarzało mu się spać w gorszych warunkach niż na przykrótkiej sofie czy dwóch złączonych fotelach.

– To się zdarzyło w piątek trzynastego sierpnia dwa tysiące dziewiątego roku.

Ratio rozpoczął swoją opowieść, natychmiast jednak musiał przerwać, gdyż Gredtke powstrzymał go pytaniem.

– Medard, jedna sprawa, zanim zaczniesz. Czemu, do jasnej cholery, nikomu nie powiedziałeś, że wychowałeś się w tym miasteczku? Że mieszkałeś w tym domu. Nawet Dionie. Po co ta tajemnica?

– Tak trudno to zrozumieć? – warknął Ratier. – Gdybym jej powiedział, drażyłaby temat tak długo, że wyciągnęłaby ze mnie wszystko, a ja właśnie tego chciałem uniknąć. Nie chciałem, żeby dowiedziała się o tym.

Wygiął rękę do tyłu, by wskazać swoje plecy, i umilkł, uznając temat za zakończony. Ale Gredtke nie odpuszczał.

– Dlaczego nie chciałeś, żeby wiedziała?

– Pan by się dobrowolnie przyznał, że przez blisko trzy lata pozwalał się bić? Wstydzilem się! Wystarczy?

Emerytowany policjant przez dobrą minutę wpatrywał się w zaczerwienioną z gniewu i wstydu twarz chłopaka. Nikt się nie odzywał, wszyscy podświadomie wyczuwali, że rozgrywka między tymi dwoma jeszcze się nie zakończyła. Rozgrywka, której celu zdawali się nie domyślać.

– A nie przyszło ci do głowy, że to nie ty powinieneś się wstydzić?

– Gredtke wreszcie przerwał milczenie. – Ile miałeś lat, kiedy zaczęła się katować? Dwanaście, trzynaście? No, powiedz nam, kiedy to się zaczęło.

– Jedenaście – oparł Ratier cicho, a po chwili dorzucił: – I pół.

– Tak, to pół robi kolosalną różnicę – rzucił Robert z ironią. – Nawet gdybyś miał piętnaście, to i tak dalej byłbyś tylko dzieckiem. Nie mogłeś się obronić. Ale inni mogli obronić ciebie, gdyby tylko im się chciało. Gdyby chociaż na moment wychynęli zza kokonu, którym się otoczyli, żeby nic nie kalalo ich idealnego świata. Ale nawet o tym nie pomyśleli, więc to oni powinni się wstydzić. Nie ty.

Ratio popatrzył na niego niepewnie, jakby nie do końca mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. Potem potrząsnął głową.

– Nikt nic nie wiedział – bąknął bez przekonania.

– Akurat! – nie wytrzymał Marcin. – Nie rozbierałeś się na wuefie? Nie chodziłeś z chłopakami nad wodę? U lekarza też nigdy nie byłeś?

– Matka pisała mi usprawiedliwienia na wuef. Leczyła mnie sama. Przecież była pielęgniarką i zanim się urodziłem, pracowała

w przychodni. A koledzy mieli to w dupie, bo oni też nieraz dostawali lanie.

– Ale na pewno nie takie, że byli pobici do krwi. I nie wierzę, że żaden z nich ani razu nie wspomniał o tym rodzicom. Więc wszyscy są winni, całe to pieprzone miasteczko! Ale na pewno nie ty, Medard.

Poblady z gniewu Marcin niezgrabnym ruchem zmierzwił chłopakowi włosy i drżącą ręką napełnił kieliszki. Znowu wypili wszyscy, chcąc się znieczulić przed tym, co usłyszą. Każde z nich miało wiele razy do czynienia z ofiarami przemocy, ale inaczej się reaguje, gdy problem dotyczy kogoś obcego. Wtedy łatwiej zachować dystans. A Ratio nie był obcy. Nawet Dariusz, choć spotkał się z nim po raz pierwszy, nagle uświadomił sobie, że go polubił i że jego losy nie są mu obojętne.

Rozdział 20

Mroki przeszłości

29 listopada 2019, Jasień

– To się zdarzyło w piątek trzynastego sierpnia dwa tysiące dziewiątego roku. – Ratio powtórzył słowo w słowo wypowiedziane wcześniej zdanie. – I jak tu nie wierzyć w przesady? Ojciec pracował na kolei i tego dnia miał dniówkę od szóstej do szóstej, mama po obiedzie pojechała do Żywca do lekarza i na zakupy, a my bawiliśmy się w ogrodzie. Była nas cała banda chłopaków, potem przyszły koleżanki Natalii.

– Moment – przerwał mu Grot. – Kto to jest Natalia?

– Moja młodsza siostra – odparł Ratier ze smutkiem. – Zaraz o niej opowiem.

– Okej, już nie przeszkadzam.

Chłopak upił solidny łyk coli, zapalił papierosa i zaciągnął się kilka razy, nim podjął opowiadanie.

– Natalia i jej koleżanki miały dopiero dziewięć lat, więc dla nas, dorosłych jedenastoletków, były gówniarami. – Uśmiechnął się krzywo. – Chłopcy też byli od nas młodszy. Postanowiliśmy im uciec i w stosownym momencie pobiegliśmy w trójkę do ogrodu Matyldy. Tamci się zawahali, nim zaczęli nas gonić, bo moja mama kategorycznie zabroniła tam chodzić.

– Czemu właściwie zabroniła? – chciała wiedzieć Diona. – Dlatego, że tam zginęła jej matka, czy były jeszcze inne przyczyny?

Medard jakiś czas palił w milczeniu, wreszcie pokręcił głową.

– O innych powodach nigdy nie słyszałem. Mówiła, że to miejsce jest przeklęte i splamione krwią i że nawet ogień nie potrafił go oczyścić. Wydaje mi się, że to ona do spółki z ciotką Genią podpaliły dom. Mnie jeszcze wtedy nie było na świecie, ale kiedyś usłyszałem, jak o tym wspominała w rozmowie z ojcem.

– Muszę to sobie uporządkować – odezwał się Marcin, gdy Ratio umilkł. – Ty wraz kolegami uciekłeś do drugiego ogrodu. Po co?

– W rogu było przejście. Kiedyś przypadkowo odkryłem, że siatka nie jest solidnie przymocowana do słupka i można ją odchylić. Chodziłem tamtędy nad potok.

Lipski i Grot porozumieli się bez słów. Zatem dziura, przez którą przeszli nocni goście, istniała tam już od dawna. Pytanie tylko...

– Kto o tym wiedział? – spytał Grot z napięciem w głosie.

Zdziwiony jego tonem Ratio wzruszył ramionami.

– Chyba wszyscy. To znaczy wszyscy koledzy, dorośli na pewno nie. Nie wolno nam było kąpać się w potoku, więc trzymaliśmy to w tajemnicy.

– W porządku. – Marcin zapisał coś w notatniku. – Mów dalej.

– Kąpaliśmy się jakąś godzinę, potem poszliśmy skrajem lasu do ogrodu Koniewiczów, bo akurat śliwki im dojrzały. Narwaliśmy tego w cholerę i wróciliśmy do lasu. Siedzieliśmy tam do zmroku, bo w domu musiałbym bawić się z Natałką, a ojciec Mariusza znowu kazałby mi robić to wszystko, czego sam nie zrobił, bo wrócił do domu pijany. – Ratio wziął głęboki wdech, mówił teraz z wyraźnym trudem: – Kiedy przyszedłem do domu, okazało się, że Natalia zniknęła. Rodzice myśleli, że jest ze mną, dlatego nie szukali jej od razu. A potem było już całkiem ciemno. Ale i tak szukali jej razem z sąsiadami przez całą noc.

– Gdzie była? – spytał nieświadomy dramatu Dariusz.

Ratio popatrzył na niego udręczonym wzrokiem.

– Nie wiadomo. Nigdy się nie odnalazła.

Ukrył twarz w dłoniach. Nikt nie śmiał go popędzać, nikt się nie odezwał. Po kilku minutach Robert Gredtke postanowił wyręczyć

chłopaka i wziąć na siebie ciężar wyjaśnień.

– Pamiętam te poszukiwania.

Natychmiast przyciągnął całą uwagę zebranych. Opowiedział o podjętych działaniach komendy powiatowej, o współpracy z ówczesnym komendantem komisariatu w Jasieniu, nawet o donosie, który na krótko zwrócił uwagę policjantów na brata zaginionej. Donos okazał się fałszywy, a poszukiwania spełzły na niczym.

– Szkoda, że mi nie wspomniałaś o tym ogrodzie – zwrócił się do Dionizy. – Powiedziałbym ci to wszystko. Takich spraw się nie zapomina.

– Skąd mogłam wiedzieć? – odparła, a jednak mimo wszystko czuła się winna, bo mogła to przewidzieć. – Wspomniałaś o donosie. Kto go napisał?

Okazało się, że jak to zwykle bywa z donosami, ten również był anonimowy. Diona nie spodziewała się właściwie niczego innego, toteż tylko skinęła głową, Ratio natomiast, siedzący podczas przemowy Gredtkego w niezmienionej pozycji, nagle odjął dłonie od twarzy i wybuchnął:

– Kilka dni wcześniej w trakcie kłótni wrzasnąłem do Natalii, że chciałbym, żeby zniknęła na zawsze. Ten ktoś o tym doniósł i policja sprawdzała, co wtedy robiłem. Ale cały czas byłem z Mariuszem i Łukaszem, więc dali sobie spokój. Tylko że powiedzieli o tym mamie i potem ona sobie wmówiła, że to ja... że to moja wina.

W oczach Marcina błysnęło zrozumienie. Pojął, skąd wzięła się granicząca z nienawiścią niechęć Ratiera do policji. Dziecko podświadomie szukało usprawiedliwienia dla okrucieństwa matki. Nie potrafiło ani jej obwinić, ani znienawidzić, więc przeniósło te uczucia na policjantów, którzy skierowali myśli kobiety w tym kierunku.

– ACAB – mruknął cicho do siedzącego tuż obok Szymona.

Ten potwierdził ruchem głowy, a jego ręka bezwiednie powędrowała do ramienia, gdzie rękaw koszuli skrywał dowód na

jego własne zmaganie się z demonami.

– Mama coraz częściej mnie biła, a chwilami zachowywała się tak, jakby traciła rozum. Zapominała o różnych sprawach, często w ogóle nie wstawała z łóżka. Tata próbował z nią rozmawiać, ale to nie pomagało.

Tata... Diona pomyślała, że to dziwne. Ratio ciągle wspominał matkę, a ojca zaledwie dwa razy. Przypomniała sobie, że w czasach, gdy uparła się zawrócić go ze złego kursu, także nie mówił o ojcu. Mieszkał wtedy tylko z matką. Wtedy była pewna, że ojciec ich zostawił, stąd niechęć chłopca do wspomniania o nim, teraz jednak postanowiła zapytać o to wprost. Przekonała się właśnie, że nadmierna delikatność wcale nie jest dobra. Gdyby sześć lat temu była bardziej dociekliwa, chłopak nie musiałby zmagać się sam z kompleksami, wspomnieniami i z poczuciem winy.

– Ratio, co właściwie stało się z twoim ojcem?

– A co miało się stać? – Spojrzał ze źle skrywaną wściekłością, która w następnej chwili wybuchła gejzerem słów: – Uciekł od nas. Zwyczajnie dał w długą. Spierdolił jak ostatni lewus! Jebał go pies!

Przeczekwała spokojnie ten napad bezsilnego gniewu, nim zadała następne pytanie.

– Kiedy od was odszedł?

– Pół roku później, na początku lutego. Widocznie ja się dla niego w ogóle nie liczyłem. – Ratio już nie krzyczał. Mówił cicho, z goryczą. – Tego dnia matka bardzo mnie zbiła. Wściekł się, gdy to zobaczył. Kłócili się, chyba ją uderzył... Przyszedł do mnie i mówił, że w końcu natrafił na jakiś trop, że odnajdzie Natalię i wszystko będzie jak dawniej. Wtedy widziałem go ostatni raz. Już więcej nie przyszedł do domu.

Zerknęła znacząco na Marcina, a on ledwie dostrzegalnie skinął głową. Reszta milczała, nieświadoma tych milczących uzgodnień.

– Mówisz, że już nie wrócił do domu – włączył się Lipski. – A rzeczy? Przecież musiał zabrać ubrania, dokumenty...

Ale Ratio zdecydowanie zaprzeczył. Twierdził, że wszystkie osobiste przedmioty należące do ojca zostały w domu. Matka wyrzuciła ubrania dopiero dwa lata później, bo chociaż nieraz go wyklinała, tęskniła za nim i ciągle wierzyła, że kiedyś do nich wróci. Chłopak także chyba żywił podobną nadzieję, gdyż do dziś przechowywał należące do Bartosza Ratiera świadectwa szkolne i umowy o pracę. Mimo to żona nigdy nie zgłosiła zaginięcia, za bardzo się wstydziała, że mąż ją porzucił.

– Wspominałeś, że ojciec w końcu natrafił na ślad. Mam rozumieć, że nie odpuścił i przez te pół roku cały czas szukał twojej siostry?

– A jak myślisz?! W kółko chodził od domu do domu i pytał o nią. Zaraz po tym, jak Natalia zniknęła, przeszukał cały las, nawet zrobił zapórę na potoku, żeby osuszyć płoś. Nie poddał się nawet wtedy, gdy policja odpuściła. W domu prawie nie bywał, a mama to wykorzystywała, mogła mnie bezkarnie bić. Zadowolony?! – wrzasnął, jakby to Marcin był winien wydarzeń sprzed dziesięciu lat.

Lipski przyjął wybuch ze stoickim spokojem. Nalał sobie sprite'a, upił odrobinę i sięgnął po długopis.

– Zróbmy sobie małą przerwę – zaproponował. – W kuchni jest gulasz, ktoś mógłby go podgrzać. Nie ty, Medard – zaproponował, gdy chłopak zaczął się podnosić. – Chciałbym, żebyś mi podał nazwiska chłopaków, z którymi uciekłeś przez ogród Matyldy. A później nazwiska dzieci, które zostały z twoją siostrą.

– Po co ci to? Wszystko masz w aktach. – Ratio nie przejawiał chęci współpracy. – Też myślisz, że to ja? To będziesz musiał sam sobie sprawdzić.

– Nie bądź idiotą. Wydaje ci się, że wyjęcie akt z archiwum to taka prosta sprawa? Chyba naoglądałeś się za dużo filmów. – Diona usiłowała przemówić mu do rozsądku, a gdy zauważyła, że jej słowa trafiają w próżnię, porozumiała się wzrokiem z Marcinem, który skinął głową. – Ratio, mogę się mylić, ale chyba wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

– A ja nie wiem i nie chcę wiedzieć!

Remańska straciła cierpliwość, której nigdy nie miała w nadmiarze.

– W takim razie niepotrzebnie marnowałam na ciebie czas, bo dalej jesteś obrażonym na cały świat głupim dzieciakiem. W porządku, nie musisz nic mówić. Tylko nie udawaj więcej, że ci na mnie zależy!

– No co ty?!

– Pierwszy atak mu nie wyszedł, ale na pewno spróbuje jeszcze raz, a wtedy może mu się uda. Przyjdiesz na mój pogrzeb czy też go olejesz?

Ratier przez dość długi czas przyglądał jej się uważnie, jakby oceniał, czy mówiła to poważnie. Widać było, że zмага się ze sobą. W końcu przywiązanie do Dionizy zwyciężyło i na twarzy chłopaka odmalowało się zawstydzenie.

– Łukasz Matuszny i Mariusz Niemczyk – powiedział, wyraźnie wymawiając słowa. – To byli moi najlepsi kumple. Zawsze trzymaliśmy się razem i wtedy też byli ze mną. Ja już nigdy potem nie wszedłem do tego ogrodu. Nie mogłem... – Urwał i zamilknął, marszcząc czoło w namyśle. – Z Natalią została reszta. Kuba i Milena Zając, Hubert i Angela Ulik, Przemek Gruszka i Zosia Rusek. Ale Zosia podobno się z nimi pokłóciła, w każdym razie wróciła do domu. Potem reszcie znudziło się przebywanie w naszym ogrodzie, więc się rozeszli, a Natalia została przed domem.

Adam Grot zajął miejsce zwolnione przez Ogińskiego, który poszedł zająć się gulaszem, i spoglądał to na Marcina, to na Dionę.

– Czy wy myślicie o tym, o czym ja pomyślałem?

W innym przypadku pytanie z pewnością przyprawiłoby ich o co najmniej uśmiech, ale rzut oka na skupioną twarz sierżanta powiedział im, że rzeczywiście ich myśli musiały biec zbieżnym torem.

– Natalia, ogród, zniknięcie, Bartosz Ratier, pytania, zniknięcie – mruknęła Remańska. – Czy to możliwe, że wszystko jest takie

proste?

– Nie wiesz, że najprostsze jest zawsze najbardziej prawdopodobne? – odpowiedział pytaniem Lipski. – Dodaj do tego jeszcze ten pieprzony samochód. – Jak ty to widzisz? – zwrócił się do Grota, który bez namysłu zwięźle określił swoje stanowisko.

– Tak samo.

Diona wyłączyła się z rozmowy, całą uwagę poświęcając Medardowi, od pewnego czasu bombardującemu ją pytaniami. Chłopak niewiele pojął z ich enigmatycznych wypowiedzi i uporczywie domagał się wyjaśnień. Nie musiała się zastanawiać, by stwierdzić, że miał prawo wiedzieć. Sprawa dotyczyła go osobiście, w dodatku nie był już pogubionym, niestabilnym psychicznie dzieciakiem, tylko młodym mężczyzną.

Prostymi słowami, bez upiększeń czy eufemizmów opowiedziała mu o ich podejrzeniach. Podkreśliła przy tym, że jeśli trzy osoby niezależnie od siebie wpadły na ten sam pomysł, nosi on wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Ratio słuchał jej z tak kamienną twarzą, że tylko czujne, pełne napięcia spojrzenie świadczyło, iż jego myśli wcale nie błądzą gdzieś daleko, tylko są w całości poświęcone temu, co mówiła.

Później podziękował jej za szczerość i wyszedł do kuchni dopilnować podgrzewania potraw, a ona stwierdziła z dumą, że nie pomyliła się w jego ocenie. Chłopaka, który przez tyle lat radził sobie z niestabilną matką, nic nie jest w stanie złamać.

Pewnie zmieniłaby zdanie, gdyby mogła zobaczyć go klęczącego ze łzami w oczach przy jej łóżku, ale świadkiem tamtego zdarzenia był tylko Marcin. Ona je przespała.

Podczas zaserwowanego przez Szymona i Ratię posiłku Grot poruszył temat własności posesji. Nie bardzo potrafił pojąć, dlaczego przez tyle lat właścicielka ani razu nie przyjechała sprawdzić, czy wynajmowany robotnikom leśnym budynek nie jest przez nich dewastowany. Przecież musiała zdawać sobie sprawę z tego, że jego stan będzie się sukcesywnie pogarszać.

- Nie lepiej było go sprzedać?
- Nie mogła tego zrobić – wyjaśnił Ratier.

Wbrew powszechnej opinii stary Mizera wcale nie spisał testamentu, a po jego śmierci nie przeprowadzono postępowania spadkowego. Dopiero gdy Matylda Mizera zginęła z ręki zięcia, siostry załatwiły sprawę oficjalnie, stając się współwłaścicielkami odziedziczonych gruntów. W praktyce Krystyna objęła do użytkowania działkę, na której stał jej dom, a Genowefa tę mniejszą oraz leżący za nią kawał pola uprawnego, lecz żadna z siostr nie mogła sprzedać swojej części bez zgody współwłaścicielki.

Kiedy po kilku latach stary dom spłonął, Genowefa postanowiła wyjechać z Jasienia. Działkę darowała siostrze, lecz w umowie darowizny znalazło się zastrzeżenie, że Krystyna nie może nią rozporządzać w zakresie sprzedaży lub darowizny, dopóki siostra żyje. Z kolei pole odsprzedała siostrze i tu nie poczyniła żadnych zastrzeżeń, dlatego po jakimś czasie Ratierowa mogła je sprzedać Koniewiczowi. Matylda pozostawiła córkom także całe swoje oszczędności. Była to na tyle duża kwota, że wystarczyła Krystynie na skromne życie po zniknięciu męża.

Medard miał trzynaście lat, gdy wraz z matką przeprowadził się do Bielska-Białej, gdzie zamieszkali u schorowanej babki. Krystyna przed wyjazdem sprzedała pole oraz podpisała umowę najmu z nadleśnictwem, które zobowiązało się wypłacać jej miesięczny czynsz oraz doglądać budynku i wykonywać na własny koszt bieżące naprawy. Ratierowa liczyła też na emeryturę teściowej, lecz kobieta zmarła pięć miesięcy później. Zostawiła im mieszkanie, więc przynajmniej od tej strony byli zabezpieczeni.

Z biegiem lat przysyłana co miesiąc kwota coraz bardziej traciła siłę nabywczą, aż wreszcie stała się relatywnie niska w porównaniu do swojej początkowej wartości. Sprzedać posesji Ratierowa nie mogła, gdyż siostra kategorycznie się temu sprzeciwiała. Krystyna wzięła więc kredyt pod zastaw hipoteki, do pracy bowiem iść nie zamierzała, i na każdą wzmiankę o tym reagowała wręcz alergicznie.

Zresztą z każdym rokiem jej stan psychiczny coraz bardziej się pogarszał i wreszcie po usilnych namowach syna zgłosiła się do psychiatry, który pomógł jej uzyskać rentę. Świadczenie było bardzo niskie, ale Medardowi zależało na tym, by matka miała jakieś ubezpieczenie, gdyż wymagała pilnej hospitalizacji.

Genowefa zmarła w kwietniu i zaraz potem Krystyna zaczęła szukać kupca. Rozmowy z Witeckimi Ratio podjął jeszcze jako jej pełnomocnik, a gdy w lipcu ona też umarła, natychmiast przystąpił do załatwiania spraw spadkowych, gdyż chciał jak najszybciej pozbyć się zadłużenia w banku i zacząć nowe życie. Niespodziewanie plany pokrzyżowała mu Natalia; nie pomyślał, że zaginiona przed laty siostra również ma prawo do spadku po matce. Na szczęście natrafił na rzutkiego prawnika, który gładko doprowadził do uznania Natalii Ratier za zmarłą. Dopiero teraz Medard mógł przystąpić do działania i wszystko ułożyło się po jego myśli, choć wcześniej były chwile, że tracił już nadzieję na wybrnięcie z impasu.

– Wiem, że na pewno się zastanawialiście, po jaką cholere przyjechałem do miejsca, które najchętniej wymazałbym z pamięci – powiedział, kończąc opowieść. – Ale ja nie miałem innego wyjścia. Przy przeglądaniu dokumentów matki odkryłem, że babka przepisała mieszkanie na mnie, nie na mamę. Sprzedałem je, żeby mieć pieniądze na adwokata, a sam zamieszkałem z kumplami w wynajętej kawalerce. Wyobrażacie to sobie? Pokój pięć na cztery, a w nim czterech chłopów, w tym jeden ćpun, a drugi seksoholik. Musiałem stamtąd zniknąć, inaczej dostałbym świra jak matka.

Zrobiło się bardzo późno i Diona zarządziła koniec zgromadzenia. Sierżant Grot pojechał do domu, a pozostali zastanawiali się nad rozlokowaniem się na noc. Po krótkiej naradzie ustalono, że Marcin będzie spał z ojcem w małżeńskim łóżu Witeckich, Ratio zaś odstąpi swoje Gredtkemu, a sam prześpi się na sofie. Diona zaproponowała swój pokój Ogińskiemu, na co ten absolutnie nie chciał się zgodzić.

– Mogę spać w twoim łóżku, ale tylko z tobą – oświadczył ku uciesze zebranych.

Wobec takiego *dictum* nie ponowiła już oferty, a w głębi duszy była zadowolona, że jej nie przyjął. Czuła obezwładniające zmęczenie, do którego doszedł potworny ból głowy. Zrozumiała, że mocno przesadziła z aktywnością i teraz przyszło jej za to zapłacić. Lekarz jednak miał rację. Nie była jeszcze całkiem zdrowa, a te kilka kieliszków z pewnością też jej nie pomogło. Chciała jeszcze znieść na dół zapasowe koce i poduszki, lecz Ratio tylko spojrzął na jej pobladłe policzki i pokręcił głową.

– Nie ma mowy! Poradźmy sobie sami. Prawda, Szymon?

– Jasne, że tak. Zmykaj stąd, dziewczyno. Natychmiast marsz do łóżka. A może mam cię tam zanieść i utulić do snu?

Spodziewał się jakiejś soczystej riposty, lecz Diona rzuciła tylko krótkie „no to dobranoc” i poszła ku schodom. Zmartwił się, gdyż to oznaczało, że dziewczyna naprawdę źle się czuje. Wysłał więc Medarda na przeszeptegi, a sam zabrał się do przygotowania im posłań. Przyjrzał się zsuniętym razem fotelom i aż się uśmiechnął, porównując swój wzrost do długości połączonych mebli. Tej nocy chyba nie pośpią zbyt wiele.

Gdy powrócił Ratio, taszcząc pod pachą grubą kołdrę, dwa koce i poduszki, doszli do zgodnego wniosku, że najlepiej zrobią, moszcząc sobie posłanie na podłodze. Wkrótce potem leżeli obok siebie na kołdrze, każdy otulony swoim kocem.

– Lubię cię, Ratio – mruknął Szymon sennie – ale nie próbuj się do mnie tulić.

– Ty możesz czuć się bezpiecznie, ale gorzej ze mną. – Chłopak natychmiast się odgryzł. – Spróbuj pamiętać, że ja nie jestem Dioną.

Zanim zaskoczony jego domyślnością Ogiński zdobył się na odpowiedź, usłyszał miarowy oddech, przechodzący w ciche chrapanie. Uśmiechnął się lekko i wkrótce sam także zapadł w sen.

30 listopada 2019, Jasień

Nazajutrz Ogiński ze zdziwieniem zauważył, że wszelkie ślady po wczorajszej imprezie zostały uprzątnięte. W łazience przyglądał się zmierzwiłone włosy i z lekkim niesmakiem przyjrzał się pomiętej koszuli. *Wyglądam, jakbym w niej spał*, pomyślał, a potem z trudem się pohamował, żeby nie stuknąć się w czoło. *Nie jakbym, kretynie*, skonkludował i ruszył na poszukiwanie Ratia.

Zastał go w kuchni. Pochylony nad zlewozmywakiem chłopak kończył myć naczynia, zerkając przy tym na kuchenkę, gdzie w dużym rondlu coś perkotało na gazie.

– Czy ty nigdy nie śpiesz?

– Młody jestem, to i wytrzymały. – Ratier błysnął zębami w uśmiechu. – Nie to, co takie zgredy jak ty. – Uchylił się zwinnie przed muką i dodał już poważnie: – Jak myślisz, czy ona tam jest? Zakopana w ogrodzie?

– Nie wiem – zaczął oględnie, lecz gdy napotkał pełne wyrzutu spojrzenie Ratia, westchnął cicho i powiedział prawdę. – Tak, Medard. – Po raz pierwszy zwrócił się do niego po imieniu. – Uważam, że ona tam właśnie jest. Myślę też, że jest tam także twój ojciec. To jedyne logiczne wyjaśnienie jego zniknięcia.

Ratier nie odpowiedział. Pochylił się nad umyтым garnkiem po gulaszu i wpatrywał się w naczynie z taką uwagą, jakby spodziewał się tam zobaczyć cały batalion maszerujących czwórkami bakterii. Wreszcie go wyplukał, odłożył do drugiej komory i spytał zwyczajnym, spokojnym głosem:

– Chcesz kawy?

– Pewnie, że chcę. Ale najpierw chciałbym się ogolić. Pożyczysz mi maszynkę? I jakąś koszulkę, bo ta jest jak psu z gardła.

– Koszulkę pożyczę, ale maszynkę musisz podpieprzyć Marcinowi. – Wskazał na swoją twarz okoloną ciemnym zarostem. – Zapuściłem to, żeby ludzie z Jasienia mnie nie poznali. Teraz już

mogę wrócić do normalnego wyglądu. Ale na twoim miejscu bym się nie golił. Wyglądasz bardziej seksi.

Znowu się uchylił, tym razem przed lecącą w jego kierunku ścierką, i pobiegł na górę po żądane przedmioty.

Gdy odświeżony i mimo dobrych rad Ratia gładko ogolony Ogiński wyszedł z łazienki, na dole byli już wszyscy, także Grot, przybyły nie wiadomo kiedy. Nakładali sobie właśnie na talerze gorący bogracz, pachnący tak apetycznie, że Szymonowi od razu zaburczało w brzuchu. Sięgnął po talerz.

– Zostajesz czy wracasz do Jodłowca? – Marcin przytrzymał go za rękę. – Pytam, bo jeżeli zostajesz, to pospiesz się z tym żarciem, bo zaraz zaczynamy.

Szybko zrobił w myślach analizę czynności, które zaplanował na dzisiaj, i z zadowoleniem skonstatował, że nie ma wśród nich nic, czego nie dałoby się przełożyć.

– Zostaję.

Po posiłku wypili jeszcze w ekspresowym tempie kawę, po czym ruszyli w stronę ogrodu Matyldy. Pogoda im sprzyjała – dzień wstał słoneczny, w miarę ciepły i nic nie zapowiadało opadów deszczu czy śniegu.

Dochodzili już do furki, gdy Szymon uprzytomnił sobie pewne zagrożenie.

– Naszych działań pewnie się nie uda zachować w tajemnicy. Obawiam się, że właściciel poloneza może się przestraszyć i wywieźć gdzieś auto.

– Nie bój nic – mruknął Grot. – Rozstawiłem na mieście moich ludzi, nie ma opcji, żeby ktoś się wymknął.

Przekroczyli granicę posesji i weszli do całkiem innego świata, ciemnego i ponurego, a jednocześnie emanującego niepokojącym urokiem. Nawet Marcin był pod wrażeniem, choć nie dalej jak kilka dni temu widział gęstwiny zdiczających krzewów i przechadzał się pod kopułą gałęzi. Wtedy jednak ogród Matyldy częściowo

spoczywał pod śniegiem, teraz zaś można go było oglądać w całej okazałości.

– Jak w horrorze – szepnęła Diona, odczepiając od nogawki spodni gałązkę agrestu. – W życiu dobrowolnie nie weszłabym tu sama.

– Tu kiedyś był dom ciotki Geni. – Ratio wskazał zmurszałe fundamenty widoczne wśród pożółkłych łodyg pokrzyw. Rozejrzał się i spostrzegł resztki sznura wiszącego na grubym konarze. – Widzisz ten powróż? Mniej więcej tam, gdzie stoi Szymon, fundament był dużo wyższy. Kiedy nikt nie mógł nas zobaczyć, stawaliśmy na nim i siadaliśmy na drążku przymocowanym do sznura. Lecieliśmy aż do płotu, tam odbijaliśmy się nogami i wracaliśmy tutaj. Robiliśmy zawody, kto więcej razy przeleci za jednym startem. – Westchnął cicho. – Jaki macie plan?

Planu jako takiego nie było. Nie wezwali też posiłków, nie wiedząc, czy ich hipoteza nie jest jedynie wymysłem bazującym na pobożnych życzeniach. Zdecydowali, że będą zwracać szczególną uwagę na wszystko, co bodaj minimalnie odbiega od normy. Zmiany w podłożu, wzgórki, wyraźne różnice w kolorze pozostałej jeszcze gdzieś wylewki – takie spostrzeżenia należało natychmiast zgłaszać.

Zabrali się do poszukiwań z zapalem, kiedy jednak minęło południe, entuzjazm znacznie ostygł. Nie znaleźli nic mogącego choć trochę przypominać mogiłę. Po następnej godzinie zniechęceni usiedli na murku, by zapalić i zastanowić się nad dalszymi krokami.

Grot pierwszy ubrał w słowa myśl od dłuższego czasu towarzyszącą każdemu z poszukiwaczy.

– To chyba nie ma sensu. Nawet gdyby rzeczywiście kogoś tu pochowano, po tylu latach nie ma szans odkrycia tego miejsca gołym okiem.

– Racja – poparł go Gredtke. – Teren dawno się wyrównał, zarósł trawą i krzaczorami. Marcin, bez zwłokowca raczej nie da rady.

– Co to jest zwłokowiec?

Ratio zadał to pytanie bez większego zainteresowania, wyłącznie po to, by zająć czymś myśli i pozbyć się dojmującego uczucia zawodu. Taką miał nadzieję, że siostra i ojciec się odnajdą, a on będzie mógł zamknąć za sobą ten rozdział, pełny cierpienia i wpojonego mu przez matkę poczucia winy. Tyle razy słyszał od niej, że gdyby nie poszedł z kolegami, zamiast pilnować siostry, nic złego by się jej nie stało, iż w końcu w to uwierzył.

– Pies do poszukiwania zwłok – wyjaśniła Diona. – Ale czarno to widzę, bo po tylu latach mogły pozostać tylko kości. Sorry, Ratio, ale taka jest prawda.

– Są psy wytresowane do poszukiwania kości. – Gredtke zmarszczył brwi. – Ale wątpię, by komenda w Żywcu takim dysponowała.

– Nie mam pojęcia – przyznał przygnębiony Marcin. – Jedno mnie jeszcze intryguje. Medard, mówiłeś, że Łukasz Matuszny cały czas był z tobą. Skąd więc Matuszni w tej sprawie? Czy oni mają więcej dzieci?

– Mają jeszcze dwie córki – zamiast Ratiera odpowiedział mu Grot. – Ale dziesięć lat temu Kamila miała pięć lat, a Ola trzy.

– Halina Matuszna jest siostrą Mirosława Zająca, a Kuba Zając został wtedy z Natalią. Jego siostra też.

Wszyscy spojrzeli na Ratia ze świeżym zainteresowaniem.

– Ciągle zapominam, że ty przecież znałeś tych ludzi – pokajała się Diona. – Kojarzy ci się jeszcze coś, co pominęliśmy?

Ale Ratio zaprzeczył i entuzjazm przygasł równie szybko, jak się rozjarzył. W milczeniu dopalali papierosy, nikt bowiem nie chciał wziąć na siebie decyzji o zakończeniu poszukiwań. Naraz Grot zrobił ruch ręką, jakby miał zamiar klepnąć się w czoło, a zaintrygowanym jego zachowaniem wyjaśnił, że skupiając się na dzieciach, całkowicie pominęli dorosłych. Tymczasem wcale nie było pewne, że po rozstaniu się z dziećmi Natalia wróciła do domu. Mogła pójść za kolegami i po drodze ktoś ją zdybał, zapraszając na przykład do

kremowego poloneza caro. Ktoś, kto później ją zabił i ukrył zwłoki w sobie tylko wiadomym miejscu.

Popatrzyli na siebie w ponurym milczeniu. Już gotowi byli przyznać mu rację, gdy Diona energicznie pokręciła głową.

– To mi się nie klei. Sierżancie, jeżeli było tak, jak pan mówi, to po jaką cholereę ci obcy łazili tu po nocy? I z czym chcieli zrobić porządek?

– Bo ja wiem? – mruknął. – Ma pani rację, to głupi pomysł.

Remańska już go nie słuchała, całą uwagę poświęcając pogrążonemu w myślach chłopakowi.

– Ratio, rozejrzyj się dokładnie jeszcze raz – powiedziała niemal błagalnie. – Znasz przecież ten ogród, bo nieraz tu przychodziłeś. Wiem, że drzewa i krzewy się rozrosły, ale poza tym raczej dużo się tu nie zmieniło, jeśli przez tyle lat nikt w ogrodzie nic nie robił. Przypomnij sobie, jak to wtedy wyglądało. Czy widzisz coś, czego wcześniej nie było? A może czegoś brakuje?

Sama także rozglądała się uważnie, podświadomie porównując zaniedbany obiekt do tego za graniczną siatką, zadbanego i eleganckiego. Rabaty z pewnością kipiące w lecie feerią barw, uformowane drzewa owocowe, pod płotem skalniak i donice z kwiatami na nieużywanej studni. Tutaj też mogłoby tak wyglądać, gdyby zbrodnia sprzed trzydziestu lat nie zasnuła cieniem tej niedużej, tchnącej swoistym urokiem działki.

Naraz zmarszczyła brwi, gdyż coś z tego ciągu myślowego nagle przykuło jej uwagę. Otworzyła usta, a w tej samej chwili Ratio także się odezwał.

– Studnia! – wykrzyknęli równocześnie.

– Jaka studnia? O czym mówicie? – spytał Marcin.

Ratio poderwał się z murku. Był tak rozemocjonowany, że nie mógł usiedzieć spokojnie.

– Tu była kiedyś studnia, jeszcze w czasach, gdy żył dziadek. Potem powstała sieć wodociągowa i studni nikt nie używał, ale tak jak wszędzie zostawiono ją na wypadek awarii. Zresztą wkrótce

potem całkiem wyschła. Mama nam mówiła, że któregoś dnia dziadek zahaczył o nią ciągnikiem i rozwalił krąg. Wtedy babcia kazała mu usunąć resztki i zakryć otwór jakąś pokrywą. – Umilkł i wziął głęboki wdech. – Pamiętam to dobrze, bo kłapa była już stara i mama poleciła ojcu zbić nową albo zasypać studnię. Wrzucił tam trochę jakichś kamieni czy gruzu, ale nie miał czasu, żeby ją wypełnić. Ciągle to odkładał i w końcu nic z nią nie zrobił, tylko położył na górze kilka desek. – Jeszcze raz spojrzął w prawo i wskazał palcem. – To było mniej więcej tam, gdzie leży ta niższa sterta.

Nikt się nie odezwał, za to wszyscy jak jeden mąż powstali z miejsc i ruszyli we wskazanym kierunku. Desek nie było tam dużo, toteż minęło zaledwie kilka minut, gdy zostały odrzucone na bok i oczom zebranych ukazała się pokrywa studni. Rzeczywiście znajdowała się w katastrofalnym stanie. Najwyraźniej kiedyś rozłamała się na pół i ktoś musiał ją naprawić, gdyż na samym środku znajdowała się długa łata łącząca obie części.

– Tego wtedy nie było – głuchym głosem powiedział Ratio, wskazując na łatę. – Pod tymi dechami chowałem papierosy, a tamtego dnia rano nie mogłem ich znaleźć, więc odsunąłem deski. Mam wrażenie, że było ich mniej niż teraz, bo nawet się nie zmęczyłem.

Marcin się schylił i na próbę usiłował podnieść kłapę. Ani drgnęła.

– Znalazłeś te fajki? – spytał, a gdy uzyskał potwierdzenie, przywołał gestem Grota. – Adam, pomóż mi. Cholerstwo wrosło w ziemię.

Ratio również chwycił brzeg pokrywy i naparł z całych sił. Drgnęła odrobinę, lecz pozwoliła się ruszyć dopiero wtedy, gdy dołączył do nich Ogiński. Wspólnymi siłami wyszarpali ją z podłoża i rzucili obok, po czym pochylili się nad głęboką studnię. Na jej dnie dostrzegli ludzki szkielet.

Z trudem powstrzymali Ratiera, który gotów był opuścić się po linie do wnętrza studni. Chłopak nie chciał słuchać głosu rozsądku

i Diona już zaczęła się obawiać, że będą musieli go skuć, żeby wreszcie się uspokoił. Wreszcie Gredtkemu udało się wyperswadować mu ten pomysł i Ratio z pewnymi oporami dał się zaprowadzić do domu. Jak sam później przyznał, pomysł naprawdę był idiotyczny. Przecież nawet gdyby dotknął szkieletu, nie zdołałby go zidentyfikować. Ale początkowo siedział osowiały i spoglądał na nich spode łba, nie rozumiejąc, dlaczego nie chcą wydobyć kości.

W oczekiwaniu na techników Diona postanowiła zrobić kawę, co spotkało się z ogólną aprobatą. Tuż za nią do kuchni wszedł Ogiński.

– Biedny Ratio. Wcale mu się nie dziwię – powiedziała, sypiąc kawę do zasobnika. – Tyle lat żył w przeświadczeniu, że ojciec ich zostawił.

– Taa – mruknął przeciągle Szymon. – To normalne, że chciałby jak najszybciej się dowiedzieć, kto był ofiarą. – Zastanowił się i stwierdził krytycznie: – Jakoś dziwnie to zabrzmiało. Jest jakiś maskulatyw od słowa ofiara?

Tak ją zaskoczył, że omal nie wypuściła puszek z kawą.

– Nie masz większych problemów? – prychnęła. – Do słowa trup nie ma feminatywu, a jakoś nie spędza mi to snu z powiek. – Podstawiła filiżankę i usiadła przy stole. – Mnie bardziej interesuje, czy jest tam tylko jeden szkielet.

Ogiński przestawił krzesło, by znaleźć się bliżej dziewczyny, i pokiwał głową.

– Myślisz o Natalii – bardziej stwierdził, niż zapytał. – Też jestem ciekawy. Ten szkielet na pewno należy do dorosłego człowieka, ale wątpię, czy umiałbym rozpoznać płeć. Tylko że innych zaginięć tu nie było, więc...

– Tak, to raczej pewne. – Weszła mu w słowo. – Kiedyż wreszcie ci technicy przyjadą?!

Rozdział 21

Co się zdarzyło w Jasieniu

30 listopada 2019, Jasień

Janusz Ubrata z westchnieniem ulgi pozbył się kombinezonu ochronnego, przysiadł na murku i zapalił papierosa. Lipski czekał cierpliwie; wiedział dobrze, że technik nie lubi, gdy się go popędza, nie dając czasu na zebranie myśli.

Gdy kolejna smuga dymu zawirowała w powietrzu, Ubrata przerwał milczenie.

– Wasze domniemania się potwierdziły. Pod szkieletem mężczyzny był drugi, należący do dziecka, przysypany cienką warstwą gruzu. Na szyi zachował się łańcuszek z motylem, a koło czaszki znaleźliśmy złote kolczyki. Takie małe serduszka. Można więc śmiało przyjąć, że to szkielet dziewczynki. – Urwał, zacisnął wargi tak, że utworzyły poziomą kreskę. – Moim zdaniem ona po upadku jeszcze jakiś czas żyła.

– Co?!

Marcinowi drgnęła ręka i słupek popiołu obsypał mu spodnie. Nie zwrócił na to uwagi, przejęty oświadczeniem technika. Ten znów się zaciągnął, po czym odpowiedział głosem kompletnie wyczerpanym z emocji:

– Na dnie studni znajduje trochę gruzu, a między nim duży blok wyglądający na fragment betonowej wylewki. Wystają z niego dwa pręty zbrojeniowe. Gdy dziecko wpadło, nabiło się na nie plecami. Wnioskując z ich usytuowania, nie uszkodziły żadnych ważnych

organów, ale jeden z nich wbił się tuż obok kręgosłupa. W sumie teraz nie ma to znaczenia. Moim zdaniem dziecko się wykrwawiło.

– Kurwa mać!

Marcin nie powiedział nic więcej, wszelkie komentarze były zbyteczne. Ubrata również milczał i dopiero po chwili oznajmił:

– Oprócz szkieletów w studni znaleźliśmy prawo jazdy i dowód osobisty wydany na nazwisko Bartosza Ratiera.

Akurat kończył mówić, gdy w ogrodzie pojawił się prokurator Matczak. Szedł, a raczej toczył się wolno, ale i tak dyszał ciężko, a gdy przy nich stanął, najpierw długo wycierał chusteczką spocone czoło i kark.

– Nie mogłem wcześniej – usprawiedliwił się, czym kolejny raz zapunktował w oczach Marcina. – Szef wymyślił sobie posiadłość. Co tu mamy?

Wysłuchał uważnie sprawozdania Ubraty, obejrzał metryczki dowodów rzeczowych i pokiwał głową, gdy Marcin kategorycznym tonem oświadczył, że będzie musiał zajrzeć do akt sprawy zaginięcia Natalii Ratier, żeby przyrzeć się działaniom policjantów poszukujących dziewczynki.

– Tak blisko domu, a oni jej nie znaleźli. Sprawdź, jak to się stało, że dali dupy. I przywieź do mnie tego chłopaka. Chcę go osobiście przesłuchać. Z tego, co mówisz, wynika, że ma niesamowitą pamięć i oko do szczegółów. I niech potwierdzi, że biżuteria należała do jego siostry. Ale o tym wiesz bez mojego pouczenia.

*

Policjanci pilnujący podejrzanych wynudzili się setnie i jak później mówili, jedyną atrakcją było ukrycie się tak, by nikt ich nie dostrzegł. Jak blisko miesiąc temu słusznie zauważył Adam Grot, nie jest łatwo obserwować kogoś w mieście z tak zwartą zabudową i samemu nie zostać przy tym zaobserwowanym.

W trzech monitorowanych domach panował bezruch, zaskakujący tym bardziej, gdy wzięto się pod uwagę liczbę przebywających tam ludzi. W domu Zajaków oprócz właścicieli i dwojga dzieci mieszkali też rodzice Anny Zajac. Ulikowie z kolei mieli czworo dzieci, opiekowali się także ojcem Karola Uluka, nieradzącym sobie po śmierci żony. Rodzina Gruszków była najliczniejsza. Trzech synów i dwie córki, rodzice Beaty Gruszki oraz jej siostrzenica, którą Gruszkowie przysposobili po śmierci niezamężnej matki, dawało łącznie dziesięcioro mieszkańców dużego domu, stojącego z dala od głównej ulicy, niemal pod samym lasem. Łącznie dwadzieścia trzy osoby, z których żadna ani razu nie wyszła nawet do ogrodu. Czyżby funkcjonariusze jednak zostali zauważeni?

Dopiero pod wieczór z obserwowanych domów wychynęła młodzież. Z podsłuchanych rozmów wynikało, że młodzi ludzie wybierają się na imprezę andrzejkową, toteż po zameldowaniu o tym Grotowi policjanci nie wykonali żadnego ruchu, nie chcąc spłoszyć dorosłych, stanowiących właściwy obiekt inwigilacji.

Wieczorem, po krótkiej naradzie z Marcinem sierżant zdecydował się na zmianę techniki obserwacji i gdy wynudzeni funkcjonariusze zeszli z posterunków, nie wysłał w ich miejsce zmienników, ustanowił natomiast dwa patrole przy wjeździe i wyjeździe z miasta. Trzecim punktem obserwacyjnym był komisariat, z którym graniczył warsztat samochodowy Koniewicza, Grot założył bowiem, że zabójca może zechcieć rozebrać auto na części, a gdzie lepiej to zrobić, jak nie w warsztacie?

1 grudnia 2019, Jasień

Noc minęła spokojnie i policjanci zaczęli się martwić, czy zabójca nie pozbył się poloneza już wcześniej. Najbardziej irytowało ich, że prokurator nadal nie dał zgody na przeszukanie, tłumacząc to

brakiem jakichkolwiek poszlak. Ponieważ chodziło o burmistrza oraz przedsiębiorcę dającego nieraz do zrozumienia, iż ma wysoko postawionych kolegów, podejrzewali, że ze strony Matczaka było to bardziej asekuranctwo niż chęć działania zgodnie z literą prawa.

Niedzielny poranek mijał spokojnie. Ratio zajął się pisaniem programu, co ostatnio całkiem zaniedbał, a Marcin zaszył się w gabinecie Witeckiego i po raz setny analizował zebrane informacje. Diona najpierw zadzwoniła do rodziców, potem wyszła do ogrodu, korzystając ze słonecznej pogody. Usiłowała wczuć się w psychikę dzieci bawiących się tamtego dnia koło domu. Co na ich miejscu zrobiłaby na widok kolegów znikających w owianym złą sławą ogrodzie, do którego nikomu nie wolno było wejść?

Uśmiechnęła się na myśl o swojej jakże przewidywalnej reakcji. Oczywiście, że natychmiast by tam pobiegła, zwłaszcza że kara z pewnością spadłaby na tamtych, którzy pierwsi złamali tabu.

– No dobra – mruknęła, swoim zwyczajem głośno myśląc. Przysiadła na studni obok donicy ze zwarzonymi mrozem kwiatami i zapatrzyła się na drzewa za siatką. – Mogli tam pójść i z pewnością to zrobili. Ale czemu wepchnęli Natalię do studni? Celowo czy może przez przypadek?

Naraz coś sobie uświadomiła i czym prędzej zawróciła do domu. W salonie wpadła na Ratia, który właśnie wychynął ze swojej „dziupli”, lecz nawet tego nie zauważyła. Minęła go, jakby był niewidzialny, i pobiegła do Marcina. Zaintrygowany chłopak poszedł za nią i natrafił akurat na moment, gdy Lipski podniósł wzrok znad papierów.

– Zawału kiedyś przez ciebie dostanę – sarknął i Ratier domyślił się, że Dioniza oderwała aspiranta od pracy w sposób może nie drastyczny, ale z pewnością niekonwencjonalny. – No dobra, mów, bo widzę, że za chwilę pęknie z niecierpliwości.

– Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego obaj z Grotem tak się uparliście na obserwację rodziców tych dzieciaków? Przecież to nie

starzy bawili się z Natalią, tylko młodzi. Dlaczego nie weźmiecie w obroty tych gówniarzy?

– Byli nieletni.

Marcin sprawiał wrażenie niezainteresowanego tematem, lecz Diona nie zamierzała odpuścić. Nie teraz, kiedy przenikający ją dreszcz mówił, że ma rację.

– Ale teraz już nie są – warknęła, rozzłoszczona jego obojętnością.

– I co z tego? Przecież to nie oni zabili Bartosza Ratiera i nie podejrzewam, żeby celowo wepchnęli koleżankę do studni. Ja szukam prawdziwego zabójcy, substytut w postaci wystraszonych dzieciaków mnie nie interesuje.

Remańska westchnęła ciężko, lecz nie opuściła gabinetu. Rozejrzała się za jakimś krzesłem i dostrzegła stojącego w drzwiach Ratia.

– Dobrze, że jesteś. Powiedz temu udającemu policjanta baranowi, ile te wystraszone dzieciaki mają teraz lat.

Ratier zastanawiał się nad odpowiedzią, licząc w myślach.

– Kuba Zając ma dziewiętnaście, a Milena jest o rok młodsza. Tak samo Przemek Gruszka i Angela Ulik. Tych troje chodziło razem do tej samej klasy. Hubert Ulik ma dwadzieścia jeden, ale on jest inny, chyba trochę opóźniony czy coś takiego. W każdym razie był w jakimś sanatorium czy szpitalu i stracił rok nauki. Zawsze był dziwny i nie umiałem go polubić.

– Dobra, zostawmy dziwnego Ulika. – Dionę rozpierała chęć działania. – Marcin, dalej twierdzisz, że to tylko wystraszone dzieciaki? Bo moim zdaniem są dorosłymi ludźmi. Mogą głosować, zawierać związki małżeńskie, kupować alkohol i oglądać treści pornograficzne, a nie mogą być przesłuchani?!

Lipski w desperacji zasłonił sobie uszy dłońmi.

– Dobra już, tylko nie wrzeszcz, bo za chwilę łeb mi pęknie. Medard, ty podły, podstępny gnojku! Czym mnie tak załatwiłeś? – nawiązał do trunku, za pomocą którego wczorajszego wieczoru

cementowali zamianę paktu o nieagresji w przymierze. – Dobra, nie mów, chyba wolę nie wiedzieć. – Podniósł udręczony wzrok na Remańską. – Planujemy zabrać się do nich dzisiaj, więc twoje rady są chyba nieco wtórne. Mogę wrócić do pracy czy masz jeszcze jakieś uwagi?

Diona nie odpowiedziała. Pocałowała go w policzek na przeprosiny i wróciła do salonu, zabierając ze sobą Ratiera.

Marcin wyszedł po południowej kawie, by zgodnie z planem wraz z Grotem i trzema innymi funkcjonariuszami zaskoczyć wracających z kościoła młodych ludzi i zaprosić do komisariatu. Plan się powiódł. Młodzież była tak dezorientowana, że nie próbowała protestować, przeciwnie, uznali to za atrakcję mogącą choć trochę rozproszyć małomiasteczkową nudę. Okazało się później, że poprzedniego dnia bawili się na imprezie andrzejkowej w Żywcu, w niedzielne przedpołudnie zaś odsypiali zarwaną noc, dlatego nie dotarli do nich żadne plotki o działaniach policji w ogrodzie Matyldy.

Marcin na pierwszy ogień wziął Przemysława Gruszkę, w pamięci bowiem miał opowiadanie Diony i Ratia o konflikcie chłopaka z Jakubem Zającem. Jakiś czas obserwował go uważnie, potem się odezwał:

– Opowiedz mi o tym dniu, kiedy zniknęła Natalia Ratier.

Twarz Przemka pokryła się bladością. Głośno przełknął ślinę.

– Ja nic nie wiem – wykrztusił. – Wróciłem do domu. Nie mam pojęcia, co się stało z Na... – urwał, gdy Marcin ostrzegawczo podniósł dłoń.

– Lepiej nie kończ – poradził życzliwie. – Wtedy byłeś nieletni, więc wiele mogło ci ujść na sucho. Ale nie teraz.

– Ale ja nic nie zrobiłem! – wykrzyknął chłopak z rozpaczą.

– Właśnie o to chodzi, że nic nie zrobiłeś. Ani ty, ani twoi koledzy. Nie zrobiliście nic, żeby ją ratować, a ona w tej studni powoli umierała.

– To nieprawda! – zaperzył się Gruszka. – Zginęła od razu. Wołaliśmy do niej, ale nie odpowiadała i nawet się nie poruszyła.

Potem, kiedy oni tam poszli, dalej leżała w tym samym miejscu i nie reagowała.

– Oni, czyli kto? Wasi rodzice?

– Ojcowie – poprawił Przemek, tak przerażony, że nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że właśnie ujawnił udział dorosłych w zacieraniu śladów.

– Jak to się stało? – spytał Marcin łagodnie.

I chłopak opowiedział.

13 sierpnia 2009, Jasień

Medard Ratier, Łukasz Matuszny i Mariusz Niemczyk szeptali coś do siebie. Przemka to zaciekało, podszedł bliżej, lecz oni natychmiast go zauważyli i zamilkli, tak że zdążył tylko usłyszeć ostatnie słowo. „Szczeniaki”. To pewnie o nich, bo byli młodszy. I co z tego? Hubert jest w wieku Medarda i Łukasza, a zachowuje się, jakby miał pięć lat.

Ciężko urażony Przemek podszedł do Zosi Rusek, poważnej dziewczynki z długimi warkoczami i korekcyjnym aparatem na zębach.

– Nudno tu. Chyba pójdę do domu. Też już wracasz?

Skinęła głową. W tej samej chwili rozległ się głośny tupot. To trzech chłopaków biegło w stronę siatki dzielącej dwa ogrody.

– Gdzie lećcie? – zawołał za nimi Hubert Ulik, lecz nawet się nie obejrzał. Dopadli furtki, otworzyli ją i po chwili zniknęli wśród krzewów.

– Weszli do ogrodu Matyldy – wyszeptała Milena Zając na wpół z podziwem, na wpół ze zgrozą.

– Przecież tam nie wolno, to niebezpieczne. – Angela Ulik wykrzywiła buzię w zapowiedzi płaczu. Na ten widok jej brat skrzywił się z obrzydzeniem.

– Znowu będziesz ryczeć, idiotko? Głupia cipal!

Popchnął ją tak mocno, że się przewróciła, lecz tym razem obyło się bez łez, bo naraz Kuba Zając zerwał się do biegu.

– Chodźcie! Zobaczymy, co tam robią. Jakby ktoś zobaczył, to powiemy, że poszliśmy za nimi, żeby ich powstrzymać.

Wszyscy bali się Krystyny Ratier, która zapowiedziała, że nogi im z dupy powyrywa, jeżeli przyłapie któreś z nich na wchodzeniu na teren tamtej posesji, ale teraz, gdy Kuba wymyślił idealną wymówkę, ciekawość okazała się silniejsza od strachu. Wszyscy pobiegli za prowodyrem, który już dopadł furtki. Tam wyprzedził go Ulik, a reszta przybiegła czterdzieści sekund później. Podekscytowani, z zarumienionymi od biegu i emocji policzkami dogonili go szybko, gdyż Hubert wkrótce przystanął i rozglądał się niepewnie.

– Nikogo tu nie ma – odezwał się lekko drżącym głosem. – Ciekawe, gdzie się schowali. Przez tę trawę nic nie widać.

Kuba milczał. Domyślał się, w jaki sposób tamci zniknęli, lecz nie mógł tego zdradzić. Dał słowo, więc musiał go dotrzymać.

Zosia przestępowała z nogi na nogę, wreszcie podjęła decyzję.

– Ja stąd idę. Tu jest okropnie.

Popatrzyła na Przemka, a chłopiec odczytał to jako prośbę o poparcie. Zrobił krok w jej stronę, lecz Hubert powstrzymał go mocnym chwytem za ramię.

– Niech idzie, nikt za nią nie będzie płakać. Nie widzisz, że to tchórz? A może ty też się boisz Białej Matyldy?

Oczywiście, że się bał, i to tak bardzo, że aż rozboleł go żołądek. Ale wstydził się do tego przyznać, więc został, choć w oczach Zosi zobaczył rozczarowanie. Żeby zatrzeć przykre wrażenie, zwrócił się do Natalii Ratier:

– Natka, kiedy twoja stara ma wrócić?

Natalia zerknęła na zegarek i dość długo obliczała coś w myślach, nim wreszcie orzekła:

– Nie wcześniej jak za trzy godziny.

– To możemy poszukać Białej Matyldy – oznajmił i spojrzał wyzywająco na Ulika. Ten zmieszał się i szybko zagadnął

dziewczynkę:

– Natałka, ta Biała Matyllda była przecież twoją babką. Na pewno wiesz, czemu ona nikomu nie pozwala tu przychodzić.

Ratierówna wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Zapytaj moją mamę, ona na pewno wie – odparła wykrętnie, z niechęcią. – To co, wracamy?

– Jasne, że wracamy – poparła ją Milena. – Krzaki, drzewa i trawa po szyję. Nic ciekawego.

Dziewczynki wzięły się za ręce, gotowe do odejścia. Czekały tylko na Angelę, która jak zwykle miała oczy pełne łez, gdyż Hubert znowu ją popchnął. Przemek trochę ją rozumiał. Jemu też pewnie chciałoby się płakać, gdyby miał takiego brata. Ale ten bezustanny płacz był tak cholernie irytujący!

– Czekaście! – powstrzymał ich Kuba. – Co to jest?

Wskazywał na zwieszający się z gałęzi gruby sznur, zakończony poprzecznym drążkiem. Zaciekawieni podeszli bliżej, nawet dziewczynki zapomniały, że chciały opuścić to ponure miejsce.

– To huśtawka – wyjaśniła Natalia. – Tata nam ją zrobił, ale gdy spadłam i rozbiłam kolano, mama nie pozwoliła nam się na niej więcej huścić. Myślałam, że Medard ją spalił. Nie wiedziałam, że powiesił ją w tym ogrodzie. Jemu też nie wolno tu przychodzić.

Chłopakom rozbłyły oczy. Kuba podbiegł, chwycił drążek, usiadł na nim i odepchnął się nogą. Raz, drugi, trzeci...

– Puszczaj, teraz ja!

Hubert złapał drążek i zatrzymał huśtawkę. Omal nie zrzucił przy tej okazji kolegi, lecz nie zwrócił na to uwagi, chciał się huścić już, teraz. Po kilku razach sam się zatrzymał.

– Do dupy z tym odpychaniem, nie idzie się rozpędzić. To trzeba robić inaczej. – Zamyślił się, potem na jego twarz wypłynął sadystyczny uśmiech. – Angela, siadaj!

Siostra cofnęła się lękliwie. Nie zważając na jej opór, zawłókł ją do huśtawki i podsadził, po czym natychmiast mocno popchnął. Dziewczynka pofrunęła aż do płotu, tam zgrabnie odbiła się

wyprostowanymi stopami i z pełnym radości śmiechem poleciała z powrotem.

– Jeszcze raz! Hubert, popchnij mnie mocniej.

Ulikowi jednak nie spodobała się radość siostry. Chciał ją przestraszyć, nie uszczęśliwić. Zatrzymał huśtawkę i zawołał Milenę, która ochoczo zasiadła na drążku. Ona również zachwyliła się lotem.

– Teraz Natalia – zarządził, gdy Milena zeskokczyła z drążka.

– Nie chcę. – Ratierówna pokręciła głową. – Nie lubię się huścić.

W oczach Huberta rozpały się niebezpieczne błyski.

– Musisz! Jesteśmy paczką i robimy wszystko razem.

– Jak nie chce, to nie – wstawił się za nią Przemek. – Ja mogę się huścić. Albo Kuba.

– Nie – warknął Ulik. – Teraz ona albo wyleci z paczki. Nie chcemy takich tchórzliwych cip.

Kuba go poparł, więc zrezygnowana Natalia podeszła do huśtawki i pozwoliła podsadzić się na drążek.

– Wygodnie księżniczce? – dopytywał się Hubert. – W dupcię nie uwiera?

– Goń się, debilu!

Ulik z furią pchnął huśtawkę i Natalia pofrunęła do płotu. Tam za ledwie musnęła siatkę stopami, przez co prędkość znacznie spadała. Przemek był pewien, że teraz nastąpi zmiana, lecz Hubert jeszcze z dziewczynką nie skończył. Obelga wywołała jeden z ataków furii, z których był znany w miasteczku. Pchnął ją kolejny raz i zawołał do Kuby:

– Idź pod płot i też ją popychaj. Niech się głupia krowa nauczy, kto tu rządzi.

Kuba pobiegł wykonać polecenie i gdy Natalia trzeci raz znalazła się przy płocie, niezgrabnie pchnął jej nogi. Huśtawka zmieniła tor i zataczając lekki łuk, zmierzała prosto w stronę grubego pnia jabłoni. Wszyscy zamarli.

– Natka, skacz! – wrzasnął przerażony Kuba.

I Natalia skoczyła.

1 grudnia 2019, Jasień

Pozostali uczestnicy pechowej zabawy w ogrodzie Matyldy potwierdzili zeznanie Przemysława Gruszki, a Marcin nie miał powodu, by im nie wierzyć. Młodzi ludzie nie zabili swojej koleżanki. Pech chciał, że po zeskoczeniu z huśtawki Natalia upadła wprost na spróchniałą pokrywę studni. Zabezpieczenie w postaci rzuconych luźno desek nie zdało egzaminu; pod wpływem uderzającego w nie ciężaru część z nich po prostu się rozsypała, trwalsze natomiast przesunęły się na bok, odsłaniając klapę, która pękła na pół, a dziewczynka runęła w czeluść studni i nabiła się plecami na pręty zbrojeniowe.

Zapewne pod wpływem bólu i szoku straciła przytomność i dlatego nie reagowała na wołanie przerażonych dzieci, lecz nie było żadnych wątpliwości, że żyła jeszcze jakiś czas. Świadczyły o tym ujawnione na wylewce studni ślady krwi, tak obfite, że uprawdopodobniły domniemanie Ubraty, iż Natalia Ratier zmarła z wykrwawienia. Gdyby w porę otrzymała pomoc, prawdopodobnie można by ją uratować.

Młodzi ludzie podpisali już protokoły przesłuchania i Lipski właśnie miał zamiar odesłać ich do domów, gdy do komisariatu wparował rozsierdzony burmistrz. Pochylił się do okienka i nieznośnym sprzeciwu głosem kazał się zaprowadzić do komendanta, a gdy zdezorientowany funkcjonariusz nie od razu zareagował, zaczął szarpać drzwi dzielące poczekalnię od reszty pomieszczeń.

Zaciekawieni policjanci wyszli na korytarz, chcąc zidentyfikować źródło hałasu. Mirosław Zając dostrzegł ich przez szklaną tafłę szyby i podwoił wysiłki zmierzające do wyrwania drzwi z zawiasów. Grot niespiesznie podszedł i odblokował zamek.

– Co się tu, do chuja, wyprawia?! – ryknął burmistrz. – Gdzie są moje dzieci? Macie je natychmiast wypuścić.

Marcin odsunął sierżanta na bok, kazał mu wrócić do młodzieży, sam zaś stanął przed zaczerwienionym z gniewu mężczyzną.

– Starszy aspirant Marcin Lipski, wydział dochodzeniowy Komendy Powiatowej w Żywcu – przedstawił się wyraźnie i machnął legitymacją. – Proszę się uspokoić. Pana dzieci zaraz będą mogły wrócić do domu.

Jego spokojna pewność siebie w żaden sposób nie podziałała na burmistrza. A właściwie podziałała, tyle że odniosła skutek odwrotny do zamierzonego, gdyż złość Zająca jeszcze się wzmożyła.

– Zabraliście ich sprzed kościoła jak jakichś kryminalistów! Jakim prawem?!

– Polskim prawem. – Aspirant uśmiechnął się leciutko. – Zostali przesłuchani na okoliczność śmierci Natalii Ratier.

– Co?! – wrzasnął burmistrz. – Przesłuchaliście moje dzieci bez mojej zgody?! Bez obecności rodziców?! To jest..

Marcin jakby nie słyszał tych krzyków. Przysłuchiwał się im z tak obojętną miną, że tylko czujne oko dostrzegłoby, że jest to spokój pozorny. Przeczył mu czujny wyraz szarych oczu. Pod koniec jednak stracił cierpliwość.

– To jest całkowicie zgodne z prawem – wszedł Zającowi w słowo. – Pańskie dzieci są pełnoletnie i zdolne do czynności prawnych, tym samym pana obecność podczas przesłuchania była nie tylko zbędna, ale i niepożądana. Nie jest pan stroną w sprawie.

– Ty jebany śmieciu! Nie wiesz, z kim zadarłeś. Już nie pracujesz, gnoju. Słyszysz?! Jesteś zwolniony!

– Nie ty mnie przyjmowałeś i nie ty mnie będziesz zwalniał.

Lipski dalej mówił spokojnie, ale w jego głosie pojawiły się stalowe nuty. Burmistrz tego nie zauważył, z każdą chwilą nakręcał się jeszcze bardziej.

– Mam znajomych na samej górze. Możesz już się pakować, lewacki śmieciu. Jeszcze przyjdiesz do mnie błagać o suchy chleb,

jak zostaniesz bez pracy.

– Po co? – Policjant wzruszył ramionami i uśmiechnął się kpiąco.

– Kasy mam dość. Zapomniałeś, że lewakom płaci Soros? Ale dobrze, że sam tu przyszedłeś, nie stracimy czasu na doprowadzenie.

Ostatnie zdanie zbiło burmistrza z tropu. Spojrzał spode łba, wietrząc jakieś nieczyste zagranie.

– Niby czemu? – spytał ostrożnie i znacznie ciszej.

– Jesteś zatrzymany pod zarzutem nieudzielenia pomocy Natalii Ratier, zabójstwa Bartosza Ratiera i Zofii Rusek oraz usiłowania zabójstwa Dionizy Remańskiej i Medarda Ratiera.

Mirosław Zajac oniemiał. Łapał powietrze otwartymi ustami, nie mogąc wydobyć słowa, naraz jednak na jego twarzy ukazał się wyraz zdziwienia.

– Dlaczego Medarda Ratiera? Przecież on wyprowadził się z Jasienia dawno temu.

Znamienne było, że pozostałych zarzutów nie kwestionował, toteż Marcin tylko błysnął zębami w uśmiechu, ujął go pod ramię w stalowy uścisk i poprowadził w głąb komisariatu. Naraz drzwi się otworzyły i na korytarz wyszli przesłuchiwanym przedtem młodzi ludzie. Na widok swoich dzieci Zajac się zatrzymał, nie zważając na ponaglenie policjanta.

– Kuba, powiedz mamie, żeby zaraz zadzwoniła do mecenasa Wiśnicza. Albo nie, lepiej niech wujek Karol zadzwoni.

– Nic z tego – poinformował go Grot nie bez satysfakcji. – Wysłałem już funkcjonariuszy po Ulika, właśnie powinni tu jechać.

– Kurwa! To wszystko przez was! – wrzasnął burmistrz w stronę własnych dzieci i ich przyjaciół. – Gdyby nie wasze kretyńskie zabawy...

Kuba w jednej chwili stanął przed ojcem.

– Przez nas?! Prosililiśmy z Mileną, żebyś nam pomógł wyciągnąć Natkę. Oni też o to prosili swoich ojców. – Wskazał Huberta, Angelę i Przemka. – A wy kazaliście nam milczeć i udawać, że nic się nie

stało, bo dla was najważniejsza była pozycja i dobre imię. A ona wtedy jeszcze żyła. Słyszysz?! Żyła!

Kuba osunął się po ścianie, jego ciałem wstrząsnął bezgłośny szloch. Milena przypadła do brata i objęła ramieniem jego plecy. Hubert poszeptał coś z Przemkiem, po czym podeszli do rodzeństwa, pomogli im wstać z podłogi i poprowadzili ich w stronę wyjścia. Samotna Angela zamykała ponury pochód. W drzwiach spotkali się z Karolem Ulikiem prowadzonym przez dwóch funkcjonariuszy.

– Ty debilu, miałeś trzymać mordę na kłódkę, ale nawet to było dla ciebie za trudne. – Ulik spoglądał na syna z odrazą.

Hubert przystanął i splunął mu pod nogi.

– Skurwysyn.

Po wypowiedzeniu tego jednego, jedyne słowa wziął siostrę za rękę i wyprowadził z komisariatu.

Wkrótce potem do zatrzymanych dołączył Wojciech Gruszka, a godzinę później policjanci zatrzymali Katarzynę Ulik, usiłującą opuścić Jasień w kremowym polonezie caro. Anna Zając i Beata Gruszka na razie pozostawały na wolności, nic bowiem nie wskazywało, że brały udział w którejś ze zbrodni. Zatrzymanych zdaktyloskopowano, pobrano też od nich próbki DNA.

Samochód także miał zostać poddany szczegółowym badaniom, zwłaszcza że brakowało mu przedniego zderzaka, w miejscu prawego przedniego reflektora ziała dziura, a po spryskaniu pojazdu preparatem blue forensic w czterech miejscach ujawniono ślady krwawe. Znajdowały się po prawej stronie maski i na prawym przednim nadkolu oraz w okolicy prawych tylnych drzwi i na tylnym siedzeniu. Policjanci zakładali, że krew z dwóch pierwszych miejsc należy do Zofii Rusek, pozostałe natomiast z pewnością pozostawił ojciec Medarda, Bartosz Ratier. Ale żeby móc to stwierdzić, należało poddać je analizie.

Marcin zadzwonił do prokuratora Matczaka, po czym zgodnie z jego poleceniem rozpoczął przesłuchanie. Na pierwszy ogień wziął

Mirosława Zająca.

– Możemy teraz dokończyć tę interesującą rozmowę – zagaił wesóło, sadowiąc się w miarę wygodnie na twardym krześle. – Zaczniemy może od końca...

– Nie mam ci nic do powiedzenia. Gadać to sobie będę z twoim szefem.

– Okej, nie ma problemu. – Marcin przysunął sobie klawiaturę. – Podejrzany skorzystał... – mruzczał pod nosem, wklepując powoli poszczególne litery.

Przy słowie „odmowy” burmistrz nagle przerwał milczenie. Mówił zjadliwym, pełnym samozadowolenia tonem człowieka, który za wszelką cenę chce udowodnić, że miał rację.

– Skończmy już może tę farsę. Jestem niewinny, a te zarzuty to brednie. Na przykład próba zabójstwa Medarda Ratiera. Mówiłem już, że on tu od dawna nie mieszka, więc nie mógł jechać z Remańską. Poza tym w aucie nie było trzeciej osoby! – zakończył z triumfem.

– Tak? A skąd o tym wiesz?

Zajac nie dał się sprowokować.

– Widziałem ich, jak wyjeżdżali. To małe miasteczko, wszyscy tu wszystko widzą, wiedzą i słyszą.

Marcin nie mógł tego zakwestionować, dokończył więc protokół i podsunął burmistrzowi do podpisania.

Z pozostałymi zatrzymanymi poszło jeszcze szybciej. Obaj odmówili zeznań, a prokurator zwolnił Katarzynę Ulik z zastrzeżeniem, by nie opuszczała miasta. Żony Zająca i Gruszki także pozostały na wolności.

Misja aspiranta Lipskiego w Jasieniu była skończona, pożegnał się więc z sierżantem Grotem i jego podwładnymi, podziękował Dionie za wszystko i walnąwszy przyjacielsko Ratia w kark, odjechał w stronę Żywca.

Diona i Ratio także się już spakowali. Postanowili wyjechać nazajutrz po spotkaniu z Magdą Witecką, która obiecała pojawić się

zaraz rano. Kobieta nie posiadała się z radości, że znów będzie mogła mieszkać w swoim wymarzonym domu, i gotowa była spełnić każde ich życzenie. Twierdziła, że wobec tego, co zrobiła dla niej Diona, odwiezienie ich do domu jest zaledwie drobnostką.

Witeccy trochę się obawiali, czy lokalna społeczność nie będzie mieć do nich pretensji o wsadzenie do więzienia głównego pracodawcy, lecz Diona mogła ich pod tym względem uspokoić. Mieszkańcy Jasienia ucieszyli się z wyjaśnienia spraw od blisko dziesięciu lat kładących się cieniem na opinii miasta, prócz tego było im głupio, że tak łatwo dali się zmanipulować i namówić do uprzykrzenia życia Bogu ducha winnym ludziom.

Jedynie niemal pewna utrata pracy spędzała sen z powiek osobom zatrudnionym w zakładach Ulika, lecz i tutaj wkrótce problem się rozwiązał. Hubert Ulik, obecnie dwudziestodwuletni, w ciągu tych kilku dni jakby wydorósł i zmienił się z niepoważnego i nieco awanturniczego chłopaka w dojrzałego, rozsądnego mężczyznę. Na zwołanym naprędce zebraniu oświadczył, że wraz z siostrą przejął zarząd firmy, obiecał też, że żaden z pracowników nie zostanie zwolniony. A gdy dorzucił, że pierwszym jego posunięciem będzie podwyżka wynagrodzeń, nie znalazł się już nikt, kto miałby do Witeckich jakiś żal.

Epilog

17 grudnia 2019, Strzygom

We wtorkowy poranek dwa tygodnie później Marcin postanowił odwiedzić Dionę. Zamek w furtce nadal nie działał, poszedł więc prosto do drzwi i zadzwonił. Otworzył mu Ratio, na co aspirant się uśmiechnął.

– Gdyby nie to, że dzisiaj nie latasz z fiutem na wierzchu, pomyślałbym, że mam *déjà vu* – powiedział zamiast powitania.

Chłopak odwzajemnił uśmiech.

– Co wcale nie byłoby takie dziwne, w końcu *déjà vu* może oznaczać początki psychozy – odparł słodkim tonem. – Z kolei niektórzy specjaliści z zakresu neurologii twierdzą, że jest objawem anomalii w płacie skroniowym.

Lipski z poważną miną dotknął czoła Ratiera w miejscu, gdzie równo z linią włosów widniała świeża blizna.

– Jak już mowa o płacie skroniowym... – znacząco zawiesił głos.
– To chyba jest ślad po lobotomii?

– Ożeż ty!

– Tylko się znowu nie pobijcie – zawołała do nich Diona.

Marcin zapewnił, że nie musi się obawiać. Medard na pewno będzie chciał się dowiedzieć wszystkiego o końcowych ustaleniach śledztwa, a to zapewniało funkcjonariuszowi policji nietykalność.

Przy kawie Lipski opowiedział im, co wykazały badania pobranych próbek.

Odciski palców na kawałkach gruzu i na słupku ogrodzeniowym należały do Karola Ulika, podobnie jak pozostałe ślady ujawnione na tychże kawałkach gruzu. Postawiony przed niezbitymi faktami mężczyzna przyznał, że to on rzucał nimi w Marcina, twierdził jednak, że chciał go tylko przepłoszyć, gdyż wziął policjanta za złodzieja. O tym, dlaczego znalazł się na terenie cudzej posesji, nie chciał mówić i z uporem odmawiał składania dalszych zeznań.

Ku zaskoczeniu aspiranta Mirosław Zając wcale nie był najsilniejszym ogniwem zabójczej trójki. Okazał się najślabszym. Poddał się, gdy zrozumiał, że wysoko postawieni znajomi ani myślą ryzykować swoje kariery dla ratowania cudzego tyłka. Od tej chwili zeznawał chętnie i wyczerpująco; prawdopodobnie liczył na to, że dzięki szczeremu wyznaniu prawdy i wyrażeniu skruchy urwie co nieco z czekającego go wyroku. Pokusił się nawet o propozycję, by nadano mu status świadka koronnego, ale wobec serdecznego śmiechu prokuratora i aspiranta więcej nie próbował jej ponawiać.

– Było dokładnie tak, jak mówili młodzi – opowiadał aspirant, rozparty wygodnie w fotelu. – Kiedy przerażone dzieci przybiegły do domu z błaganiami o pomoc, ojcowie kazali im siedzieć cicho, sami zaś spotkali się w ogrodzie Matyldy. Zając twierdzi, że zaglądali do studni, ale Natalia wyglądała jak martwa i nie reagowała ani na wołanie, ani na światło latarki, dlatego uznali, że nie żyje.

– Ale żyła? – spytał cicho Ratio.

Marcin spojrział na niego ze współczuciem, lecz nie zamierzał ukrywać prawdy.

– Z całą pewnością. Anatomopatolog twierdzi, że w miejscu, gdzie pręty wbiły się w ciało, nie ma naczyń krwionośnych na tyle dużych, by mógł nastąpić gwałtowny krwotok. Z kolei ilość krwi na kawałkach gruzu sugeruje, że przyczyną śmierci musiało być wykrwawienie, czyli na pewno miał miejsce powolny upływ krwi. Przykro mi, Medard.

Ratio skinął głową i lekko drżącą ręką sięgnął po papierosy. Lipski obserwował jakiś czas jego poczynania, potem wrócił do

swojej relacji.

Po burzliwej naradzie ojcowie połączyli rozbitą na dwie części pokrywę studni za pomocą długiej łąty, położyli ją na miejscu i dodatkowo przykryli deskami. Ale nie wiedzieli, ile tych desek było, więc przynieśli więcej.

– Gdyby mama pozwoliła mi tam pójść, pewnie bym się zorientował, że jest ich za dużo – wybuchnął Medard, zaraz jednak oklapł. – A może nie? Ojciec tam był i wcale się nie skapował, a przecież to on zabezpieczał deskami tę cholerną studnię.

Diona nie skomentowała jego słów, Marcin zaś skrzywił się lekko.

– Nie ma co teraz gdybać. W ten sposób tylko rozdrapiesz ranę, a i tak nie dojdiesz prawdy.

Ratio po namyśle przyznał mu rację.

– Mów dalej – poprosił.

Ze słów Marcina wychodziło na to, że trzech spiskowcy opuścili ogród Matyldy tą samą drogą, którą do niego weszli – przez dziurę w siatce, o której Mariusz Niemczyk opowiedział kiedyś w zaufaniu Kubie. Ten zdradził sekret, gdy Mirosław Zając zastanawiał się, jak mogliby dostać się do tego przeklętego ogrodu bez wiedzy sąsiadów.

Później Zając, Gruszka i Ulik uczestniczyli czynnie w poszukiwaniach dziewczynki. Policji się nie obawiali, gdyż po pierwsze, ówczesny komendant był kuzynem Wojciecha Gruszki, a po drugie, obiecali mu sporą gratyfikację za ukrycie dowodów winy ich dzieci. Przeżyli moment grozy, gdy wśród policjantów z żywieckiej komendy ujrzeli przewodnika z psem, lecz lękali się niepotrzebnie, gdyż komendant nie zamierzał pozwolić, by obiecane pieniądze przeszły mu koło nosa. Jak zeznał podczas przesłuchania, spryskał teren wokół studni mieszanką ziołową wydzielającą zapach naturalny, lecz tak intensywny, że żaden pies nie jest później w stanie niczego wytropić.

Oznajmił także, że jego ludzie kilkakrotnie przeszukali teren ogrodu, a dowódca policjantów z powiatówki nie miał powodu mu nie

wierzyć i skierował ich do lasu oraz potoku. Tym samym sprawa Natalii została załatwiona po myśli Ulika i spółki, choć kosztowało ich to немало pieniędzy, niespodziewanie bowiem komendant zażądał więcej, niż wynosiła umówiona kwota.

Ojcowie wrócili tam po kilku dniach i wrzucili do studni trochę gruzu, żeby przykryć ciało dziewczynki, obawiali się bowiem, że ktoś kiedyś może tam zajrzeć.

– Ale po co to wszystko? – zastanawiała się Diona. – Przecież to był wypadek, dzieciaki w niczym nie zawiniły.

Marcin wyglądał na rozbawionego.

– Wyobraź sobie, te głupki dlatego postanowiły ukryć przed wszystkimi śmierć Natalii, bo były pewne, że ich dzieci dostaną wyroki za zabójstwo.

– Co?! Jaja sobie robisz?

– W życiu bym się nie ośmielił. – Położył uroczyście dłoń na sercu. – Oni naprawdę myśleli, że dzieciaki pójdą do poprawczaka, a po uzyskaniu pełnoletności, jako dorośli, zostaną przeniesieni do więzienia. Pytali o to tego skorumpowanego gliniarza, a on potwierdził.

– Trudno, żeby nie – prychnęła Dioniza. – Nie mógł przecież pozwolić, żeby mu kasa uciekła.

Lipski potwierdził jej przypuszczenie i podjął opowieść.

– Byli pewni, że sprawa wkrótce przyschnie, ale nie przewidzieli, że Ratier nie odpuści i ciągle będzie drażnić.

– Tata nas kochał – odezwał się Ratio. – A oni... – urwał i zastanawiał się nad doborem słów. – Gruszka nie był taki zły jako ojciec, ale nigdy nie miał czasu dla rodziny. Był dyrektorem w jakimś zakładzie w Żywcu i praca była dla niego najważniejsza. Pewnie bał się o stanowisko. Nie wiem jak Zając, bo wtedy pracował jako zwykły urzędnik.

– Ale miał wielkie plany – wyjaśnił Marcin. – Właśnie wtedy wszedł na poważnie w politykę, typowano go na kandydata na

stanowisko burmistrza w nadchodzących wyborach, więc panicznie bał się utraty dobrego imienia.

Ratier podziękował mu wzrokiem.

– Za mały wtedy byłem, żeby skumać, o co chodzi. W każdym razie Zając niby przesadnie chronił Kubę i Milenę, ale miłości ojcowskiej wiele tam nie było. Bardziej duma z posiadania.

– A Ulik? – spytała Diona, gdy chłopak umilkł.

– Ulik był najgorszy. On chyba po to spłodził dzieci, że mieć się na kim wyżywać. Najgorzej miał najstarszy syn. Angelę ojciec traktował łagodniej, pewnie z racji płci, z kolei Krzysiek był jeszcze malutki. Za to na każdym kroku tępił Huberta, a ten odplacał mu się różnymi wyskokami. – Ratio znów się zamyślił. – Mówiło się, że Ulik podpisał kontrakty na dostawy dla wojska i dla szpitali, więc pewnie się bał, że je straci.

– A może obawiał się utraty twarzy przed mieszkańcami Jasienia? – zasugerowała Diona. – Pracuje u niego połowa miasteczka, no i ponoć jest filarem tutejszego kościoła.

Niespodziewanie Ratier parsknął śmiechem.

– Przypomniało mi się, co ludzie o nim mówili – usprawiedliwił się. – Że Ulik chodzi do kościoła dwa razy dziennie. Rano modli się o to, żeby móc kogoś oszukać, a wieczorem dziękuje za to, że mu się udało.

– No tak, przekręt usankcjonowany rozmową z Bogiem zyskuje całkiem inne oblicze – stwierdziła rozbawiona Remańska. – Ale przerwaliśmy Marcinowi. Mów, Sherlocku, już będziemy cicho.

– Bo wam wierzę!

Lipski zgasił papierosa i zaczął relacjonować.

Zdesperowany Bartosz Ratier postanowił wziąć na spytki dzieci towarzyszące tamtego dnia córce, a do tego ich ojcowie nie mogli dopuścić. Uznali, że raz na zawsze pozbędą się zagrożenia. Należało zwabić go w jakieś ustronne miejsce i do tego zadania wybrali Katarzynę Ulik, która powiedziała mu, że ma pewne informacje, ale boi się reakcji mieszkańców, dlatego muszą spotkać

się poza miastem, w dodatku w nocy. Kazała mu przyjść do starej szopy w pobliżu ostatniego przystanku. Tam go zabili.

– Kurwa – jęknął Ratio. – Bardzo go... męczyli?

– Nie torturowali go, jeśli o to pytasz. – W głosie Marcina zabrzmiało współczucie. – Zając mówił, że trwało to bardzo krótko. Mieli żelazne rurki i uderzali w głowę, więc...

– Rozumiem – przerwał mu zgnębiony chłopak. – Mów dalej, już więcej nie będę przerywał.

Policjant miał spore wątpliwości co do prawdziwości tego zapewnienia, ale go nie zakwestionował.

– Potem wladowali ciało do poloneza i zawieźli w pobliże ogrodu Matyldy, bo postanowili, że na razie wrzucą go do studni. W tym czasie ich żony spaliły szopę, więc opowieści, że o niczym nie miały pojęcia, są gównem warte. Siedziały w tym od początku i one także brały udział w zamordowaniu twojego ojca, Ratio. Wszystkie trzy twierdzą, że mężowie je zmusili, w co osobiście wątpię. No ale teraz będą miały czas na zastanowienie, czy było warto.

Trzej panowie planowali wydobyć po jakimś czasie kości i pozbyć się ich za pomocą kruszarki w zakładzie Ulika, niestety po posesji Ratierów cały czas ktoś się plątał. Mieszkający tam robotnicy z nudów obserwowali życie miasteczka, więc spiskowcy bali się ryzykować. Jeszcze bardziej się przerażili, gdy nowy właściciel oznajmił, że chce uporządkować stary ogród. Postanowili wykorzystać rodzinne powiązania, pozycję burmistrza i uzależnienie części mieszkańców od Ulika, i sprawić, żeby Witeccy wynieśli się z miasta. Plan się powiódł, ale spokój nie trwał zbyt długo.

Sławomir Matuszny wiedział o niechęci szwagra do Witeckich i kiedy zobaczył wiadomość w telefonie Zosi, natychmiast doniósł o tym Zającowi, a ten od razu zadzwonił do Ulika. Przedsiębiorca przejechał dziewczynę, domyślił się bowiem, że musiała wiedzieć więcej, niż im się zdawało.

– Już myśleli, że to koniec, gdy Pawlusowa opowiedziała bratu, co usłyszała od Diony – mówił Marcin. – Nie mogli pozwolić na to,

żebyś przyjrzała się dokładnie ogrodowi, więc znów użyto poloneza, z tą tylko różnicą, że tym razem kierowcą był Zajęc.

– Po co właściwie trzymali ten samochód? – Diona zapomniała, że obiecała nie przerywać. – Przecież dziesięć lat temu nie mogli wiedzieć, że jeszcze im się przyda.

– Auto było ubabrane krwią Bartosza Ratiera, a Gruszka lubi czytać kryminały. Dowiedział się z nich, że nawet po latach można zidentyfikować DNA, i przekonał ich, żeby schowali poloneza i pozbyli się go dopiero w przyszłości. Mieli zamiar przewieźć nim szkielety do firmy Ulika, a potem spalić samochód. – Marcin uśmiechnął się złośliwie. – Planowali zrobić to tej nocy, kiedy ich podsłuchałem, a Zajęc wziął mnie za Białą Matyldę.

– Przyznali się w końcu? – spytał Ratio i uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy ujrzał potakujące skinienie.

– Bez obaw, chłopaku. W końcu pękli i zaczęli zasypywać nas informacjami. Każdy starał się wybielić kosztem współników. Lojalności starczyło im tylko do wpadki. – Lipski skrzywił się z pogardą i wstał. – Muszę lecieć. Dzięki za kawę.

Po jego wyjściu Diona i Ratio długo siedzieli w milczeniu. Wreszcie chłopak podniósł się i wymruczał:

– Wracam do roboty. Wiesz, jakoś mi teraz lepiej.

– Wiem.

I rzeczywiście wiedziała, znała to uczucie z własnego doświadczenia.

Zabrała brudne kubki, gdy nagle posłyszała zgrzyt zamka. Omal nie upuściła naczyń, gdy drzwi się otworzyły i w progu stanął Szymon Ogiński.

– Byłaś ciekawa, co robiłem, zanim zostałem policjantem – powiedział zamiast powitania. – To próbka moich umiejętności. Nie jesteś na mnie zła? Że przyszedłem?

– Nie jestem. Dobrze, że przyszedłeś.

KONIEC

Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział 1. Cień Białej Matyldy](#)

[Rozdział 2. Nocny gość](#)

[Rozdział 3. Sprawa dla detektywa](#)

[Rozdział 4. Wiedźmini i potwory](#)

[Rozdział 5. W przewidywaniu tragedii](#)

[Rozdział 6. Pierwsze spotkanie w Jasieniu](#)

[Rozdział 7. Randka z wampirem](#)

[Rozdział 8. Pytania bez odpowiedzi](#)

[Rozdział 9. Niełatwe życie](#)

[Rozdział 10. Niespodziewana wizyta](#)

[Rozdział 11. Oskarżenia](#)

[Rozdział 12. Kraksa na Zygzakach](#)

[Rozdział 13. Rozejm](#)

[Rozdział 14. Wyzwolenie](#)

[Rozdział 15. Zabić Matyldę](#)

[Rozdział 16. Przebudzenia](#)

[Rozdział 17. Poloneza czas zacząć](#)

[Rozdział 18. Powroty](#)

[Rozdział 19. Prawdy i kłamstwa](#)

[Rozdział 20. Mroki przeszłości](#)

[Rozdział 21. Co się zdarzyło w Jasieniu](#)

Epilog